



KRYSTYNA MIREK

Trzeba przedrzeć się przez gąszcz trudnych,  
życiowych wyborów, by wreszcie poczuć  
słodki smak życia.

---

# Słodkie życie

FILIA

KRYSTYNA MIREK

---

**Słodkie  
życie**

**FILIA**

## ROZDZIAŁ 1

---

---

Gdyby nie fakt, że tej nocy psu sąsiadów zebrało się na amory, życie Kornelii Rudnickiej potoczyłoby się zupełnie inaczej. Rano poszłaby jak zwykle do pracy i tam odebrała codzienną porcję przykrości. Wszystko, co ważne, swoim zwyczajem odłożyłaby na później, sądząc, jak wielu innych ludzi, że ma jeszcze mnóstwo czasu.

Ale tej pamiętnej nocy pies poczuł wolę bożą i wył jak wściekły w swoim boksie, domagając się wypuszczenia na wolność. Sąsiad wyjechał zapewne do swojej najnowszej narzeczonej, bo też był w romansowym usposobieniu, więc pies nie doczekał się żadnej reakcji ze strony właściciela. Odpowiadali mu tylko inni towarzysze niedoli powiązani na łańcuchach lub zamknięci w sąsiednich ogrodach. Koncert trwał do piątej nad ranem.

Zabiorę cię kiedyś – postanowiła po raz tysięczny Kornelia, słuchając żalostnego ujadania psa, choć dobrze wiedziała, że nie starczy jej odwagi, by

zmierzyć się z aroganckim właścicielem zwierzaka. Raz spróbowała i do tej pory na samą myśl o konfrontacji w gardle wiązał jej się supel nie do przełknięcia.

Kiedy psy w końcu ucichły, Kornelia, umęczona przewracaniem się w pościeli i bezskutecznymi próbami zdystansowania się do sytuacji za oknem, zasnęła stalowym snem.

Śniło jej się, że naprawdę żyje.

Jest szczęśliwa i zakochana. Realizuje marzenia, snuje plany. Ta wizja pochłonęła ją do tego stopnia, że nie usłyszała dzwoniącego kilkakrotnie budzika ani porannego rozgardiaszu na parterze. Rodzina jadła śniadanie, stukwały obcasy, szumiała woda w rurach, a pod oknami domu trzaskały drzwiczki samochodów. W końcu i to ucichło.

Kornelia przewróciła się na drugi bok. We śnie każdy może być, kim tylko zechce. Czasem ten senny świat nie zamierza współpracować i funduje człowiekowi jakiś koszmar, ale bywa, że przenosi nas do alternatywnego życia. Tam właśnie znajdowała się Kornelia.

Była szczupłą, atrakcyjną brunetką i mieszkała w domu z drewnianym gankiem, który zaprojektował jej mąż, ozdabiając go jedynymi w swoim rodzaju rzeźbionymi ornamentami. Była absolutnie szczęśliwa. Wykonywała jakiś pasjonujący zawód, miała dwóch synów, cudnie kwitnący ogród i wymarzonego mężczyznę u boku.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, przez chwilę trwała w upojeniu, delektując się tym przyjemnym uczuciem, po czym, mocno rozespana i w związku z tym przekonana, że musi być jeszcze bardzo wcześnie, sięgnęła po telefon. Spojrzała na wyświetlacz i przez chwilę nie mogła zrozumieć odczytanej informacji. Dziesiąta trzydzieści.

Dziwna godzina – pomyślała jeszcze nie całkiem przytomnie.

Jest sobota – uspokoiła się, nie znajdując chwilowo innego wytłumaczenia.

Spojrzała ponownie i momentalnie otrzeźwiała. Szesnaście nieodebranych połączeń z pracy. To nie była żadna sobota, tylko zwyczajna cholerna środa, koniec września.

Kornelia już dawno powinna być w szkole. Od siódmej czterdzieści pięć pełnić dyżur na korytarzu, a potem przez osiem godzin bez wytchnienia prowadzić zajęcia, znosząc ze sztucznym, siłą przyklejonym do twarzy uśmiechem wszystko, co dzień przyniesie, czyli jak zwykle rzeczy nieprzyjemne albo przykre.

Przez moment trwała w apatii, wpatrując się w wyświetlacz smartfona. Nie miała pojęcia, co dalej robić.

Pierwszy raz w życiu spóźniła się do pracy. Od dziecka była punktualna i świetnie zorganizowana. Tego wymagała od niej mama. Martyna Rudnicka, która pracując jako pedagog w miejscowej szkole podstawowej, na własnych dzieciach testowała wszystkie koncepcje wychowawcze i nie akceptowała żadnej skazy na

idealnym wizerunku potomstwa. Tylko wygląd Kornelii musiała jakoś przelknąć. Choć nie można jej zarzucić, że nie walczyła. Opowiadała na prawo i lewo, jak wspiera córkę psychicznie i ile kilogramów dziecko schudło w ostatnim miesiącu. A dziecko dostawało gęziej skórki od tych publicznych wyznań. Połykało w samotności łyż i kolejne batoniki, a waga wbrew zapewnieniom mamy ciągle rosła.

Aktualny wynik wynosił dziewięćdziesiąt pięć kilogramów, co przy wzroście Kornelii oznaczało solidny obwód w talii. A przecież dziewczyna była jeszcze młoda. Do której kreseczki podskoczy strzałka wagi za pięć czy dziesięć lat?

Buka, wieloryb, krążownik, czołg, tankowiec – to były te bardziej eleganckie określenia, jakie słyszała od uczniów. Niestety nie jedyne. Były też takie, jak prosię, beka, wieprz i wiele innych, o których starała się zapomnieć.

Nie bez trudu podniosła ciężkie ciało z łóżka. Usiadła na krawędzi i spuściła głowę.

W szkole pewnie radość – pomyślała.

Nie ma większego święta w liceum niż choroba nauczyciela fizyki. Na cały rocznik uczniów liczący ponad sto osób fizykę lubiły co najwyżej sześć. Można więc przyjąć, że Kornelię darzyło sympatią niewielu. Wcale się temu nie dziwiła, sama czuła do siebie wyłącznie pogardę, nie przepadała też za swoimi uczniami, a oni odwzajemniali jej uczucia z nawiązką. Byli bandą przemyślanych, szczupłych i w przeważającej mierze zakochanych nastolatków. Zazdrościła im wszystkiego.

Wsunęła pulchne stopy w wielkie pantofle i owinęła się szczelnie szlafrokiem szerokim niczym płótno namiotowe.

Westchnęła z rezygnacją na samą myśl o konieczności wykonania telefonu do pracy. Potrafiła sobie wyobrazić, co tam się teraz dzieje. Jakby słyszała te wszystkie komentarze: „Taka sensacja. Pani Rudnicka nie przyszła do pracy i, wyobraź sobie, nawet nie zadzwoniła!”

Dwie wicedyrektorki, wrywając sobie nawzajem z rąk księgę zarządzeń, zapewne ustalają naprędce zastępstwa, o każdym ruchu długopisu szczegółowo informując dyrektora, żeby wiedział, jak bardzo są niezastąpione. Co drugie napisane słowo robią przerwę na wygłoszenie sążnistego komentarza na temat niekompetencji pani Rudnickiej i licznych zastrzeżeń do jej pracy. A wszystko tylko dlatego, że Kornelia od lat, choć nielubiana przez uczniów, miała najwyższe wyniki egzaminów i każdego roku przynajmniej jednego olimpijczyka z wysoką lokatą. Błąd. Nie do wybaczenia. W niektórych środowiskach bycie najlepszym to niebezpieczne zajęcie.

Na samą myśl, że ma zadzwonić do sekretariatu, cierpła jej skóra. Po krótkim namyśle wysłała więc tylko wiadomość: „Jestem bardzo chora, przepraszam, że dopiero teraz piszę. Dam znać, kiedy już będę wiedzieć, jak długo

to potrwa. Po południu mam wizytę u lekarza”.

Nie było to do końca uczciwe, ale co miała zrobić... Musiała jakoś wyjść z tego z twarzą. O pracę teraz trudno, niż demograficzny, likwidacja etatów, a życie z czegoś trzeba, zwłaszcza kiedy jest się kobietą samotną, mieszkającą kątem u rodziców i zdaną wyłącznie na siebie.

Postanowiła pójść prywatnie do jakiegoś lekarza i wyprosić ze trzy dni tak zwanego lewego chorobowego. Akurat wystarczy do końca tygodnia. Nawet nieźle się składało.

Od miesięcy miała zamiar przebadać się u ginekologa, bo cykle w ostatnim roku dziwnie jej się rozregulowały. Czasem trwały tylko dwa tygodnie, innym razem półtora miesiąca. Nie martwiła się tym zbytnio, wszystkie fizyczne dolegliwości zrzucając, jak zawsze, na karb tuszy. Ale chciała mieć pewność, że jest zdrowa. Wciąż nie traciła jeszcze nadziei, że znajdzie się jakiś desperat, który zechce z nią zamieszkać i dać jej dzieci.

Miała trzydzieści lat. Dziewczyny w jej wieku robiły kariery, chodziły na siłownię i zmieniały partnerów z prawie równą częstotliwością jak wkłady w ekspresie do kawy. One wciąż się bawiły, ale jej zegar biologiczny został wyregulowany według innych standardów. Rozpaczliwie pragnęła prawdziwej miłości. Rodziny.

Gotowa była poślubić kogokolwiek. Niestety, żaden, nawet najbardziej przyszczytany, najmniejszy, najchudszy czy najgłupszy mężczyzna nigdy nie zwrócił na nią uwagi, choć przecież nie sposób było przeoczyć ją w towarzystwie. Wyróżniała się zdecydowanie okazałą posturą.

Powłokła się do łazienki.

Poczuła wielką ulgę na myśl o wolnym dniu. Tym bardziej że była środa.

Na dzisiaj miała zaplanowaną rozmowę z Leonardem Kordasem. Dałaby sobie rękę uciąć, że jego matka wybrała mu to imię na dobrą wróżbę, po najświetniejszym geniuszu wszechczasów. Plotka głosiła, że kiedy chrzczono niemowlę, jego ojciec – sam niespełniony artysta – włożył mu do becika dwa pędzle. W pewnym stopniu sztuczka się udała. Leo – bo tak go wszyscy nazywali – był wziętym malarzem, cenionym artystą i jednocześnie przemądrzałym samotnym ojcem.

Kiedy Kornelia usłyszała, że żona Kordasa wyjechała, zdziwiła się początkowo, choć równocześnie doskonale rozumiała decyzję kobiety. Ten mężczyzna był wyjątkowym oryginałem. Przystojny i czarujący, ale czasem wkurzający do granic. Podejrzewała, że ta mieszanka na co dzień okazywała się nie do zniesienia. Jej opinia nie miała jednak dla tego mężczyzny żadnego znaczenia. Spotykali się wyłącznie służbowo.

Była wychowawczynią jego syna. Swojej klasy i obowiązków wychowawcy nienawidziła, o ile to możliwe jeszcze bardziej niż nauczania fizyki. Kochała swój

kierunek studiów, zgłębianie zawiłych kwestii, odkrywanie tajemnic wszechświata. Fizyka była bliższa magii, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Zawiłe obliczenia zbliżały do istoty stworzenia. Ale nie w liceum. Tu wytłumaczenie najprostszego wzoru graniczyło z cudem. Kornelia nie miała cierpliwości dla zbuntowanych lub znudzonych nastolatków, ci odpłacali jej niechęcią, a ona nie wiedziała już, jak przerwać ten zakłęty krąg.

A ze wszystkich uczniów jej klasy najgorszy był Daniel Kordas. To on wiódł prym w wymyślaniu nędznych dowcipów i głupich komentarzy. Nie można go było nawet zostawić na drugi rok w tej samej klasie (żeby choć na chwilę zszedł z oczu), bo niestety był świetny z fizyki. Prócz wrodzonej błyskotliwej inteligencji i ciętego języka Daniel miał jeszcze swojego roszczeniowego, aroganckiego ojca – miejscowego artystę. A Leonard Kordas wiedział, jak korzystać ze swojej popularności. Uważał też, że polski system szkolnictwa jest do niczego i postawił sobie za cel poinformowanie Kornelii o wszystkich jego absurdach, tak jakby sama ich nie dostrzegła.

Jednak najbardziej upokarzający w tym wszystkim był fakt, że wbrew zdrowemu rozsądkowi Kornelia od pierwszego wejrzenia zakochała się w tym mężczyźnie głupią, naiwną, pozbawioną szans miłością. Leo drażnił ją, irytował, a jednocześnie pociągał. I była wobec tego uczucia zupełnie bezradna.

Na szczęście nikt nie znał jej tajemnicy.

Bardzo dobrze się stało, że zasnęłam – pomyślała. – Rozmowę przeprowadzi tym razem dyrektor i to on dowie się, jak słabo współczesna szkoła przygotowuje do życia młode pokolenie.

Spotkania z ojcem Daniela, wzywanych ze względu na liczne występki syna dość często, sporo ją kosztowały, a jednak nigdy żadnego nie opuściła. Siadała w jakiejś pustej sali za biurkiem, patrzyła, jak Kordas mości się wygodnie w pierwszej ławce, i słuchała jego słów, z trudem znajdując na nie sensowne odpowiedzi. Leonard nawet na nią nie patrzył, a jeśli już, to jak na istotę pozbawioną zupełnie cech płciowych. Na jej roztargnienie reagował irytacją i wiecznie zgłaszał do jej pracy jakieś zastrzeżenia. Co mu miała powiedzieć? Że nie radzi sobie z jego błyskotliwie inteligentnym synem, który nie przepuści najmniejszej okazji, by jej dokuczyć? Że w konfrontacji z gromadą przemądrzałych i pewnych siebie nastolatków gubi drogę do miejsca, gdzie zgromadzona jest cała jej wiedza? Nie potrafi znaleźć ciętej riposty, choć nie brakuje jej inteligencji, poczucia humoru ani danych? Czy miała mu powiedzieć o tym, jak bardzo ją to boli, i dodać, że czasem nachodzi ją pokusa, by posłużyć się tradycyjnym orężem nauczycieli i dać chłopakowi jedynekę (choć przecież gardziła takimi metodami)? Czy może o marzeniu pielęgnowanym od lat, by Leonard zobaczył w niej kogoś więcej niż nieudolną nauczycielkę... Kobiętę godną jego uczuć.

Z oczywistych względów milczała, bo żadna z tych kwestii nie nadawała się

do głośnego wypowiedzenia, a on odchodził rozdrażniony i zniechęcony kolejną taką samą, nudną i nic niewnoszącą do sprawy rozmową.

Tym razem wezwała Kordasa, bo od początku nowego roku szkolnego się nie pokazał. A skarg nie brakowało, mimo że był dopiero koniec września. Daniel dostarczał powodów każdego dnia. Mogłaby długo referować zastrzeżenia przekazane ostatnio przez innych nauczycieli. Ale cieszyła się, że spotkanie ją ominie. Nie miała złudzeń co do tego, że przebiegałoby dokładnie tak, jak poprzednie. Leo Kordas z właściwym sobie wdziękiem odparłby wszystkie jej zarzuty.

Przy okazji zwolnienie chorobowe sprawiało, że przepadało jej sporo lekcji i zajęć dodatkowych, dwie godziny kółka, kilkanaście dyżurów na korytarzu, jedna konferencja i poprzedzające ją nudne spotkanie w zespole przedmiotowym.

Trzy dni wyzwolenia od codziennego koszmaru.

Tak właśnie wyglądało jej życie. Toczyło się od jednej przerwy świątecznej do drugiej. W jej sypialni najważniejsze miejsce zajmował kalendarz, a na nim codziennie skreślane okienka. Do kolejnego długiego weekendu. To wcale nie oznaczało, że te wolne dni były jakoś szczególnie fascynujące. Po prostu telewizor, komputer, łzawe powieści i... tony słodyczy. Nieważne, czy święto było kościelne, czy państwowe – wszystkie spędzała według tego samego schematu.

Tę dość nędną i pełną frustracji wegetację Kornelia pędziła w doskonale zorganizowanym domu rodziców, bez szans na samodzielność. Pracowała od ośmiu lat i co miesiąc próbowała odłożyć coś na mieszkanie. Ale ceny nieruchomości wciąż rosły i kobieta była w tym wyścigu z góry skazana na porażkę, tym bardziej że większość jej dochodów pochłaniało jedzenie.

Mówi się, że zdrowa żywność jest droga, ale niech ktoś spróbuje żywić się naprawdę niezdrowo... Ze zdumieniem przekona się, że koszty są jeszcze wyższe. Jeden marny batonik, który pochłaniała dwoma kęsami, kosztował prawie trzy złote. A żeby wieczorem uspokoić wzburzony żołądek, tęskniące za miłością serce i ciało szarpane nigdy niezaspokojonymi potrzebami, musiała ich zjeść kilka, a do tego ze dwie paczki ciastek i jakąś bułkę. To wszystko oczywiście już po oficjalnej kolacji, którą spożywała na parterze, we wspólnej kuchni, w towarzystwie rodziny. Tam jadła razowy chleb z liściem sałaty i popijała wodą mineralną, okraszoną wyłącznie estetycznym plasterkiem cytryny, lub gorzką herbatą, od której miała mdłości. Plecy trzymała wyprostowane, łokcie przy sobie. Wypowiadała się pełnymi zdaniem i grzecznie słuchała codziennych wieści o sukcesach starszego rodzeństwa i taty. Udawała, że u niej także wszystko w porządku, choć dobrze wiedziała, że nikt jej nie wierzy.



\* \* \*

Poczłapała ciężko w stronę łazienki. Małe pomieszczenie na poddaszu, przeznaczone tylko dla niej, miało jedno małe lusterko. Wystarczyło, by zobaczyć kawałek twarzy, wykonać makijaż i zwinąć długie włosy w byle jaki węzeł. Lustra, w których widać było coś więcej, wpędzały ją w depresję.

Jak zawsze napełniła wannę do połowy, dodała sporo płynu do kąpieli i weszła do środka. Poziom piany natychmiast podniósł się aż do samych krawędzi.

Oszczędnie – pomyślała z satysfakcją.

Jej szczupła siostra i jeszcze szczuplejsza szwagierka, żeby się w pełni zanurzyć, potrzebowały dużo więcej wody.

Jakie to nieekologiczne – skrzywiła się z nieszczerą przyganą.

Łzy natychmiast pociekły jej po policzkach.

Też zasilą poziom wilgotności w przyrodzie – dodała w myślach.

W wannie płakała właściwie zawsze. Chowała się w obłoczkach pachnącej piany, próbując zapomnieć o tym, jak wygląda, ale i tak, żeby się umyć, musiała dotknąć zwalistych ud, dwóch wielkich fałdów skóry na brzuchu, potężnych i obwisłych piersi. Dla niej samej było to nieprzyjemne, a co dopiero dla kogoś obcego. Każda, nawet najbrzydsza kobieta może umówić się z mężczyzną, zgasić światło i ukryć w delikatnym świetle świecy wszelkie mankamenty urody. Ale takiej nadwagi nie dało się zatuszować żadnym sposobem.

Powtarzała sobie każdego dnia, że powinna wziąć się w garść. Tego poranka również, jak przez wszystkie poprzednie lata, postanowiła wreszcie to zrobić. Ale w głębi serca dobrze wiedziała, że nic z tego nie wyniknie. Nie miała nawet pomysłu, od czego można by zacząć. Uprawiać sportu z taką liczbą kilogramów nie była w stanie. Męczyła się po dwóch minutach, a głód sprawiał, że mdlała, więc wszelkie diety też odpadały w przedbiegach.

Westchnęła tylko ciężko i, starając się myśleć o czym innym, umyła się i dokładnie wytarła.

Pół godziny później, ubrana w szeroki czarny podkoszulek i spodnie na gumce, zeszła do kuchni. Na szczęście nikogo już nie było w domu. Siostra pojechała skoro świt kontynuować błyskotliwą karierę w banku, dzięki której już niebawem miała stać się właścicielką własnego mieszkania, brat pilnował ostatnich prac przy budowie swojego domu, a jego żona zawiozła dzieci do przedszkola i w tym samym liceum, w którym pracowała Kornelia, od rana w natchnieniu

uczyła polskiego. Bratowa lubiła swoją pracę, ale nie ma się czemu dziwić. Uczniowie patrzyli w nią jak w obraz. Na lekcjach siedzieli grzecznie, chętnie się odzywali, uśmiechali nawet. Jakby to były zupełnie inne dzieci... A przecież obie kobiety uczyły w tych samych oddziałach.

Kornelia po raz tysięczny próbowała zrozumieć ten fenomen. Agnieszka zapominała podstawowych dokumentów, wciąż miała jakieś zaległości, czasem nie wiedziała nawet, jaki jest dzień tygodnia, a wszyscy ją cenili. Tymczasem Kornelia, doskonale realizująca program, wiecznie była na szarym końcu rankingowych list popularności i gdyby nie wyniki nauczania dyrektor pewnie już dawno by ją zwolnił. Bo to jedno ją tylko ratowało. Krwią i blizną wpychała fizykę do głów i była w tym skuteczna. Tylko jakim kosztem?

Usiadła przy stole i podniosła talerz. Na półmisku jak zwykle czekało śniadanie. Mama robiła je, odkąd Kornelia sięgała pamięcią. Wysokokaloryczne, ale pyszne. Mama była zdania, że ludzie, którzy się odchudzają, powinni jeść pożywne posiłki rano, żeby ich w ciągu dnia nie męczyły pokusy. W przypadku Kornelii to się zupełnie nie sprawdzało.

Pochyliła się nad kolorowymi kanapkami i przez ułamek sekundy trwała w postanowieniu, żeby je odłożyć i zmienić coś wreszcie. Ale szybko się poddała. Nie zjeść tego śniadania, oznaczało narazić się na zarzut niewdzięczności – to po pierwsze. Po drugie wymagało to posiadania o wiele większej siły woli niż ta, którą w godzinach porannych dysponowała Kornelia.

\* \* \*

Leonard Kordas klął pod nosem, stojąc w korku na źle zaprojektowanym, beznadziejnie wykonanym i zbyt małym parkingu pod szkołą podstawową. Przed momentem zatrzymał się, by wysadzić młodszego syna, i teraz bezskutecznie próbował wyjechać. Ze zdenerwowania zaciskał dłonie na kierownicy i całą siłą woli powstrzymywał się, by nie trąbić co kilka sekund i nie wrzeszczeć na wszystkich wokół. Był rozdrażniony, jeszcze zanim na dobre się obudził, ale to akurat od jakiegoś czasu stało się u niego normą. Denerwowała go konieczność wstawania o nieludzko dla niego wczesnej porze, irytowały poranne zmagania jego synów, mające na celu pozbieranie wszystkich rzeczy koniecznych do wyjścia

z domu. Wciąż czegoś brakowało, więc albo wszyscy szukali w pośpiechu, miotając się po pokojach, albo wrzeszczeli na siebie nawzajem, zrzucając jeden na drugiego winę za ewidentny chaos panujący w domu.

Organizacja codziennych obowiązków szwankowała, to fakt. W tym domu ewidentnie brakowało tak zwanej kobiecej ręki, ale z drugiej strony to nie do uwierzenia, o ilu sprawach musi pamiętać przeciętny siedmiolatek każdego poranka. Dzisiaj na przykład pierwszoklasista Michał musiał zgromadzić przed wyjściem: plakat na angielski na sporym arkuszu papieru, strój na zajęcia wychowania fizycznego, tratwę z patyków, którą wspólnie z bratem robił wczoraj na zadanie domowe, kluczyk do szafki, drugie śniadanie, picie, kurtkę, buty i kamizelkę odblaskową, której brak zawsze był skrupulatnie odnotowywany przez dyżurującego nauczyciela. I tak codziennie.

Prawie nigdy nie udawało się skompletować wszystkiego. Najgorszy był kluczyk do szafki. Mimo iż przywiązywali do niego kolorowe smycze, sporych rozmiarów breloczki i odblaskowe maskotki, wечно gdzieś się gubił. Dzisiaj też musieli przekopać cały pokój, żeby go odnaleźć głęboko pod łóżkiem.

Leonard zgrzytnął zębami i ponownie zacisnął dłonie na kierownicy. Musiał się mocno spaść, żeby nie opuścić szyby i nie powiedzieć dosadnie pozostałym kierowcom, co myśli o tym wszystkim. Spojrzał na zegarek. Dziesięć po ósmej.

Jasna cholera – zaklął po raz tysięczny.

Okropna wychowawczyni jego starszego syna już zapewne zaczęła lekcje i teraz trzeba będzie na nią czekać pół godziny. Nauczyciele zawsze myślą, że rodzice mają czasu jak lodu i o niczym innym nie marzą, jak tylko o tym, żeby wystawać godzinami pod szkołą, a potem dowiadywać się samych przykrych rzeczy o własnym dziecku.

Pani Rudnicka wprawdzie nigdy niczego konkretnego nie miała do zarzucenia Danielowi, ale dziwne aluzje i wечно skwaszona mina wyraźnie dawały do zrozumienia, że różne sprawy nie zyskują jej aprobaty, tylko z jakiegoś powodu nie chce o nich głośno mówić. To było właśnie najgorsze. Najbardziej na świecie Leo nienawdził odgadywać, co jakaś kobieta może mieć na myśli.

W końcu wyjechał spod podstawówki i po chwili stanął na szerokim, o tej porze prawie pustym parkingu pod liceum. Wyłączył silnik. Zaciskał dłonie na kierownicy, po czym prostował palce i znów zaciskał. Próbował się bezskutecznie uspokoić. Trwało to dobrą chwilę. W końcu nie wytrzymał i uderzył pięścią w sam środek. Klakson mocno zatrąbił.

Szlag by to trafił. Zawsze mu się to przydarzało, kiedy pragnął chwili spokoju. Robił łomot na całą okolicę. Kiedy chciał w nocy wejść do domu niepostrzeżenie, by nie obudzić synów, zawsze się napatoczyło jakieś wiadro, w które musiał wleźć, albo pęk kluczy spadający z hukiem i stawiający cały dom na nogi. Teraz też nie było na ulicy człowieka, który by się nie obejrzał. Leo kochał

małe miasteczka z ich specyficzną atmosferą, ale w tym momencie wolałby znajdować się w Warszawie, gdzie wszyscy są anonimowi i człowiek ma święty spokój.

Wziął głęboki oddech i policzył do dziesięciu. Niewiele pomogło.

Minuty dłużyły się bardzo, a myśli, jakby ciągnięte niewidzialną liną, wracały do prawdziwej przyczyny jego zdenerwowania. Nie chodziło ani o zakorkowany parking pod szkołą podstawową, ani nawet o zaplanowane na dzisiaj spotkanie z panią Rudnicką. Prawdziwą przyczynę stresu stanowiła jak zwykle jego żona-nie-żona.

W tym temacie jego myśli zachowywały się jak rosyjska wańka-wstańka. Ilekroć próbował naprowadzić umysł na inny temat i na chwilę udawało mu się oderwać od ponurych rozważań, zaraz powracały do punktu wyjścia.

Cholerne weekendowe wesele kuzynki – pomyślał ze złością, w ostatniej chwili powstrzymując dłoń przed kolejnym niekontrolowanym uderzeniem w klakson.

Sprawa była naprawdę okropnie stresująca. Chętnie wcale by nie poszedł, wykręcając się byle pretekstem, ale dobrze widział, że Michaś bardzo czeka na spotkanie z mamą, a i Daniel tylko udaje, zresztą dość nieumiejętnie, totalną obojętność dla sprawy.

Trzeba się będzie stawić na miejscu i to w pełnej zbroi. Tak, żeby nikt się nie zorientował, a w szczególności Lena, bardzo jak bardzo czują się porzuceni i jak okropnie boli ich fakt, że mama i żona pewnego dnia naprawdę to zrobiła. Po prostu spakowała się i odeszła.

Chciała się... realizować.

To takie modne słowo-wytrych. Tak ładnie się nim tłumaczy zwykle tchórzostwo i brak odpowiedzialności. – Miał ochotę szpetnie zakląć. – Twierdziła, że rodzina i powtarzalna do bólu szara rzeczywistość ją tłamszą. Ponoć potrzebowała chwili wytchnienia. Rozumiał to. Sam znalazł w sieci, a potem zaproponował jej to cholerne szkolenie w zakopiańskim spa na temat odkrywania tajemnic kobiecości i określana życiowej drogi.

Okazało się diabelnie skuteczne. Lena rzeczywiście odnalazła tam pomysł na życie. Spakowała walizki i zostawiła dom, żeby szukać samorealizacji. Cokolwiek miałyoby to oznaczać. A teraz, po miesiącu, zamierzała zabrać dzieci.

Leonard zgrzytnął zębami. Kochał swoich synów. Kochał też nadal swoją okropną, kapryśną żonę, która go zostawiła. Naprawdę nie wiedział, jak mogła to zrobić.

Wysiadł z samochodu, trzasnął mocno drzwiczkami i ruszył w stronę wejścia do szkoły. Biada wychowawczyni, jeśli wzywała go dzisiaj z błahego powodu.

Wszedł do środka i znajomym korytarzem skierował się pod pracownię fizyczną.

– Pan do pani Rudnickiej? – zapytała go przechodząca nauczycielka.

– Tak – odparł niechętnie. Miał wrażenie, że wszyscy go tutaj osądzają i z pewnością wiedzą o nim więcej, niż chciałby ujawnić. Gorzej niż w szkole czuł się tylko w urzędzie skarbowym.

– Pani Rudnickiej dzisiaj nie ma – powiedziała nauczycielka uprzejmie. – Zachorowała. Zapraszam do pana dyrektora.

– Dziękuję za informację. – Leonard ucieszył się jak dziecko. – A z zaproszenia na razie nie skorzystam. Nie ma potrzeby zajmowania cennego czasu pana dyrektora – tłumaczył, szybko oddalając się spod drzwi pracowni. – Umówię się z panią Rudnicką, kiedy wróci. Do widzenia – pożegnał się.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, powstrzymując się siłą woli, żeby nie biec w podskokach.

Dzień dobroci dla rodziców. Chora wychowawczyni. To się nazywa prawdziwy prezent od losu.

## ROZDZIAŁ 2

---

---

Lekarz przyjął ją tuż po dwunastej. Badanie, jak wszystko w jej życiu, było jednym wielkim upokorzeniem. Rozbieranie, wychodzenie zza parawanu, wspinanie się na fotel ginekologiczny. Tym bardziej że wszystko trwało dość długo, bo lekarz w nieskończoność coś sprawdzał, badał, naciskał brzuch i tak w kółko, aż w końcu zrobiło jej się naprawdę słabo. Wreszcie pozwolił jej się ubrać.

Z prawdziwą ulgą usiadła na krześle. Plątała się w zeznaniach, podkreślając, jak bardzo źle się czuje i mętnie motywując konieczność uzyskania zwolnienia z pracy. Ale lekarz wcale jej nie słuchał, zajęty zapisywaniem w komputerze wniosków z badania. Następnie potarł zmęczone oczy i westchnął:

– Pani Kornelio, wypisałem skierowanie do szpitala, ponieważ nie jestem w stanie tutaj w gabinecie dokładnie stwierdzić, co pani dolega, a mam poważne powody do niepokoju. Trzeba będzie wykonać serię koniecznych badań

i skonsultować wyniki ze specjalistami.

Kornelia siedziała naprzeciw niego i próbowała zrozumieć, co takie słowa, jak szpital, badania i specjaliści, mają wspólnego z jej zupełnie zwyczajnym życiem, w którym nie było żadnych chorób. W tej chwili dolegało jej jedynie to, że pilnie potrzebuje załatwić, nie do końca legalnie, zwolnienie chorobowe.

Na wszelki wypadek zrobiła delikatnie zboląłą minę, żeby lekarz nie nabrał podejrzeń.

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby – odparła, starannie mieszając optymizm z powagą, jaka przystoi osobie chorej, której należy się zwolnienie. – Posiedzę trzy dni w domu, odpocznę i wszystko wróci do normy.

Lekarz spojrzął na nią przenikliwie.

– Pani Kornelio – powiedział. – Na tym świecie są różne choroby. Takie, które dają natychmiastowe objawy, i takie, co rozwijają się latami, zanim dadzą się zauważyć. Tych drugich trzeba się bać szczególnie. Nie chciałbym pani straszyć, ale to może być bardzo poważna sprawa. Proszę natychmiast udać się do szpitala.

– Tak po prostu? – zdumiała się. – Jak stoję? Bez żadnych przygotowań, rzeczy osobistych?

– Nie, oczywiście może pani pójść wcześniej do domu. Spakować się i tak dalej, ale każdy dzień jest w tym przypadku na wagę złota.

– Co mi konkretnie dolega? – zapytała. Słowa lekarza zaczynały powoli przedostawać się przez blokadę niedowierzania.

– Nie wiem na pewno. Jest wyraźna zmiana... dość duża niestety. Pani chyba dawno nie była na kontroli. – Spojrzął na pacjentkę z przyganą.

Jasne, że nie była. Ginekolodzy są dobrzy dla zakochanych narzeczonych albo szczęśliwych matek, ewentualnie kobiet po pięćdziesiątce. A nie dla młodej i zdrowej dziewczyny, która z nikim się nie spotyka.

Lekarz był chyba innego zdania.

– Może to po prostu mięśniak, niegroźna narośl, ale nie można tego lekceważyć – oświadczył poważnym tonem, a w głowie Kornelii natychmiast zalęgły się najgorsze podejrzenia i zaczęły w niezwykle szybkim tempie rosnać.

Wiadomo, co przychodzi do głowy człowiekowi, kiedy słyszy, że nie wiadomo, co mu jest. Wszystko, co najgorsze.

Z niedowierzaniem obracała w myślach słowa lekarza.

Najróżniejsze możliwe opcje błyskawicznie przebiegały przez jej głowę. Pewnie to nowotwór albo jakieś inne paskudztwo. Cokolwiek słyszała na ten temat, teraz pojawiło się jak na zawołanie. W dzisiejszych czasach trzeba by mieszkać na pustyni, żeby nie znać choć kilku osób, które zachorowały niespodziewanie i źle się to dla nich skończyło. W jednej chwili przypomniała sobie wszystkie znane jej przypadki.

Strach chwycił ją za gardło, ale gdzieś w głębi serca pojawiło się też

oburzenie.

Jak to możliwe? – pomyślała. – To ona już ma przejść do takiego etapu? Szpitali, strachu, leczenia i bolesnych zabiegów? Tylko tyle los miał jej do zaoferowania? Życie, które tak naprawdę nigdy się na dobre nie zaczęło, już miałyby się skończyć?

A co z tymi wszystkimi sprawami, które miały się zdarzyć? Właściwie wszystko, co ważne, w jej przypadku miało przecież dopiero nadejść! Miłość, macierzyństwo, skuteczna dieta, inna praca, wolność, przygoda... Niczego jeszcze przecież od losu nie dostała. Inni żyli, ona tylko funkcjonowała. Czy tylko po to się urodziła, żeby przevegetować trzydzieści marnych lat, a potem usunąć się w cień, nie pozostawiając po sobie właściwie niczego?

Czuła wściekłość. Ktokolwiek podjął taką decyzję o jej losie, niech się wstydzi. To naprawdę był chwyt poniżej pasa. Dosłownie i w przenośni.

Pożegnała się pośpiesznie z lekarzem, obiecała zastosować się do jego rad, zabrała skierowania i wyszła. Wybiegła z ośrodka, mijając bez słowa nieznanymi, a także tych, którzy grzecznie się z nią witali. Nigdzie nie była anonimowa. W małym mieście znano nauczycieli, a znaczna część mieszkańców wolała pozostawać w dobrych stosunkach z surową nauczycielką fizyki uczącą w liceum, jedynym w okolicy.

Kłaniali się jej, a ona nie odpowiadała. Znowu będą plotki. Wizyta u ginekologa to nośny temat.

Kornelia dopadła samochodu, trzęsącymi się dłońmi otworzyła drzwi, wsiadła i oparła głowę o kierownicę. Długo siedziała bez ruchu w bezpiecznym wnętrzu auta. Drobiniki kurzu wirowały w powietrzu, wyraźnie widoczne w promieniach coraz mocniej świecącego słońca. Na parkingu panował spory ruch. Przez szybę zaglądały osoby zmierzające na badania, a także poszukujący wolnego miejsca kierowcy. Kiedy jeden z nich piąty raz przejechał tuż obok, wpatrując się w Kornelię intensywnie, jakby pragnął odgadnąć, czy długo zamierza jeszcze tak stać, nie wytrzymała. Zapaliła silnik i ruszyła.

Jechała bardzo powoli. Długo stała przy wyjeździe na główną drogę, zanim zdecydowała się włączyć do ruchu. Bała się, że coś przeoczy. Miała wrażenie, że jej umysł ściał się jak masa na ciasto, do której zbyt szybko dodano świeży sok z cytryny. Przyjmował informacje wolno, interpretował też niezbyt sprawnie, a przecież na drodze czasem trzeba reagować błyskawicznie, dostosowując się do zmieniającej się w okamgnieniu sytuacji.

Chwilę później zaparkowała na szerokim podjeździe przed rodzinnym garażem. Wsiadła i powoli ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Świadomość, że dom jest pusty, była źródłem wielkiej ulgi.

Starła się nie myśleć o tym, co przed momentem usłyszała. Usiadła w cichej kuchni i przez kilka minut delektowała się spokojem. Rzadko miała okazję być



w domu sama. Liczni członkowie rodziny opuszczali go wspólnie wcześniej rano, a potem wracali mniej więcej w tym samym czasie. Brat z żoną i dziećmi, starsza siostra Ania, mama i tata. Wciąż ktoś się kręcił, rozmawiał, oglądał w salonie telewizję. Jeżeli chciało się zyskać choć odrobinę prywatności, trzeba było się chować w czterech ścianach swojego pokoju. Choć i tam spokój był sprawą dość względną, bo mama uwielbiała robić niespodziewane naloty pod byle pretekstem, by sprawdzić, co słychać. Trzeba się było zamykać na klucz, bo pukanie do drzwi mama uznawała za zwyczaj, który nie dotyczy jej własnych dzieci. Jakby wciąż mieli po kilka lat.

To wszystko sprawiało, że domownicy chowali się głębiej, mocniej zabezpieczali przed niespodziewaną kontrolą i – choć pod jednym dachem – tak naprawdę żyli zupełnie osobno.

W tym domu nikt nie czuł się swobodnie, a już najmniej Kornelia. Zwłaszcza we wspólnej kuchni. Rodzina jak mogła, walczyła z jej nadwagą. W ciągu ostatnich lat każdy wypracował najlepszą jego zdaniem metodę i, wciąż ją udoskonalając, próbował pomóc Kornelii. W związku z tym była pod stałą obserwacją, a każdy jej kęs stawał się obiektem gorących dyskusji. O tym, żeby mogła sobie przyrządzić coś, na co naprawdę miała ochotę, a potem zjeść to w spokoju, nie było nawet mowy. Pożywiała się więc ukradkiem, w pośpiechu i byle jak. Najczęściej nocami, w swoim pokoju. Jadła to, co można było dyskretnie zakupić w sklepie i przenieść w teczce pomiędzy szkolnymi papierami.

Nie znała się specjalnie na gotowaniu i nie była wybredna, ale uwielbiała piec ciastka. Do tej wstydlivej słabości nikomu się jednak nie przyznawała. Już sobie wyobrażała te reakcje. Gotowanie to dzisiaj modny temat. Kobiety sukcesu z pasją opowiadają o ulubionych przepisach i wspólnych rodzinnych chwilach w kuchni. Ale im wolno. Są szczupłe. Kornelia natomiast w powszechnej opinii o ciastkach nie miała prawa nawet myśleć.

Tylko że ona bardzo to lubiła i była to jedna z tych niewielu rzeczy, w których naprawdę osiągnęła perfekcję. Niezwykle rzadko, w pełnej konspiracji, oddawała się ukochanemu zajęciu, po czym dokładnie zacierała ślady.

Dzisiejszej okazji nie miała zamiaru zmarnować, bez względu na okoliczności. Choroba nie ucieknie, szpital też od lat wciąż stoi na tym samym miejscu, a szansa w postaci wolnej kuchni z pewnością prędko się nie pojawi.

Przelotnie spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza. Miała najwyżej dwie godziny, aby się spakować i wyjść niepostrzeżenie. Bo co do jednego była absolutnie pewna. Wizytę w szpitalu należało ukryć przed rodziną. Sprawa zapewne szybko się wyjaśni, a gdyby ktokolwiek się dowiedział, że Kornelia ma problemy, ruszyłaby lawina niechcianej opieki. Mama nalegałaby na kolejną dietę, jej koleżanki z pracy przedstawiały autorskie pomysły na leczenie, tata paliłby ze zmartwienia jeden papieros za drugim, oczywiście ukradkiem na tarasie,

a rodzeństwo też starałoby się coś wymyślić, choć przecież żadne z nich nie mogło w tej sprawie pomóc. Najgorsza była jednak świadomość, że problem jak zwykle stałby się sprawą publiczną. Mama zawsze konsultowała domowe problemy z koleżankami z poradni pedagogicznej i nauczycielami z podstawówki, w której pracowała. Ci z kolei byli często zaprzyjaźnieni z gronem pedagogicznym liceum. Kornelia z trudem znosiła fakt, że niektóre znajome znały historię jej życia od najwcześniejszego dzieciństwa, ze wszystkimi, nawet najbardziej osobistymi szczegółami.

Lepiej wszystko zachować w tajemnicy – zdecydowała, po czym zostawiła ten nieciekawy temat i zajęła się czymś o wiele piękniejszym. Szybko zaczęła przeglądać wnętrza kuchennych szafek. Większość produktów koniecznych do upieczenia ciasteczek czekała gotowa do użycia. Brakowało tylko jednego: czekolady. Mama starannie pilnowała, by w domu nie przechowywać żadnych słodczy. A jednak Kornelia miała pod swoim dachem prawdziwy magazyn, który mógłby doprowadzić matkę do skrajnej furii. Gdyby oczywiście o nim wiedziała. Jednak dla jej poukładanego umysłu chowanie smakołyków w pościeli było zbyt abstrakcyjne, by mogło stać się przedmiotem operacji myślowej. Nigdy na to nie wpadła.

Kornelia pobiegła do swojego pokoju i, ciężko oddychając po pokonaniu schodów, z tajnej skrytki pod materacem wydobyła dwie tabliczki czekolady, gorzką i białą. Wróciła do kuchni. Mąka, jajka, olej i inne podstawowe składniki były jak zawsze na swoim miejscu. Umyła ręce i zabrała się do pracy. Mokra składniki do jednej miski, suche do drugiej. Prawdziwa wanilia i wiejskie jajka. Zawsze używała najlepszych składników. Kochała ciastka, a w miłości przecież się nie oszukuje. Gdyby to od niej zależało, nigdy nie tknęłaby gotowych słodczy ze sklepu.

Wymieszała z czułością składniki, po czym połączyła zawartość obu misek. Starła obie czekolady, łapiąc słodkie okruszki, które opadły na blat, i wkładając je sobie natychmiast do ust. Słodkie, miękkie drobinki rozkosznie rozplęwały się na języku.

Szybko wyciągnęła foremkę do muffinów i powkładała w otwory kolorowe papierki. Nalała od serca pachnącej, połyskliwej masy, a na koniec posypała ją jeszcze kawałeczkami czekolady. Piekarnik świecił już przyjemnie rozgrzanym wnętrzem. Kornelia włożyła do niego tacę.

– Rośnijcie pięknie – powiedziała czule do ciastek. Ustawiła zegar i poszła do pokoju spakować rzeczy.

Pojęcia nie miała, co się zabiera do szpitala. Ostatni raz zajrzała tam, kiedy rodziły się dzieci jej brata Marcina, ale to była zupełnie inna sytuacja. Po namyśle wrzuciła do torby piżamę, choć nie sądziła, by miała zostać na noc, podręczną kosmetyczkę i dwie książki. Polska służba zdrowia kojarzyła jej się przede

wszystkim z długim oczekiwaniem. Wolą być przygotowana.

Zeszła na dół i już na schodach poczuła zapach, który zupełnie zmienił wnętrze eleganckiego, ale dość zimnego domu. Czekoladowy aromat wypełnił ogromną przestrzeń salonu, złagodził ostre rysy nowoczesnych mebli i sprawił, że przez chwilę zrobiło się ciepło i przytulnie.

Kornelia wyciągnęła ciastka i ułożyła na metalowej kratce. Wyrosły mocno ponad foremkę i pyszniły się teraz błyszczącą, lekko popękaną powierzchnią okraszoną gorącymi kawałkami czekolady. Dała im chwilę czasu, żeby doszły do siebie, a sama zajęła się zacieraniem śladów przestępstwa. Dokładnie umyła i wytarła wszystkie naczynia, których używała, po czym starannie odłożyła je na swoje miejsca. Posprzątała okruszki i uchyliła piekarnik. Wyczyściła zlew, blaty kuchenne, przetarła podłogę. Następnie otworzyła na oścież drzwi wejściowe, wyjście na taras i kilka okien. Przeciąg wdarł się do domu i powoli wyganiał wszystkie zapachy.

Kornelia usiadła i wreszcie wzięła do ręki jedno ciastko. Było jeszcze bardzo ciepłe, ale nie miała zamiaru dłużej czekać. Ogryzła ostrożnie kęs z samego wierzchu i z lubością przymknęła oczy. Błogość rozlała się po jej ciele, a myśli automatycznie przeniosły się w przyjemniejsze rejony, pozostawiając daleko w tyle realia codzienności.

Jadła z zamkniętymi oczami i udawała, że jest kimś zupełnie innym. Nie ubraną w spodnie na gumce i rozciągnięty sweter, otyłą, nielubianą nauczycielką o samotnie bijącym sercu, ale miłą, spełnioną kobietą, która ma pełne prawo usiąść we własnej kuchni, by zjeść ciastko. Ulga, która zawsze towarzyszyła takim chwilom, teraz też spłynęła na udręczoną zmartwieniami Kornelię i otuliła ją szczerze niczym delikatny koc.

Odkąd Kornelia pamiętała, słodczyce zawsze stanowiły dla niej pomost pomiędzy brzydką rzeczywistością a światem marzeń. Odkryła ich tajną moc bardzo wcześnie i korzystała z niej chętnie, czasem może zbyt obficie. Ale cóż, skoro były jej jedynym ratunkiem.

Otworzyła oczy. Dokładnie wydłubała okruszki z papierków, po czym zwinęła je i schowała do torebki. W workach na śmieci nie były bezpieczne, bo mama miała okropny zwyczaj zaglądania do nich przed wyrzuceniem. Kornelia wstała, schowała resztę ciastek do pudełka, po czym włożyła je do szpitalnej torby.

Teraz pozostało już tylko pozamykać okna. Postanowiła zostawić tylko jedno w kuchni lekko uchylone. Będzie o to awantura, ale wolą tłumaczyć się z roztargnienia niż z łakomstwa. Mama i tak za chwilę wróci, a Kornelia musiała mieć pewność, że w domu nie zachowa się resztką upojnej woni, na przykład gdzieś na zasłonach. Pani Martyna Rudnicka była pod tym względem niezwykle wyczulona.

Kornelia rozejrzała się jeszcze raz, po czym weszła na górę i zamknęła pokój

na klucz.

Pół godziny później z lekkim poczuciem nierealności całej sytuacji przekroczyła progi szpitala. Szybko okazało się, że, pakując książki, wykazała się przenikliwością i znajomością realiów. Trzy godziny musiała czekać na izbie przyjęć, aż lekarz dyżurny znalazł czas, by zdecydować, co należy zrobić w jej sprawie.

Było jej słabo z głodu, ale wstydziła się wyciągnąć ciastko z pudełka i zjeść tak dorodny okaz na oczach wszystkich zgromadzonych. Kobieta ze znaczną nawagą i ciastkiem czekoladowym w ręku zawsze wzbudza zainteresowanie. Zwłaszcza w miejscu, w którym wszyscy się nudzą i rozglądają na boki, szukając czegoś, na czym można by zawiesić wzrok. Kornelia starała się zatem czekać cierpliwie i tylko przyciskała złożone dłonie do brzucha, żeby nikt nie usłyszał monotonnego burczenia. W końcu się poddała.

Wyszła szybko do szpitalnego barku, prosząc siedzącą obok starszą panią o przypilnowanie kolejki, kupiła dwa tłuste hamburgery i zjadła je w wielkim pośpiechu, odwrócona do ściany. Popiła colą z dużego kubka, po czym wróciła na miejsce. Głód odrobinę zelżał.

Lekarz w końcu ją poprosił i zaczął się szybki proces zmiany światów. Z realnego, dobrze znanego, na zupełnie abstrakcyjny. Kiedy już się nią zajęto, zrobiono to naprawdę sprawnie. Została ponownie zbadana, pobrano jej krew, mocz, wymaz i kto wie, co jeszcze. Spodziewała się, że zostanie odprawiona do domu, ale stało się inaczej. Skierowano ją na oddział. Zanim się obejrzała, pielęgniarka wskazała jej trzyosobowy pokój, w którym dwa łóżka były już zajęte. Kornelia szybko przebrała się w piżamę, schowała swoje rzeczy do szafki i w większym zdumieniu niż strachu położyła się na wolnym łóżku. Rozglądała się wokół niepewnym wzrokiem, nie bardzo wiedząc, czego się teraz spodziewać. Lekarz nie udzielił jej żadnych dodatkowych informacji. Wiedziała tylko, że coś jest nie w porządku, ale trzeba zrobić szczegółowe badania.

– Nie bój się, kochana – przywitała się z nią blondynka w średnim wieku leżąca obok. – To już i tak nic nie pomoże. Co los daje, trzeba przyjąć. Nie ma rady.

Kornelia milczała, bo w rzeczy samej nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Niewiele w tych słowach było pociechy.

– A co ci jest właściwie? – z ciekawością zapytała kobieta, nie zrażając się brakiem reakcji.

– Jeszcze nie wiedzą – odparła Kornelia z trudem.

– No tak. – Blondyna pokiwała głową, jakby coś jej się spodobało. – Zawsze tak mówią, kiedy sprawa jest bardzo poważna.

– Niechże pani da dziewczynie spokój – odezwała się staruszka leżąca po drugiej stronie.

– Ja przecież nic nie mówię – oburzyła się kobieta. – Ale sama pani pamięta tę rudą, co tu była ostatnio. Też ją tak zwodzili, a potem wywieźli do Rabki na onkologię. A to wiadomo, co oznacza...

Kornelia nie miała pojęcia, co to oznacza, spojrzała więc tylko pytająco w stronę ciekawskiej sąsiadki.

– Koniec, moja droga – odparła tamta, łowiąc jej zdziwione spojrzenie. – Tylko smutny koniec.

Staruszka odwróciła się na znak protestu do ściany, a Kornelia przymknęła oczy. Strach znów ścisnął ją za gardło.

Nie zdążyła nawet zebrać myśli, kiedy w pokoju pojawił się lekarz z mnóstwem różnego rodzaju zgód wymagających podpisu. Połowy nie zrozumiała, ale wszystko podpisała, bo wyjaśnienia wpędzały ją w jeszcze większy stres i zamęt. Tym bardziej że kobieta na łóżku obok z satysfakcją kiwała głową, kiedy padały nazwy poważnych chorób lub możliwych, choć rzadkich komplikacji. Lekarz, zadowolony z szybkiego załatwienia sprawy, zapowiedział, że za pół godziny zostanie wykonany zabieg pobrania wycinków. Kornelia powinna się przygotować, nic nie jeść i się nie martwić.

Ledwo wyszedł, uciekła do łazienki. Nie zniosłaby półgodzinnej dyskusji z pesymistyczną sąsiadką o swoich problemach. Przesłała mamie wiadomość, że nie wróci do domu, bo zostaje na noc u koleżanki, po czym wyłączyła telefon, przewidując wszystkie pytania, które zaraz zostaną zadane. Cała rodzina wiedziała, że ona nie ma żadnej przyjaciółki. Ale to było w tej chwili bez znaczenia. Jakikolwiek wniosek wyciągną, ich sprawa.

Piętnaście minut później musiała jednak wrócić na salę. W łazience było nieprzyjemnie chłodno i Kornelia cała się trzęsała z zimna i ze strachu. Coraz trudniej było jej ignorować to wszystko. Myśli o możliwych konsekwencjach nie pozwalały już tak łatwo się odpędzić.

Na samo jednak wspomnienie o rozmowie z pozostałymi pacjentkami skóra cierpła jej jeszcze bardziej. Stała jeszcze chwilę w nieprzyjemnym wnętrzu. Wreszcie podjęła decyzję i wyszła. Bała się tego, co usłyszy, ale dalsze zwleknięcie nie miało już sensu. Zanim jednak zamknęła za sobą drzwi, przypomniała sobie, że zna przecież niezawodny sposób, by odwrócić uwagę nawet najbardziej gadatliwej osoby i uniemożliwić jej wypowiedzenie wszystkich myśli.

Wróciła na salę w lepszym nastroju. Zanim kobieta obok zdążyła sformułować pierwsze zdanie, Kornelia poczęstowała ją ciastkiem. Wyciągnęła pudełko także w stronę starszej pani leżącej pod oknem i już po chwili mogła się cieszyć pełną zaskoczenia chwilą ciszy.

– Boże, jakie to pyszne! – Sąsiadce wyrwały się pierwsze dobre słowa.

Tak – pomyślała Kornelia. – To jedyne prawdziwe dobro, jakie znam. Zawsze niezawodne. Słodyczne.

Tematu do zachwyków nie zabrakło aż do przyjścia pielęgniarki. Kornelia podsuwała tylko pudełko to w jedną, to w drugą stronę, bo żadna z pań nie dysponowała taką siłą woli, by odmówić kolejnego poczęstunku. Tylko autorka kulinarnego cudeńka musiała się zadowolić wyłącznie zapachem i mocno naciskać brzuch, który znów w dość natrętny sposób domagał się pożywienia. Może i są na świecie ludzie, którzy czasem bywają niegłodni i nie myślą stale o zdobyciu przekąski, Kornelia jednak do nich nie należała. Jakkolwiek by się nie starała, żołądek sprawował kontrolę nad wszystkimi aspektami jej życia.

Wychodziła już na korytarz na zapowiedziane badania, kiedy dosięgły ją dobrze znane słowa:

– Nic dziwnego, że wygląda jak pączek w maśle. Takie smakołyki od rana do nocy... To się nazywa piękne, słodkie życie.

Kornelii łzy zakręciły się w oku, bo choć była przyzwyczajona do komentarzy rzucanych za jej plecami, niby szeptem, dzisiaj te słowa zabolowały ją szczególnie mocno.

Jej życie nie było ani piękne, ani słodkie. Kiedy Bóg tworzył kobietę, miał naprawdę dobry dzień. Łagodne linie figury, doskonałość proporcji, bujność miękkich, błyszczących włosów, oczy o niezwykłym wyrazie, kształtne usta, a także cechy charakteru, które z czasem odbijają trwałe ślad na twarzach. Delikatność, łagodność, empatia, zdolność do obdarowywania miłością, przekazywania życia. To naprawdę doskonały plan, tyle że natura nie zawsze potrafiła go prawidłowo wykonać. Czasem piękno staje się tylko pustym hasłem w słowniku wyrazów trudnych.

W przypadku Kornelii natura najwyraźniej się nie spisała. Kobieta zawsze miała sporą nadwagę, która uniemożliwiała jej samej, a także otoczeniu, zauważenie jakichkolwiek atutów wyglądu zewnętrznego. Kilogramy najczęściej przesłaniały też innym zalety jej charakteru. Była oceniana głównie przez pryzmat otyłości, rzadko się zdarzało, by ktoś miał czas i ochotę dostrzec jakąś inną, mniej rzucającą się w oczy cechę. Ona sama też ich zresztą nie widziała... Wbrew powszechnej opinii nie miała też z tytułu nadwagi żadnych przyjemności. Całe życie była na diecie. Jadła najprzeróżniejsze wstrętne potrawy, które w ciągu lat różne autorytety uznawały za cudotwórczo odchudzające. Nigdy żadna nie zadziałała. Wiecznie chodziła głodna, ukradkiem zapychała więc bolący żołądek byle czym. Wstydziała się jeść publicznie, nigdy nie częstowała się na przyjęciach, weselach, imieninach czy podczas rodzinnych uroczystości. A potem te wszystkie wyszukane potrawy śniły jej się po nocach, po przebudzeniu objadała się więc do bólu ciastkami.

Nie miała ani przyjaciółki, ani chłopaka. Bywa, że osoba z nadwagą staje się duszą towarzystwa, ciepłą, pełną humoru osobą otoczoną wianuszkami szczupłych przyjaciół. Zakłada rodzinę i cieszy się życiem, umiejętnie łapiąc dystans do samej

siebie i znajdując w sobie pokłady optymizmu, którymi dzieli się z otoczeniem. I nie przekracza granicy wagowej, za którą pewne rzeczy stają się niemożliwe. Kornelia, niestety, znalazła się już po drugiej stronie i teraz pozostało jej tylko budować mury i bronić się przed agresją. Była w tym całkiem dobra, stworzyła zasieki nie do pokonania. Złe słowa innych niezmiernie rzadko były ją w stanie dotknąć. Tylko że życie w twierdzy okazało się bardzo samotne, smutne i pozbawione smaku. Stanowiło zaledwie ułamek tego, czego może doświadczać człowiek. Większości powszechnie znanych uczuć nigdy nie zaznała. Miłości, wolności, szczęścia, ale nawet zwykłego zadowolenia, przyjaźni, swobody. Nie było w jej życiu ani jednego zrealizowanego marzenia.

I zapewne już nigdy nie będzie – pomyślała, z trudem kładąc ciężkie ciało na niewygodnym łóżku. Nie miała wątpliwości co do wyników badań. Widocznie tak już jest, że niektórzy ludzie czegośkolwiek dotkną, zamieniają to w dotkliwą porażkę. Jeśli chorują, to od razu na coś wyjątkowo paskudnego.

Zamknęła oczy.

Po chwili było już po zabiegu. Pobranie próbki ze znieczuleniem miejscowym nie trwało długo, choć było dość nieprzyjemne. Nie nastąpiły na szczęście żadne komplikacje i godzinę później Kornelia została przewieziona z powrotem na swoją salę. Zapowiedziano jej, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, rano będzie mogła wrócić do domu. Pracować nie będzie jej wolno jeszcze przez dwa tygodnie, w tym czasie powinna sporo odpoczywać i spokojnie czekać na wynik. Równie dobrze mogli jej zalecić natychmiastową podróż na księżyc. Było to dokładnie tak samo możliwe, jak bezstresowe oczekiwanie na wyrok.

Położyła się i zakryła szczelnie kołdrą. Nie reagowała na żadne zaczepki i po dłuższej chwili sąsiadka z łóżka obok zrezygnowała z kolejnych prób postawienia jej diagnozy. Włączyła przenośny telewizor i zaangażowała się w życie bohaterów popularnego serialu. Jej komentarze zagłuszały dialogi, uniemożliwiając pozostałym pacjentkom śledzenie akcji, ale żadna nie protestowała. Kobieta miała zajęcie i dała innym spokój, a to było bezcenne.

O dwudziestej drugiej na sali zgasły świetlówki, choć o ciemności, która mogłaby ułatwić zaśnięcie, nie było nawet mowy. Nieszczelne żaluzje przepuszczały światło ulicznych latarni, a drzwi na korytarz cały czas pozostawały otwarte. Co rusz ktoś tamtędy przechodził i słysząc było odgłosy krzątania pielęgniarek, która w miejscach takich, jak to, nigdy nie ustaje.

Kornelia wpatrywała się w sufit pokryty szarą farbą, która zapewne kiedyś była biała, i z niedowierzaniem po raz kolejny analizowała swoją sytuację. Czowała się jak w alternatywnym świecie. Jakby została przeniesiona do innej rzeczywistości.

Mało kto ma dzisiaj czas, by zadbać o zdrowie, zanim zachoruje. Spieszymy się, a dni są coraz bardziej wypełnione piętrzącymi się obowiązkami, które zdają się

nie mieć końca. Jednak choroby, zwłaszcza te poważne, nie mają zwyczaju wysyłać uprzejmego maila z zapytaniem, czy mamy akurat w przyszłym tygodniu chwilkę czasu, by się z nimi spotkać. Atakują znienacka, w zupełnie zwyczajny poranek lub wypełnione codziennymi sprawami popołudnie, i bezpardonowo zmuszają człowieka, by znalazł czas. Kładą do łóżka, nie zważając na pilne terminy, radykalnie przestawiają priorytety. Sprawy oczywiste przesuwają do rangi największego marzenia o tym, by żyć dalej, wrócić do domu, wstawać rano o własnych siłach, nie czuć bólu, dostać jeszcze kilka lat życia... To wszystko Kornelia miała zawsze, nie poświęcała tym darom nawet chwili uwagi, przez myśl jej nie przeszło, że stanowi to jakkolwiek wartość.

A jednak. Choć tak bardzo narzekała na swoje dotychczasowe życie, nie chciała, by się skończyło tak szybko, zwłaszcza w ten sposób. W upokarzającej chorobie, wśród bolesnych zabiegów, szpitalnej rutyny i obcych ludzi towarzyszących jej w najbardziej intymnych sytuacjach. W szpitalu zbadać cię może każdy lekarz, który akurat ma dyżur, towarzyszyć mu będzie przypadkowa pielęgniarka, a podczas obchodu o szczegółach przebiegającego procesu leczenia usłyszą wszyscy, którzy akurat będą w pobliżu. Już nie jesteś panią Kornelią Rudnicką, nauczycielką, osobą obdarzoną takimi, a nie innymi cechami charakteru. Jesteś tylko szpitalnym przypadkiem. Daj Boże, ciekawym, to jeszcze masz szansę na wzbudzenie zainteresowania. Gorzej, jeśli jednym z tysiąca, anonimowym, którego problemy nie wzruszą ani nie zainteresują tutaj nikogo.

Znieczulenie ustąpiło i brzuch bolał ją coraz mocniej. Tak naprawdę czuła dolegliwości od dawna, ale bagatelizowała je, zrzucając wszystko na karb stresu i nadwagi.

Próbkę pobrano tylko z jednego miejsca, nie trzeba jej było nawet usypiać. Pielęgniarki mówiły, że to raczej lekki przypadek, a szanse na pełne wyzdrowienie są bardzo duże. Kornelia poczuła w tym momencie przyływ nadziei. Ale później, kiedy wieziono ją długim korytarzem, widziała mnóstwo wypełnionych łóżek. Miała świadomość, że nie wszystkie leżące na nich kobiety wrócą do domów, choć każda na to w pełni zasługiwała. Fakt, że zrozumieją wartość swojego życia, zdrowia, darowanych codziennie chwil, nie będzie już miał żadnego znaczenia. Nie zdążą ani wprowadzić zmian, ani zrealizować wyciągniętych wniosków, jeśli w czasie choroby do nich doszły.

Poczuła dreszcz na plecach. Musiała włożyć wiele wysiłku, by opanować szloch i znów móc oddychać.

Ze mną będzie inaczej – obiecywała żarliwie samej sobie, kierując słowa w mroczną przestrzeń. – Jeśli wyjdę stąd zdrowa, wszystko się zmieni.

Sufit przyjął jej słowa z całkowitą obojętnością. Takich deklaracji krążyło po szpitalnych salach mnóstwo. W desperacji ludzie są w stanie przysiąc wszystko, lecz ledwo zagrożenie minie, zwykle zapominają i wracają do dawnych błędów.



Ja będę pamiętać – zdeklarowała gorąco.

Sufit milczał. W sumie trudno mu się dziwić. Nie żarliwość, a wyłącznie czas weryfikuje takie obietnice.

Ta noc była wyjątkowo długa. Męczący ból brzucha i natrętne myśli nie pozwalały zasnąć nawet przez chwilę. Tuż przed świtem Kornelia zapadła w krótką drzemkę, przerwana gwałtownie przez wejście porannej zmiany pielęgniarek, które wszystkim pacjentom mierzyły temperaturę i wydawały pierwszą porcję lekarstw.

Na szczęście jej termometr wskazał poprawny wynik, ale na łóżku obok wysoka gorączka pacjentki ściągnęła z kozetki śpiącego w dyżurce lekarza. Kobieta o pesymistycznym nastawieniu do życia miała najwyraźniej swoje powody, by bać się rzeczywistości. Jej choroba postępowała i zanim Kornelia zjadła śniadanie, a potem została zbadana oraz poinformowana, gdzie może się udać po wypis, tamta usłyszała słowa, których tak bardzo się bała. Miała zostać przewieziona na onkologię i rozpocząć walkę z przeciwnikiem, który nie przebiera w środkach. Operacja, naświetlania, chemioterapia...

Tego dnia nie miały już okazji porozmawiać. Blondynę zabrano na jakieś badania i kiedy Kornelia opuszczała salę, tamta jeszcze nie wróciła. Zostawiła jej więc na łóżku trzy ostatnie ciastka, po czym wyszła, życząc w duchu szczęścia.

\* \* \*

Po czternastej zadzwoniła do sekretariatu, żeby zgłosić dłuższą nieobecność i zapytać, kiedy powinna dostarczyć zwolnienie.

– Możesz zanieść do podstawówki, masz bliżej, a nasza księgowa jest tam dzisiaj na szkoleniu BHP – odpowiedziała jej sekretarka. – Albo przynieś jutro do nas. Ewentualnie przekaz Agnieszce.

– Dzięki, podjadę dzisiaj do podstawówki – zdecydowała Kornelia. Nie miała ochoty ani na wizytę w liceum, ani na prośenie bratowej o pośrednictwo. Miała zamiar utrzymać swoje problemy w tajemnicy tak długo, jak to tylko będzie możliwe. Księgowa była taktowną osobą. Od lat miała wgląd w dane pracowników i nie słyszano, żeby coś z jej gabinetu wyciekło czy to na temat pożyczek, czy dochodów. Istniała szansa, że zachowa numer choroby dla siebie.

Wsiadała właśnie z ulgą do swojego samochodu, gdy znów poczuła

nasilający się z każdą chwilą ból brzucha.

Autosugestia – skarciła się w myślach. – Dowiedziałaś się, że coś ci dolega i wmawiasz sobie objawy.

Umieściła się wygodnie na szerokim, daleko odsuniętym fotelu kierowcy i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Powoli wycofała swoje duże auto. Bardzo je lubiła, mimo iż wszyscy tłumaczyli jej bezsens kupowania dla jednej osoby starego przestronnego mercedesa, którego wszędzie ciężko zaparkować. Ale ona czuła się w nim dobrze. To był jej jedyny towarzysz życia. Tworzyli idealną parę. Stary mercedes nie dość, że był wierny i nigdy jej nie zawiódł, to jeszcze nie krytykował, nie rzucał ukradkowych spojrzeń na jej talię i nie miał dla niej dobrych rad dotyczących najbardziej skutecznych diet.

Prowadziła spokojnie przez zatłoczone ulice, a następnie piętnaście minut szukała wolnego miejsca na parkingu pod szkołą podstawową. Była czternasta trzydzieści, sporo klas kończyło właśnie lekcje i rodzice blokowali wszystkie miejsca. W końcu zwolniły się dwa obok siebie, co było prawdziwym cudem, i szeroka limuzyna Kornelii bezpiecznie wpłynęła do zatoczki, ku rozżaleniu innych kierowców, którzy, jak ona, czekali na swoją szansę.

Kiedyś martwiłaby się, co sobie pomyśla, widząc, że zajmuje aż dwa miejsca, ale dzisiaj miała większe problemy, szkoda jej było marnować czasu na takie głupoty.

Wyszła z samochodu, uśmiechając się promiennie do mijającego ją młodego kierowcy. A on ku jej zdumieniu odwzajemnił uśmiech. Zrozumiał? No proszę, czegoś takiego naprawdę się nie spodziewała.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę szkoły. Znała tu każdy kąt. Z tyłu budynku znajdowało się przedszkole i ogromny ogród z placem zabaw, założony jeszcze w czasach, kiedy ziemi nie mierzyło się na łyżki, tylko na hektary. Bawiła się tam najpierw jako przedszkolak, a potem po znajomości także jako uczennica, czekając, aż mama skończy pracę. Ale nie miała z tych czasów żadnych dobrych wspomnień. Poszła do przedszkola jako radosna, roześmiana trzylatka, spragniona towarzystwa innych dzieci, kiedy starsze rodzeństwo przebywało w szkole. Szybko została sprowadzona na ziemię. Była bardzo pulchnym dzieckiem i do tego miała kręcone, niesforne włosy. Z trudem ułożone przez mamę, trwały grzecznie na swoich pozycjach mniej więcej do śniadania, a potem sterczały chaotycznie na wszystkie strony. Ona sama nie miała ze swoim wyglądem żadnego problemu, dzieci były jednak innego zdania. Wyróżniała się wśród schludnych rówieśniczek, choć jej mama nie żałowała pieniędzy na ubrania. Biegała zbyt wolno, nie umiała się wspiąć na drabinki, szybko się pociła. Jej pozycja towarzyska pikowała w dół z prędkością spadającej awionetki.

Mama organizowała spotkania w domu, piekła ciasta i zapraszała kolejne koleżanki, żeby zbudować dziecku krąg znajomych, ale bez skutku. To właśnie

w przedszkolu Kornelia pobrała pierwszą ważną życiową naukę, mówiącą, że choćby nie wiem, jak się starała, nigdy nie zdobędzie przyjaciół.

Ten pierwszy wniosek został potem boleśnie potwierdzony w szkole podstawowej licznymi praktycznymi dowodami. Ale wtedy była już dzieckiem pełnym kompleksów, nieśmiałym, reagującym atakiem na każdą próbę zbliżenia. Siadała w ostatniej ławce, bo i tak była najwyższa. Najczęściej sama. Bywało, że nauczyciel wpadał na genialny pomysł i karał niezdyscyplinowanych chłopców przeniesieniem do ławki Kornelii. To ostatecznie przekreśliło jej szanse na zdobycie przychylności rówieśników. Godzinami obserwowała plecy kolegów i koleżanek, krótkie fryzury chłopców i trzymające się grzecznie kolorowe spinki na włosach dziewczynek. Wyobrażała sobie, jakby było pięknie, gdyby miała przyjaciółkę. Ale marzenie nigdy się nie spełniło. Lubiła lekcje, bo stanowiły dla niej wytchnienie po przerwach pełnych niewybrednych przezwisk.

W szkole średniej było trochę lepiej, w tym sensie, że mniej jej dokuczano, ale za to wykluczenie z życia towarzyskiego było całkowite. Na studia poszła z mocnym postanowieniem, że nikomu więcej nie pozwoli się zranić. Każdą próbę nawiązania bliższej relacji zbywała wzgardliwym wzruszeniem ramion albo opryskliwym komentarzem. Po kilku tygodniach dano jej spokój. Pierwszy rok na fizyce był bardzo ciężki, każdy miał dość swoich problemów. W ten sposób Kornelia na dobre została sama.

Często słyszała o pulchnych blondynkach, które, wyśmiewane we wczesnych latach dzieciństwa, wyrastają na oryginalne piękności i biorą na mężczyznach odwet za wszystkie doznane przykrości. W jej przypadku tak się nie stało. Mocno kręcone włosy dodawały optycznie kilogramów i tak już obfitej sylwetce. Wiązała je więc ciasno grubą frotką i spryskiwała mocno lakierem, co dawało efekt trwałości, ale mało twarzowej skorupy. O tym, żeby wyglądać dobrze, i tak nie było mowy.

Po studiach wróciła do domu i jej życie zatoczyło nawet nie krąg, a małą pętelkę. Zamieszkała na powrót w swoim pokoju i we wszystkim musiała słuchać mamy. To ona załatwiła Kornelii pracę, płaciła za prąd, gaz i decydowała o wszystkich innych sprawach. Na każdym kroku powtarzała, że córka zawdzięcza jej wszystko.

### ROZDZIAŁ 3

---

---

W holu podstawówki trwał nieopisany rozgardiasz. Dzieci ubierały się w szatniach i na korytarzu, wszędzie pełno było porzucanych plecaków. Zbici w grupki rodzice blokowali przejście i rozmawiali, starając się przekrzyczeć panujący wokół gwar. Na dodatek dwa oddziały klas pierwszych wróciły właśnie z wycieczki i dzieci jadły spóźniony obiad, dodatkowo powiększając zamieszanie. Apetyczny zapach od razu skierował Kornelię pod drzwi stołówki.

Przez szybę widać było liczną grupę siedmiolatków zajadających ze smakiem i w nieopisanym hałasie naleśniki z serem i śmietaną. Kornelia przełknęła ślinę. Grubo posypana cukrem bomba kaloryczna wyglądała bardzo kusząco, a ona od szpitalnego śniadania nie miała nic w ustach. Obok niej stanął ciemnowłosy chłopczyk mniej więcej w tym samym wieku co jedzące obiad dzieci. Zaczepił się dłońmi o metalową kratę osłaniającą szybę i głodnym wzrokiem wpatrywał w talerze.

– Zjadłbyś, prawda? – zapytała Kornelia odruchowo, bo dziś już jej tak bardzo nie zależało na ludzkiej opinii i w związku z tym była gotowa przyznać się nawet do tak kompromitującego faktu jak ochota na smaczny obiad.

Ludzie najczęściej uważają, że otyła osoba mogłaby sobie darować bycie głodnym, a przynajmniej nie przyznawać się do tego głośno. Wyznawcy tego poglądu otwarcie wyrażają swoje przekonania, więc Kornelia już w dzieciństwie nauczyła się ukrywać wstydliwą potrzebę jedzenia.

Dziecko wiszące na metalowej kratce było najwyraźniej ulepione z tej samej gliny, co większość społeczeństwa, bo na insynuację, jakoby było głodne, zareagowało oburzeniem, po czym natychmiast spojrzało z przyganą na sylwetkę Kornelii.

– W ogóle nie mam ochoty – powiedział chłopczyk stanowczo, jednocześnie przełykając ślinę.

Kornelia, choć marzyła o własnym potomstwie, za obcymi dziećmi zasadniczo nie przepadała. Spotykały ją ze strony małolatów same przykrości, starała się więc ignorować ich w stopniu tak doskonałym, jak to tylko możliwe. Najczęściej omiatała maluchy obojętnym wzrokiem, w miarę możliwości próbując nie zwracać uwagi na ich złośliwe uśmiešky i pełne podtekstów spojrzenia, które wymieniały na jej widok.

Tym razem po raz pierwszy w życiu spojrzała na dziecko inaczej. Nie jak na potencjalnego agresora, lecz po prostu małego chłopca. Dostrzegła w jego oczach dobrze znane uczucia: strach i wynikającą z niego natychmiastową gotowość do obrony, a co za tym idzie agresję, ale także głód i samotność. Wąskie usta, smutne oczy podcienione lekko sinymi pasmami, małe źrenice, zmięte i dość przypadkowo dobrane ubranie... Wyglądał na niewyspanego.

Miała wrażenie, że skądś zna tego chłopca. Ale było ono zapewne błędne.

Szczerze powiedziawszy, twarze dzieci dziwnie jej się zlewały i zasadniczo była zdania, że wszystkie są w gruncie rzeczy takie same, zaś zachwyty rodziców nad jakimś konkretnym przypadkiem wydawały jej się zupełnie nieuzasadnione.

– Ty nie jesz obiadów w szkole? – zapytała.

– Jem – odparł, patrząc z pogardą na jej wielki brzuch i podwójny podbródek. – Tylko tata zapomniał dać mi dzisiaj pieniądze – wyrwało mu się.

Normalnie zostawiłaby bezczelnego smarkacza, który oceniał ją w myślach dostatecznie wymownie, ale dzisiaj jego złośliwa opinia była dla niej bez znaczenia. Okazało się, ku jej sporemu zdumieniu, że są sprawy ważniejsze niż ludzkie gadanie. Na przykład życie. Gdy stanęła w obliczu poważnego zagrożenia, inne problemy gwałtownie się skurczyły.

Uśmiechnęła się, bo wpadł jej do głowy pewien pomysł.

Każdy marzy o szaleństwach skrojonych na jego miarę. Dla Kornelii w tym momencie szczytem ekstrawagancji było zjedzenie wysokokalorycznego obiadu

w miejscu publicznym, pełnym znajomych jej idealnie doskonałej mamy.

– Chodź – zwróciła się do chłopca pod wpływem nagłego impulsu. – Tata nie zapomniał – dodała, a chłopiec wbił w nią wzrok z taką nadzieją, że aż ścisnęło jej się serce. – Prosił mnie, żebym ci przekazała pieniądze, bo sam nie zdążył.

– Naprawdę? – ucieszył się chłopiec, łykając bez zastrzeżeń szyte grubymi nićmi kłamstwo. Zrzucił maskę aroganckiego smarkacza, stając się tym, kim naprawdę był. Bezradnym, opuszczonym chłopcem, którego rodzice nie zadbali, by miał co jeść.

Kornelia wyciągnęła portfel i podała mu dziesięć złotych. Z czasów, kiedy jeszcze sama była tutaj uczennicą, pamiętała, że można było dokupić obiad, nawet jeśli ktoś nie był zapisany. Chłopiec pobiegł w stronę okienka, potykając się co rusz o pozostawione wszędzie plecaki. Po krótkim namyśle Kornelia ruszyła za nim. Lekceważąc spojrzenia posilającego się przy bocznym stoliczku grona pedagogicznego, oczekujących w kącie rodziców oraz młazszczącej i wrzeszczącej gromady dzieci, przepłynęła jak wielki frachtowiec nad ich głowami, łopocząc połamami rozpiętego płaszcza, po czym stanęła w kolejce tuż za chłopcem z korytarza. Nawet nie odwrócił głowy, choć z pewnością ją zauważył. W dłoni ścisnął dziesięciozłotowy banknot i wbijał wzrok w tenisówki. Szybko zamówił swoją porcję i skierował się w stronę siedzących przy stoliku kolegów.

Trudno się dziwić – pomyślała sprawiedliwie. – Co za obciach, taka gruba znajoma i jeszcze zamawia jedzenie. Brak wdzięczności był przykry, ale bolał znacznie mniej niż zwykle.

Zapłaciła, wzięła do ręki talerz z drugim daniem i usiadła przy pustym stoliku. Nalała sobie zupy jarzynowej z wazy i z przyjemnością zanurzyła łyżkę. Zupa miała posmak przyprawy, niekoniecznie najlepszej, połączonej z dużą ilością mąki służącej jako zagęszczacz. Pamiętała jej smak z dzieciństwa. W ciągu tych wszystkich lat nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Nalała sobie trzy solidne chochle, sprawdzając kątem oka, kto ją obserwuje, ale wszyscy wydawali się być zajęci swoimi sprawami. Rozmawiali, jedli i nikt nie patrzył na kobietę, której trzeba było prawie zagrozić śmiercią, aby odważyła się zachowywać zgodnie ze swoimi pragnieniami i przestała udawać.

Zjadła spokojnie, odstawiła talerz, po czym posypała sobie obficie naleśniki cukrem. Była przekonana, że szkolna porcja nie zaspokoi jej głodu, a tymczasem w zupełności jej wystarczyła. Zaskoczyło ją to. Od dzieciństwa jadła w ukryciu, nieregularnie, w pośpiechu. Mama wiecznie stosowała wobec niej jakieś diety, liczyła każdą kalorię, więc Kornelia, żeby zaspokoić męczący ją głód, nauczyła się kombinować. Kiedy nikt nie widział, podbierała z kuchni, co jej w ręce wpadło, a następnie połykała wielkimi kęsami, zawsze w stresie, że ktoś ją przyłapie na tej nagannej czynności. Nauczyła się jeść na zapas, za dużo, na wszelki wypadek... Nigdy nie miała pewności, kiedy znów nadarzy się okazja.

Siedząc teraz w szkolnej stołówce, ciągle jeszcze w szoku po wizycie w szpitalu, niespodziewanie uświadomiła sobie, że być może gdyby wolno jej było jeść normalne posiłki, tyle, ile naprawdę potrzebuje jej organizm, wcale nie potrzebowałaby tak wielkich porcji, jak się zawsze wszystkim wydawało.

Dojadła spokojnie, wypila kompot i poczuła, że naprawdę jest syta.

Wyszła na korytarz. Rozwrzeszczana gromada dzieci gdzieś zniknęła, widoczny przez szklane drzwi parking też świecił pustkami. Rodzice pozabierali już swoje pociechy i powieźli do domów.

Na schodkach przed wejściem, z opuszczonymi ramionkami i zgarbionymi plecami siedział tylko „obiadowy” chłopczyk. Z niedbale rzuconego plecaka wysypały mu się zeszyty. Nikt nie zwracał na dziecko uwagi. Sprzątaczkami zamiatano hol, kucharki ścierały blaty stołów, z oddali dochodziły krzyki uczniów wracających do domu na rowerach. Chłopiec siedział bez ruchu.

Kornelia zawróciła od schodów prowadzących w stronę sali, gdzie, jak się spodziewała, powinno się odbywać szkolenie BHP. Normalnie nie poświęciłaby samotnemu smarkaczowi ani minuty, tym bardziej że z doświadczenia wiedziała, iż tacy jak on tylko sprawiają czasem wrażenie bezbronnych. Wystarczy, że odwrócisz głowę, a zaraz zobaczysz ich wywalony na całą długość język. Ale dzisiaj wszystko było inaczej.

Jakby ten lekarz przetarł jej oczy mokrą ścierką, tak że zyskała ostrość widzenia, jakiej nie miała nigdy wcześniej...

– A ten znowu tu będzie kwitł, aż korzenie zapaści. – Sprząteczka wskazała brodą w stronę schodów, żeby nie było wątpliwości, kogo ma na myśli.

– Pewnie ktoś zaraz po niego przyjedzie – odparła Kornelia.

– Kto go tam wie... – Sprząteczka wydeła usta w geście politowania. – Czasem przesiaduje tak nawet godzinę, zanim ten jego ojciec przypomni sobie, że ma dziecko, albo brat skończy swoje lekcje.

Brat, właśnie! Kornelia błyskawicznie skojarzyła, skąd zna to dziecko. To przecież młodszy brat Daniela Kordasa! No pięknie.

– Często tak siedzi? – zapytała.

– Odkąd matka wyjechała, prawie codziennie. Jego ojciec ma zawsze mnóstwo do powiedzenia na każdy temat, ale własnym dzieckiem się zająć to już nie potrafi. Ja to, powiem pani, wcale tego nie rozumiem. Jeden by wszystko oddał za dziecko, a nie ma, a drugi płodzi jedno za drugim, a o żadne nie dba. Chodzi ten chłopczyk całkiem jak sierota. Aż dzieci się z niego śmieją.

Kornelia nie słuchała już dłużej. Pchnięta kolejnym impulsem wyszła przed szkołę i usiadła obok chłopca, zajmując sporą powierzchnię schodów.

– Czekasz na tatę? – zapytała. – Pewnie zaraz przyjedzie. – Nie oparła się pokusie taniego pocieszenia.

– Pewnie zaraz pójde na piechotę. – Chłopiec ją rozszyfrował w mgnieniu

oka. – Czekam tylko, aż ta baba zniknie na chwilę. – Wskazał brodą na sprzątaczkę.

– Dlaczego? – zaciekawiała się Kornelia.

– Pilnuje mnie, bo pani wychowawczyni nie ma zdrowia codziennie ze mną siedzieć, a nie wolno puszczać pierwszoklasistów bez opieki. Tak powiedziała.

– Nie macie tutaj świetlicy?

– Nie jestem zapisany. Tata mówił, że dzieci nie powinny siedzieć w zamknięciu tyle godzin, zwłaszcza że na lekcjach tkwią od rana.

A na schodach to mogą – zdenerwowała się Kornelia, bo w myślach od razu zobaczyła aroganckiego Leonarda Kordasa, jak się wymądrza z tą swoją miną wszytkowiedzącego fachowca. Co za palant!

– Dokąd pójdziesz? – zapytała.

Chłopiec spojrzał na nią z politowaniem.

– Do domu, oczywiście – odparł.

– Jest tam ktoś?

– Nie, ale mam klucz.

– To może cię zawiozę? – zaproponowała. – Przyjechałam samochodem.

– Czemu nie – zgodził się łaskawie mały mądrała, robiąc identyczną minę jak jego ojciec. Szybko podniósł plecak, wsunął byle jak rozsypane rzeczy i stanął gotowy do drogi.

– Poczekaj tylko chwilkę, oddam jeden dokument i zaraz będę.

Bała się, że chłopiec nie poczeka, ale kiedy wróciła, wciąż tam był. Obejrzała się trwożnie w stronę wnętrza szkoły, lecz nikogo tam nie dostrzegła. Zgodnie z przewidywaniami chłopca pani sprzątaczką udała się w dalsze rejony budynku. Kornelia skierowała się w stronę zaparkowanego samochodu, kręcąc głową z niedowierzaniem, że jest tak głupia (albo odważna, zależy jak na to spojrzeć), by uprowadzać cudze dziecko spod szkoły.

Chłopiec wsiadł bez protestu do auta i zapiął pasy.

Tyle się mówi o profilaktyce – pomyślała jeszcze Kornelia. – Zaprasza się policjantów na pogadanki, przeprowadza rozmowy wychowawcze, a dzieci wciąż wsiadają do samochodów obcych osób bez najmniejszego wahania.

Mogłaby teraz zatrzaskać drzwiczki i wyjechać z małym na koniec świata, by przez ostatnie być może miesiące swojego życia nacieszyć się dzieckiem, o którym tyle marzyła.

Ale oczywiście nie zrobiła tego.

Zapytała chłopca, dokąd go zawieźć. Podał adres. Nie było to daleko, okolicę dobrze znała.

W drodze chłopiec od czasu do czasu wskazywał na konieczność skrętu w lewo lub w prawo, lecz poza tym milczał, obgryzając z wielkim zacięciem paznokcie, i nie reagował na żadne próby nawiązania kontaktu. Chyba zaczynał się



bać.

Kiedy zaparkowali pod domem, odetchnął z wyraźną ulgą. Dokładnie w tym samym momencie Kornelia poczuła niepokój. Zabrała obce dziecko spod szkoły bez zgody jego opiekunów i przywiozła pod dom, który najprawdopodobniej jest pusty. Nagle przypomniały jej się wszystkie szkolenia BHP, kursy kierowników wycieczek i spotkania z policją, na których dokładnie ją przeszkalano w zakresie odpowiedzialności za bezpieczeństwo powierzonych jej dzieci. Dobrze wiedziała, co jej grozi, jeżeli dziecko pozostawione w domu nie daj Boże samo zaproszy ogień albo wpuści kogoś obcego. Była pedagogiem, nie mogła więc udawać, że nie zdaje sobie sprawy z zagrożeń. A kiedy jeszcze pomyślała o Leonardzie i o potężnej awanturze, jaką z pewnością wywoła, zrobiło jej się zimno. Dla nikogo nie było tajemnicą, że ojciec Daniela nie znosi nauczycieli i nie przepuści żadnej okazji, by wytknąć im błąd. A ona właśnie popełniła błąd potężny.

– Jasna cholera! – powiedziała półgłosem i uderzyła dłonią w kierownicę.

– Nie klnij przy dziecku – zwrócił jej uwagę chłopczyk, który w pobliżu domu nabrał pewności siebie i z opuszczonego biedactwa błyskawicznie przeistoczył się w bezczelnego smarkacza.

– Wsiadaj – rzuciła szybko. – Masz numer do swojego taty?

– Mam – potwierdził. – Ale dzwonić nie ma sensu. Sam się odezwie, kiedy będzie mógł. To chyba logiczne – dodał, patrząc na jej zdziwioną minę. – Do widzenia – rzucił jeszcze przez ramię i skierował się w stronę furtki.

Kornelia zdenerwowana tkwiła w miejscu. Kalkulowała w myślach, za co grozi większa kara. Czy za uprowadzenie obcego dziecka i pozostawienie bez opieki, czy może za wejście z niepełnoletnim do jego domu bez wiedzy i zgody rodziców.

Po krótkim namyśle, który bardziej przypominał chaotyczną burzę mózgu z wyładowaniami niż racjonalne korzystanie z zasobów zdrowego rozsądku, postanowiła jednak przypilnować smarkacza do powrotu ojca. Stwierdziła, że mniej boi się konfrontacji z groźnym tatą niż ryzyka, że dziecku coś się stanie.

Wysiadła z samochodu i zatrzasnęła drzwiczki.

Chłopiec spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Chce pani iść ze mną? – zapytał, a jego mina nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, co sądzi o tym pomysle.

– Oczywiście! Nie mogę cię tak zostawić samego.

– Spokojnie pani może – powiedział mały.

– Nie zostawię cię – zdecydowała.

Chłopiec wzruszył ramionami. Szybko zamknął za sobą bramkę i lekko przytrzymał stopą, by nie mogła jej otworzyć. Kornelia miała ochotę się roześmiać. Mały i chudy chłopczyk stał w wojowniczej postawie naprzeciwko kilkakrotnie większego przeciwnika.

Kornelia położyła dłoń na bramce i mocno nacisnęła, przesuwając ją razem z chłopcem.

– Tak właśnie kończą się przygody z wsiadaniem do samochodów obcych ludzi. – Postanowiła wykorzystać okazję do pouczenia. – Masz szczęście, że nic ci nie grozi. Jestem nauczycielką. Poczekam tylko na twojego tatę i pójdę sobie.

– Wiem, kim pani jest – rzekł chłopczyk z niechęcią. – Brat mi opowiadał. – Z jego tonu bez trudu można było wywnioskować treść tych opowieści, więc nawet nie zapytała o szczegóły.

Znalazła na szczęście złoty środek i zamiast naruszać czyjąś prywatność i pakować się do obcego domu, usiadła na pięknym drewnianym krześle ustawionym na staroświeckim ganku. Okazało się nadspodziewanie wygodne. Z ulgą oparła plecy i wyciągnęła zmęczone stopy.

– Poczekam tutaj – zapowiedziała. – A ty idź do środka i odrób lekcje.

Chłopiec spojrział na nią, kąciki ust lekko mu drgnęły. Nie podobał mu się ani fakt, że ta kobieta chce zostać na ganku, ani konieczność zaglądania do zeszytów, zwłaszcza na polecenie obcej osoby.

– Oczywiście, proszę pani – skłamał gładko, po czym szybko zamknął za sobą drzwi domu.

Kornelia aż zgrzytnęła zębami.

Na pewno zaraz uruchomi komputer – pomyślała. Nie miała jednak pojęcia, jak temu zapobiec.

\* \* \*

Leonard Kordas po raz pięćdziesiąty czwarty objeżdżał zatłoczony parking pod supermarketem, szukając miejsca. Nie chciało mu się już nawet trąbić ani kląć. Zażęknął nagle za prostym światem z dawnych lat, kiedy w miasteczku wszystko kupowało się w małych sklepikach. Cisza, spokój i niewielki wybór towaru. To było coś.

W galeriach gubił się natychmiast, ogłuszony muzyką, przewalającym się we wszystkie strony tłumem i ilością rzeczy, które należało obejrzeć, zanim się dokona zakupu. Najchętniej nie chodziłby do sklepów wcale. Ale na taki komfort samotny ojciec pozwolić sobie nie może. Pominąwszy wszystko, z czego przy dobrej

organizacji da się zrezygnować, musieli coś jeść. Nawet gotową pizzę czy zamrożone frytki należało uprzednio zakupić, by móc je potem wrzucić do mikrofal. Jedzenie na zamówienie na dłuższą metę okazywało się za drogie.

Dobrze, że chociaż Michał miał obiady w szkole. Ale dorastający Daniel, pochłaniający z prędkością odkurzacza każdą ilość pożywienia, stanowił nie lada wyzwanie. Choć Leo napełniał lodówkę regularnie i z poświęceniem, ta wiecznie była pusta, podobnie jak jego portfel. Teraz też, zamiast jeździć do spożywczaka, powinien tak naprawdę siedzieć w pracowni i kończyć altanę ogrodową na zlecenie miejscowego notabla, i zarabiać na zimowe wydatki.

Nienawidził podobnej chałtury. Chciał malować i rzeźbić prawdziwe dzieła sztuki, ale ambitne zamówienia rzadko się trafiały, a żeby zaistnieć na hermetycznym rynku artystycznym, trzeba było mieć mnóstwo czasu, cierpliwości, sporo pieniędzy i najlepiej mocne plecy. Nie miał żadnego z wyżej wymienionych elementów.

Dzieci potrzebowały przecież jeść, wyrastały z butów i spodni w tempie niewyobrażalnym, nie konsultując tego z nikim. A gazownia też nie pytała, wystawiając rachunek, o plany artystyczne, tylko domagała się kasy. Żywej gotówki. Podobnie jak mnóstwo innych instytucji. Leo wiecznie wyciągał z zapchanej skrzynki rachunki. Wiele razy miał ogromną ochotę rzucić całą tę prozę życia, zaszyć się w pracowni na poddaszu i wreszcie zacząć tworzyć. Cały czas czuł, że coś naprawdę wielkiego tylko czeka, by się tym zająć, ale nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Żona go uprzedziła. Odeszła. Nie mógł zrobić tego samego. Kochał swoje dzieci i na szczęście miał na tyle rozumu, by wiedzieć, że nie będą mogły funkcjonować bez obojga rodziców.

Zielony ford wyjechał z parkingu i Leo z ulgą zatrzymał swój samochód na jego miejscu. Było już sporo po trzeciej. Nie pamiętał, o której dokładnie Michaś kończył dzisiaj lekcje, ale nie mógł się łudzić, że tak późno. Nigdy tego nie ogarniał. Dzieci miały zajęcia codziennie do innej godziny i na dodatek wciąż były jakieś zmiany w planie lekcji. Sporo czasu trzeba by poświęcić, żeby to pojąć, a on musiał przecież pracować. Był artystą, nie szewcem. Musiał działać, kiedy nastrój i okoliczności temu sprzyjały.

Tymczasem rzeczywistość wyglądała w ten sposób, że ilekroć wpadł w dobry rytm pracy, dłonie same sunęły po płótnie czy drewnie i powstawało coś niezwykłego, musiał przerywać, ponieważ właśnie trzeba było jechać po dziecko do szkoły albo zorganizować obiad. Dawniej lubił pracować nocami, ale odkąd żona odeszła, nie miał kiedy odespać. O wpół do siódmej trzeba było budzić chłopaków, żeby zdążyli na pierwszą lekcję. Później wypadało ogarnąć podstawowe pranie oraz gary, które pojawiały się w zlewie z denerwującą częstotliwością, i ani się człowiek nie obejrzał, a już chłopcy wracali, za to dzień zniknął bezpowrotnie. Leo łapał więc chwile pomiędzy poszczególnymi zajęciami.

To wystarczało, by zrobić altanę ogrodową, ławkę czy pamiątkowy wazon, ale na prawdziwe tworzenie nie miał szans.

Najgorsze jednak było to, że mimo iż poświęcał tyle dla dzieci i domu, efekt nie rzucał na kolana. Cały czas męczyło go przekonanie, że o czymś ważnym zapomniał. Wszędzie był bałagan, choć ciągle sprzątał, wiecznie brakowało jakichś produktów w lodówce, a miał wrażenie, że pół życia spędza w sklepach. Najgorsi jednak byli nauczyciele. Wciąż go za coś krytykowali. Nigdy nie mógł sprostać ich wygórowanym, kompletnie oderwanym od życia wymogom. Spróbowałby któryś z nich przez tydzień samotnie wychowywać dziecko, godząc to z prowadzeniem domu i pracą. Od razu przestałby sądzić, że świat kończy się na podstawie programowej, zeszlotygodniowa kartkówka jest wydarzeniem roku, a pięciominutowe spóźnienie na lekcje zbrodnią wymagającą ścigania z urzędu.

Wszedł do sklepu, jednym rzutem oka ocenił gęstość wypełniającego go tłumu i z westchnieniem zanurzył się w ludzkiej masie. Próbował wydobyć z zakamarków pamięci jakiś prosty przepis na obiad.

Kiełbasa smażona na patelni z mnóstwem cebuli? – przeprowadził błyskawiczną konsultację z własnym żołądkiem.

Wynik był pozytywny, wszedł więc pomiędzy regały w poszukiwaniu składników tej pożywnej, męskiej stawy.

\* \* \*

Czas płynął, a Leonard Kordas nie nadchodził. Daniel zresztą również. Starszy z chłopaków był jeszcze w szkole. Wiedziała, że w czwartki jej klasa ma zajęcia do późna. Kornelia siedziała na ganku i dokonywała w myślach przeglądu mizernych życiowych dokonań i jeszcze słabszych perspektyw na przyszłość. Było jej zadziwiająco dobrze w tym miejscu. Cicho i spokojnie. Można było zebrać myśli i zastanowić nad tym, co robić dalej.

Długo nie potrzebowała myśleć. Decyzja zapadła tak naprawdę już w gabinecie lekarza, kiedy Kornelia postanowiła wykonać konieczne badania, a następnie, zachowując bezwzględną tajemnicę, poukładać swoje życie na nowo.

Wynik badań wciąż stał pod znakiem zapytania, ale jedno było pewne: pół godziny spędzone w gabinecie lekarskim i ostatnia noc w szpitalu zmieniły bardzo

wiele. Jeśli okaże się, że naprawdę jest chora, czeka ją wyczerpujące leczenie... A może zostało jej zaledwie kilka lat życia? Ta perspektywa zmieniła wszystko.

W książkach i filmach opowiadających o ludziach w podobnej sytuacji rozwiązanie pojawia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Bohater dowiaduje się, że został mu rok życia, rzuca więc nudną pracę i rusza w wymarzoną podróż dookoła świata albo spotyka miłość wszechczasów lub jeśli jest kobietą, zachodzi w ciążę, co okazuje się mieć moc uzdrawiającą.

W jej przypadku sprawa była o wiele trudniejsza. Nie miała pieniędzy na realizację szalonych marzeń, na egzotyczne podróże, domy na prowincji czy ekskluzywne wyjazdy. Mogła sobie co najwyżej pozwolić na jakieś drobne przyjemności. Ale nawet nie miała pomysłu, co by to mogło być. Przychodziły jej do głowy jedynie słodycze, ale te były zapewne jedną z przyczyn jej choroby, zatem nie kojarzyły się już tak dobrze jak kiedyś. O miłości życia też mogła zapomnieć. Szansa, że jakikolwiek mężczyzna zakocha się w mało atrakcyjnej i na dodatek chorej kobiecie, była zerowa.

Westchnęła z rezygnacją.

Wszystko w moim życiu – pomyślała – nawet bunt, jest marne i byle jakie. Ani żyć, ani nawet umrzeć nie potrafię z przytupem.

Nagle skrzypnęła furtka i Kornelia odwróciła się z przestraszeniem, gwałtownie wyrwana z zamyślenia. Serce jej na chwilę stanęło, bo tak się zatopiła w ponurych rozważaniach i życiowych rozliczeniach, że zupełnie zapomniała, gdzie się znajduje.

Tymczasem kilka metrów dalej, z dłonią zaciśniętą na metalowej klamce stał Leonard Kordas z wypchanymi siatkami z supermarketu w rękę. Najwyraźniej stracił zdolność poruszania się, bo znieruchomiał w połowie gestu i nie był w stanie zamknąć bramki za sobą. Z najwyższym zdumieniem wpatrywał się w nauczycielkę swojego starszego syna, siedzącą na jego własnym ganku.

Szybko jednak się opanował. Wszedł do ogrodu i krok po kroku zbliżał się w stronę domu. Kornelia patrzyła w jego stronę jak zahipnotyzowana. Był uosobieniem wszystkiego, o czym już na zawsze miała zapomnieć. Przystojny mężczyzna z taką ilością męskich hormonów, że zdawały się fruwać wokół przy każdym jego ruchu.

Półdlugie włosy opadały na wysokie czoło, kryjąc przed światem ciemne oczy, a usta były idealnie wykrojone, jakby ktoś specjalnie się postarał, żeby spełnić w najmniejszym szczególe wszelkie kobiece oczekiwania. Był na tyle wysoki, że nawet ona czuła się przy nim drobna, a szerokie ramiona obiecywały wiele przyjemności.

Kornelia z wysiłkiem przełknęła ślinę.

Mieć takiego w łóżku choć raz w życiu... – poprosiła żarliwie.

W obliczu wyroku, jaki miała wkrótce usłyszeć, uświadomiła sobie nagle, że

nie ma większych marzeń. Zrobić to, a potem niech się dzieje, co chce. Tyle że to jedno marzenie było trudniejsze do spełnienia niż zdobycie Korony Ziemi. Szczyty górskie, choć wysokie, przynajmniej nie patrzą na człowieka pogardliwym wzrokiem, jakby był urzędnikiem skarbowki, i nie zbliżają się opornie jak do rozgniecionego, zgniłego jabłka.

A taki wyraz twarzy miał właśnie Leonard Kordas. Jakby podchodził do czegoś śmierdzącego i wyjątkowo brzydkiego. Z niechęcią, bardzo wyraźnie wypisaną na twarzy, zbliżał się w stronę ganku.

– Witam szanowną panią – powiedział, a mocno wyczuwalny sarkazm odebrał jego wypowiedzi nawet pozór uprzejmości.

Kornelia pochyliła głowę i podniosła ją dopiero po kilku sekundach koniecznych do tego, by przywołać grzeczny służbowy uśmiech, którym posługiwała się w szczególnie przykrych okolicznościach. Opracowany był do perfekcji. Okazji do ćwiczeń nie brakowało.

– Dzień dobry – powiedziała lekko tylko drżącym głosem. – Przywiozłam pańskiego syna i wołałam poczekać, aż pan wróci.

– Szkoła świadczy teraz usługi taksówkarskie? – Kordas odłożył zakupy i wbił pięści w kieszenie spodni. – Niech pani lepiej powie od razu, co on takiego znalazł, że wychowawczynie musiała się osobiście fatygować i tracić swój cenny czas. – Jad z głosu Kordasa kapał na piękne dębowe deski, którymi wyłożona była podłoga ganku. Cud, że na gładkiej, ciemnobrązowej powierzchni nie wytapiały się od niego dziury.

– Młodszy syna – sprecyzowała Kornelia, nie dając się wyprowadzić z równowagi.

Zaskoczenie na twarzy Leonarda przez chwilę zmyło z niej pogardę i niechęć. Mężczyzna potarł lekko zarośnięty podbródek.

– Co ten z kolei mógł znaleźć, że zaangażowano fachowca z liceum, to już naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić... – Na jego twarzy odmalowało się szczere zdumienie.

Przez ułamek sekundy Kornelia miała wrażenie, że jest bezradny i zagubiony. Serce szarpnęło jej się boleśnie. Zaopiekowałaby się chętnie każdym aspektem jego życia. Wysprzątała dom, ugotowała pyszną kolację, przytuliła. Zakochać się w nim, to było najłatwiejsze zadanie świata.

– Nic, proszę pana – powiedziała głośno, odpędzając własne myśli na brzeg świadomości. – Po prostu czekał dość długo, a ja i tak jechałam w tę stronę, więc go podwiozłam. A potem wystraszyłam się, że zostanie sam, więc postanowiłam poczekać – wyjaśniła zgodnie z prawdą. Czuła tak ogromne znużenie, że było jej wszystko jedno, co Kordas sobie o niej pomyśli. Pragnęła tego mężczyzny z całych sił i jednocześnie doskonale wiedziała, że na tym świecie nie było niczego bardziej nieprawdopodobnego niż happy end tej historii.

– Dlaczego pani nie weszła do środka? – zapytał i natychmiast pożałował tej spontanicznej reakcji. Przypomniało mu się, w jakim stanie zostawił rano wnętrze domu.

– Bałam się – odpowiedziała szczerze.

– Czego? – zdumiał się Kordas.

– To już bez znaczenia – odparła Kornelia. – Pan wrócił, dziecko jest bezpieczne. Na mnie już czas.

Leonard Kordas przełknął ślinę i w sposób widoczny toczył wewnętrzną walkę.

– Może napije się pani herbaty – zapytał w końcu. – Oczywiście pod warunkiem, że nie ma pani zbyt wysokich wymagań co do czystości pomieszczeń, w których zostanie ona spożyta. – Uśmiechnął się po raz pierwszy szczerze.

– Nie mam – odpowiedziała, zatrzymując się w pół kroku. – I z największą przyjemnością napiję się herbaty. Miałam naprawdę ciężki dzień.

Leonard nie skomentował tego faktu. Zasadniczo był zdania, że nauczyciele nie przemęczają się zbyt, a do ich podstawowych obowiązków należy uprzykrzanie życia uczniom i ich rodzicom. Ale tym razem powstrzymał się od głośnego wyrażenia swoich poglądów.

– No to świetnie – powiedział tylko. – W takim razie zapraszam.

Otworzył drzwi, nogą przesunął kłębiące się w przejściu buty oraz inne przedmioty niewiadomego przeznaczenia, po czym wpuścił ją do środka.

– Michał! – zawołał w głąb mieszkania.

Po krótkiej chwili z jednego z pokoi wysunęła się znajoma głowa, ale na widok Kornelii natychmiast się cofnęła.

– Chodź tu do nas! – krzyknął ojciec

– Nic nie zrobiłem – zawołał chłopiec z bezpiecznych czeluści pokoju. – Ona sama kazała mi wsiąść do samochodu.

To się nazywa lojalność – pomyślała Kornelia.

– Mówi prawdę – potwierdziła. – To w pełni moja wina.

Chłopiec wyszedł z pokoju, oparł się o framugę drzwi i przez chwilę kopał listwę podłogową czubkiem pantofla, obgryzając jednocześnie paznokcie z takim zaangażowaniem, że Kornelia zaczęła się obawiać, że za chwilę zje całe palce.

– To też trochę moja wina – rzucił w końcu dość cicho, ale ona usłyszała. Odwróciła się gwałtownie i przytuliła go mocno, w zupełnie niekontrolowanym spontanicznym odruchu. Wszystko dzisiaj robiła inaczej niż zwykle.

– Brawo za odwagę – powiedziała.

Nagle zrobiło jej się gorąco. Chłopczyk był bardzo szczupły, obejmując go dłońmi, poczuła wyraźnie wystające kostki. Poczuła, jak jej serce zalewa nieznana dotąd czułość. Michał jednak szybko wyzwolił się z jej objęć, najwyraźniej bardziej odporny na wzruszenia. Kornelia zamknęła oczy i oddychała przez chwilę.

– Przepraszam – powiedziała. – Zrobiło mi się słabo, ale to zaraz przejdzie.

To wszystko mnie ominęło – pomyślała. – Normalne życie, które miliony kobiet codziennie lekceważą, narzekając na swój ciężki los. Zwyczajny dom, mężczyzna, nawet wkurzający, ale dostępny, dziecko, codzienność. Powroty z pracy do własnego domu, zakupy, kolacja, nawet sprzątanie...

Przez trzydzieści lat miała pod dostatkiem dni i nocy, ale nie zwracała uwagi na upływ czasu. Nigdy też o te zwyczajne dni tak prawdziwie się nie troszczyła. Teraz życie wystawiło jej rachunek. Kto ma, temu będzie dane, a kto nie ma, temu zabiorą nawet to minimum, które miał. Ta okrutna zasada niestety była prawdziwa. Niewiele jej życie dało, a teraz jeszcze wyciągało zaborczą rękę po te nędzne ochłapy codzienności.

– Proszę usiąść. – Kordas troskliwie podsunął jej krzesło, ściągnawszy z niego błyskawicznie stertę ciuchów. Miał jeszcze widać jakieś ludzkie odruchy wobec nauczycieli.

W tym momencie trzasnęły drzwi i oboje najpierw zobaczyli, jak przez cały przedpokój przejeżdża rzucony z rozmachem plecak, a następnie rozległ się łomot zdejmowanych naprędce butów i tą samą co plecak trasą na skarpetkach wjechał Daniel. Dotarł rozpędzony do kuchni i... zastygł jak zawieszony komputer.

– O rany! – wyszeptał tylko. – Ja nic nie zrobiłem – odblokował się w końcu.

– Wiem – odparł jego ojciec. – Pani przyszła nie w twojej sprawie.

– To całe szczęście – powiedział Daniel z widoczną ulgą i błyskawicznie ewakuował się do swojego pokoju.

Kornelia odruchowo spojrzała na kuchenkę gazową. Była wprawdzie całkowicie zastawiona garami, ale z żadnego z nich nie wydobywał się smakowity zapach obiadu. Wiedziała, że nastolatek wracający ze szkoły najczęściej w pierwszej kolejności domaga się posiłku. W liceum nie było stołówki. Tajemnicą pozostawało, czym właściwie żywił się Daniel.

Ją samą jedzenie doprowadziło wprawdzie do katastrofy, ale to nie ono było winne, lecz liczne problemy i kompleksy, które próbowała za jego pomocą rozwiązać. Obiektywnie uważała, że dom bez posiłków, gotowania obiadków, zapachu smakowitych potraw nie istnieje. Jest tylko budynkiem, jak hotel robotniczy czy internat, pozbawionym klimatu. W takim domu rodzina się rozsypuje. Zimna, zabałaganiona kuchnia Kordasa była tego doskonałym przykładem. Chłopcy zniknęli z niej w mgnieniu oka. Najwyraźniej nie widzieli sensu, by siedzieć w pomieszczeniu, w którym nie ma ani obiadu, ani mamy.

Leonard postawił na jedynym wolnym kawałku stołu kubek z pachnącą herbatą. Kornelia z przyjemnością upiła łyk, parząc sobie lekko język.

– Sam pan wychowuje synów? – zadała niewinne w jej mniemaniu pytanie.

– Oczywiście i nikomu nic do tego – zjeżył się natychmiast Kordas. Wstał gwałtownie od stołu i podszedł do okna. Ręce zaplótł na wysokości klatki



piersiowej, a Kornelia błyskawicznie obliczyła w myślach, że są na tyle szerokie, iż nawet ona mogłaby się w nich zmieścić.

Milczała, wystraszona lekko jego reakcją. Ale Leonard po chwili usiadł znowu na swoim miejscu. Uspokoił emocje. Postanowił pić herbatę razem z nią w nadziei, że dzięki temu cała ta absurdalna sytuacja szybciej się skończy. Miał jeszcze sporo pracy i przedłużająca się wizyta tej dziwnej i irytującej nauczycielki nie była mu do niczego potrzebna.

– Nie szukał pan opiekunki do dzieci? – zapytała znowu Kornelia, pchana jakimś nieopanowanym impulsem, choć wiedziała, że poruszanie tego tematu to prosta droga do konfliktu. Ale jej umysł już podjął pewną decyzję, bez udziału woli, i teraz konsekwentnie dążył do celu.

– Po co? – zapytał Kordas, rozglądając się z zadowoleniem po zabałaganionym wnętrzu. – Dzieci są już duże i dobrze sobie radzą. Niczego im nie brakuje – dodał z mocą, jakby chciał przekonać o tym nie tylko Kornelię, ale przede wszystkim samego siebie.

– A kto im gotuje? – zapytała, zawstydzona jak zwykle już z powodu samej wzmianki o jedzeniu.

– Nikt – odparł Leonard. – Mały je w szkole, a my z Danielem radzimy sobie sami.

– Ale pomoc by się przydała – drążyła temat Kornelia, czując się jakby ktoś inny w jej imieniu załatwiał teraz dla niej ważną życiową sprawę.

– Może – przyznał Kordas. – Jednak nie stać mnie, powiem wprost, na jakąś babę, która będzie mi się plątać po domu i wsadzać nos w nie swoje sprawy. Szkoda nerwów i pieniędzy.

– Tylko że dzieci potrzebują opieki – powtórzyła Kornelia z uporem, który drażnił nawet ją samą.

Kordas zgrzytnął zębami. Nienawidził ludzi włączających z butami w jego życie, ze szczególnym uwzględnieniem nauczycieli, a odkąd osiadł w małym mieście, wciąż się o takich potykał. Postanowił jednak tym razem wyjątkowo być dyplomata. Cała ta sprawa śmierdziała mu już z daleka.

Przypadkowe podwiezienie dziecka, długie oczekiwanie na ganku. Kto ma dzisiaj czas na takie rzeczy? Wyczuwał kłamstwo i podstęp w każdym słowie Kornelii, a ponieważ ponad wszystko na świecie cenił sobie święty spokój w zaciszu własnej pracowni, postanowił pozbyć się podejrzanego gościa jak najszybciej. Cała rozmowa nie była w najmniejszym nawet stopniu przyjemna ani nie dostarczała żadnych wrażeń estetycznych.

Nic nie miał do ludzi z nadwagą, ale z natury był estetą i miłośnikiem piękna kobiecego ciała. Zwaliste kształty rozmówczyni drażniły go, a przekonanie, że jest gruba, bo się obżera, mimo iż być może niesprawiedliwe, odbierało mu apetyt i chęć na dalszą rozmowę.

– A gdyby ktoś się zgodził za darmo prowadzić panu dom? – Uwaga Kornelii wciąż była zakotwiczona przy poprzednim temacie.

– To bym go wyrzucił jako chorego na umyśle. – Kordas wstał. – Bardzo panią przepraszam, ale spieszę się trochę. Mam dwoje dzieci na utrzymaniu, muszę pracować. Czy mogę jeszcze pani w czymś pomóc?

– Może pan. – Usłyszał zaskakującą odpowiedź.

– Do ciężkiej cholery – zaklął pod nosem, żałując, że nie ugryzł się w język przy wypowiedaniu tej banalnej formułki, którą pani Rudnicka najwyraźniej wzięła dosłownie. – Słucham? – rzekł, resztką sił trzymając nerwy w ryzach.

– Czy może mnie pan zatrudnić na stanowisku gosposi? – zapytała wprost, czując się jak człowiek, który z zamkniętymi oczami skacze w przepaść. – Policzę tanio – mówiła szybko, a przez spanikowany umysł przelatywały już myśli o ostatecznej kompromitacji, jaka się właśnie dokonuje. – Powiedzmy sto złotych na miesiąc. Trochę gotuję – skłamała, bo nie miała o tym pojęcia – piórę i sprzątam. Mam też kwalifikacje do opieki nad dziećmi. – Tu spuściła nieco wzrok, oboje bowiem wiedzieli, że mimo posiadanych uprawnień, potwierdzonych państwowym dyplomem, do dzieci ani młodzieży zdecydowanie nie miała serca.

– Nie ma mowy! – Kordasowi puściły w końcu nerwy. Wyszedł szybko do przedpokoju i stanął przy drzwiach wejściowych. – Dziękuję pani za życzliwość i żegnam. Naglą mnie pilne terminy – bredził, bo zakamarki podświadomości podpowiadały mu, że w obecności nauczyciela należy się wyrażać poprawnie. – Żegnam – powtórzył, żeby nie było żadnych wątpliwości.

– Zastanawiam się, skąd ta stanowczość – rozległ się nagle dość mocny głos z zewnątrz.

– Boże, błagam cię, tylko nie to – wyszeptał Leonard.

– Słucham już od wejścia waszej miłej rozmowy, bo drzwi oczywiście otwarte, i doprawdy, Leonardzie, nie rozumiem twojej reakcji.

Do kuchni weszła kobieta na oko sześćdziesięcioletnia. Kornelia wpatrywała się w nią, nie mogąc oczu oderwać. Kobieta miała na sobie bardzo twarzową sukienkę w kolorze fuksji, łagodnie spływającą po szczupłej figurze, włosy uczesane w gładki, ciekawie splecony kok i dyskretny, ale bardzo staranny makijaż, skutecznie maskujący zmarszczki. Na szyi zawiązała jedwabny szal w kolorze, który Kornelia widziała po raz pierwszy. Poruszała się z wdziękiem i miała piękny uśmiech.

– Dzień dobry – przywitała się. – Jestem Adelina Sokołowska – powiedziała, po czym podała Kornelii dłoń.

Usiadła po drugiej stronie stołu, roztaczając wokół delikatną woń dobrych perfum, i Kornelia w swoim czarnym podkoszulku, szerokich spodniach i włosach, które jak zwykle wymknęły się nieco spod kontroli, poczuła się nagle do bólu brzydka, zaniedbana i pozbawiona kobiecości. A przecież była o wiele młodsza.

Pani Adelina uśmiechnęła się z wdziękiem prawdziwej damy, a Leonard, który dopiero co usiadł zrezygnowany, natychmiast wstał i nalał jej herbaty do filiżanki. Wytarł szybko stół i postawił przed nią napój i cukierniczkę. Kornelia spojrzała odruchowo na własny zwyczajny kubek. Najwyraźniej dla niej nie chciało się gospodarzowi wyciągać lepszej zastawy.

– Jestem sąsiadką Leonarda – przedstawiła się pani Sokołowska. – Bardzo złożona – ostatnie słowo wypowiedziała ze specjalnym naciskiem – sytuacja tej rodziny leży mi na sercu i kiedy tylko usłyszałam pani propozycję, od razu uznałam, że to doskonały pomysł. Chociaż mam pełną świadomość – zrobiła znaczącą pauzę – jak wiele takie idealne z pozoru rozwiązania mają ukrytych haczyków – zakończyła z naciskiem.

Tu spojrzała na Kornelię, która w niekontrolowanym odruchu zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. Czuła się, jakby wszystkie jej ukryte myśli zostały właśnie położone na środku stołu i wystawione na widok publiczny. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ta niezwykła kobieta doskonale przejrzała jej zamiary.

– Uważam jednak, że mimo wszystko ta sytuacja może przynieść wiele dobrego. Jestem za – powiedziała stanowczo pani Adelina i tym razem jej pełen mocy i ukrytych znaczeń wzrok spoczął na Leonardzie.

Mężczyzna zgrzytnął zębami, ale się nie odezwał. Kornelia, nadal w szoku, wpatrywała się w tego niepokornego buntownika, który w każdej sytuacji robił, co chciał, i wymykał się konwenansom, jak wobec tej kobiety grzecznie kiwa głową z aprobatą, choć gołym okiem widać było, że nie zgadza się z ani jednym słowem.

Ale poczuła się tak szczęśliwa, jakby wszystkie jej marzenia już się spełniły. Rzuciła tę propozycję bezmyślnie, w stanie zmęczenia i ogólnego oszołomienia spowodowanego trudnym dniem i strachem przed tym, co przyniosą kolejne. Niespodziewana zgoda spowodowała przyływ adrenaliny, jakiego nie odczuła jeszcze nigdy w życiu. Było jej obojętne, z jakiego powodu Kordas zaaprobował pomysł i do jakiego stopnia ma wobec niej wrogie nastawienie. W jałową egzystencję wreszcie wdarł się świeży wiatr i to było najważniejsze.

Coś się w końcu zacznie dziać. Jej dłonie będą komuś potrzebne, a dni staną się pasmem przygód. Mimo widocznego oporu gospodarza co do jednego nie miała wątpliwości. To była pierwsza szalona i spontaniczna decyzja w jej życiu i nikt nie był w stanie przewidzieć, jakie będą jej konsekwencje.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Dziękuję pani – zwróciła się do niespodziewanej sojuszniczki. – Uprzedzam, że mogę pomagać tylko przez dwa tygodnie. Potem muszę wrócić do pracy.

– Nie ma za co dziękować. To my jesteśmy wdzięczni. Dwa tygodnie to dużo w tej sytuacji. Może wiele uratować – powiedziała Adelina, upiła łyk herbaty,

która chyba nie zachwyciła jej smakiem, bo spojrzała podejrzliwie w głąb filiżanki i odstawiła ją na spodek.

Z szerokiej torby wyciągnęła zgrabną paczuszkę.

– Rozłóż na talerze – poleciła Leonardowi, a on bez słowa protestu zerwał się z krzesła i skierował w stronę odpowiedniej szafki, gdzie na samym dnie odnalazł się jeszcze ostatni czysty talerz.

– Upiekłam wam drożdżowe paszteciki. Tutaj – dodała, wyciągając z torby słoik – masz sos. Wiem, że stosowniej byłoby po południu przynieść coś słodkiego do kawy, ale – zwróciła się w stronę Kornelii – ci mężczyźni są wiecznie głodni, a żywią się tak nieracjonalnie, że to woła o pomstę do nieba. Założę się, o co tylko chcesz, że nie było tu dzisiaj obiadu.

– Pani Adelino – zdenerwował się w końcu Leonard. – Proszę dać już spokój tym komentarzom. Obiad nie jest najważniejszy. Poza tym miałem właśnie coś przygotować. Może ten dom nie nadaje się do zdjęć w eleganckich czasopismach, ale dajemy sobie radę i niech tak pozostanie. – Rzucił groźne spojrzenie i Kornelia natychmiast przytaknęła polubownie. Za to Adelina tylko spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

– Jedzonko! – Z takim okrzykiem wpadł do kuchni Michał, przecząc jawnie teoriom ojca, jakoby obiad nie miał dla nikogo znaczenia. Tuż za młodszym bratem, godnie, starając się w miarę możliwości nie stracić honoru, wszedł Daniel. Nie było mu łatwo usiąść przy jednym stole z wychowawczynią, której bardzo nie lubił, czuł się niezwykle niekomfortowo, uchylając przed nią rąbek prywatności zasłonięty nawet przed większością kolegów. Ryzyko było spore. Nie miał pojęcia, w jaki sposób pani Rudnicka wykorzysta zdobytą tutaj wiedzę, ale nie miał wątpliwości, że nie wyniknie z tego nic prócz kłopotów. Ale pokusa była zbyt silna. Dobrze wiedział, że jeżeli sam nie zadba o należną mu porcję posiłku, przyniesione przez panią Adelinę smakołyki znikną z tego stołu szybko niczym dym z papierosa, którego nielegalnie podpalał w pracowni ojca.

Michał usiadł obok Adeliny i przysunął sobie krzesło. Spoglądał na nią z wyraźną sympatią, a ona obdarzała go ciepłym macierzyńskim uśmiechem. Najwyraźniej bardzo ją lubił i uczucie musiało być odwzajemnione, bo pani Sokołowska objęła chłopca i pocałowała w czubek głowy.

Kornelia poczuła, jak zazdrość ściska jej serce, wydobywając na powierzchnię skrywane na dnie uczucia. Wśród tych, które dobrze знаła, pojawiło się jedno zupełnie nowe: niechęć do Adeliny Sokołowskiej.

\* \* \*

Kiedy już wszystkie pyszne paszteciki zniknęły ze stołu, kobiety pożegnały się i wyszły razem.

Adelina zaproponowała, by Kornelia wstąpiła do niej na chwilę. Niespecjalnie miała na to ochotę. Nowa znajoma intrygowała ją, jednak z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny bała się rozmowy w cztery oczy.

Adelina jednak nie czekała na jej odpowiedź. Dziarskim krokiem ruszyła przed siebie i po pokonaniu kilkunastu metrów stanęły obie przed domem absolutnie niezwykłym i jednocześnie idealnie pasującym do barwnej właścicielki. Była to stara chata z bali, nosząca wyraźne znamiona gruntownej renowacji. Drewniany płot pomalowany na ciemnobrązowy kolor okalał sporą działkę. Z przodu założono piękny, wiejski ogród kwiatowy, a z tyłu widać było rozległy sad owocowy. Kornelia aż przystanąła. Nie mogła znaleźć słów, by wyrazić swój podziw.

– Zapraszam. – Gospodyni uchyliła furtkę i Kornelia znalazła się w krainie baśni. Do domu prowadziła wysypana jasnym żwirkiem ścieżka, z obu stron tonąca w bajecznie kolorowych kwiatkach.

– To pani dzieło? – zapytała Kornelia, zataczając ręką koło. Nigdy nie widziała czegoś równie pięknego.

– Och, to nic wielkiego. Są w Polsce i na całym świecie ogrody stokroć piękniejsze. Moja znajoma Ludwika ma wyjątkowy, ale ja z mojego też jestem bardzo dumna. To takie małe zrealizowane marzenie.

– Małe? – zapytała Kornelia, rozglądając się dookoła. – To jak wyglądają większe?

– Zobaczysz – uśmiechnęła się Adelina. Pogłaskała koty łaszące się do jej nóg i otworzyła drzwi domku. Wystrój wnętrza był utrzymany konsekwentnie w stylu rustykalnym, ale bez jakichkolwiek zbędnych ozdób. Wszędzie panował idealny porządek.

Kornelia usiadła przy stole i przyglądała się, jak pani domu w precyzyjny sposób zaparza herbatę w czajniku, na porcelanowym talerzyku układa pierniczki zamknięte dotąd w metalowej puszcze, po czym rozlewa bursztynowy płyn do filiżanek.

Herbata kusiała samym zapachem i sposobem podania, a jej smak tylko potwierdził pierwsze wrażenie. Kornelia piła, patrzyła w okno i starała się powstrzymać przed zjedzeniem ciastka.

– Przejdźmy do rzeczy. – Gospodyni przerwała przedłużające się milczenie,

a Kornelia nie wiedzieć czemu zdrętwiała ze strachu. – Poparłam cię – powiedziała Adelina, patrząc wzrokiem, który zdawał się prześwieślać rozmówczyni duszę. – Wykorzystałam moje latami budowane wpływy, żeby cię umieścić w tym domu, bo mam mocne przeczucie, że wyniknie z tego sporo dobrego zarówno dla tych chłopców, jak i dla ciebie, ale jedno musimy sobie wyjaśnić.

Kornelia milczała. Nie miała ochoty słyszeć ani słowa więcej.

– On jest żonaty. – Głos Adeliny stał się twardy. – Masz tego świadomość, prawda?

– Oczywiście – prychnęła Kornelia. – Choć tak naprawdę wszyscy wiedzą, że to małżeństwo już nie istnieje.

Adelina tylko pokiwała głową, jakby sama sobie przyznała rację lub potwierdziła wstępne rozeznanie.

– Oczywiście, że istnieje. Nigdy nie daj się nabrać, pozory mylą. Po pierwsze, ona wróci. Nie zostawi przecież dzieci, bo to dobra kobieta i matka. Dała Leonardowi mocną nauczki. Niejednemu mężczyźnie przydałoby się kilka tygodni sam na sam z dziećmi. Ale ona długo już nie wytrzyma. Zażęskni za dziećmi, bo je kocha, i na pewno łatwo nie odda innej swojego męża.

– Mnie to i tak nie dotyczy – przerwała jej Kornelia. Słowa Adeliny uderzały w czuły punkt i sprawiały jej ból. Nie wiązała przecież z Kordasem żadnych poważnych planów z tej prozaicznej przyczyny, że on nigdy by się nią nie zainteresował na poważnie. Ale uczucie do niego było jednym z jej najskrytszych marzeń i poczuła się dotknięta tą bezceremonialną uwagą.

– Mam nadzieję – powiedziała Adelina. – Nie chciałabym, żebyś cierpiała. Leonard nie jest typem uwodziciela, choć warunki ma ku temu idealne, i generalnie do tej pory unikał romansów, ale to nie przeszkadza kobietom zakochiwać się w nim i mieć z tego powodu poważne problemy. A ty będziesz tam codziennie przychodzić...

– Doceniam pani troskę – oburzyła się Kornelia. – Ale jestem dorosła. Poradzę sobie. Od wielu lat sama o sobie decyduję.

– Czyżby? – Adelina przyjrzała się jej badawczo.

Kornelia wstała. Miała dość. Czuła, że musi natychmiast uciekać. Nie potrzebowała kolejnej matki. Nawet z jedną radziła sobie z trudem. Tymczasem pani Adelina z nieznanych powodów właśnie brała ją pod swoje opiekuńcze skrzydła.

– Powinam już iść – powiedziała szybko. – Mam sporo obowiązków, ale pewnie jeszcze nie raz się spotkamy.

– Oczywiście. Wybacz, jeśli cię uraziłam. Nie taka była moja intencja, wręcz przeciwnie, bardzo cię polubiłam...

Tego już było za wiele. Każdy dzień ma swoją pojemność, jeśli chodzi o ilość emocji, jakie można przyjąć. Dzisiaj ta norma została już kilkakrotnie

przekroczona. Jak daleko Kornelia sięgała pamięcią, nikt jej nigdy nie lubił, a tym, czego wraz z upływającymi latami nauczyła się nienawidzić najbardziej, były fałszywe współczucie i puste słowa pociechy.

– Niepotrzebnie – powiedziała z nagłą agresją, a stres całego dnia sprawił, że głos mocno jej zadrżał, a emocje wymknęły się spod kontroli. – Szybko zmieni pani zdanie, jak każdy. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Pani jest piękna i szczęśliwa, a na mnie nikomu nie zależy. Los nigdy się nie postarał o swoje niechciane dziecko.

– Los, jeśli tak to nazywasz, patrzy na ciebie. – Adelina popatrzyła na nią ciepło. – Jeśli widzi, że tobie nie zależy, to i on się nie stara. Nigdy nikt nie będzie cię szanował bardziej niż ty sama.

– Proszę przestać. Ja robię wszystko jak należy, tylko nic się nie udaje, po prostu. – Kornelia skuliła się na krześle.

Adelina wstała i podeszła do niej.

– Przyznam ci się do czegoś. Wiem o tobie trochę. To mała miejscowość, a nauczyciele podlegają prawu powszechnego oplotkowania. Naprawdę cię lubię i nie rozumiem, dlaczego kompletnie o sobie nie dbasz.

– Ja nie dbam? – zaperzyła się Kornelia, a łzy przykrości zapiekły ją w kącikach oczu. – Trzeba być naprawdę okrutnym, żeby tak powiedzieć. Nie widzi pani, jak wyglądam?

– Oczywiście, że widzę – łagodnie potwierdziła Adelina. – Uważam jednak, że kobieta z nadwagą także może się ubrać w gustowną sukienkę, ładnie uczesać i umalować. To wolny kraj, jest Internet. Można zamówić, co się chce, nawet nie wychodząc z domu.

– Ach, żeby to było takie proste... – Kornelia poczuła, jak łzy spływają jej już po policzkach. Nie dość, że została tak mocno doświadczona przez życie, to jeszcze musiała wysłuchiwać domorosłych mędrców, którym się wydaje, że znają receptę na wszystkie problemy świata.

– Życie jest wbrew pozorom proste – dodała Adelina spokojnie. – Dajesz to, co najlepsze, i to samo otrzymujesz z powrotem. Jeśli nadal będziesz jeść te wszystkie śmieci i nienawidzić wszystkich wokół, zapłacisz za to najwyższą cenę.

Kornelia z zaskoczenia straciła oddech, a potem zrobiło jej się słabo. Ta kobieta nie mogła tego powiedzieć przypadkiem, musiała coś usłyszeć. Najwyraźniej lekarze też plotkują, choć teoretycznie im nie wolno. Kto jeszcze wie o wszystkim?

Wstała. Oparła się o ścianę i zbierała siły.

Adelina położyła jej dłoń na ramieniu.

– Chciałam się tylko podzielić swoją wiedzą, bo im dłużej żyję na tym świecie, tym lepiej go rozumiem – powiedziała cicho. – Przepraszam, jeśli się niepotrzebnie wtrącałam, dobrze wiem, że to nie moja sprawa. Ale nie mogłabym

spokojnie zasnąć. Czuję, że bardzo potrzebujesz pomocy. Więcej tego nie zrobię. Powiedziałam swoje, a ty uczynisz z tym, co zechcesz. Obiecuję nigdy więcej nieproszona nie wypowiadać się na temat twojego życia, choćbyśmy się widywały codziennie.

Kornelia otarła łzy.

– Możesz być pewna, dotrzymam słowa – dodała Adelina. – Od dwudziestu lat nie złamałam obietnicy. Ani tej danej innym, ani sobie.

– Przepraszam, pójdę już. – Kornelia z trudem oderwała się od ściany i opanowała fruujące przed oczami ciemne płatki. – Z pewnością ma pani rację, ale dziś jestem bardzo zmęczona i nie mam siły o tym wszystkim myśleć. Do widzenia.

– Do widzenia – powiedziała Adelina i uściskała ją z całych sił. – Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Były to słowa, które Kornelia zaliczała zasadniczo do najbardziej pustych i pozbawionych znaczenia frazesów. Nie odezwała się już, wyszła do ogrodu i, nie rozglądając się na boki, szybko pokonała żwirkową alejkę, by z ulgą zamknąć za sobą drzwi bramki.

Przeczcucie jej nie myliło. To była bardzo nieprzyjemna wizyta. Adelina Sokołowska miała bardzo ujmującą powierzchowność i sprawiała świetne pierwsze wrażenie, ale niestety posiadała również cięty język i nie bała się mówić prawdy. Kornelia nie potrzebowała prawdy. Wolałaby usłyszeć słowa pokrzepienia, choć nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłyby one brzmieć. Bo przecież nie tak banalnie, jak zdanie, że wszystko będzie dobrze.

Łzy znów napłynęły jej do oczu. Właściwie to jeszcze nigdy nikt nie potraktował jej tak bezpośrednio. Nawet matka. Wszyscy myśleli swoje, komentowali na boku, robili miny, wiedziała o tym. Ale nikt jej nie powiedział prosto w twarz, że to wszystko to także jej wina.

Szła i płakała. Nie miała nawet siły rozglądać się, czy ktoś znajomy jej nie widzi. Czowała się głęboko zraniona. Jak można tak potraktować nieszczęśliwego człowieka? Zarzucać mu, że sam jest sobie winien.

Podeszła pod dom Kordasa i otworzyła swój samochód. Spojrzała z westchnieniem na osłonięte firankami okna. Wytworna Adelina Sokołowska mogła spać spokojnie i doprawdy darować sobie swoje złote myśli. Ten świat widział różne cuda. Prawdziwe i fałszywe. Potwierdzone urzędowymi papierami i zupełnie prywatne. Ale taki cud, że przystojny, męski Leonard Kordas spojrzy choć raz na wychowawczynię swojego syna jak na kobietę, nie był przewidziany przez żadną świętą księgę tego świata.

Ruszyła przed siebie i po chwili wjechała na główną drogę. Stała na czerwonym świetle i złapała się na tym, że jakoś nie może rozpedzić tej zwykłej myślowej maszyny uzalania się nad sobą, która zwykle kręciła się w jej głowie



całymi godzinami. W gładkie trybiki, dobrze naoliwione pretensją do świata i żalem do wszystkich wokół, wpadły słowa Adeliny i niczym ziarenka piasku spowodowały tarcie. System próbował ruszyć, ale zaraz zaczynał zgrzytać i zacinał się. Przeszkadzała świadomość, że Sokołowska miała sporo racji.

Jasna cholera, naprawdę miała sporo racji.

## ROZDZIAŁ 4

---

---

Leonard Kordas miotał się wściekle po kuchni i wrzucał brudne naczynia do zlewu.

– Rozładować zmywarkę! – krzyknął do synów. – Czy wy nie możecie się sami domyślić, co trzeba zrobić? Teraz kto wie, kogo nam ta cholerna baba ściągnie na głowę. Może nawet opiekę społeczną albo innych urzędasów.

– Nie wściekaj się. – Daniel bez pośpiechu wyciągał naczynia i układał w szafkach. – Radzimy sobie przecież i nikomu nic do tego. A na sprzątanie nie mam dzisiaj czasu. Zadali nam tyle, że do nocy będę siedział.

– Ja też – zgłosił się Michał ze swoim zażaleniem. – I na dodatek nie mam gdzie zrobić zadania – dodał.

– Jak to nie masz? – Ciśnienie Leonarda podskoczyło do ostatecznych granic. – A twoje biurko w pokoju?

– Całe zajęte – wyznał rozbrajająco siedmiolatek i uśmiechnął się,

demonstrując zęby w różnym stadium wzrostu lub kiwania, a także jedną sporą szczerbę na samym przodzie. Ale ojca ten słodki widok nie rozczulił w najmniejszym stopniu. Rzucił patelnię w przepełniony zlew i kilkoma wielkimi susami dopadł do pokoju synka.

– Wiedziałem! – krzyknął. – Kiedy tu ostatni raz sprzątałeś? – Wskazał dłonią na przepełnione biurko. – Jak się zbiera tygodniami śmieci, to wiadomo, że potem nie ma na nic miejsca. Ale ja zaraz znajdę rozwiązanie.

Podszedł bliżej i jednym ruchem szerokiego ramienia zrzucił wszystko na podłogę.

– Posegreguj to! – zawołał głośniejsz niż zamierzał.

Usta chłopca zaczęły drżeć, a w oczach pojawiły się łzy. Patrzył bezradnie na wielką stertę rzeczy, wśród których zaginął pozostawiony na wierzchu zeszyt z zadaniem. Nie miał pojęcia, od czego zacząć, jak go teraz znaleźć. Ilość śmieci przerażała go. Podobnie jak krzyczący tata, który stał nad nim z groźną miną.

Leonard przez chwilę oddychał szybko, a potem wyszedł z pokoju. Usłyszeli znajomy odgłos kroków na drewnianych schodach prowadzących na poddasze i po chwili trzask zamykanych drzwi. Ojciec jak zwykle schował się w pracowni przed problemem, który go przerastał.

Daniel podszedł do brata i objął go.

– Nie płacz – powiedział. – Pomogę ci.

Zebranie i posegregowanie wszystkich rzeczy zajęło im ponad godzinę. Większość trzeba było wyrzucić, z niektórymi nie wiedzieli, co zrobić, ale po chwili z chaosu wyłoniło się w miarę uporządkowane biurko z niewielką tylko ilością zawałających go skarbów Michała. Zeszyt się odnalazł, odrobinę tylko zmięty, i chłopiec usiadł, by kontynuować żmudny proces przepisywania liter.

Daniel potargał go po włosach i z westchnieniem poszedł do siebie. Śmieci w dwóch sporych reklamówkach położył na podłodze w kuchni. Do kosza i tak by się nie zmieściły, a wynosić ich na podwórko nie miał siły ani czasu. Naprawdę czekało na niego niewyobrażalnie dużo zadań. Już od pierwszych dni nauki nauczyciele uwzięli się, żeby robić powtórki. Nie było to niczym niezwykłym w maturalnej klasie, ale już czuł zmęczenie, choć nie minął jeszcze nawet miesiąc od rozpoczęcia roku.

Zaklął pod nosem i poszedł do swojego pokoju. W całym domu panowała absolutna cisza, jakby wcale nikt w nim nie mieszkał. Pomyślał przez chwilę o mamie i jak zwykle w takich momentach poczuł się bardzo samotny. Wszedł do swojego pokoju i włączył jakąś płytę. Zrobiło się mu trochę lepiej, ale miał okropne wrażenie, że muzyką odgradził się od młodszego brata jeszcze bardziej i nie chciał nawet myśleć, jak to małe dziecko, pozostawione samo sobie, musi się teraz czuć.

\* \* \*

Leonard pochylił się nad parapetem, oparł się mocno dłońmi i opanowywał okropne uczucie, że chce mu się płakać. Po zdenerwowaniu nie było już ani śladu. Został tylko żal do samego siebie i okropne wyrzuty sumienia. Nie powinien był krzyczeć na Michałka. Tysiące razy obiecywał sobie, że już nigdy nie podniesie na niego głosu, ale potem nerwy puszczały i znów było tak samo. Awantura, łzy, i ta dręcząca myśl, że się zrobiło krzywdę własnemu dziecku.

Chłopcy nie byli niczemu winni. Po prostu ogarnięcie gospodarstwa domowego okazało się dla niego zadaniem niemożliwym do wykonania. Teraz nie mógł w to uwierzyć, ale kiedyś potrafił mówić swojej żonie, że mogłaby nie narzekać, bo przecież siedzi w domu i nie musi pracować. Wydawało mu się, że Lena ma w związku z tym mnóstwo czasu dla siebie. Sam wówczas był jeszcze zatrudniony w pracowni artystycznej świadczącej szeroki zakres usług i spędzał tam mnóstwo godzin koniecznych, jak mu się wtedy wydawało, do zamknięcia wszystkich projektów. Zajmował się aranżacją wnętrz dla szczególnie wymagających klientów. Było to dość dobrze płatne, ale trudne i stresujące zajęcie. Klienci najpierw opowiadali o swoich oczekiwaniach, a potem nierzadko zmieniali zdanie i jeszcze mu wmawiali, że to on źle coś zrozumiał. Nieraz wracał do domu skonany, marząc tylko o odpoczynku, i nie pojmował, o co żona ma pretensje.

W ciągu ostatnich tygodni dała mu skuteczną nauczkę. Wystarczył miesiąc z dziećmi i już nigdy nie wypowiedziałby takich słów. Podziwiałby żonę od świtu do zmroku, w nocy też.

A przecież wcześniej zdarzyło się, że siedział w domu. Kiedy niespodziewanie stracił pracę, całymi dniami błąkał się po pokojach. Kryzys dał się mocno odczuć w jego branży, bo ludzie w pierwszej kolejności zaczęli rezygnować z tego, co nie jest niezbędne do życia. Profesjonalne dekorowanie wnętrz u wielu znalazło się na ostatnim miejscu listy priorytetów. Miał wtedy wiele czasu, ale, wstyd się przyznać, nie poświęcił go rodzinie, lecz rozpamiętywaniu własnej trudnej sytuacji i szukaniu nowej koncepcji zawodowej. Słabo mu szło. Dopiero kiedy został sam z rachunkami, błyskawicznie znalazł zajęcie.

To było jakieś trzy miesiące po jego zwolnieniu. Lena wyjechała. Powiedziała, że ma dość. Że dłużej tego nie wytrzyma. Już po tygodniu bez niej

fala niewykonanych czynności zalała go, choć przecież starał się i wciąż walczył. Próbował żonie i samemu sobie udowodnić, że doskonale sobie radzi. Ale tak nie było.

Szafki z ubraniami momentalnie opustoszały, za to pralnia zapełniła się po brzegi tak, że niczego nie można było znaleźć. Brudne naczynia rozmnażały się w tajemniczy sposób, choć nikt niczego nie gotował. W lodówce świeże było tylko światło, a przez pokoje zawalone jakimiś gratami, które pojawiały się nie wiadomo skąd, trzeba było przechodzić, torując sobie drogę.

Leonard codziennie robił zakupy i sprzątał, ale jedyne, co osiągnął, to jako takie ogarnianie bieżących potrzeb. Chaos narastał.

Przyłożył czoło do chłodnej szyby. Czuł się bezradny. Nie był w stanie poświęcić całego popołudnia i wieczoru na domowe porządki, bo czekała na niego praca. Potrzebowali pieniędzy. Nie mógł sobie pozwolić na lekceważenie terminu, a już miał lekki poślizg. Powinien teraz pracować całymi dniami. Z drugiej strony musiał również wstawić pranie, bo chłopcy nie będą mieli co założyć do szkoły, oraz zejść do Michałka, wytłumaczyć mu swoje zachowanie i trochę z nim posiedzieć, żeby malec nie był ciągle sam. Powinien też umyć gary i porozmawiać z Danielem. Wybrać się wreszcie do tego głupiego liceum i wykrzyknąć dyrektorowi prosto w twarz, jaki to skandal, że uczeń, który siedzi w szkole od ósmej do piętnastej jak robotnik w fabryce, nawet po tylu godzinach nie może odpocząć, tylko przynosi do domu sterty zadań.

Powinien był zrobić to wszystko i jeszcze kilka rzeczy, ale na żadną nie miał czasu.

Uderzył pięścią w drewniany parapet. Najbardziej na świecie nienawidził tego okropnego poczucia bezsilności. A w ciągu ostatnich dni zmagał się z nim coraz częściej.

Zszedł po schodach na parter. Postanowił najpierw pójść do Michałka, cokolwiek miało się stać z jego pracą i pilnym projektem. Ale kiedy podszedł pod drzwi pokoju syna, usłyszał, że rozmawia przez telefon. Z mamą. Nie chciał słyszeć ani jednego słowa...

Wiedział, że nie zasłużył na nic dobrego.

\* \* \*

Kornelia otworzyła cicho drzwi rodzinnego domu i skierowała się w stronę schodów.

– Wróciłaś? – Usłyszała świdrujący głos mamy. – Gdzieś ty, dziecko, była tyle czasu? Dzwonię do ciebie od paru godzin, a twoja komórka nie odpowiada. Jak można nie naładować telefonu? Przecież gdyby coś ci się stało...

– Mamo, przepraszam cię, ale źle się czuję, idę do siebie – odpowiedziała Kornelia.

– No właśnie o tym mówię! – Mama stanęła w holu i przesywającym wzrokiem starała się przejrzeć każdą skrywaną tajemnicę swojego dziecka. Miało ono wprawdzie już trzydzieści lat, ale ten fakt na najbliższych członkach rodziny nie robił większego wrażenia. Najmłodsze dziecko w rodzinie często zbyt długo pozostaje niesamodzielne, a w tym przypadku ogólna niezaradność życiowa Kornelii i kłopoty z wagą sprawiały, że mama wciąż traktowała ją jak słabe pisklę, wymagające nieustannej opieki.

– Co ci jest? Gdzieś ty była? U kogo nocowałaś? – krzyknęła. – Podobno nie przyszłaś do pracy i zadzwoniłaś dopiero po trzeciej lekcji! Pani Marcinkowa opowiadała w sklepie, że takiego skandalu jeszcze w szkole nie było. I na dodatek miałaś rozmowę z rodzicem umówioną. Tyle lat pracuję w szkole, a nigdy nie odwołałam umówionego spotkania, nawet się nie spóźniłam, a ty...

– A ja owszem – odparła Kornelia i, ignorując zdumiony wzrok mamy, poszła na górę.

Poczuła niewypowiedzianą ulgę. Nie chciało jej się wierzyć, że po raz pierwszy w życiu przerwała swojej mamie i, co więcej, sprzeciwiła się jej. Dawno należało to zrobić.

Zamknęła drzwi pokoju na klucz, położyła się na wznak, starając się nie reagować ani na mocno szarpaną klamkę, ani na głośne krzyki rodzicielki. Nic już nie mogli jej zrobić. Powoli docierało do niej, że wszelkie życiowe zależności przestają nagle mieć decydujące znaczenie. I co z tego, że mama się obrazi? Co z tego, że rodzina będzie gadać? Co z tego, że podpadła w szkole? To wszystko jest niczym wobec perspektywy nieuleczalnej choroby.

Szkoda, że dopiero teraz to zrozumiałam. – Przeszyła ją bolesna myśl.

Ułożyła się wygodniej na miękkiej kanapie i natychmiast poczuła, jak zepchnięte przez wydarzenia dnia ponure myśli zaczynają krążyć wokół niej, z każdą sekundą zmniejszając odległość. Słowa lekarzy świdrowały jej mózg. Choroba, niejasne perspektywy i zagrożenie życia. Bez żadnych wyników badań i tak wiedziała, że sprawa jest poważna. Niektórzy po prostu tak mają... Zawsze pod górkę. Wstała i zaczęła szybko chodzić po pokoju. Mocno ścisnęła dłońmi skronie, starając się opanować natłok myśli, ale to nie pomogło. Najlepiej byłoby oczywiście mieć teraz towarzystwo, ale o tym chwilowo mogła zapomnieć.

Mężczyzna, w którym się zakochała, prawie wyrzucił ją za drzwi, a przyjaciółki nie miała.

Dlaczego? – zadała sobie pytanie, otwierając na oścież okno. Miała wrażenie, że za chwilę się udusi. Zaczerpnęła świeżego powietrza i bez trudu znalazła odpowiedź. Nie miała przyjaciół, ponieważ zawsze była zdania, że wszyscy patrzą na nią ze wstrętem i nikt nie będzie miał ochoty na bliższy kontakt. Oszczędzała więc znajomym niezręcznych sytuacji i odrzucała ich pierwsza, zanim zdążyli ją zranić.

Ale teraz była zdesperowana.

Do jasnej cholery – pomyślała z wściekłością. – Co to w końcu są za porządki, żeby kobieta przez całe życie nie miała nawet jednej marnej przyjaciółki! Przynajmniej to zdążę zrobić, zanim wszystko się skończy.

Wstała, otworzyła szafkę i wyciągnęła z samego dna przysypaną toną papierzyk fotografię z ostatniej studniówki organizowanej w jej szkole. Przyjrzała się uważnie wszystkim nauczycielom ustawionym starannie przez fotografa. Usiadła z powrotem na łóżku, podłożyła sobie pod plecy dwie poduszki, wzięła do ręki flamaster i zaczęła po kolei rozpatrywać kandydaty.

Do kogo można by zadzwonić? Kto spośród tych wszystkich osób mógłby mieć ochotę na spędzenie z nią wieczoru? Przyglądała się każdej twarzy po kolei. Pracowała z tymi ludźmi już kilka lat, ale nikogo tak naprawdę nie знаła. Kto mógł mieć wolny czas?

Wszyscy pewnie wolą siedzieć z rodziną, z dziećmi... – pomyślała.

Nagle jej wzrok zatrzymał się na twarzy nauczycielki geografii. Były prawie rówieśniczkami, tyle że Aniela Grabska miała już dwoje dzieci i męża za granicą.

Kto wie? – pomyślała zuchwale Kornelia. – Może warto zrobić pierwszy krok?

Nigdy wcześniej nie zdobyłaby się na to. Strach przed odrzuceniem, przed wyśmianiem powstrzymałby ją, zanim wykonałaby jakikolwiek gest. Ale teraz było jej wszystko jedno.

Najwyżej powie, że nie ma czasu – pomyślała, dziwiąc się niepomiarnie, że nigdy wcześniej na to nie wpadła.

Podniosła jedną z części narożnika, który w dzień służył do siedzenia, a w nocy do spania. W miejscu, gdzie wszyscy trzymają kołdry, ona miała swój tajny magazyn słodczy.

Dzieci Anieli chodziły do przedszkola, tyle o nich wiedziała. Z pewnością ucieszą się z jakiejś słodkiej przekąski. Powybierała najsmaczniejsze okazy, ułożyła równo w rzędzie i... zdecydowała się spróbować.

Wybrała numer i spoconą z nerwów dłonią z całej siły ścisnęła telefon.

– Słucham! – Usłyszała głos koleżanki na tle wyraźnego gwaru dziecięcych głosów.

– Cześć, mówi Kornelia. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Jesteś w domu? – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu.

– A gdzie może być matka przedszkolaków? – zapytała Aniela wesołym głosem. – Siedzę tu jak kołek w płocie i wyczekuję nocy, żeby się zabrać za poprawianie kartkówek i wypełnianie tych durnych kolumn Excela, które dyrektor kazał nam dostać na jutro.

– Mam dla ciebie przesyłkę. Mogę na chwilę przyjechać? – Kornelia uciekła się do podstępów.

– Pewnie, że możesz. A o co chodzi? Mam nadzieję, że to nie jakaś dodatkowa robota, bo na to naprawdę nie mam już siły.

– Skąd taki pomysł? To niespodzianka. Bardzo przyjemna. Za chwilę będę.

Rozłączyła się, żeby Aniela przypadkiem nie zdażyła zaprotestować i dziwić się głęboko, jak bardzo pewne rzeczy są proste, jeśli człowiek tylko spróbuje, zaczęła się pakować. Wyciągnęła papierową torbę i napełniła ją po brzegi batonikami, czekoladkami i żelkami. Nawet nie miała ochoty ich jeść. Podniecenie spowodowane zbliżającą się wizytą odsunęło chwilowo na bok wszystkie inne pragnienia.

Pobiegła do łazienki. Tusza ma swoje wymagania. Ciągłe trzeba brać prysznic, żeby zachować jako taką świeżość. Błyskawicznie się rozebrała i jak na nią całkiem ręczo wskoczyła do kabiny. Szybko się namydliła, spłukała, po czym ubrała w świeże ciuchy. Nie musiała się zastanawiać, co założyć. Miała w szafie wyłącznie czarne spodnie, czarne podkoszulki i także swetry. Jeden pasujący do drugiego, bo wszystkie prawie identyczne.

Zeszła na dół. Cichutko, skradając się na palcach jak złodziej, przeszła przez salon i otworzyła lekko uchylone drzwi tarasowe. Wyszła na zewnątrz niezauważona. Z kuchni dobiegał ją monolog mamy relacjonującej najnowsze wydarzenia mężowi spożywającemu kolację.

– Wiesz, że ona zawsze była trudna... – Dobiegł ją jeszcze ostatni komentarz rodzicielki. – Najtrudniejsza z naszych dzieci.

\* \* \*

Aniela mieszkała w szeregowce na nowym osiedlu, stojącym póki co



w szczerym polu. Deweloper obiecał wprowadzić zbudować całą infrastrukturę wokół: sklepy, plac zabaw, aptekę, ale odkąd sprzedał większość lokali, stracił natchnienie do dalszej działalności.

Kornelia z trudem zaparkowała na wąskim podjeździe. Furtka była otwarta, na trawniku leżał porzucony dziecięcy rowerek. Przed wejściem zobaczyła dwa wiaderka wypełnione zabawkami do piasku. Poczowała mocną treść.

To chyba nie był dobry pomysł – pomyślała. Oczywiście wyobraźni już widziała wszystkie możliwe scenariusze spotkania. Każdy z nich był dość przykry. Stała chwilę przed drzwiami, zanim wreszcie odważyła się zadzwonić.

– Cześć! – Aniela Grabska przywitała się serdecznie, choć z pewnym dystansem. Przyglądała się gościowi badawczo i widać było, że jest ciekawa, jaki jest powód wizyty.

– Cześć. – Kornelia weszła do środka i pochyliła się, by zdjąć buty, choć gospodyni deklarowała, że to naprawdę nie jest konieczne, a następnie wzięła przeznaczone dla gości pantofle.

Dzieci przybiegły oczywiście za mamą i z ciekawością wpatrywały się teraz w gościa. Kornelia przyjęła ich obecność z wielką ulgą. Gwarantowały jeszcze przynajmniej dwie minuty bezpieczeństwa. Wyciągnęła przed siebie papierową torbę.

– To dla was – powiedziała. – Oczywiście jeśli mama pozwoli – zreflektowała się i cofnęła rękę. Trochę zbyt późno, bo dzieci, które zdążyły już zajrzeć do środka, wygięły usta w podkówki i spojrzwały na mamę ze smutkiem tak bezbrzeżnym, że nawet zestresowana Kornelia musiała się uśmiechnąć.

– Możecie. – Aniela poddała się bez walki. – Tylko, proszę, nie wszystko naraz.

Dzieci podziękowały radośnie i pobiegły na kanapę. Tam wysypały całą zawartość i zajęły się trudnym procesem sprawiedliwego podziału.

– Masz bardzo grzeczne dzieci – przyznała Kornelia szczerze.

– Dzięki – rozpromieniła się Aniela. – Siadaj, zrobię ci coś dobrego do picia, ciasta wprowadzić żadnego nie mam...

– Nie trzeba – przerwała jej Rudnicka. – Wystarczy herbata.

Aniela poszła na chwilę do kuchni. Jej synek i córeczka częstowali się nawzajem żelkami ze swoich paczek, choć były one identyczne. Radio grało cicho jakąś wesołą melodię, stojąca w rogu duża żółta lampa dawała przyjemne światło. W tym domu czuło się wyjątkową atmosferę i Kornelia z ciekawością rozejrzała się wokół, jakby chciała znaleźć wyjaśnienie tego faktu w specjalnym umeblowaniu czy dekoracjach. Pokój był zupełnie zwyczajny. Za to uśmiech Anieli, która weszła właśnie z tacą, absolutnie wyjątkowy.

Przez krótką chwilę rozkładały filiżanki, słodziły, mieszały i komentowały smak napoju. W końcu jednak zapadła cisza i Kornelia nie mogła już dłużej czekać.

Musiała szybko wymyślić jakiś pretekst do tej wizyty.

Marzyła o tym, by posiedzieć w tym ciepłym, wesołym wnętrzu jeszcze chociaż kilka minut. Starła się, mocno wysilała swój nawykły do znajdowania wykrętów mózg, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy.

Bezradnie spojrzała na dzieci, które chyba wyczuły niezręczną atmosferę, bo na chwilę zamilkły i, przeżuając w skupieniu żelki, wpatrzyły się wyczekująco w koleżankę mamy.

– No dobrze – poddała się Kornelia, zmęczona jak po maratonie. – Przyznam ci się. Nie mam żadnej niespodzianki. Przyszłam do ciebie, bo już nie mogłam wytrzymać sama w domu.

Spojrzała na swoje złożone na kolanach dłonie i zaczęła się podnosić do wyjścia.

– No i bardzo dobrze zrobiłaś! – ucieszyła się Aniela. – Ja bym też siedziała sama jak palec, a razem prędzej coś fajnego wymyślimy. Szukaliśmy właśnie z dziećmi czwartego gracza do chińczyka. Prawda, kochani?

– Tak, tak! – krzyknęły dzieciaki i pobiegły po planszę do gry.

– Lubisz? – zapytała Aniela.

– Nie mam pojęcia, bo nigdy nie grałam. Ale spróbuję z wielką ochotą.

To był jednak dzień cudów. Prostych, ale pięknych. Już dwa razy ktoś jej dzisiaj powiedział: „tak”. W pierwszym przypadku nie obyło się to bez wzmożonego wysiłku, w drugim poszło łatwo.

Życie może być lepsze – uświadomiła sobie. – Obym tylko zdążyła skorzystać z tego wniosku.

Na piętrze dzieciaki śmiały się głośno, ich mama robiła rumor, wrzucając jakieś zabawki do pudełka. Było wesoło, ale Kornelia czuła ogromny smutek i żal do samej siebie, że zmarnowała tyle lat.

\* \* \*

Po dziewiątej wykąpane dzieci leżały już w swoich łóżeczkach, ucałowane nie tylko przez mamę, ale także przez nową ciocię Kornelię, która okazała się świetną towarzyszką zabaw. Kiedy w domu zapadła już miła wieczorna cisza, Kornelia z Anielą zajęły się wypełnianiem wymaganych przez dyrektora tablelek.

We dwie uporały się z tym sprawnie i szybko. Ponarzekały przy okazji na męczącą i nikomu niepotrzebną biurokrację i od razu poczuły się odprężone.

Kornelia zakładała właśnie buty w przedpokoju, a Aniela szeptem opowiadała jej różne anegdoty o swoich macierzyńskich doświadczeniach. Śmiały się, zatykając sobie dłonią usta, żeby nie wywabić dzieci z ciepłych łóżek.

Nagle Kornelia wyprostowała się i tknięta niespodziewanym impulsem zwierzyła się z prawdziwego powodu wizyty.

– Jestem chora – powiedziała cicho.

– Rozumiem. – Aniela pokiwała głową. – To stąd ta nagła zmiana. Cały czas się zastanawiałam, co się stało.

– Bardzo widać?

Koleżanka nie odpowiedziała, ale Kornelia sama się domyśliła. Dotąd nie lubiła ludzi i z góry zakładała, że oni też za nią nie przepadają. To z pewnością było widoczne.

– Tak bardzo cię przepraszam, pewnie się czujesz wykorzystana. Przyszłam, bo potrzebowałam pomocy.

– Nie, skąd. – Uśmiech Anieli sprawiał szczere wrażenie. – Było bardzo fajnie – dodała. – Żałuję tylko, że dopiero teraz dałaś szansę się poznać. Na co dzień stwarzasz wokół siebie barierę nie do pokonania.

– No cóż, czasem człowiek zbyt późno przekonuje się, jaki jest głupi.

– Jest aż tak źle? – zapytała koleżanka.

– Tak. – Kornelia kiwnęła głową i poczuła, jak łzy podchodzą jej pod powieki. Sprawa była bardzo poważna, coraz mocniej zdawała sobie z tego sprawę.

– Robiłaś już badania? Masz pewność?

– Nie mam jeszcze wyników – odparła. – I powiem ci szczerze, chyba wcale ich nie odbiorę. Po co mam wiedzieć? Żeby sobie zatruć może ostatni rok życia leczeniem, które zrobi ze mnie wrak człowieka, a i tak nie pomoże?

– Musisz odebrać wyniki! – powiedziała Aniela stanowczo. – Dopiero wtedy możesz próbować podjąć decyzję, co dalej. Przede wszystkim trzeba wiedzieć, jak jest naprawdę. Może nie będzie tak źle...

– Może. – Kornelia nie sprawiała wrażenia specjalnie przekonanej. – Ale sama wiesz najlepiej, że bywa też inaczej. Jak u naszych wspólnych znajomych: Andrzeja, Marysi, Julka...

– Słuchaj – przerwała Aniela. – Obiecuj mi, że odbierzesz te wyniki i dopiero potem będziesz się martwić. To się należy mnie i moim dzieciom.

– Słucham? – zdumiała się Kornelia.

– Dokładnie tak. Co ty sobie myślisz? Przyszłaś tutaj, pokazałaś, jaka potrafisz być miła i potrzebna, a potem chcesz zniknąć tak po prostu, bez walki? Zapomnij. Nie chcę nawet o tym słyszeć. Jak tylko dostaniesz wyniki, ustalimy, co dalej. A jutro zapraszam cię na kolację.

– Nie wiem, czy do jutra nie zmienisz zdania – uśmiechnęła się nagle Kornelia. – Będiesz mi kibicować, nawet jak usłyszysz, że zesłam na złą drogę?

– A co? Dowiedziałaś się, że zostało ci niewiele czasu i zatrudniłaś się w jakiejś agencji? – roześmiała się. – Albo rzucasz pracę i ruszasz w podróż na koniec świata?

– Nie, ale zrobiłam coś równie szokującego. Dowiesz się wcześniej czy później.

– Uważaj na siebie. – Aniela spoważniała. – Znałam kiedyś pewnego mężczyznę, to było kilka lat temu. On też usłyszał brutalną diagnozę, że zostało mu pół roku życia. Zwolnił się z pracy, sprzedał dom i zaczął szaleć. Przewidywania lekarzy się nie sprawdziły, żyje do dziś i ciągle nie może się pozbierać. Wciąż spłaca długi po swoich pożegnalnych imprezach.

Kornelia uśmiechnęła się.

– Dzięki. Masz rację. Będę ostrożna. Domu nie sprzedam, bo go nie mam. Natomiast co do zejścia na złą drogę, to już jest za późno. Podjęłam decyzję. Będę pracować u Kordasa. Jako pomoc domowa – uściśliła.

– Co takiego? – Aniela najwyraźniej ta wiadomość zszokowała stokroć bardziej niż ewentualność zatrudnienia w agencji towarzyskiej. W rzeczy samej była chyba mniej prawdopodobna. – Dali ci w szpitalu jakieś leki? Może ty nie jesteś sobą. Nie powinnaś chyba prowadzić w tym stanie samochodu.

– Niezły początek – uśmiechnęła się Kornelia. – Wygląda na to, że naprawdę stanę się sensacją miesiąca. O ile oczywiście Kordas do jutra się nie rozmyśli i nie wyrzuci mnie za drzwi.

– Ale co się dokładnie stało? Nie wracasz do pracy? Naprawdę?

– Na razie nie. Dostałam dwa tygodnie chorobowego, mam sporo różnych skierowań i zalecenia, by odpocząć. Postanowiłam dobrze wykorzystać ten czas. To praca społeczna, z minimalną pensją, którą ustaliłam, ale i tak nie wezmę ani grosza, bo nie o to chodzi. Opowiem ci o szczegółach następnym razem, bo to dłuższa historia, a zrobiło się późno. Trzymaj za mnie kciuki, jutro zacznę.

– No dobrze – odparła oszołomiona Aniela.

Pożegnały się i Kornelia wyszła na zewnątrz. Było już zupełnie ciemno, chłodny wrześnieowy wiatr unosił zeschnięte liście. Zacisnęła mocniej pasek swetra i z przyjemnością wciągnęła w płuca rześkie powietrze. Życie człowieka, który ma na świecie choć jednego przyjaciela, ma zupełnie inny smak. Nawet perspektywa kolejnych badań, stresującego czekania na wyniki i wyroku, jaki może usłyszeć, nie wydawała się już tak beznadziejna. Nadal było to bardzo trudne, ale przynajmniej nie musiała w kółko o tym myśleć.

## ROZDZIAŁ 5

---

---

Po wyjątkowo emocjonującym dniu spała mocno i długo. Budzik był wyłączony, zasłony gwarantowały miły półmrok i nic nie zakłócało odpoczynku. Jednak ledwo otworzyła oczy, wszystko jej się przypomniało. Strach zaatakował z całej siły. Musiała za wszelką cenę znaleźć sobie inny temat do rozmyślań. Bała się, że oszaleje od tego czekania na wynik badań.

Od tej feralnej środy zdecydowanie nie była sobą. Diagnoza lekarza, a potem pobyt w szpitalu mocno nią wstrząsnęły. Jedna nieprzemyślana decyzja o podwieszeniu dziecka do domu, którą podjęła pod wpływem niekontrolowanych emocji, wywołała lawinę kolejnych zdarzeń, jakie normalnie nie miałyby prawa zaistnieć w jej życiu.

Była przekonana, że Kordas nie potraktował poważnie jej propozycji i absolutnie się nie spodziewa, że ona naprawdę pojawi się dzisiaj w jego zabałaganionej kuchni, by podjąć swoje obowiązki. Szczerze powiedziawszy, nie

miała nawet pojęcia, co by do nich należało. Co właściwie miała robić? Prać skarpetki swojemu uczniowi i jego ojcu? Myć im toaletę? To nie wchodziło w grę. Pewnie stałoby się jednakowo krępujące dla obu stron.

Najlepiej byłoby puścić całe zajście w niepamięć i udawać, że nic się nie stało. Leonard z pewnością nie będzie się dopominał o dotrzymanie umowy. Do końca roku szkolnego spotkają się może jeszcze kilka razy, a potem Daniel zda maturę i zniknie z jej życia wraz ze swoim ojcem.

Problem polegał na tym, że wcale nie chciała, by Leo zniknął z jej życia. Woląca stracić twarz, przełknąć kolejne upokorzenie, byle tylko znaleźć się znów w jego domu. Udawać przez krótki czas, że to także jej świat. Porozmawiać, poczuć smak prawdziwego życia, nawet jeśli było ono cudze i nigdy tak naprawdę nie miało stać się jej udziałem. Naje się wstydu, co do tego nie było wątpliwości. Ale jakie to miało teraz znaczenie? A jeśli drugi raz taka okazja się nie nadarzy?

Postanowiła spróbować bez względu na to, jak bardzo absurdalne było to postępowanie. Zapaliła silnik i wyjechała z parkingu. Bała się skandalu, ludzkiego gadania i reakcji matki, ale z drugiej strony miała poczucie, że gdyby wcześniej zdecydowała się podjąć choć jedną odważną decyzję, dzisiaj jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

\* \* \*

Leonard zawiózł chłopców do szkoły i z ulgą wrócił do pustego domu. Ziewał jak krokodyl, bo zarwał noc, żeby choć trochę nadrobić zaległości. Najchętniej poszedłby teraz spać, bo organizm z całej siły próbował go zmusić do poddania się temu rytmowi, z którym funkcjonował przez całe lata. W pracowni, w której był zatrudniony, godziny pracy były umowne, ważne żeby każdy projekt został zakończony w terminie. Pracował więc nocami, spał do południa, potem dopiero jechał do biura. Tam siedział do późna i tak w kółko.

Teraz rozumiał, że jego żona, pozostawiona całymi dniami sama ze wszystkimi obowiązkami, mogła mieć słuszne pretensje. Wtedy wydawało mu się, że czepia się bez sensu, bo przecież pracuje dla dobra rodziny i utrzymuje dom na przyzwoitym poziomie. Dziś już wiedział, jak bardzo w każdej rodzinie potrzebne są dwie pary rąk i współpraca. Ile drobiazgów, terminów i wydatków trzeba

zaplanować, żeby wszystko właściwie funkcjonowało. Ale nie miał ze swojej bolesnej lekcji życiowej żadnego pożytku. Lena się wyprowadziła i teraz to on został ze wszystkim sam. Każda próba rozmowy z żoną jak na razie kończyła się soczystą kłótnią.

Leonard zajrzał do kuchni i, starając się omijać wzrokiem bałagan, wyciągnął z chlebaka ostatnią bułkę, po czym otworzył lodówkę. To było naprawdę nie do uwierzenia. Jeszcze wczoraj przywiózł do domu pełne siatki zakupów, a dzisiaj w lodówce widniały tylko zeschnięte resztki sera z zeszłego tygodnia i jedna nędzna parówka. Wziął ją do ręki, obrał z folii i zjadł na zimno, zagryzając bułką. Zaparzył sobie mocną kawę, po czym poszedł do pracowni. O obowiązkach domowych, zbliżającym się sobotnim weselu, do którego wszyscy byli kompletnie nieprzygotowani, postanowił pomyśleć po południu.

Chłopcy wyszli już do szkoły. Daniel odprowadził młodszego brata i w domu panowała cisza.

Teraz najważniejsze było, żeby wykorzystać godziny spokoju na skończenie projektu. Potrzebował pilnie pieniędzy.

Odkąd stracił pracę, życie także pod względem finansowym stało się trudniejsze. Pieniądze wypływały z domu tysiącem tajemniczych kanałów. Nie umiał tego zanalizować. Kiedyś jego pensja, którą gospodarowała Lena, wystarczała na wszystko. Teraz wciąż żył w strachu, że bankomat odmówi współpracy i nie będzie czym zapłacić w sklepie. Nie przejmowałby się tym specjalnie, bo dobrze jeszcze pamiętał studenckie czasy, kiedy żyło się z dnia na dzień, czy pierwsze lata małżeństwa upływające pod znakiem wiary, że artysta może się utrzymać ze swojej pracy, co w praktyce oznaczało klepanie biedy. On sam nie miał wielkich wymagań, ale o ile bieda w pojedynkę lub we dwoje może być jeszcze romantyczna, to z dziećmi jest już tylko przykra.

Wnętrze pracowni pachniało drewnem i mokrą farbą, a także zmieszonym aromatem rozpuszczalników, gruntów i smarowideł. Ten zapach był mu niezbędny do życia prawie tak samo, jak powietrze. Dawał spokój i umożliwiał skupienie. Miał też dar przywoływania weny.

Leo położył na parapecie swoją szatańsko mocną kawę, spojrział tęsknie na stojący w kącie, przykrytą prześcieradłem obraz, którego wiecznie nie miał czasu dokończyć, i zabrał się za dopieszczanie ornamentu z róż na ogrodowej ławce. Dobrze, że przynajmniej klientka nie przedstawiła własnego kiczowatego projektu, do którego musiałby się dostosować, gwałcąc swoje poczucie artystycznego smaku, tylko dała mu swobodę działania. I choć zdawał sobie sprawę, że to tylko ławka, zwykle rzemieślnictwo, chałtura, i jego ambicja artystyczna mocno z tego powodu cierpiała, poczuł wyraźną, dobrze znaną przyjemność, kiedy wziął dłuto do ręki i pogładził jasny kawałek drewna. Już po chwili zapomniał o całym świecie...

\* \* \*

Punktualnie o dwunastej trzydzieści Kornelia stanęła pod szkołą podstawową. Uznała, że to stosowna pora, by rozpocząć swoje obowiązki. Przeczekała cierpliwie przelewającą się we wszystkie strony falę rodziców i po kilku dobrych minutach weszła do środka. Zgodnie z przewidywaniem na opustoszałym korytarzu zastała tylko Michała i panią sprzątaczkę.

– Chodź – powiedziała do niego cicho, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Nagle pożałowała, że nie zabrała chłopca wcześniej, kiedy tłum rodziców ułatwiał dyskretne załatwienie sprawy.

– Nie mogę – zaprotestował Michał, a jego głos poniósł się daleko po pustym korytarzu. Sprzątaczką odwróciła głowę, a z otwartych drzwi sekretariatu wyrzwały dwie kobiety. Jedna natychmiast do nich podeszła.

– Dzień dobry. Anna Malinowska – przedstawiła się. – Jestem wychowawczynią Michała. Pani chciałaby go zabrać do domu? – zapytała, a zdziwienie ledwo mieściło się w jej szeroko otwartych oczach.

– Tak – potwierdziła Kornelia odważnie. – Od dzisiaj jestem jego opiekunką.

– Ach! – Nauczycielka zdumiała się jeszcze bardziej, a policzki mocno jej poczerwieniały. Najwyraźniej знаła Kornelię, jak wszyscy w miasteczku, i w żaden sposób nie potrafiła tej nowej informacji pogodzić z rzeczywistością. – Nic o tym nie wiem. Tata Michałka nie wspomniał o tym. Rano przyprował chłopca brat. Znasz tę panią – zwróciła się do chłopca.

– Tak – przyznał niechętnie. – Wczoraj to właśnie ona mnie odebrała – poskarżył się.

– Otóż to. – Twarz nauczycielki przybrała surowy wyraz. – Nie wolno odbierać siedmiolatków bez zgłoszenia tego faktu wychowawcy czy innemu opiekunowi – dodała po chwili, przypomniawszy sobie, że przecież nie było jej już wtedy w szkole. – Pani z pewnością to rozumie.

– Ależ oczywiście – łagodziała Kornelia, zdając sobie sprawę z tego, że już co najmniej kilka osób przysłuchuje się ich rozmowie. Szkoła tylko sprawiała wrażenie pustej. – To się więcej nie powtórzy.

– Znam panią, więc wyjątkowo wyrażam zgodę, ale jutro rano porozmawiam z panem Kordasem – oświadczyła niechętnie nauczycielka, na co Michał z równie



małym entuzjazmem oderwał się od ściany i ruszył za Kornelią.

Wychowawczyni została na korytarzu. Wiedziała, że nie było to wszystko do końca zgodne z zasadami, ale żal jej się zrobiło małego. Pewnie znów by siedział długo pod szkołą, czekając na ojca, który, zatopiony w pracy, zapominał o całym świecie, a co najgorsze nie odbierał telefonów. Lubiła Michałka i współczuła mu. Początkowo nawet kibicowała jego mamie, bo domyślała się, dlaczego odeszła od męża, ale kiedy mijały dni, a pani Lena nie wracała do dzieci, zaczęła być na nią zła.

Odprowadziła wzrokiem Kornelią Rudzką, nie mogąc się nadziwić temu nietypowemu układowi. Normalnie od razu pomyślałaby, że Kordas ma romans, i za nic nie oddałaby dziecka jego kochance. Ale Rudzka i Leonard? To było tak nieprawdopodobne, że nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłoby być prawdziwe. Nie знаła drugiego tak zabójczo przystojnego mężczyzny ani drugiej tak bardzo pozbawionej seksapilu kobiety.

Zatrudnił ją po prostu jako opiekunkę do dzieci – zawyrokowała. – Innego wytłumaczenia nie ma.

\* \* \*

– Tata wie o wszystkim? – zapytał Michałek, kiedy wyszli ze szkoły.

– Oczywiście – odparła Kornelia pewnym głosem.

Chłopiec westchnął tylko, po czym powlókł się za nią w stronę samochodu, ciągnąc za sobą plecak.

– Może go założysz na ramię. – Nie wytrzymała Kornelia. – Przecież całkiem się zniszczy.

Mały wyduł usta, ale zarzucił posłusznie plecak. Wyraźnie obrażony wsiadł do samochodu.

Jadąc w stronę domu Kordasów, zastanawiała się nad ewentualnym obiadem. O gotowaniu nie miała pojęcia. Mama nigdy jej nie dopuszczała do garnków i jedynym, co Kornelia miała okazję samodzielnie przyrządzić, była kanapka z nutellą. Umiała piec pyszne ciastka, ale nawet ona miała świadomość, że to słaba propozycja na główny posiłek dla dzieci. Postanowiła na początek mało ambitnie zamówić pizzę, o ile oczywiście cokolwiek uda jej się zdziałać, zanim impulsywny

Leonard Kordas wyrzuci ją ze swojego domu.

Wczoraj był trochę skołowany, nie umiał odnaleźć się w niezręcznej dla niego sytuacji, bo przecież wizyta wychowawczyni dziecka jest najczęściej powodem do stresu dla rodzica, ale do dzisiaj z całą pewnością ochłonął i kto wie, w jaki sposób da temu wyraz. Na kolejną odsiecz ze strony ekscentrycznej Adeliny nie liczyła. Drugi raz ten sam patent nie przejdzie, a poza tym wcale nie miała ochoty widzieć tej kobiety. Usłyszane wczoraj słowa wciąż nieprzyjemnie huczały jej w uszach.

Ludzie, którzy udzielają innym nieproszonych rad, powinni być odizolowani od reszty społeczeństwa – pomyślała.

Słowa Sokołowskiej boleśnie wracały do niej przez cały wieczór. Te wszystkie, które zostały głośno wypowiedziane, ale także te, które tylko logicznie wynikały z całego wyводу. Na przykład, że Kornelia w znacznym stopniu sama jest sobie winna. Trzęsa się ze złości na samo wspomnienie i... po raz pierwszy w życiu zasnęła tej nocy bez porcji zjedzonych wcześniej słodczy. Nie mogła wziąć niczego do ust, choć żołądek skręcał się boleśnie. Zacisnęła zęby na poduszce i jakoś doczekała nadejścia litościwego snu, który zabrał ją w krainę zapomnienia, gdzie wszyscy są szczupli i szczęśliwi.

Zaparkowała na podwórzu i z duszą na ramieniu weszła do środka. Michał natychmiast poszedł do swojego pokoju, jakby chciał zademonstrować, że nie zamierza mieć z całą sprawą nic wspólnego. Kornelia stanęła w przedpokoju, czując się bardzo niezręcznie. W końcu przełamała opór i weszła do kuchni. Położyła swoją torebkę na jedynym wolnym krześle i podeszła do zlewu. To było najprostsze.

Umyć brudne gary potrafi nawet największa sierota – pomyślała optymistycznie i postanowiła zacząć od posprzątania kuchni. I tak nie miała lepszego planu na dzisiejszy dzień. Co mogła robić? Siedzieć w idealnym domu swoich rodziców, gdzie nie miała żadnych obowiązków i czuła się zupełnie zbędna? A może tkwić w swoim pokoju w towarzystwie batonów, chipsów i łzawych filmów? Żadna z tych opcji zupełnie jej nie kusila. Podobnie jak spędzanie dnia na rozmyślaniu o chorobie. Woląca zrobić coś pożytecznego. Tutaj, w tym pomieszczeniu, z pewnością była potrzebna, a każda wykonana czynność miała sens.

Myła powoli naczynia, potem układała je w szafkach, ścierała blaty i zamiatała podłogę. Zdołała nawet wypucować okno, choć wejście na parapet kosztowało ją niemało wysiłku. Po dwóch godzinach zmęczona usiadła z ulgą przy czystym stole i obrzuciła wnętrze kuchni zwycięskim spojrzeniem. Była z siebie naprawdę dumna. Wyobrazila sobie Leonarda, jak staje zaskoczony w progu, a następnie z podziwem i wdzięcznością dziękuje Kornelii za jej trud.

W tym samym momencie, jakby ściągnięty jej myślami, w kuchni pojawił

się gospodarz domu. W dłoniach trzymał pusty kubek, a na jego twarzy malowały się zdumienie oraz wściekłość.

– Co pani tu, do jasnej cholery, robi?! – krzyknął, w mgnieniu oka burząc jej sielankowe wizje. – Jakim prawem nieustannie nachodzi mnie pani w moim domu?

– Przecież rozmawialiśmy wczoraj... – próbowała się tłumaczyć Kornelia.

– Proszę dać sobie spokój – przerwał jej Leonard. – Co to w ogóle za głupie gadanie? Ani pani tego nie proponowała na poważnie, ani ja się na serio nie zgodziłem. Przytaknałem, bo tak się postępuje wobec nauczycieli, kiedy się już człowiekowi nie chce dyskutować. Nie potrzebuję pomocy w domu, a nawet gdyby tak było, jest pani ostatnią osobą, której kandydaturę brałbym pod uwagę. Proszę wybaczyć, ale mam tego wszystkiego dość. O różnych absurdach słyszałem, ten jednak przekracza wszelkie wyobrażenie.

Kornelia westchnęła.

– Niech pan się uspokoi – powiedziała. – Będzie, jak pan zechce. Proszę tylko dać mi szansę, żebym się mogła wytłumaczyć.

Wstała i zamknęła drzwi kuchni, a Leonard, jeszcze przed sekundą wzburzony i stanowczy, przez ułamek sekundy wyglądał tak, jakby się lekko wystraszył.

– Nie chciałabym, żeby dzieci słyszały – usprawiedliwiła się Kornelia. – Powiem panu prawdę. To rzeczywiście wyjątkowa sytuacja. Normalnie nigdy bym tego nie zrobiła, dlatego rozumiem pana zdziwienie.

Splotła dłonie na stole i chwilę zbierała siły, by mówić dalej. Leonard milczał. Stał oparty o zlew, patrzył na nią uważnie i czekał.

– Jestem chora – powiedziała Kornelia cicho. – Nie wiem jeszcze dokładnie, jak bardzo mój stan jest poważny, ale prawdopodobnie nie pozostało mi wiele czasu. Dowiedziałam się o tym wczoraj. To dlatego zabrałam Michałkę spod szkoły. Byłam w szoku i działałam impulsywnie. Jest to też przyczyna, dla której chcę u pana pracować. To nie potrwa długo, być może tylko tydzień. Bardzo proszę, żeby się pan zgodził.

Kordas milczał. Obie dłonie mocno zaciskał na kuchennym blacie, a kostki policzkowe białały mu wyraźnie pod napiętą skórą. Bił się z myślami. Nie chciał tej kobiety w swoim domu, czuł nieprzewyciężony opór i zupełnie sobie nie potrafił wyobrazić, że to wszystko mogłoby dojść do skutku. Patrzył jednak na nauczycielkę siedzącą z opuszczonymi ramionami przy jego stole i nie mógł się zdobyć na to, by jej o tym powiedzieć.

Zasadniczo nie miał problemów z asertywnością. Mówił, co myślał, a często nawet zanim zdążył pomyśleć, ale teraz stał i jedno proste słowo „nie” utknęło mu w gardle. Nie mógł znaleźć żadnego dobrego pretekstu, żeby się z tej niezręcznej sytuacji wykręcić. Milczenie wisiało chwilę w zamkniętym pomieszczeniu, aż przerwał je odgłos odsuwanej krzesła. Kornelia wstała.

– Rozumiem – powiedziała cicho. – Proszę się nie przejmować, do odmowy jestem przyzwyczajona. Nie będę się panu więcej narzucać i... bardzo przepraszam za wszystko.

Wyglądała jak kupa nieszczęścia. Dokładnie tak. Wielka, zwalista, czarna hałda rozpaczy.

– Proszę zaczekać. – Wyrwało się Leonardowi spontanicznie.

Kornelia spojrzała na niego z taką nadzieją w oczach, że skapitulował, a z jego piersi wydostało się pełne rezygnacji długie westchnienie.

– Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo pani na tym zależy, ale jeśli to miałyby być tylko tydzień, to może coś udałoby się to zorganizować. Uprzedzam jednak, że ludzie zjedzą panią z butami i czapką. Plotek nie unikniemy.

– Nie interesuje mnie to – powiedziała stanowczo i poczuła, że mówi prawdę. – Tylko że pewnie dotknie to także pana – zreflektowała się.

– O mnie proszę się nie martwić. – Leonard machnął dłonią. – Nie mam zbyt wiele do stracenia. I tak nie cieszę się zbyt dobrą opinią w okolicy.

– W takim razie umowa stoi, szefie – roześmiała się Kornelia z głębi serca. – Zaparzę herbatę, usiądziemy sobie na waszym pięknym ganku i porozmawiamy o szczegółach. A na obiad będzie pizza, ja stawiam. Właśnie miałam złożyć zamówienie, więc od razu niech pan powie, jaką lubi najbardziej.

– Dobrze – zgodził się po raz drugi tego dnia, choć do każdego wypowiedzianego przez Kornelię zdania miał co najmniej dwie wątpliwości.

Kobieta szybko włączyła czajnik i podała Leonardowi ulotkę z pizzerii.

– Dla mnie i Daniela wezmę z kurczakiem, a dla Michałka z ananasem – zdecydował szybko i sprawnie. – A dla pani?

Kornelia zawahała się, ale szybko pokonała odruch, by honorowo odmówić, i zdecydowała się na margheritę z podwójnym serem. Leonard nie skomentował tego ani słowem i szybko złożył zamówienie.

Herbata akurat się zaparzyła, wzięli więc swoje kubki i wyszli razem na taras. Ogród, lekko już podkoloryzowany jesiennymi barwami, łagodnie kołysał się w promieniach słońca. Było idealnie. Usiedli, ale Leonard szybko wstał i wrócił do kuchni po zapomnianą cukierniczkę.

Kornelia została sama. Spojrzała na ogród i poczuła, że jest szczęśliwa. Wszystko wyglądało tak, jak to sobie wymarzyła. Przytulny dom, słoneczny ganek, męczyzna życia i dwoje dzieci, które potrzebowały jej opieki...

– Nigdy nie wędruj cudzymi ścieżkami. – Wyrwał ją z zamyślenia stanowczy głos.

Niech to diabli – pomyślała Kornelia i natychmiast straciła dobry nastrój.

Po trzech drewnianych stopniach dostojnym krokiem weszła na ganek Adelina. Oczywiście musiała się pojawić. Perfekcyjny niszczyciel każdej dobrej chwili. Dziś, w dżinsach ładnie leżących na biodrach i czarnym podkoszulku,

wyglądała jeszcze lepiej niż wczoraj. Pod szyją zawiązała kolorową apaszkę. Włosy spięte w kok i idealny makijaż dopełniły całości.

Pani Sokołowska usiadła, choć nikt jej tego nie zaproponował, i spojrzała na Kornelię.

Ta z najwyższym trudem powstrzymała się od zgrzytnięcia zębami.

– Nie rozumiem. – Pokręciła głową.

– Rozejrzyj się wokół. Widzisz ornament na balustradzie? – zagadnęła Adelina.

– Widzę, bardzo piękny.

– Przyjrzyj się lepiej. Śmiało! Z pewnością rozpoznajesz, co to jest, prawda?

Kornelia wstała, podeszła bliżej i pogładziła z czułością drewno pięknie ozdobione zapewne ręką Leonarda.

– Jakies kwiatki, chyba fiołki, o ile się znam – powiedziała niechętnie.

– Zgadłaś – uśmiechnęła się lekko Adelina. – Są wszędzie. Domyślasz się, dlaczego?

– Jasne! Pewnie żona Leonarda je lubi. – Strzeliła w ciemno Kornelia i zrobiło jej się okropnie przykro. Dlaczego ta kobieta uparła się, by wyciągać na światło dzienne każdą jej tajemnicę tylko po to, by ją wydrwić? To przecież była tylko niewinna zabawa i nikomu nic do tego. – Ale dlaczego pani mi to mówi? – zapytała z oburzeniem. – O ile dobrze pamiętam, obiecała się pani nie wtrącać.

– Ja tylko wygłosiłam pewną myśl. To ty poprosiłaś o wyjaśnienie.

Kornelia obiecała sobie solennie nigdy już o nic nie pytać.

– Ten dom, mąż i dzieci należą do Leny i ona wcześniej czy później na pewno tu wróci, a ciebie stać na własne życie.

Leonard, który ukazał się w końcu z cukierniczką w dłoni i wybawił Kornelię od konieczności udzielenia odpowiedzi, wydał jej się jeszcze piękniejszy niż zwykle. Odetchnęła z ulgą. Może teraz ta okropna kobieta znajdzie sobie inny temat do rozmowy.

Kordas jak zwykle rozpromienił się na widok Adeliny i stracił na chwilę swój marsowy, lekko zaszępiiony wygląd, który przybierał zawsze w obecności wychowawczyni swojego syna.

– Cześć! – Przywitał się serdecznie i ucałował Adelinę w oba policzki, a Kornelii na ten widok boleśnie ścisnęło się serce. – Co słychać?

– Przyszłam do ciebie po poradę.

– O! – ucieszył się Leonard. – To przynajmniej raz role się odwrócą.

– Nie mów tak. Nie raz mi już pomogłeś. – Adelina uśmiechnęła się promiennie i zabrzączała kolorową, delikatną bransoletką.

Słońce rysowało na jej gładkich włosach błyszczące refleksy, zapach dobrych perfum unosił się nad stołem i Kornelia poczuła się grubsza, brzydsza i bardziej chora niż kiedykolwiek. Obciągnęła szeroki podkoszulek, żeby zakryć

fałdy na brzuchu, i schowała pod krzesło stopy obute w czarne adidas, nad którymi marszczyły się zbyt długie spodnie. Zestawione ze zgrabnymi sandałkami Adeliny sprawiały jeszcze gorsze niż zwykle wrażenie.

– Postanowiłam rozszerzyć działalność o patchworkowe narzuty – mówiła sąsiadka wesoło. – Zrobiłam trzy projekty: ze stokrotkami, ze słonecznikami i błękitnymi chmurami. Rzuć okiem i oceń, czy nie przesadziłam. To piękne motywy i mają mnóstwo pozytywnej energii, ale wiesz dobrze, jak łatwo przekroczyć cienką granicę i popaść w kicz.

Kornelia spodziewała się, że starsza pani wyciągnie z torby blok do rysowania albo jakiś inny zwitek papierów, tymczasem Adelina włączyła jasnopopielaty tablet i zaczęła pokazywać swoje prace.

Leonard pochylił się nad nimi ze szczerym zainteresowaniem i przez dłuższą chwilę wymieniali się uwagami, siedząc ramię w ramię i prawie stykając się głowami, pochyleni nad małym ekranem. Kornelia była przekonana, że projekty są piękne. Sama chciałaby mieć w pokoju wszystkie trzy takie koce. Zakładałaby je na zmianę w zależności od nastroju i pory roku.

Zgrzytnęła zębami, bo już się nie mogła powstrzymać, i spojrzała na kołyszące się w ogrodzie krzewy z taką nienawiścią, że gdyby miały tego świadomość, uschłyby w mgnieniu oka.

Dlaczego to nie ja mam takie romantyczne pasje, kolorowe apaszki i miły uśmiech? – pomyślała ze złością. – Czemu nie mam nic, co mogłabym pokazać Leonardowi, żeby się nad tym pochylał w zachwycie?

Spojrzała na jego plecy i ból szarpnął jej wewnątrz. Do niej Kordas nie zbliżał się nigdy na odległość mniejszą niż trzy metry. Nawet przy stole siadał najdalej, jak się dało. Mogłaby teraz wstać i wyjść, i kto wie, jak długo by trwało, zanim ktokolwiek by zauważył jej nieobecność.

– A co ty o tym sądzisz? – Adelina zaskoczyła ją szybkim pytaniem. – Zobacz. – Podała jej tablet.

– Wszystkie są piękne – przyznała szczerze Kornelia. – Ale ja nie jestem fachowcem, moja opinia się nie liczy.

– Jest bardzo ważna – uśmiechnęła się Adelina. – Jesteś potencjalną klientką. Jeśli tobie się spodoba, to pewnie innym też.

Kornelia odwzajemniła uśmiech i pomyślała, że może Sokołowska nie jest tak zupełnie pozbawiona zalet, jak jej się na początku wydawało.

– A jak wasze sprawy? – Adelina zwróciła się do Leonarda. – Gotowi na wesele?

Leonard wyraźnie się zmieszał. Konieczność wprowadzenia obcej osoby w prywatne sprawy najwyraźniej nie była mu na rękę. Machnął więc tylko dłonią lekceważąco.

– Jakoś to będzie – powiedział szybko. – Pokaż jeszcze ten tablet. Myślę, że

słonecznikowy projekt zyskałby, gdybyś dodała więcej ciemnozielonych liści dla przełamania koloru.

– Dobrze, tak zrobię. A garnitury kupiłeś? – Adelina drażyła temat. Pod tym względem była naprawdę nieznosna. Żadnego taktu ani wycucia chwili.

Kornelia spojrzała z czułością na Leonarda, starając się go wesprzeć chociaż dobrą myślą, bo przypuszczała, jak musi się czuć. Ale w tym samym momencie on popatrzył na nią wrogo i zrozumiała, że to nie słowa Adeliny, ale jej obecność krępuje go najbardziej.

Po dobrym nastroju znów nie pozostał nawet najmniejszy ślad.

– Pojedźmy dzisiaj na zakupy – zaproponowała Adelina głośno, jakby chciała odczarować nieprzyjemną atmosferę wyraźnie wyczuwalną wokół stołu. – Ja mam kilka godzin czasu, pani Kornelia także, zabierzemy chłopców i zrobimy sobie miłe popołudnie w galerii handlowej.

– Zamówiłem pizzę – bronił się słabo Leonard. – A pani Rudnickiej z pewnością nie będzie się chciało włączyć z nami po sklepach.

– Dostawca właśnie tutaj idzie. – Adelina wskazała młodego mężczyznę w firmowym uniformie.

Leonard wstał i poszedł odebrać zamówienie, a z domu wybiegł Michałek. Jego straszny brat też pojawił się przed domem jak na zawołanie. W idealnym momencie. Kornelia nawet nie miała okazji, by przypomnieć, że przecież to ona miała stawiać. Poszła po talerze i sztuce, a kiedy wróciła, zobaczyła, jak całe towarzystwo siedzi i w najlepsze zajada pizzę rękami prosto z pudełek.

– Próbowałem tej margherity, która pani zamówiła – powiedział Michałek. – Bardzo dobra – pochwalił.

Kornelia usiadła i odłożyła niepotrzebne naczynia. Wzięła do ręki kawałek pizzy. Chłopcy przekomarzali się, siedząc na podłodze i opierając się o barierkę z fiołkami. Najwyraźniej czuli się w towarzystwie nietypowej gosposi trochę bardziej swobodnie niż wczoraj. Pies czujnie leżał tuż obok, licząc na łut szczęścia, który i jemu pozwoli się pożywić. Leonard z Adelina omawiali jeszcze projekt ze słonecznikami, a drzewa kołysały się na wietrze. Kornelia znów poczuła się szczęśliwa. Mogła zamknąć oczy i bez trudu wyobrazić sobie, że to jej świat. Dom, dzieci i mężczyzna.

To jej wystarczyło. Oparła się wygodnie na krześle i uśmiechnęła do umazanego keczupem Michałka. Była to i tak najlepsza chwila w jej pustym dotąd życiu.

– Gotowi? – zapytała Adelina, kiedy pudełka pokazały zatuszczone dna, a na ostatni kawałek załapał się nawet pies, mimo wyraźnego protestu Leonarda, że zwierzątek nie należy karmić w ten sposób.

– Gdzie idziemy? – zapytał Daniel.

– Po garnitury na wesele – powiedział Leonard grobowym głosem. – Nie

chcę nawet myśleć, ile to zajmie czasu i jakie będę miał z związku z tym zaległości w pracy.

– Przez Internet nie da się zamówić? – zagadnął Daniel. – A tak w ogóle to ja nie muszę przecież mieć garnituru, doskonale się czuję w moich dżinsach.

– Musisz – uciął krótko Leonard, zacisnął zęby, a dłonią mocno uderzył w stół. – Będziecie wyglądać najlepiej jak się da – zawołał. – Zrozumiano?

– Tak – odpowiedział cicho Michałek, a Kornelii ścisnęło się serce.

– Będziecie pięknie wyglądać – odezwała się po raz pierwszy. – Trzech największych przystojniaków na całym przyjęciu. A ja znam taki mały sklep, gdzie szybko zrobicie zakupy, nie trzeba będzie ganiać godzinami po galerii.

Adelina wyglądała na lekko rozczarowaną, ale Leonard po raz pierwszy spojrzął na Kornelię z delikatną sympatią w oczach.

– To świetnie. Rzeczywiście, trzeba to w końcu załatwić. Dzisiaj już piątek, a jutro rano na nic nie będzie czasu. Ślub o czternastej. Zbierajcie się, chłopcy – zarządził i wstał energicznie.

Szybko pozbierał puste kartony po pizzach i beztrąsko wrzucił pod stół. Otrzeptał niedbale ręce i otarł usta wierzchem dłoni, nie zwracając uwagi na pełne potępienia spojrzenie Adeliny, która właśnie obserwowała jego synów. Ci zaś jak dwa klony w podobny sposób dokonali podstawowych zabiegów higienicznych, po czym uznali, że są gotowi.

– To jedźmy – westchnęła Adelina. – Tylko nie zapomnij zamknąć domu – zwróciła się tonem pełnym macierzyńskich nut do Leonarda.

– Pamiętam – uciął krótko. Wziął portfel i klucze z przedpokoju, po czym zbiegł po schodach do ogrodu. Zanim oni zrobili pierwszy krok, Leonard był już w połowie ścieżki. Ruszyli za nim gęsiego żwirkową ścieżką, identyczną jak u Adeliny, w stronę samochodu, a Kornelia z trudem opanowywała rozlewający się po jej twarzy uśmiech zadowolenia.



## ROZDZIAŁ 6

---

---

Zauważył ją od razu. Siedziała w ławce, tuż za najbliższą rodziną, ubrana w jasną dopasowaną sukienkę. Długie, proste włosy spięte w wysoki kucyk, tak jak najbardziej lubiła, spływały jej po plecach i zataczały łagodne koła przy każdym najmniejszym poruszeniu głową.

Obok niej stały dwie kobiety i Leonard wreszcie zdołał wypuścić powietrze z płuc, bo z przyczyn, których nie mógł zdefiniować, od rana oddychał płytko i z trudem. Szczęki bolały go od ciągłego zaciskania.

Nie byli już razem. Lena zasygnalizowała mu to kilkakrotnie, zaznaczając, że ma zamiar na nowo ułożyć sobie życie. Próbował przyjąć jej decyzję ze spokojem i dystansem jak dorosły człowiek. Na razie osiągnął tyle, że miał ochotę ciąć, mordować i szarpać na krwawe strzępy każdego, kto zbliży się do jego żony. Nie był to może ten wzór zdystansowania, o jaki chodziło, ale na nic innego nie było go stać. Cały czas kotłowały się w nim skrajne uczucia. Wściekłość, ból,

tęsknota, czasem żal do samego siebie. Coś musiał koncertowo spieprzyć, skoro Lena odeszła. Miał nawet kilka tropów i chciał się poprawić, ale czy ona to zrozumie? Da mu jeszcze jedną szansę?

Poprawiła dłonią włosy, znajomym gestem przesunęła po nich palcami, sprawiając, że kucyk znów ułożył się równiutko na plecach, a Leonardowi przez chwilę zabrakło tchu. Szepnął szybkie wytłumaczenie Michałkowi, nakazał chłopcom zostać w kościele, a sam wyszedł. Nie mógł wytrzymać ani chwili dłużej.

Pozostałą część nabożeństwa ślubnego spędził na kościelnym parkingu, odpalając w pośpiechu jeden papieros od drugiego. Rzucił palenie dawno temu, ale na dzisiejszy dzień specjalnie zakupił dwie paczki najmocniejszych. Wiedział, że bez wsparcia się nie obejdzie, a pić nie chciał. Kto wie, do czego by doszło, gdyby choć na chwilę utracił nad sobą kontrolę. Kiedy organista zaczął grać na zakończenie tradycyjny marsz Mendelssohna, wpakował sobie do ust całą garść mocnych miętowych gum, a następnie przeżuł je, wypluł i żeby zabić charakterystyczny zapach tytoniu i mięty, zaaplikował sobie jeszcze trzy cukierki o smaku kawy. Uznał, że powinno się udać. Najbardziej zależało mu na Danielu. Smarkacz podpalał papierosy zachomikowane w pracowni na czarną godzinę i Leonard dobrze wiedział, że nawet najdłuższe kazanie o szkodliwości tytoniu nic w tej sprawie nie pomoże, jeśli syn zauważy, że ojciec też ma z tym problem.

– Cholera jasna! – zaklął pod nosem. – Z każdej strony jakaś komplikacja.

Marsz dobiegał końca, głośne fanfary ogłaszały kulminacyjny moment ważnego wydarzenia. Z kościoła najpierw wysypały się dzieci, potem wyszło kilka osób z torebkami ryżu i garściami drobniaków, a tuż za nimi wyłoniła się szczęśliwa młoda para. Leonard odwrócił się w stronę zaparkowanych tuż obok samochodów. Lubił swoją kuzynkę, życzył jej wszystkiego, co najlepsze, ale nie mógł na to patrzeć. Serce dostatecznie mocno bolało go i bez nasuwających się wspomnień własnego ślubu.

Szybko uformowała się kolejka do składania życzeń. Michałek podbiegł do ojca i pociągnął go w tamtą stronę.

– Chodź szybko! – zawołał z przejęciem. – Widziałem mamusię, musimy do niej iść.

Tuż obok stanął Daniel, a z jego miny można było bez trudu wywnioskować, że jest tego samego zdania, co młodszy brat.

Leonard westchnął i postanowił stawić czoła rzeczywistości, dając synom dobry przykład męskiej siły i opanowania. W końcu są na tym świecie trudniejsze zadania niż rozmowa z własną żoną, i mężczyźni sobie z nimi radzą. Rozbrajają miny w Iraku, ratują ludzi z płonących domów, budują stalowe mosty i kierują ruchem na potężnych lotniskach. Ta optymistyczna myśl pomogła tylko na chwilę. Z każdym krokiem zmniejszającym odległość od stojącej na chodach, doskonale

widocznej Leny utwierdzał się w przekonaniu, że wszystkie tamte zadania to drobnostka, maleńka pesteczka w porównaniu z tym, co go za chwilę czeka.

– Witaj – zaczął tradycyjnie, zadowolony, że udało mu się przebrnąć przez pierwsze słowo.

Lena kiwnęła tylko głową, zajęta przytulaniem synów. Oczy miała lekko wilgotne.

– Jak się macie? – zapytała drżącym głosem.

– Dobrze – odpowiedzieli chórem wszyscy trzej, jakby się umówili, choć wcale tak nie było.

– Wasza kolej. – Ciotka Wanda pchnęła ich w stronę młodej pary, więc Lena szybko otarła oczy.

Złożyli standardowe życzenia, po czym odsunęli się na bok. Stanęli razem jak prawdziwa rodzina, a Daniel mocno objął rodziców ramionami i milimetr po milimetrze przesuwiał bliżej siebie. Leonard uśmiechnął się zdrętwiałymi z napięcia mięśniami.

– Tylko czegoś nie schrzań – szepnął mu do ucha starszy syn.

Próbował, naprawdę się starał, na wszelki wypadek mówił o rzeczach absolutnie obojętnych, szczyrzył zęby w wymuszonym uśmiechu i starał się nie myśleć o tym, jak bardzo szarpie go tęsknota za stojącą parę centymetrów dalej kobietą i jaki ma, do ciężkiej cholery, do niej żal, że ich wszystkich zostawiła.

Ze względu na synów namówił Lenę, by do lokalu, w którym miało się odbyć przyjęcie, pojechała jego samochodem. Udało mu się również przetrwać drogę, głównie dzięki chłopcom, którzy, przerywając sobie nawzajem, opowiadali mamie, co u nich. Sam się sporo dzięki temu dowiedział i dobrze znajome wyrzuty sumienia znów dały znać o sobie. Uświadomił sobie, że wciąż za mało czasu spędza z synami, nie rozmawia z nimi tak często, jakby chciał. Zrobiło mu się jeszcze ciężiej na duchu.

Kiedy znaleźli się na miejscu, mocno podenerwowany usiadł przy stole tuż obok żony zgodnie z rozłożonymi wcześniej wizytówkami. Układ gości mocno go zaskoczył, słyszał bowiem wcześniej od cioci organizującej przyjęcie, że Lena życzyła sobie, by zarezerwować dla niej miejsce przy stole jej rodziców. Sprawa była tym bardziej dziwna, że tuż obok niego znalazł się jego brat z żoną i jednym synem, drugi natomiast usadowił się zupełnie gdzie indziej. Jakby ktoś w ostatniej chwili zmienił starannie zaplanowaną koncepcję.

Leonard spojrział na zadowoloną minę Daniela i od razu ciśnienie podniosło mu się do niebezpiecznych granic. Musiał się skubaniec błyskawicznie dogadać z kuzynem. Posłał synowi spojrzenie pełne ukrytych gróźb, w zamian otrzymując jedynie gest zaciśniętego kciuka.

Leonard tylko westchnął. Próbował stanąć na wysokości zadania, naprawdę chciał dobrze, ale zestaw neutralnych i przez to bezpiecznych tematów do

rozmowy wyczerpywał się równie szybko jak pieniądze na domowe wydatki.

Ale, o dziwo, nastrój wciąż był dobry, a jego żona uśmiechnięta. Cieszyła się bliskością dzieci i wcale nie szukała okazji do kłótni.

Po idealnie zaplanowanym pierwszym tańcu młodej pary, w którym ani jeden krok nie był przypadkowy, Leonard nieco się rozluźnił. Napięcie na chwilę go opuściło. Przypomniało mu się, jak oni z Leną tańczyli na własnym weselu. Radośnie, spontanicznie, wzroku od siebie nie mogli oderwać, a każdy gest wyrażał krążące w ich żyłach pożądanie, czułość i miłość. Nie ćwiczyli kroków, ale i tak taniec był wyjątkowy, podobnie jak uczucie, które ich wtedy łączyło.

Zapomniał się na chwilę i w spontanicznym odruchu zareagował na głośno wykrzywane zaproszenie lidera orkiestry, by wszyscy goście zapełnili parkiet, i poprosił Lenę do tańca. Zgodziła się odruchowo. Pewnie też czuła się jak na cenzurowanym pod badawczym i świdrującym spojrzeniem własnych synów oraz licznie zebranej bliższej i dalszej rodziny.

To był błąd. Poczul to od razu, jak tylko dotknął znowu, po tylu dniach rozłąki, drobnych, smukłych palców żony. Jak zwykle były chłodne. Zawsze, nawet kiedy wszystkim wokół było ciepło, jej marzły palce i stopy. Była to sprzyjająca okoliczność, która ich połączyła w parę i której zawdzięczali poczęcie obu swoich wspaniałych synów. Rozgrzewanie Leny było dla Leonarda idealnym pretekstem do najwspanialszych eksperymentów. Prawie zawsze kończyli w łóżku i ta metoda niezmiennie okazywała się skuteczna. Krew docierała do każdego zakątka ciała i w końcu Lena mówiła lekko zachrypniętym głosem, że już jej wreszcie ciepło. Uwielbiał to.

Teraz jej chłodne palce wprawiły go w stan maksymalnego napięcia.

– Dobrze sobie radzicie? – zapytała Lena, kiedy zaczęli się kręcić w rytm niespiesznej, na szczęście, muzyki. – Bo wyglądacie perfekcyjnie – dodała.

Dzięki, Adelino – pomyślał błyskawicznie Leonard i odruchowo przytaknął.

Lena nie takiej się chyba spodziewała odpowiedzi, bo przez moment zrobiło jej się w sposób widoczny przykro.

Pożałował głupiej reakcji. Tym bardziej że prawdy nie było w tym za grosz.

– Ja też sobie świetnie radzę – powiedziała Lena i wykonała piękny obrót.

Leonard męczył się tak bardzo, że aż pot skropił mu czoło.

Miał wrażenie, że całe jego ciało składa się wyłącznie z komórek nerwowych reagujących na dotyk. Wszystko go bolało, każdy centymetr skóry. Kiedy włosy Leny musnęły mu przedramię, miał wrażenie, jakby oberwał biczem z metalowymi kulkami. Ostre smagnięcie, które paliło żywym ogniem. Z największym trudem trzymał emocje na wodzy.

– Przekonuję się, że słusznie postąpiłam – odezwała się znowu Lena. – Czas na kolejny krok.

– Co masz na myśli? – zapytał, choć domyślał się od pierwszej chwili.

– Urządziłam się już w Warszawie. Mam małe mieszkanie i od pierwszego zaczynam pracę. Czas zabrać dzieci. Tęsknota mnie wykańcza, a one już i tak zbyt wysoką cenę zapłaciły za nauzkę, jaką chciałam ci dać. Dziś nie mogę uwierzyć, że się na to zdecydowałam, ale wtedy...

Zatruta strzała wycelowana z precyzją trafiła w czuły punkt.

– Dzieci mają się doskonale – rzekł ze złością i zakręcił nią tak, iż z trudem utrzymała równowagę. – Wszystko chodzi jak w zegarku – dodał, mocno ją łapiąc, gdy skończyła obrót. Chciał ją przytulić, ale ciało zabolalo jak oparzone, więc zamiast tego znów poprowadził ją do gwałtownego obrotu.

– Puść mnie, ty wariacie! – krzyknęła Lena. – Chcesz mi zrobić krzywdę?

Chciał. Był tak wściekły, że mógłby ją dusić gołymi rękami albo wlec po sali za włosy jak ostatni jaskiniowiec. Tak mu się przynajmniej wydawało.

– Jak mogłaś nas tak zostawić? – wysyczał jej do ucha. Wokół nich zrobiło się sporo miejsca, najwyraźniej w wyrażaniu emocji za pomocą tańca byli naprawdę dobrzy. Targające nimi uczucia widać było jak na dłoni.

– A co? – Lena zatrzymała się w pół kroku, powodując, że Leonard potknął się i o mały włos nie padł na parkiet prosto na twarz. – Myślałeś, że uśmiechniesz się dwa razy i znów zapędzisz mnie do tego kieratu? Niedoczekanie! Dzień, dwa i zniknąłbyś w swojej pracowni, zostawiając mnie ze wszystkim. Totalna samotność, choć w małżeństwie. Nigdy więcej się na to nie zgodzę. Niektóre kobiety mądrzejają i ja właśnie do nich należę. Dzięki za taniec, nie musisz mnie odprowadzać, trafię do stołu – rzuciła przez ramię i zostawiła go na parkiecie.

Stał wściekły bez ruchu długą chwilę, omijany przez wirujące w rytm melodii pary. Ze złością miał w ustach wszystkie gorzkie słowa, które chciał jeszcze rzucić jej w twarz, i czuł pogardę do samego siebie, że oczu nie może oderwać od jej smukłej sylwetki, ostrożnie, ale szybko zmierzającej w kierunku ich stolika. Zgrabne nogi w szpilkach i sukienka łagodnie spływająca po kształtnej figurze, której każdy szczegół mógłby odtworzyć na płótnie lub w drewnie choćby zaraz.

Ruszył za nią, ale kiedy dotarł na miejsce, usłyszał tylko, jak zabiera chłopców, by przywitani się z dziadkami. Wiedział, że dzisiaj już nie usiądą obok siebie. Złowił jeszcze tylko rozczarowane spojrzenie Daniela i wszyscy poszli na drugi koniec sali. Usiadł z impetem, a ręka automatycznie skierowała się w stronę kieliszka. Wychylił porcję ciepłego alkoholu i otarł dłonią usta. Tak, jak się spodziewał, nic to nie pomogło. Dla niego wesele już się skończyło. Najlepiej byłoby wrócić teraz do domu, zanim całkowicie straci nad sobą kontrolę. Ale nie mógł zostawić synów, a zabierać ich teraz byłoby nie w porządku.

Jakby na zawołanie obok niego pojawił się zdyszany Michałek.

– Mama powiedziała, że zabiera nas dzisiaj po przyjęciu do siebie! – przekrzyczał głośną polkę wygrywaną z impetem charakterystycznym dla

weselnym kapel. – Wrócimy do domu jutro wieczorem – dodał i odwrócił się, by pobiec z powrotem, ale w ostatniej chwili zatrzymał się. – Zgadzasz się? – zapytał, ale Leonard nie miał złudzeń, że to tylko formalność.

Kiwnął głową i synek zniknął wśród tańczących. Widać, spieszyło mu się do mamy. Leonard wychylił kolejny kieliszek, żeby choć trochę zagłuszyć piekący ból.

Cóż, trudno... Poświęcasz się, człowieku, dla dzieci, ale nie znasz dnia ani godziny, kiedy znikną ci z oczu i zostaniesz sam – pomyślał gorzko i dolał sobie jeszcze wódki. Czuł, jak ogarnia go rozżalenie, a wściekłość rozpalona dodatkowo alkoholem zaczyna pchać go do czynów gwałtownych i nieobliczalnych.

Wstał, poprawił krawat i, mobilizując wszystkie siły, zrobił kilka kroków w stronę wyjścia. Nie rozglądał się na boki, nie reagował na słowa mijanych osób. Ustawił wewnętrzny azymut na drzwi, patrzył tylko na nie. Jeszcze kilka kroków, szeroki korytarz i znalazł się na zewnątrz. Chłodne powietrze nie przyniosło mu ulgi. Miał wrażenie, że rozpalone ciało boli jeszcze bardziej, a delikatne powietrze tylko niepotrzebnie prowokuje napiętą skórę. W odległym końcu szerokiego placu parkingowego stały dwie taksówki przygotowane dla gości. Kierowcy, spodziewający się pierwszych klientów dopiero po północy, rozłożyli sobie turystyczny stolik i racząc się weselnymi ciastami, grali zacięcie w karty.

– Proszę mnie odwiedzić do domu – przerwał im Leonard i lekko się zatoczył, choć trzy kieliszki wódki wypite po samym obiedzie, nie mogły przecież aż tak na niego wpłynąć.

– Oczywiście – zerwał się jeden z kierowców. – Nie wygląda pan najlepiej. Leonard wszedł do samochodu i przymknął oczy.

Do domu, do pracowni, jak najszybciej – postanowił. – Zapomnieć, zatracić się w pracy, poranić ręce drzazgami, wykończyć ciało, poczuć obolały kręgosłup i napięte mięśnie, zmęczyć się tak, żeby zapomnieć o całym świecie. To był jedyny ratunek.

Nienawidził startować w wyścigu, w którym z góry znajdował się na przegranej pozycji. A tak właśnie było w tym przypadku. Nie miał szans walczyć o synów z ich mamą. Wystarczyło jedno spojrzenie na Michałka. Tęsknił zbyt długo. Leo nie mógł zabronić ani jemu, ani Danielowi przeprowadzki.

Ale choć nie umiał prowadzić domu i przez lata był marnym mężem, kochał żonę i dzieci. I bardzo chciał się zmienić. Czy jednak ktokolwiek mu uwierzy?

## ROZDZIAŁ 7

---

---

W sobotni poranek Kornelia otworzyła oczy bardzo wcześnie i mimo podjętego wysiłku nie zdołała znów zatopić się w nierealnym i dającym wytchnienie głębokim śnie. Z przykrością stwierdziła, że jest zmuszona stawić czoła ciągnącym się w nieskończoność pustym godzinom, w czasie których ciężko będzie zająć myśli, by oderwać je od bolesnych tematów.

Miała jeszcze wiele dni chorobowego przed sobą i niemal tyle samo do nadejścia wyników badań. Spędzanie tego czasu w pustym domu już było zadaniem ponad jej siły, a co dopiero weekend na łonie rodziny... Tymczasem do Anieli, miłej nauczycielki geografii, przyjechał na sobotę i niedzielę mąż, nie mogła więc jej odwiedzić, zaś Kordasowie mieli dzisiaj wesele kuzynki...

Ubrała się i zeszła na śniadanie, ale zgodnie z jej przewidywaniami nie było łatwo. Mama wiedziała już o jej wizytach u Leonarda i nie zamierzała kryć swojej opinii na ten temat. Kornelia chowała się, gdzie mogła przed natrętnymi pytaniami

członków rodziny.

Tuż po śniadaniu zaproponowała, że zrobi zakupy, byle wyrwać się choć na chwilę. Ale chodzenie między półkami szybko ją zmęczyło. W sklepie było tłoczno, co rusz spotykała kogoś znajomego i wypadało zamienić z nim chociaż kilka pustych, uprzejmych zdań. Te rutynowe czynności wyczerpywały ją bardziej niż zwykle. Napięcie spowodowane oczekiwaniem na wynik badania sprawiało, że rozmowy o pogodzie, podwyżkach czy innych drobnych, zawsze tych samych sprawach zaczynały ją przerastać. W pewnym momencie poddała się. Zostawiła pod regałem do połowy napełniony koszyk i wyszła ze sklepu.

Wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła przed siebie. Tak po prostu. To jeden z przywilejów samotnego człowieka. W każdej chwili możesz rzucić wszystko i, nikogo nie krzywdząc, ruszyć, gdzie oczy poniosą. Marna to była pociecha, przynajmniej dla niej. Nie miała duszy obieżyświata. Jej pragnienia były proste. Chciała być kochana, mieć szczęśliwą rodzinę i dobrą pracę. Tylko tyle.

Aż tyle.

Samochód, jak zwykle niezawodny, płynnie pokonywał kolejne kilometry, czerwona strzałka sygnalizowała pełny bak. Ale spontanicznie rozpoczęta podróż nie przyniosła ukojenia. Ani radio, ani mijane miejscowości nie miały w sobie takiej mocy, by odegnąć ponure myśli i ściskający za gardło strach.

Kornelii była dotąd przekonana, że pogodziła się z losem. Poukładała pewne rzeczy i uznała, że może zająć się czymś innym. Zapomnieć, przynajmniej do momentu ogłoszenia wyroku. Ale są takie sprawy, które przeżywa się wciąż od nowa i bez końca. Za każdym razem cierpiąc tak samo mocno. Bo chociaż wstępną diagnozę usłyszała kilka dni temu, wciąż ten moment wracał w myślach, wywołując zdumienie tak samo mocne jak za pierwszym razem. A strach jeszcze większy, bo z każdym dniem coraz lepiej rozumiała, co się tak naprawdę stało i jakie może mieć konsekwencje. Asfalt umykał jej spod kół, ale myśli nie zostawały w tyle ani na chwilę. Po dwóch godzinach poddała się.

Skręciła z piskiem opon na jakąś opuszczoną stację benzynową i gwałtownie zawróciła, wzbijając w powietrze chmurę drobnego żwirku. Wyjechała z impetem na główną drogę i z zawziętą miną zacisnęła dłonie na kierownicy, a pedał gazu wgniotła w podłogę. Mercedes poczuł wiatr wolności, zawył i ruszył z kopyta po dość pustej szosie. Takie to było proste. Wystarczy tylko nie zdejmować nogi z gazu i można ulecieć aż do nieba. Naprawdę. Nic nie trzeba kombinować, żadnych przygotowań ani bólu, a wreszcie będzie po wszystkim.

Nagle z przeciwnej strony wyjechał zza zakrętu duży rodzinny volkswagen. Kornelia wystraszyła się. Nacisnęła gwałtownie pedał hamulca i, zestresowana do granic możliwości, zredukowała natychmiast prędkość.

Nie wiesz, co się stanie – uświadomiła sobie. – Nie masz pojęcia, kto jeszcze



znajdzie się przypadkiem w miejscu, w którym ty tchórzliwie zamierzasz pozbyć się swoich problemów.

Nogi drżały jej tak mocno, że z najwyższym trudem zatrzymała się na poboczu. Włączyła światła awaryjne, a potem oparła głowę na kierownicy i zaczęła rozpaczliwie płakać. Już zupełnie nie rozumiała, co się z nią dzieje. Decyzje podejmowały się same, emocje wciąż pchały ją w dziwnych kierunkach. Długo łkała nad sobą i nad swoim marnym życiem. W końcu, wyczerpana, otarła ostatnie łzy i poczuła się trochę lepiej.

Nikt się nie zatrzymał, by zapytać, czy nie potrzebuje pomocy.

Może to i dobrze? – pomyślała Kornelia. – Co miałyby powiedzieć? Że nagle uświadomiła sobie, jak bardzo chce żyć, ile jeszcze ma do zrobienia, zobaczenia, odkrycia? I że może na wszystko jest już za późno?

Otarła policzki. Łzy już nie płynęły, zabrakło ich. Lekko drżącą dłonią przekręciła kluczyk w stacyjce, posłuchała chwilę miłego szumu silnika, uświadamiając sobie po raz kolejny, że samochód to jej najlepszy przyjaciel, a po raz pierwszy, że, w razie czego, trzeba zabezpieczyć jego byt i znaleźć mu dobrą rodzinę zastępczą. Od razu pomyślała o Adelinie.

– Tam ci będzie dobrze – powiedziała cicho i ruszyła w drogę powrotną do domu. Dojechała pod wieczór. Kiedy stanęła na parkingu, było już chłodno i lekko się ściemniało. W oknach były zapalone wszystkie światła. Tylko jej pokój wyglądał jak martwy. Wzdrygnęła się na samą myśl, że ma tam wejść i spędzić samotną noc wyłącznie w towarzystwie ponurych myśli.

– Dziś tak nie będzie – postanowiła bojowo.

Wysiadła z samochodu, trzasnęła energicznie drzwiczkami i, nie zważając na członków rodziny, którzy, zaalarmowani tym dźwiękiem natychmiast pojawili się w szerokich drzwiach tarasu, skierowała się prosto do domu sąsiada. Pies rozszczękał się na cały głos.

Kornelia zadzwoniła, nabuzowana emocjami. Sąsiad podejmował spore ryzyko, otwierając przed nią drzwi. Nie miał jednak o tym pojęcia. Stał uśmiechnięty w progu, najwyraźniej gdzieś się właśnie wybierał. Perfumami polał się tak obficie, że zapach był w stanie zwalić z nóg nawet słonia.

– Witam – powiedziała szybko. – Chciałabym pożyczyć pańskiego psa na jedną noc lub, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, na trochę dłużej. – Bez zbędnych wstępów przeszła do rzeczy. Właściwie było jej wszystko jedno, jaką odpowiedź usłyszy, bo w tej samej sekundzie zdecydowała, że w razie odmowy poczeka po prostu, aż sąsiad odjedzie, i włamie się do boksu, w którym rozpaczliwie czekał pies. Żaden problem.

– Dobrze – zgodził się lekko oszołomiony mężczyzna, cofając się kilka kroków w głąb przedpokoju pod naporem falującego w rytm przyspieszonego oddechu, szerokiego biustu Kornelii. – Jeżeli tak bardzo pani na tym zależy, nie ma

sprawy. I tak nie będzie mnie przez cały weekend, przynajmniej nie będę się o niego martwił. Ale nie wiem, jak zwierzak zareaguje.

– Tym się proszę się przejmować – odpowiedziała szybko.

Mężczyzna uniósł brwi wysoko i podał jej smycz.

Kornelia spojrzała na niego groźnie, zaskoczona tą potulną reakcją, po czym odwróciła się na pięcie i bez słowa ruszyła w stronę boksu. Otworzyła drzwiczki, jak się okazało zamknięte tylko na haczyk, i z trudem opanowując skaczącego z radości kundelka, przypięła smycz do obroży.

– Dziękuję! – krzyknęła jeszcze w stronę sąsiada. – Życzę panu miłego wieczoru.

Pogłaskała zwierzaka po głowie. Był tak doskonale szczęśliwy, jak tylko takie pieski potrafią. Nie miał żadnych, najmniejszych nawet oporów, by pójść za nią wszędzie, gdzie go zaprowadzi. Kornelia pomachała dłonią właścicielowi, który wciąż stał na ganku i najwyraźniej nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia. Pies nawet się nie obejrzał w jego stronę.

Przynajmniej jedno stworzenie jest szczęśliwe z mojego powodu – pomyślała Kornelia i poczuła się odrobinę lepiej. Entuzjazm zwierzaka trochę jej się udzielił.

Dziarskim krokiem, pokonując zadyszkę, która towarzyszyła jej praktycznie przy każdym ruchu, weszła do domu.

– A cóż to? – Przywitał ją wysoki głos mamy. – Pies? – zapytała takim tonem, jakby Kornelia sprowadziła do domu co najmniej aligatora. – Wiesz, że nie toleruję zwierząt. Nigdy się po nich nie udaje idealnie posprzątać.

– Przykro mi – oświadczyła stanowczo Kornelia. – Wiem, że to twój dom, ale jeśli pies wyleci, to tylko razem ze mną. Obiecuję postarać się w najbliższym czasie o jakieś własne lokum i nie sprawiać więcej kłopotów – dodała, widząc oburzenie malujące się na twarzy rodzicielki.

Mama osunęła się z teatralną rozpaczą na krzesło i złapała za serce.

– Co się z tobą, dziecko, dzieje? Dlaczego robisz starej matce takie rzeczy?

Kornelia spojrzała na swoją wciąż jeszcze młodą, szczupłą, zdrową i zadbaną mamę i tylko pobłażliwie się uśmiechnęła.

– Chyba w końcu dorosłam – powiedziała tylko. – Nie martw się, to normalne. Dzieci tak mają.

Zdawała sobie sprawę, że nie jest uprzejma, ale tylko decydując się na atak, mogła przejść spokojnie do swojego pokoju. W przeciwnym razie mama zatrzymałaby ją na długą dyskusję, a Kornelia wiedziała, że wówczas znalazłaby się na straconej pozycji. Przechodziła to już wiele razy. Jej rodzicielka, wyposażona w psychologiczne narzędzia, zawsze stawiała na swoim. Co ciekawe, w pracy była nawet dość skuteczna, pomagała innym. Tylko we własnym domu jej metody nie działały. Z jakiegoś tajemniczego powodu każdy strzał okazywał się

niecelny. Swoich dzieci nie umiała wesprzeć.

Kornelia skierowała się w stronę schodów, a pies, jak to teraz zauważyła rzeczywiście nie pierwszej czystości, ochoczo podskakując, znaczył mokrymi łapkami ślady na błyszczącym parkiecie.

Mama spojrzała na córkę osłupiała, a brat i siostra milcząco przyglądali się całej scenie.

– Uspokój się, mamo – powiedział Marcin, a lekki uśmiech błakał mu się w kącikach ust. – Ona ma rację. Dajcie jej chwilę pożyć w spokoju.

Dokładnie – pomyślała Kornelia, będąca już w połowie schodów.

– Chyba zwariowałaś! – Dobiegł ją jeszcze oburzony głos mamy. – Dobrze wiesz, że sama sobie nie poradzi. Czuję, że ma jakiś poważny problem. Trzeba się koniecznie dowiedzieć, co się stało, i podjąć jakieś środki zaradcze.

– Ja w każdym razie umyвам ręce – oświadczył Marcin i z ulgą ewakuował się do swojego pokoju, myśląc ze współczuciem o siostrze zmuszonej mieszkać tutaj pewnie do końca życia. Jego rodzina odliczała już dni do przeprowadzki, gotowa na każdą niewygodę, byle jak najszybciej znaleźć się na swoim. Mama kontrolowała bowiem każde wypowiedziane pod tym dachem słowo, każdy ruch, gest, oddech, a czasem miał wrażenie, że nawet każdą myśl.

\* \* \*

Późnym sobotnim wieczorem wściekły i rozgoryczony Leonard zdjął z siebie swój piękny, nowy garnitur, a następnie rzucił go byle jak na kanapę, by wskoczyć w wytarte dżinsy, po czym zamknąć za sobą nie tylko drzwi pracowni, ale też całą rzeczywistość ze wszystkimi jej problemami. W tym samym czasie Kornelia wykąpała psa, po czym oddała mu swój najlepszy koc i zrobiła legowisko na podłodze tuż obok jej łóżka.

– Na razie nie będzie kolacji – pouczyła go konspiracyjnym szeptem. – Kiedy dowództwo na dole uda się na spoczynek, my ruszymy na łowy. Coś sobie wyciągniemy z lodówki. Ja mam tutaj tylko słodczyce, ale ty ich nie dostaniesz. Musisz dbać o siebie, to bardzo ważne.

Pies zaakceptował nowe miejsce do spania i z ulgą zwinął się w kłębek. Najwyraźniej kąpiel była dla niego mocnym przeżyciem. Nie wyglądał na

specjalnie głodnego, raczej brakowało mu opieki i towarzystwa. Kornelia położyła się na skraju łóżka, zawinęła w ciepły koc i jedną dłoń zanurzyła w psim futrze. Głaskała zwierzaka powolnymi ruchami i czuła, jak stres dnia powoli się ulatnia. Zamknęła oczy i już po chwili udało jej się zasnąć spokojnym, mocnym snem.

Obudziła się późno w nocy ze zdrętwiałą ręką i pustym żołądkiem. Dziki głód szarpnął jej wnętrzem, sugerując natychmiastową konieczność wypełnienia go górami kalorycznego, tłustego i słodkiego jedzenia. Podniosła się z trudem, wyplątała z koca i, ledwo stanęła na podłodze, natychmiast potknęła się o psa. Zareagował błyskawicznie. Wstał i zaczął przeraźliwie piszczeć.

– No tak – powiedziała do niego. – Pewnie chcesz wyjść.

Westchnęła, założyła ciepły sweter i cichutko, na palcach zeszła na dół.

Dom pogrążony był w ciszy. Otworzyła na oścież drzwi tarasu i spuściła psiaka z uwięzi, co, jak szybko się okazało, było złym pomysłem.

Zwierzak zaczął biegać chaotycznie po ogrodzie i szczekać jak oszalały. Kornelia puściła się w pogoń, dysząc niczym lokomotywa. Bała się, że hałas obudzi wszystkich domowników.

Trawa była wilgotna od rosy, ale pies poruszał się po niej bez problemu. Jej szło to o wiele oporniej. W końcu złapała zwierzaka, przydusiła lekko do ziemi i po omacku zapięła smycz. Kundel cały był znowu mokry. Wzięła go na ręce i szybko wróciła do domu. Wbiegła na górę, bo wydawało jej się, że słyszy jakieś dźwięki dobiegające z sypialni rodziców.

Jedzenia nie zdążyła zabrać. Wytarła psa, zdjęła brudne ubranie i umyła ręce. Poprzez szum wody i zamknięte drzwi łazienki słyszała protesty pozostawionego w sypialni zwierzaka. Wytarła się byle jak i założyła szlafrok.

Przebiegając bosymi, mokrymi stopami po parkiecie, dostrzegła na dole zapalone światło. Ktoś się obudził. Przekręciła klucz w zamku i wskoczyła do łóżka. Trzęsła się cała z zimna, bo nie zdążyła nawet założyć piżamy, a wilgotny szlafrok nie dawał jeszcze ciepła.

Była straszliwie głodna.

Miała wrażenie, że w jej żołądku czai się żarłoczna bestia, którą należy natychmiast nakarmić, w przeciwnym razie pożywi się nią samą, zjadając ją od środka kęs po kęsie. Ukryte w kanapie słodczyce wołały do niej wielkim głosem i paliły przez grubą materac. Zacisnęła zęby na rogu poduszki. Nie chciała tego robić. Objadać się po ciemku batonami i zasypiać na pokrytej okruchami pościeli. Tylko jak tego dokonać? Żołądek bolał tak bardzo, jakby miał się rozsypać w kawałki.

– Wszystko przez ciebie... – Kornelia spojrzała groźnie na psa, po czym zwinęła się w kłębek, próbując opanować przejmujące uczucie głodu. – Nie zdążyłam wziąć nawet bułki.

Pies ułożył się grzecznie na swoim posłaniu i udawał, że nie ma sobie nic do

zarzucenia.

Była pewna, że nie zaśnie nigdy, ale, o dziwo, stało się to zaskakująco szybko.

Obudziła się w niedzielne południe wypoczęta i w dość dobrym stanie. Zwierz czający się w jej żołądku też chyba zasnął, bo nawet nie czuła się bardzo głodna.

Z dumą spojrzała najpierw na sufit, a potem na śpiącego smacznie psa.

– Wygrałam – powiedziała. Pies natychmiast spojrzał na nią z uznaniem. – Nie mogę w to uwierzyć. Wstawaj! – zawołała dziarsko, wyskakując z łóżka, a zwierzak stanął błyskawicznie na baczność. – Będziemy mieć dzisiaj dobry dzień – obiecała i z przyjemnością obserwowała jego szczerą, entuzjastyczną radość.

\* \* \*

W poniedziałek rano Kornelia zabrała psa i postanowiła pojechać do domu Kordasa. Sąsiad nie upomniał się o zwierzaka, więc stwierdziła, że widocznie mu nie zależy. Zanim wsiadła do samochodu, uznała, że zwierzakowi należy się jeszcze spacer po okolicy. Czuła się wprawdzie trochę zmęczona, ale jednocześnie spłynęła na nią dodatkowa energia. Pies cieszył się ze spaceru całym sobą, od czubka szpiczastych ciemnych uszu po koniuszek ogona.

Kiedy dotarła na miejsce, zawahała się. Nie była tutaj mile widziana, miała tego świadomość. Bała się, że Kordas znów przywita ją jak intruza. Nie wiedziała, na jak długo jeszcze starczy jej sił. Coraz mniej było w niej tamtych emocji, rozum na powrót zaczynał dochodzić do głosu i sytuacja stawała się niełatwa.

Drzwi były lekko uchylone. Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Artysta ewidentnie kusił los. Kornelia weszła do środka, rozłożyła psu koc pod kuchennym stołem, a on znów bez protestu zaakceptował nowe miejsce.

– Leż tutaj i czekaj na mnie – nakazała mu stanowczym głosem, a sama postanowiła poszukać właściciela. Pies oczywiście natychmiast stanął obok. Zrezygnowała więc z prób błyskawicznego nauczania go posłuchu i zabrała ze sobą.

Była ciekawa, co robi Leonard, jak się udało wesele. Zajrzała do pokoiów chłopców, chyba tylko po to, żeby zobaczyć, jak drogie garnitury leżą porzucone

w różnych nieodpowiednich miejscach. Nie było się jednak czemu dziwić. Na samym środku salonu królowała zmięta marynarka Leonarda w charakterze przykładu danego dzieciom. Kornelia westchnęła. Zatrudniła się tutaj jako pomoc domowa, ale na samą myśl, że ma zbierać rzeczy po tych rozpuszczonych bałaganiarzach, traciła ochotę na jakiegokolwiek działania.

Domyśliła się, że Leonard jest w pracowni. Nigdy tam nie była i nie wiedziała, czy wolno jej zaglądać, ale ciekawość wzięła górę. Weszła na poddasze i zobaczyła dwie pary ciemnych drzwi. Jedne z nich były lekko uchylone. Zajrzała przez szparę i ujrzała szerokie małżeńskie łóżko przykryte barwną narzutą, której styl zdradzał rękę Adeliny. Było idealnie zaścielone. Bez trudu można się było domyślić, że od wyjazdu Leny stało nieużywane.

Kornelia cofnęła się natychmiast i próbowała szybko wyrzucić ten obraz ze świadomości. Jej wyobraźnia rozpędzała się pod jego wpływem stanowczo zbyt szybko. Nie chciała myśleć o tym, jak wyglądają noce zakochanych ludzi, i przyrównywać tej wizji do własnego życia. Zbliżyła się do drugich drzwi. Zapukała cicho, a nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnęła klamkę. Weszła i dech jej zaparło.

Duże okna dachowe doświetlały spore pomieszczenie. Na środku oparta o podstawki suszyła się ogrodowa ławka. Była naprawdę piękna. Kornelia podeszła bliżej, przyjrzała się i z lekkim bólem serca zorientowała, że i tutaj dyskretnie wpleciono delikatny ornament z motywem fiołków.

Pod skośnymi ścianami stały inne prace. Niektóre przykryte prześcieradłami lub gazetami, inne odsłonięte. Obrazy. Kolorowe i pełne życia. Miała ogromną ochotę je obejrzeć z bliska, ale bała się, że coś potraci i narobi hałasu. Po drugiej stronie pracowni dostrzegła odwróconą tyłem do wnętrza kanapę.

Dziwne – pomyślała Kornelia. Podeszła bliżej i zajrzała za wysokie oparcie. W przytulnej wnęce pod skośnym dachem, oddzielony ścianką kanapy leżał Leonard Kordas. W wytartych dżinsach oraz w poplamionej farbą o nieokreślonym kolorze i pełnej drzazg koszuli. Złożone jak do modlitwy dłonie podłożył sobie pod policzek pokryty lekkim zarostem. Spał mocno. Przyglądała mu się dłuższą chwilę, a on nawet nie drgnął.

Wycofała się na palcach. Miała wrażenie, że wokół serca właśnie utworzyła jej się kiczowata obręcz z delikatnych obłoczków. Czułość i wzruszenie spowodowały, że zupełnie inaczej spojrzała na zabałaganioną kuchnię. Nagle zapragnęła zrobić dla tego mężczyzny coś miłego. Zabrała się za sprzątanie, choć na dnie mózgu kołatała jej nieprzyjemna myśl, że tak właśnie postępują wszystkie naiwne idiotki. Z poświęceniem wykonują niewdzięczne obowiązki domowe różnym przygodnie poznanym facetom, a potem długo leczą złamane serca.

– To jest zupełnie inna sytuacja – powiedziała wyjaśniająco do psa, który śledził czujnym wzrokiem każdy jej krok. I choć wiedziała, że tak właśnie

tłumaczy się każda naiwna idiotka, zakasała rękawy i zabrała się do pracy.

Wysprzątała kuchnię, usiadła przy czystym stole i poczuła, że to zajęcie już jej się zdecydowanie znudziło. Bycie gospodynią domową w praktyce okazało się być dość żmudnym zajęciem. Szybko straciła do niego serce. Zastanawiała się, co teraz robić. Była dopiero dziesiąta, do powrotu dzieci mnóstwo czasu. Trudno było przewidzieć, kiedy Leonard się obudzi, a nie miała ochoty tkwić tutaj sama przez tyle godzin. Czymś jednak musiała się zająć. Jediną osobą, do której mogłaby się udać w odwiedziny o tej porze, była Adelina.

Na samą myśl skrzywiła się lekko. Sama nie wiedziała, co gorsze. Samotność i ponure myśli czy przemądrzała sąsiadka, która będzie jej wmawiać, że sama jest sobie winna i własnymi rękami zbudowała klatkę, w której jest teraz zamknięta.

Siedziała bez ruchu, ale szybko uświadomiła sobie, że jeżeli natychmiast czegoś nie zrobi, słowa lekarza znów zaczną wgryzać jej się w mózg. Sprzątać nie miała już ochoty. W ogóle prowadzenie domu Leonarda mocno ją rozczarowało. Podświadomie spodziewała się, że codziennie będzie siedzieć z nim na słonecznym ganku, pić aromatyczną herbatę i, zerkając ukradkiem na jego zabójczy profil, wyobrażać sobie różne romantyczne sceny z jego udziałem. Przekopywanie się przez brudne pokoje zupełnie nie wpasowywało się w ten obraz.

Uznała, że Adelina będzie jednak lepszym rozwiązaniem. Najwyżej puści jej uwagi mimo uszu. Tak naprawdę miała ochotę na rozmowę. Ta kobieta drażniła ją swoją bezpośredniością, ale jednocześnie ciekawiła, wręcz fascynowała.

Kornelia wstała, zabrała psa i jego kocyk, po czym zamknęła drzwi wejściowe. Chwilę stała na ganku, niepewna, czy może zostawić niezabezpieczony dom i śpiącego głęboko, bezbronnego właściciela, ale klucza nie miała i żadne rozwiązanie nie przychodziło jej na myśl.

Postanowiła poradzić się w tej sprawie Adeliny. Skoro jest taka mądra, to niech coś wymyśli...

\* \* \*

Pchnęła mocno furtkę i wprowadziła psa. Znów poczuła zachwyt na widok zadbanego domu i urzekającego ogrodu. Starannie dobrane kompozycje kwiatowe

wzdłuż ścieżki przypominały zdjęcia z najbardziej luksusowych magazynów, tworzyły sielankową, swojską atmosferę. Nic dziwnego, że Adelina jest piękna, pogodna i szczęśliwa, skoro mieszka w tak cudownym otoczeniu. Od razu człowiekowi robi się przyjemnie na duszy.

Zapukała i dłuższą chwilę czekała. Już miała wracać, kiedy drzwi się otworzyły.

– Cieszę się, że cię widzę! – zawołała Adelina i wpuściła ją do środka. – Właśnie piję poranną kawę, a w towarzystwie zawsze przyjemniej.

Kornelia weszła do przestronnej kuchni. Dom był stary, budowany jeszcze według zasady, że sercem domu jest kuchnia i w związku z tym musi być w niej sporo miejsca. W powietrzu unosił się przyjemny zapach świeżo upieczonego ciasta.

– Zdążyłaś już dzisiaj coś upiec? – zapytała zaskoczona.

– Wcześniej wstaję – odparła Adelina. – Dość się już w życiu wyspałam. To taki paradoks. Kiedy masz małe dzieci, nie możesz spać, choć bardzo tego pragniesz. A potem już możesz, ale ci się nie chce.

Uśmiechnęła się i zaprosiła gościa do stołu. Położyła drugi talerzyk i filiżankę na spodku.

Kornelia poczuła, że małe nocne zwycięstwo, okupione tak wielkim poświęceniem, za chwilę pójdzie na marne.

– Próbuję ograniczać słodczy – przyznała, siadając ciężko na kuchennym wygodnym krześle. Pies ułożył się pod nim i natychmiast przymknął oczy. Gospodyni nie przeszkadzała wizyta nieplanowanego gościa, choć też, podobnie jak mama Kornelii, kochała porządek. Ale najwyraźniej miała do niego o wiele zdrowsze podejście.

– Rozumiem i pochwalam – powiedziała Adelina. – Dam ci tylko mały kawałek ciasta, na poprawę nastroju. Słodczy same w sobie nie są złe, trzeba tylko nad nimi panować.

Kornelia skrzywiła się z niesmakiem.

Pięknie. Już się zaczyna. Panowanie nad tym, panowanie nad tamtym... Na samą myśl człowiek jest zmęczony. Z przyjemnością ugryzła kęs świeżutkiego ciasta i poczuła znajomą błogość rozlewającą się po całym ciele. W tym momencie zadzwonił telefon Kornelii. Z niechęcią wyciągnęła aparat. Nie spodziewała się niczego dobrego. To mógł być tylko ktoś z pracy albo... mama. Sama nie wiedziała, co gorsze. Numer był jednak nieznanym, więc odebrała z ulgą.

Sokołowska obserwowała z niepokojem, jak twarz dziewczyny bladła coraz bardziej, aż zrobiła się prawie sina.

– Coś się stało? Złe wieści? – zapytała z troską.

– Jestem chora – przyznała się Kornelia z rozpaczą w oczach. – Właśnie nadeszły moje wyniki. Wcześniej, niż mi mówiono. A to zły znak. Podobno



najszybciej przysyłają najgorsze przypadki do ponownej weryfikacji, ale w moim przypadku nie ma co sprawdzać... – Broda zaczęła jej drżeć, a pod powiekami pojawiły się łzy, nad którymi nie miała już siły zapanować. – Od razu czułam, że jest źle. Bardzo źle – dodała.

Adelina pokiwała głową.

– Teraz już wszystko rozumiem. Dostałaś jakąś okropną diagnozę. To stąd wziął się karkołomny plan pracy u Leonarda?

– Tak – przyznała się Kornelia.

– Ale zanim się załamiesz, odbierz te wyniki – powiedziała Adelina stanowczo. – Nasza służba zdrowia jest całkowicie nieprzewidywalna. Nie ma reguł, które można uznać za pewne. Możliwe, że wynik faktycznie jest zły i dlatego przyszedł w pierwszej kolejności, ale może to być także zwykły zbieg okoliczności. Trzeba to sprawdzić.

Kornelia poczuła, że jest jej niedobrze ze strachu.

– To oczywiście amatorszczyzna z mojej strony, ale kiedy patrzę na ciebie, trudno mi uwierzyć w jakąś bardzo poważną chorobę... Choć, naturalnie, pozory czasem myślą – dodała zaraz, bo bała się robić jej złudną nadzieję.

– Czuję się bardzo źle – szepnęła Kornelia i zszarzała jeszcze bardziej. – Boli mnie brzuch i serce. Sama już nie wiem, co jeszcze. Chyba wszystko mam chore. Jest mi słabo. Pewnie od razu zabiorą mnie do szpitala i pokroją na kawałki.

– No dobrze. – Adelina wstała. – To trudne, ale nie ma innego wyjścia, trzeba to zrobić, bo się wykończysz od samego myślenia. Jedziemy po ten wynik. Zabiorę cię moim samochodem.

Kornelia wstała i zakręciło jej się w głowie. Złapała się za oparcie krzesła.

– Uspokój się! – Adelina mówiła stanowczo jak nigdy. – Jeszcze przed momentem byłaś zdrowa. Wszedłaś tu w dobrej formie, a od rana miałaś na tyle energii, by sprzątać cudzą kuchnię, pies świadkiem. Więc weź się w garść.

Spróbowała.

Wyszły razem, ale nie było to łatwe. Świat poszarzał, nawet kwiaty w ogrodzie straciły swoje barwy i cały urok. Ziemia pod stopami lekko jej się ugięła, każdy krok trwał dłużej niż zwykle i Kornelia czuła nieprzewyciężony opór przed stawianiem kolejnych. Wcale nie miała ochoty jechać do szpitala, niczego odbierać. Najchętniej położyłaby się na jasnym żwirku ścieżki i poddała bez walki.

– Chodź – pociągnęła ją Adelina, nie zważając na to, że psia smycz oplątywała im się wokół nóg, powiększając zamieszanie. – Miejmy to już za sobą. Będziesz się załamywać, dopiero kiedy czarno na białym pokażę ci dowód. Nie wcześniej.

Zamknęła furtkę i wepchnęła Kornelię razem z psem do samochodu. Zatrzasnęła drzwiczki od strony pasażera, a sama usiadła za kierownicą. Wypuściła

ze świstem powietrze. Też była bardzo zdenerwowana. Kornelia wcale jej się nie dziwiła. Nie jest łatwo pocieszać skazańca.

Jechały szybko. Po drodze zostawiły psa w jego boksie, nawet nie pytając sąsiada o zdanie. Wszystkie światła jak na złość były zielone i po bardzo krótkiej chwili, według Kornelii stanowczo zbyt krótkiej, stanęły na zatłoczonym parkingu przed szpitalem.

– Wsiadaj – nakazała Adelina.

– Nie gniewaj się, ale chyba nie dam rady. – Kornelia naprawdę zaklinowała się w ciasnym wnętrzu samochodu. Fotel pasażera był jak na jej potrzeby zbyt mocno przysunięty. Czuła się jednak bezpiecznie w tym schowku i nie miała ochoty wychodzić ani niczego się dowiadywać.

– Wsiadaj! – powtórzyła Adelina. – Bo zawołam pielęgniarzy, żeby cię wyciągnęli siłą.

Kornelia pożałowała bardzo spontanicznej decyzji, żeby udać się z wizytą. Najwyraźniej każda dopuszczona do sekretu osoba oznaczała tylko kolejne kłopoty. Wydostała się z trudem z samochodu i na miękkich nogach, ciągnięta energicznie przez Adelinę, dotarła pod drzwi gabinetu.

– Wejść z tobą? – zapytała.

– Tak. – Kornelia kiwnęła głową i została wciągnięta do środka.

– Dzień dobry – powiedziała Adelina poważnym tonem. – Pani Rudnicka chciałaby odebrać wyniki badań. Źle się czuje, więc będę jej towarzyszyć.

– Oczywiście – powiedziała pielęgniarka i odszukała odpowiednią karteczkę. – Bardzo proszę. Miała pani szczęście, akurat dzisiaj wyniki przyszły specjalną przesyłką kurierską, bo czekamy na jeden bardzo ważny, i reszta przyjechała przy okazji.

Kornelia spojrzała na zadrukowaną kartkę, ale litery skakały jej przed oczami i nawet gdyby tekst napisany był ludzkim językiem, a nie był, zrozumienie jego treści przekraczałoby jej aktualne możliwości.

– O co tu chodzi? – zapytała bezradnie.

Pielęgniarka przetłumaczyła.

– Dawna grupa trzecia. Nieliczne zmiany, należy skonsultować się z lekarzem, to prawdopodobnie jakiś mocny stan zapalny, być może początek czegoś poważniejszego, ale generalnie nic groźnego.

– Lekarz powiedział – zawołała rozpaczliwie Kornelia – że to może być śmiertelne!

– Który lekarz? Ginekolog, który panią do nas skierował? – upewniła się pielęgniarka.

– Tak.

– No cóż, może chciał być ostrożny, tak na wszelki wypadek. W każdym razie koniecznie proszę się skonsultować z jakimś dobrym ginekologiem. –

Pielęgniarka mówiła poważnym tonem. – Dam pani kilka telefonów. Coś faktycznie pani dolega, ale najprawdopodobniej to jeszcze nic poważnego. Trzeba koniecznie sprawę wyjaśnić, bo z czasem może to stać się bardzo groźne, ale na dzień dzisiejszy powodów do paniki nie widzę – dodała i uśmiechnęła się. – Proszę też pamiętać, że tylko lekarz może dokonywać interpretacji wyników.

– To dlaczego pani to robi?

– Bo lubiłam fizykę – odpowiedziała. W tym momencie Kornelia rozpoznała w młodej kobiecie absolwentkę liceum z pierwszego rocznika, który uczyła. – Dobrze pani życzę i nie chcę, żeby się pani zamartwiała. Proszę się jednak skonsultować ze specjalistą.

Nagle rozległ się rumor, jaki wydaje przewracająca się meblościanka pełna książek. Kornelia zemdląła, a blisko sto kilogramów żywej wagi zatrzęsło podłogą gabinetu.

Ulga zwała ją z nóg.

## ROZDZIAŁ 8

---

---

Ocknęła się w gabinecie lekarza ogólnego, przeniesiona z wielkim trudem przez dwóch pielęgniarzy, lekarza dyżurnego oraz rosłego pacjenta, którego poproszono o pomoc. Wspólnymi siłami mężczyźni podnieśli ją z podłogi, położyli na noszach, po czym zanieśli do gabinetu zabiegowego. Tam szybko odzyskała przytomność, choć wciąż kręciło jej się w głowie.

– Ale nas pani wystraszyła. – Usłyszała głos lekarza. – Ale proszę się nie martwić, wszystko jest już w porządku. Ciśnienie w normie, z sercem też nic niepokojącego się nie dzieje. Chciałbym jednak zostawić panią na obserwacji, tak dla uzyskania całkowitej pewności.

– Niech pan tego nie robi – poprosiła Kornelia. – Nic mi nie jest. Zemdlałam z wrażenia. Poza tym jestem tutaj z przyjaciółką – powiedziała z nagłą dumą, bo dla niej było to coś wyjątkowego. – Odwiezie mnie do domu.

– No dobrze – zgodził się lekarz. – Ale proszę na siebie uważać.

Kornelia najpierw ostrożnie usiadła na tapczaniku, potem wstała, a w końcu podeszła do drzwi. Nie było tak źle. Zawroty głowy minęły.

Na korytarzu czekała Adelina. Na widok Kornelii zerwała się z ławki i podeszła szybko.

– Ale nam wszystkim napędziłaś strachu! – zawołała.

Na szerokim korytarzu, pod drzwiami do kilku gabinetów siedzieli pacjenci. Omdlenie Kornelii było dla nich sporym urozmaiceniem nudnego oczekiwania na wizytę, stanowiło nie lada sensację. Teraz też wszyscy mniej lub bardziej dyskretnie wpatrywali się w jej twarz, próbując odgadnąć przyczynę nagłej niedyspozycji.

– Chodźmy do samochodu – zarządziła Adelina. Miała przeczucie, że z dzisiejszego wydarzenia narodzi się niejedna plotka.

Wsiadły do auta. Niestety, zanim rozległ się pierwszy pomruk silnika, Kornelia znów zaklinowała się na fotelu.

– Najpierw po Michałka do szkoły... – Ciężko westchnęła. – Te przedpołudniowe godziny gdzieś uciekły, a dziecko trzeba odebrać.

– Spokojnie. Widziałam dzisiaj rano, jak chłopcy jechali na rowerach. Widocznie ich ojciec nie pozbiierał się jeszcze po weselu. Nie chcę nawet o tym myśleć. Śniadania pewnie nie zjedli, do szkoły nie wzięli kanapek i cały dzień będą się opychać chipsami ze sklepiku. Lena dłużej tego nie znieśie. Przywiozła ich wczoraj późno i ponoć zapowiedziała, że tylko ze względu na szkołę. Jak tylko załatwi formalności, zabierze ich do Warszawy.

– Trzeba im zrobić jakiś obiad... – Kornelia szybko zmieniła temat. Nie lubiła żony Leonarda nie tylko dlatego, że uciekła od problemów, zostawiając dzieci, ale głównie z tego powodu, że on wciąż ją kochał. – Problem w tym, że na gotowaniu się kompletnie nie znam – powiedziała głośno ze sztuczną pewnością siebie. – Znam się tylko na jedzeniu. Chyba mnie ta rola opiekunki do dzieci trochę przerosła. Zrobiłam to pod wpływem szalonego impulsu, ale to wszystko zaczyna się komplikować.

– Pomogę ci – westchnęła Adelina. – Ale tylko dzisiaj – dodała natychmiast. – Mam nadzieję, że to szaleństwo niedługo się skończy. Nie mogę ciągle u nich siedzieć, mam własne obowiązki. Tylko dzieci zawsze człowiekowi żal. Małych i dużych, nawet tych żonatych, choć nie swoich.

– Cóż, można nigdy nie być w ciąży i mieć całe pokłady macierzyńskich odruchów – podsumowała Kornelia. – A można, jak moja mama, trzy razy rodzić i nic, instynkt nawet nie drgnie.

Adelina nie skomentowała tego wyznania, co było do niej niepodobne. Zwykle miała coś do powiedzenia na każdy temat. Włączyła silnik i ruszyła w drogę. Kornelia zerknęła na nią co rusz, ale nie doczekała się reakcji.

Zrobiły po drodze zakupy i obładowane reklamówkami zaparkowały pod

domem Kordasa. Kornelia jak zwykle poczuła przyływ adrenaliny na samą myśl, że Leonard jest w środku i za chwilę go zobaczy.

Dotąd uczucie do Kordasa było jedynie fantazją, mrzonką. Nie traktowała go poważnie. Ale dzisiejszy wynik badań dodał jej skrzydeł.

Cuda się zdarzają – pomyślała z mocą. – Może jeśli będę dostatecznie wytrwała, wszystko inne też się uda. Uśmiechnęła się do swoich marzeń, jakby już się spełniły.

Adelina spojrzała na nią badawczo. Zatrzymała się gwałtownie przy furtce, tak że mało brakowało i Kornelia wpadłaby na nią z całym impetem swojego wielkiego ciała.

– Wiesz, że dostałaś dzisiaj szansę? – zapytała agresywnie Sokołowska.

– Tak – odparła Kornelia trochę zaskoczona atakiem.

– To jej nie zmarnuj. Widziałaś, ile było karteczek z wynikami. Z pewnością nie wszystkie pozytywne. Wykorzystaj podarunek, jaki dostałaś od życia.

– Nie rozumiem... A co ja niby robię?

– Wchodzisz do cudzego ogrodu.

Kornelia spojrzała na sąsiadkę, jakby ta zwariowała.

– To przerośnia – uściśliła Adelina. – Jeśli pakujesz się do cudzego ogrodu, zamiast założyć własny, wcześniej czy później będziesz cierpieć. Masz to jak w banku, ze stuprocentową gwarancją. I nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

Kornelia zaczerwieniła się mocno. Bez słowa minęła ją w przejściu i ruszyła w stronę domu. Znowu pożałowała, że wpadła na pomysł porannej wizyty. Wprawdzie zawdzięczała Adelinie to, że wynik w ogóle został odebrany, bo sama pewnie trzęsłaby się teraz ze strachu i odkładała ten moment w nieskończoność. Ale cena za pomoc okazała się zbyt wysoka. Sokołowska potrafiła zepsuć każdą radość, każdą niewinną zabawę.

Wściekła na cały świat otworzyła drzwi i z ulgą wypakowała na kuchenny stół zakupy. W milczeniu obserwowała, jak Adelina kilkoma sprawnymi ruchami organizuje przygotowanie ciepłego posiłku. Szło jej bardzo szybko. Garnki pojawiały się na kuchence w odpowiedniej kolejności, coś się gotowało, coś innego smażyło, gdzieś bulgotała woda, a ona w tym czasie kroїła warzywa.

– Nie stój tak – odezwała się w końcu. – Powkładaj pozostałe zakupy do lodówki.

Kornelia ocknęła się z pełnego fascynacji zapatrzenia i zaczęła wyciągać z siatki kolejne produkty. Trzasnęły gdzieś drzwi, więc z uśmiechem zajrzała do przedpokoju, spodziewając się ujrzeć głodnego Michała, ale spanikowana szybko cofnęła głowę. Zbladła i odruchowo złapała się za serce. Adelina spojrzała w tę samą stronę.

W wejściu do kuchni stała Lena.

W pierwszej kolejności spojrzała czujnie na Kornelię, lustrując ją od stóp do

głów. Wynik obserwacji był chyba dla niej zadowolający, bo uśmiech przebiegł jej błyskawicznie po kształtnych ustach, a w oczach o początkowo dość bojowym wyrazie pojawiło się coś na kształt pobjaźnienia.

Kornelia zaczerwieniła się po czubki uszu, które zaczęły piec ją żywym ogniem. Od razu domyśliła się, w jakim celu żona Leonarda pojawiła się nagle we własnym domu. Lekceważenie, jakie okazała domniemanej rywalce, zaboląło niczym policzek. Poczula się nic niewarta, słaba i nieatrakcyjna.

– Dzień dobry, Adelino – przywitała się Lena. – Widzę, że na pomoc sąsiedzka w tym mieście zawsze można liczyć. Dziękuję, że poratowałeś moich chłopców w kryzysie. Chętnie się odwdzięczę, mam nadzieję, że szybko nadarzy się ku temu okazja.

– Ależ oczywiście. Pewnie niejedną raz. – Adelina oderwała się od krojonych warzyw, wytarła ręce, po czym przywitała się serdecznie z Leną, całując ją soczyście w oba policzki.

Kornelia zagryzła wargi. Co to ma znaczyć? Ta wstrętna baba zostawiła odłogiem dom, męża i dzieci, a potem wraca jakby nigdy nic i jeszcze jest tak ciepło witana? Westchnęła znacząco.

– Pozwól, że ci przedstawię... – zareagowała błyskawicznie Adelina – osobę, która sporo nam pomaga. To pani Kornelia Rudnicka, wychowawczyni Daniela.

Lena wyraźnie się zdziwiła. Z odrobinę większym respektem wyciągnęła dłoń.

– Dzień dobry. Bardzo przepraszam, że nie poznałam pani od razu, ale zawsze na zebrania chodził Leonard. Dziękuję, że zechciała się pani fatygować. To już oczywiście od dzisiaj nie będzie konieczne – dodała i otworzyła właściwą szufladę, by wyciągnąć fartuch.

Umyła dłonie.

– Dokończę przygotowywać obiad – powiedziała jeszcze znad zlewu. – Wróciłam do domu i zajmę się wszystkim – dodała. – Jeszcze raz dziękuję paniom za życzliwość.

Adelina posłusznie odsunęła się od kuchenki, ale Kornelia nie miała zamiaru poddać się tak łatwo. Jej zdaniem ta kobieta kompletnie tutaj nie pasowała. W zbyt krótkiej spódnicy, obcisłej bluzce, z włosami gładko zebranymi w wysoki kucyk nie wyglądała na kogoś, kto zna się na gotowaniu. Choć, trzeba przyznać, po kuchni poruszała się sprawnie i bez trudu przejęła pracę Adeliny.

W tym momencie w drzwiach pojawił się Leonard Kordas.

No, nareszcie – pomyślała Kornelia. – Może on zareaguje, jak należy, i uświadomi tej kobiecie, że ten dom, ta kuchnia i ta rodzina już do niej nie należą. Sama przecież z nich zrezygnowała.

Leonard był jeszcze mocno rozespany, wyraźnie skacowany i dość

nieprzytomnym wzrokiem rozglądał się po kuchni, a wyraz jego twarzy wskazywał na to, że nie jest specjalnie zadowolony z faktu, że po jego domu znów kręci się mnóstwo osób, o których obecności nie miał pojęcia. Ale zanim zdążył na dobre otworzyć usta, rozpoznał w kobiecie stojącej przy kuchennym blacie własną żonę.

– Lena? – W jego głosie pojawiła się nieznana Kornelii miękkość.

– Tak – potwierdziła pani Kordas. – Zmysły ci jeszcze dobrze działają, choć, kto wie, jak długo przy twoim trybie życia.

Adelina dyskretnie wycofała się do przedpokoju i pociągnęła za sobą stojącą jak słup Kornelię, która z zapartym tchem oglądała rozgrywającą się w kuchni scenę i ani myślała wychodzić.

– My się już pożegnamy – powiedziała Sokołowska, a Leonard skinął głową z aprobatą, po czym jego wzrok błyskawicznie wrócił do żony. – Chodź. – Kornelia poczuła, jak jej rękaw naciąga się do granic wytrzymałości. Pokonała szybko korytarz, potykając się o walające się wszędzie buty, i po chwili usłyszała za sobą trzask zamykanych drzwi.

– Miałaś zamiar stać tam w nieskończoność? – zapytała Adelina, ciągnąc ją nadal, tym razem w stronę schodów.

– Nie wiem – odparła oszołomiona Kornelia.

Było jej strasznie przykro. Przez chwilę czuła się ważna, potrzebna i nagle wyrzucono ją za drzwi niczym zbędną komodę.

Wyrwała się z żelaznego uścisku Adeliny tuż przed furtką.

– Jadę do domu – powiedziała. – Nie gniewaj się, ale mam dość wrażeń na dzisiaj. Muszę odpocząć i pozbierać myśli.

– Wcale ci się nie dziwię. Jedź spokojnie i trzymaj się ciepło. – Pomachała jej dłonią, bo Kornelia szybko schroniła się w bezpiecznym wnętrzu samochodu. Czekał na nią wiernie, jak zwykle. Chciało jej się płakać, ale inaczej niż zwykle. Ten szloch pchał się na powierzchnię z jakiegoś najgłębszego zakamarka jej serca z siłą wulkanicznej lawy. Bała się, że jeżeli pozwoli mu wybuchnąć, nie zdoła się opanować, a za wszelką cenę chciała uniknąć scen w obecności Adeliny. Miała na dzisiaj stanowczo dość mądrych rad i złotych myśli o ludziach, którzy sami skazują się na cierpienie, wchodząc do cudzego ogrodu.

Drżącą dłonią włączyła silnik i powoli odjechała. Wytrzymała tyle, żeby zaparkować nieopodal na poboczu. Dopiero wtedy rozplakała się na całego. Przyroda okazała się dla niej litościwa, bo nagle zaczęło mżyć, a zaraz potem z nieba lunął deszcz. Przechodnie gdzieś zniknęli, kierowcy samochodów ze skupieniem wpatrywali się w mokry asfalt i światła innych pojazdów. Nikt nie rozglądał się po bokach i nie zastanawiał, dlaczego na poboczu stoi stary, wysłużony mercedes...

Długo trwało, nim doszła do siebie na tyle, by móc wyciągnąć telefon i zadzwonić do Anielki. W tym całym trudnym położeniu prawie zapomniała



o swojej radosnej wieści. Wyniki były dobre i należało o tym powiadomić przyjaciółkę. Anielka też się przecież martwiła.

To była dobra rozmowa, która sprawiła, że Kornelia z nową energią przystąpiła do działań.

## ROZDZIAŁ 9

---

---

– Pada – stwierdziła oczywisty fakt wicedyrektor Marcinkowska, spoglądając zalotnie na swojego przełożonego, jakby deszcz za oknem kojarzył jej się z licznymi możliwościami niekoniecznie związanymi z pracą.

Poprawiła jasnobeżową bluzeczkę, obciążając ją starannie na kształtnym biuście. Dyrektor nawet tego nie zauważył, wpatrzony w monotonnie spływające po szybie krople, ale jego druga zastępczyni, pani Woźniak, owszem.

Spojrzała na swoją koleżankę z jawną pogardą i podeszła do okna.

– To bardzo poważna sprawa... – Przysunęła się tak blisko do stojącego przy niej mężczyzny, jak tylko normy przyzwoitego zachowania w miejscu pracy na to pozwalały.

Dyrektor westchnął tylko i usiadł za biurkiem, wskazując kobiecie miejsce po drugiej stronie. Jako samotny mężczyzna w mocno sfeminizowanym środowisku szkolnym miał sporą wprawę i doświadczenie w odpieraniu różnych

podstępnych ataków ze strony przedstawicielek płci pięknej.

Anna Marcinkowska tylko prychnęła lekceważąco na widok porażki koleżanki i znów dumnie wypięła piers.

– Zgadzam się, panie dyrektorze – powiedziała czule, lekko przeciągając samogłoski. – Pan zresztą sam najlepiej o tym wie i z pewnością znajdzie rozwiązanie.

– Czy mogę panie prosić o dyskrecję, zanim się zastanowię, jak postąpić? – zapytał dyrektor, nerwowo zaplatając dłonie. – To wyjątkowo delikatna kwestia. Zresztą, szczerze powiedziawszy, jakoś nie chce mi się wierzyć w te wszystkie plotki.

– Ależ oczywiście. – Wyrwała się szybko pani Woźniak, a Anna zamknęła otwarte dopiero co usta, nie zdążywszy nic powiedzieć. Wicedyrektor Woźniak spojrzała na nią z trumfem i szybko dodała: – Nie wiem jednak, czy coś w tej sprawie da się jeszcze zrobić. Na temat niechlubnego zachowania naszej koleżanki huczy cała szkoła i nie tylko.

– Dokładnie tak – przytaknęła Marcinkowska z fałszywie zbolałą miną. – Tak kompromitującej sytuacji jeszcze w tej szkole nie było.

– Tak, wiem – niechętnie przyznał dyrektor. – Bardzo paniom dziękuję za zaangażowanie. Przyjrzę się sprawie i zadecydujemy co do dalszych kroków.

– A my wielokrotnie wspominałyśmy o naszych zastrzeżeniach.

Wychodząca z gabinetu Marcinkowska wypuściła jeszcze ostatnią zatrutą strzałę.

– Pamiętam. – Dyrektor się zdenerwował. – Ja jednak wciąż mam nadzieję, że to wszystko okaże się zwykłym nieporozumieniem. Nie można się spieszyć z oceną, to są prywatne sprawy, być może wcale nie dotyczą pracy. Proszę wybaczyć, ale mam jeszcze sporo obowiązków – dodał i usiadł za biurkiem. Kiedy obie kobiety wyszły, mocno się zasępił.

Co za paskudna historia. Wszystko go bolało na myśl, że plotki mogłyby okazać się prawdziwe. Nie chciał w nie wierzyć, ale jednocześnie musiał się przyznać sam przed sobą, że nawet jemu trudno było znaleźć wyjaśnienie tak dziwnego zbiegu okoliczności. Zbyt dużo elementów tej łamigłówki gładko wpasowywało się w obraz.

Najpierw nagła choroba, bez wcześniejszego telefonu i jakiegokolwiek powiadomienia o nieobecności. Zwolnienie lekarskie od ginekologa. Później tajemnicza zażyłość z samotnym ojcem jednego z wychowanków, odbieranie jego dziecka ze szkoły i w końcu omdlenie w szpitalu. Wicedyrektorki stworzyły z tego spójną historię o romansie i ciąży z żonatym mężczyzną, a w dodatku ojcem jednego z uczniów.

Dyrektor wstał i zaczął nerwowo chodzić po gabinecie. Rzecz była absurdalna, ale czy zupełnie niemożliwa? Coś go mocno ścisnęło w żołądku. Lubił

Kornelię, nawet bardziej niż sam się do tego przyznawał, i nie życzył jej takiej komplikacji w życiu. On sam nie miał wobec niej żadnych romansowych zamiarów, choć ze wszystkich zatrudnionych w szkole nauczycielek to właśnie z panią Rudnicką najlepiej mu się rozmawiało. Było w niej coś, co ją odróżniało od innych kobiet. Jakaś tajemnica, którą przeczuwał, drugie dno. Nie potrafił sprecyzować, na co dokładnie czeka, ale cały czas miał wrażenie, że ona jeszcze nie odsłoniła swojego prawdziwego oblicza. To go fascynowało, choć bywały momenty, że tracił nadzieję na jakąkolwiek zmianę. Kornelia wybudowała wokół siebie mur tak szczelny, że nie sposób było zajrzeć, nawet ukradkiem, co się za nim kryje.

Cenił ją również za to, że nie uczestniczyła w żadnych gierkach i układach, a wyniki nauczania zawdzięczała wyłącznie wytężonej pracy. Gdyby jeszcze zechciała trochę częściej uśmiechać się do uczniów, wszystko wyglądałoby inaczej. Często musiał odpierać skargi rodziców narzekających, że ich dzieci na fizyce paraliżuje strach. Zawsze ją wtedy bronił z zaangażowaniem, które dziwiło czasem nawet jego samego. Nie miał problemów ze zbiciem argumentów przeciwników, słowne polemiki, skuteczna walka o swoją rację była jedną z jego mocniejszych stron. Ale takich kłopotów, jak teraz, Kornelia nie miała jeszcze nigdy.

Gdyby cała sprawa okazała się prawdą, byłaby dość nieprzyjemna. Nie miał zwyczaju wnikać w prywatne życie pracowników, ale romans z żonatym ojcem ucznia i jeszcze na dodatek ciąża musiały wywołać oburzenie w środowisku niewielkiego miasteczka.

Usiadł i zamyślił się. Jak to się wszystko mogło stać! Dlaczego nikt niczego nie zauważył? Kornelia nie znosiła Leonarda, zawsze wyrażała się o nim negatywnie, co wszyscy rozumieli, bo rzeczywiście Kordas był dość męczący. Obwinał cały świat za swoje niepowodzenia i miał zwyczaj długo dowodzić swoich racji. Czyżby to była tylko zasłona dymna?

Poczuł się mocno urażony i... Zazdrosny? Nie, „zazdrość” to zdecydowanie zbyt mocne słowo, bo choć bardzo lubił Kornelię, nie umiał sobie wyobrazić spotkania z nią na gruncie prywatnym. Wyrzucał sobie, że jest prostackim szowinistą o niskich instynktach, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że przeszkadza mu w tej dziewczynie przede wszystkim wygląd. Ale fakt pozostawał faktem. Nie można wyjść poza fazę sympatii tylko z powodu racjonalnych argumentów. Do tego potrzeba choć szczypty fascynacji, a tej wykrzesać z siebie nie mógł. Jednak skutkiem ubocznym tych zawitych komplikacji uczuciowych były dwie sprawy. Po pierwsze, zawsze bronił Kornelii, a po drugie, wszystkie inne kobiety, jakie znał, choć niewątpliwie atrakcyjne i szczupłe, wydawały mu się dziwnie płytkie. I jakoś z żadną nie mógł się umówić, choć okazji nie brakowało.

A teraz miał twardy orzech do zgryzienia. Z niechęcią sięgnął po słuchawkę. Nienawidził weryfikowania plotek. Przypominało mu to grzebanie w ciepłym

szambie.

## ROZDZIAŁ 10

---

---

Kiedy wróciła do domu, bez pytania zabrała psa z boksu. Sąsiada nie było w domu, a zwierzak piszczał. Ona też miała ochotę pożalić się głośno. Potrzebowała wsparcia. Jednak wspólne chwile szybko się skończyły i odbyła kolejną nieprzyjemną rozmowę, ponieważ sąsiad, który właśnie wrócił, zażądał stanowczo, by mu zwrócić psa, i nie chciał nawet słuchać wyjaśnień. Zabrał zwierzaka, podejrzliwym wzrokiem obrzucił Kornelię i czym prędzej poszedł do siebie. Ledwo drzwi się za nim zamknęły, w przestronnym holu dopadła ją mama. Musiała czatować długo na tę okazję, bo wyraz satysfakcji konkurował na jej twarzy ze świętym oburzeniem. Kornelia dobrze знаła tę minę, stałego towarzysza dziecińczych lat. Dzisiaj sprawa musiała być wyjątkowo poważna, bo mama wyglądała na maksymalnie zbulwersowaną.

– Tym razem porozmawiasz ze mną! – krzyknęła. – Czy tego chcesz, czy nie. – I stanęła tuż pod schodami, blokując wejście na górę.

– Dobrze – zgodziła się pokornie Kornelia. Weszła do salonu i usiadła na kanapie. – Co się stało?

– Ty się jeszcze pytasz, co się stało? – Mama złapała się za serce, co było jej ulubionym gestem, kiedy chciała wyrzucić presję na rozmówcy.

– Tak, pytam – potwierdziła Kornelia. – Bo nie do końca rozumiem, skąd to ogromne wzburzenie.

– Nie wierzę, że doczekałam tego po tylu latach poświęceń! – zawołała matka. – Własna córka ze mnie drwi w żywe oczy. Co ty głucha jesteś? Nie słyszysz, o czym ludzie gadają?

– Szczerze powiedziawszy, nie – westchnęła Kornelia. – Wiesz, jak to jest. Zainteresowany zawsze dowiadyuje się na końcu.

– No dobrze, powiem ci w takim razie. Ponoć masz romans z żonatym mężczyzną, ojcem twojego ucznia. – Martynie Rudnickiej zadrżał głos i zaczęła płakać. – Tyle lat pracuję w szkole, a nigdy nie byłam powodem do plotek. Ja ani żadne z moich dzieci. A teraz taki straszny skandal! Czy ty nie rozumiesz, że niszczysz nie tylko swoją opinię, ale także moją? – Mama najwyraźniej dotarła do najistotniejszego dla niej punktu, bo aż dostała chrypki z przejęcia. – Nie wiem, jak ja się jutro w pracy pokażę. Nawet chorobowego nie mogę wziąć, bo każdy się od razu domyśli. Ja zresztą nigdy nie opuściłam ani jednego dnia pracy. I na co mi teraz przyszło?

– Mamo, uspokój się. Nie mam romansu z Kordasem, to bzdura – powiedziała Kornelia, ale jakby wbrew swoim słowom zaczerwieniła się mocno. Cholerny rumieniec, nad którym nigdy nie udawało się zapanować.

– To dlaczego się czerwienisz? – krzyknęła mama. – Coś musi być na rzeczy.

– To moja prywatna sprawa – zdenerwowała się Kornelia. – Nikomu nic do tego.

– Tu nie ma prywatnych spraw... – Mama się rozkręcała do dłuższej tyrady.

– Właśnie widzę – przerwała jej Kornelia. – Najwyższy czas to zmienić. Ja mam swoje życie, ty swoje. Wiadomo, zawsze nas będzie sporo łączyć, ale tak dalej być nie może.

Wstała z kanapy i spojrzała na mamę odważnie.

– Nie mam romansu, mówię to dla twojej wiadomości. Naprawdę wierzysz, że taki mężczyzna mógłby się związać ze mną? Nie widzisz, jak wyglądam?

Mama zamilkła. W gardle zablokowały jej się dwie odpowiedzi. Dyplomatyczno-pedagogiczna wersja, którą karmiła córkę od dzieciństwa, mówiąca, że najważniejsze jest wnętrze, wiedza, zainteresowania. Te gładkie, często wypowiedane zdania miały podnieść na duchu i wyleczyć z kompleksów jej najbrzydsze i najbardziej nieudane dziecko. Nie umiała łatwo z nich zrezygnować. Druga opcja była bardziej szczerą. Martyna Rudnicka była pedagogiem

z wieloletnim doświadczeniem, kobietą nawykłą do zagładania w głąb ludzkich dusz, ale nawet ona nie mogła uwierzyć, że przystojny, charyzmatyczny malarz zakocha się w tak mało atrakcyjnej kobiecie, jak jej najmłodsza córka. Właśnie to sobie uświadomiła i poczuła mimowolną ulgę.

Leonard Kordas miał kiedyś spotkanie w szkole podstawowej. Opowiadał dzieciom o swojej pracy i Martyna dokładnie pamięta, jak wspominał, że ceni piękno, proporcje kształtów i łagodne, klasyczne linie we wszystkim, co go otacza. Nie. Nie zakochałby się w Kornelii.

Ale tego własnemu dziecku powiedzieć nie mogła. Wciąż była przekonana, że należy za wszelką cenę podtrzymywać w córce wiarę we własną wartość, na przekór ludziom, którzy ją oceniają tylko po wyglądzie. Odsunęła dręczącą myśl, że ona też do tej grupy należy, wbrew głoszonym poglądom. Postanowiła bronić swojego stanowiska. Nawet jeśli miałyby to oznaczać czasem drobne kłamstwo. Należało szybko je wymyślić.

Milczenie było jednak zbyt długie.

– Sama widzisz – stwierdziła Kornelia ze smutkiem, samodzielnie interpretując brak odpowiedzi.

– Nic nie widzę – zdenerwowała się mama i złapała ją za rękaw, żeby jeszcze nie odchodziła.

– Wciąż mnie ktoś szarpie i ciągnie w różne strony według swojej woli. Czas z tym skończyć – zawołała Kornelia.

– Ale powiedz mi. – Mama spojrzała na nią z naciskiem. – Tylko błagam cię, bądź ze mną szczerą. W ciąży też nie jesteś? – Słowa z trudem przedzierały jej się przez gardło.

– W ciąży? – Kornelia aż usiadła z wrażenia. – A skąd tak absurdalna myśl? Naprawdę nie rozumiem!

– Czego nie rozumiesz? Prosta dedukcja – krzyknęła mama. – Chorujesz i nie chcesz powiedzieć, co ci jest, zwolnienie masz od ginekologa, a w szpitalu mdlejesz nagle na oczach wszystkich. Dziwisz się, że ludzie dodali sobie dwa do dwóch?

– To tyle ci tylko powiem, że słabo się znają na matematyce. Bądź spokojna. Nie jestem w ciąży, choć bardzo bym chciała. Możesz iść jutro do pracy z podniesioną głową i zdementować te wszystkie głupie plotki. One i tak same ucichną, bo do Kordasa wróciła dzisiaj żona.

– Słyszałam... – Mama nie dała się niczym zaskoczyć. – Podobno przez ciebie.

– Dobre i to – powiedziała Kornelia, wstając. – Choć jeden pożytek z mojego niepotrzebnego nikomu życia.

– Jak możesz tak mówić! – Mama znów rozpędzała się w swoich wywodach o wartości ludzkiej egzystencji, ale Kornelia nie potrzebowała słów, tylko faktów,



a tych nie było.

– Idę do siebie. To był dla mnie ciężki dzień. I cały tydzień. Mam wrażenie, że przeżyłam w ciągu tych kilku dni więcej niż przez całe życie.

– No właśnie! – Zerwała się mama. – Od razu się domyśliłam, że coś jest nie tak. Siadaj i mów. Co ci naprawdę dolega? Zwierz się matce. Wspólnie znajdziemy rozwiązanie.

– Nie, mam, mam, dziękuję. Tym razem muszę sobie poradzić sama.

– Ależ oczywiście, że sama. Ja cię tylko delikatnie pokieruję.

– Nie, mam. Tym razem zrobię to zupełnie sama.

– Ale jak to? – zapytała Rudnicka bezradnie. – I nawet mnie nie zapytasz o zdanie?

– Może to zrobię – odparła Kornelia. – Ale jeszcze nie teraz.

– Nawet nie wiesz, o czym mówisz – krzyknęła mama. – Samodzielne podejmowanie decyzji jest dla dorosłych, a ty wciąż jesteś jeszcze dzieckiem, choć w metryce masz trzydzieści lat. Mieszkasz pod moim dachem, karmię cię, piórę twoje ciuchy, bywa, że sprzątam ci pokój i łazienkę. Pieniądzy starcza ci do pierwszego tylko dzięki nam, bo pracę w szkole ja ci załatwiłam, z małą pomocą Agnieszki. Nie masz pojęcia, co znaczy samodzielność.

– Masz rację. – Kornelia właśnie uświadomiła sobie z całą mocą prawdziwość przykrych słów mamy. – Masz całkowitą rację – powtórzyła.

Mama uśmiechnęła się, z zadowoleniem przyjmując kapitulację córki, ale mina jej się zmieniła, gdy tylko usłyszała kolejne słowa swojego dziecka:

– Najwyższy czas to zmienić – oświadczyła Kornelia ze stanowczością, której nikt wcześniej u niej nie widział.

Wstała z kanapy, kończąc tym samym definitywnie rozmowę. Wyszła z pokoju i, ciągnąc swoje kilograpy, pokonała schody. Oslupiała mama została w salonie sama. Chyba po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów.

Kornelia weszła do pokoju, popatrzyła na jego dobrze znane, bezpieczne wnętrze i poczuła, że czas ruszyć w drogę. To, co powiedziała mamie, było prawdą. Miała wrażenie, że w ciągu całego życia nie przeżyła tyle, ile przez ostatnie kilka dni. Nieplanowana środowowa wizyta u lekarza obudziła ją z długoletniego snu z delikatnością spadającego pustaka. Po raz pierwszy poczuła, co znaczy strach o własne życie i wielkie pragnienie, by być tutaj nadal, mimo piętrzących się trudności. Działała może trochę na oślep z powodu tej paniki, ale przynajmniej jej serce nie było już puste. Przekonała się, że potrafi znaleźć przyjaciela, zrobić coś pożytecznego i zawalczyć o swoje prawa. A to już było bardzo wiele.

Kiedy dziś rano opuszczały z Adeliną szpital, była gotowa gołymi rękami udusić lekarza, który niepotrzebnie napędził jej tyle strachu. Snuła plany, by pójść na skargę do burmistrza albo napisać artykuł do miejscowej gazety. Ale teraz

poczuła, że chyba kupi temu nadgorliwemu ginekologowi kwiaty. Zawdzięczała mu życie, bo mimo wszystko ostrzegł ją przed katastrofą na tyle wcześniej, że mogła zacząć leczenie, póki jeszcze jest na to czas, a po drugie uświadomił jej, jak cenna może być każda darowana chwila. Mimo wszystko.

Inaczej też patrzyła dzisiaj na swoją pracę. Zawsze jej się wydawało, że w szkole spotykają ją wyłącznie trudności, że musi pchać swój wózek pod górkę, a wszyscy rzucają jej kłody pod nogi. Tymczasem w porównaniu z takim na przykład codziennym sprzątaniem u Kordasów nauczanie okazało się mieć sporo plusów. I co najważniejsze, to była jej działka, jak to mówiła Adelina, własny ogródek. Postanowiła popracować w nim z trochę większym niż dotąd entuzjazmem.

Stała przy oknie w swoim ulubionym miejscu i spojrzała w niebo.

– Dziękuję – wyszeptała. – Dziękuję za tę szansę. Za ten wielki, niezwykły i najlepszy podarunek, jakim są kolejne dni życia.

Zamknęła okno, zasunęła zamek swetra i zabrała się do pracy. Wierzyć jej się nie chciało, że były kiedyś takie momenty, w których musiała zabijać czas jałowymi zajęciami, bo wydawało jej się, że nie ma niczego do roboty. Teraz przychodziło jej do głowy mnóstwo pomysłów.

W pierwszej kolejności włączyła laptop i poszukała sklepów internetowych z odzieżą dla puszystych. Znalazła je bez trudu i z zaskoczeniem długo przeglądała kolorowe zdjęcia z naprawdę ładnie ubranymi modelkami. Kolorowe tuniki, sukienki, płaszcze i twarzowe bluzki. Ogromny wybór! Adelina miała rację. Nadwaga nie usprawiedliwia niedbalstwa. Kornelia pomierzyła się starannie, z satysfakcją stwierdziła, że istnieją rozmiary większe niż jej własny, i złożyła spore zamówienie. Brała tylko rzeczy dostępne od ręki i od razu zapłaciła przelewem. Spieszyło jej się. Postanowiła odtąd inaczej ubierać się do pracy.

Miała jeszcze kilka dni chorobowego. Zdecydowała, że wykorzysta ten czas na wizytę u prywatnego ginekologa oraz zakupy i fryzjera. W przyszły czwartek miała zamiar stawić się w swojej szkole jako nowy człowiek. Zaczęła przeglądać też strony internetowe z ćwiczeniami fizycznymi i zasadami zdrowego odżywiania. Wszystko było na wyciągnięcie ręki. Tylko chcieć i działać. Na koniec spojrzała na portal ogłoszeniowy z mieszkaniami do wynajęcia.

Westchnęła i znów ogarnęła wzrokiem swój pokój. Spędziła tu całe swoje życie. Szału nie było, ale i wysilać nie trzeba się było wcale. Pozamiatać podłogę od czasu do czasu, zmienić pościel, umyć okno. Jeśli się wyprowadzi, będzie musiała bardzo roztropnie gospodarować pieniędzmi, sama sobie robić zakupy, pranie, posiłki.

Cena samodzielności. Albo się siedzi u rodziców na garnuszku i słucha gadania, albo samemu się o sobie decyduje, ale za własne pieniądze i u siebie.

Była pewna, że chce się usamodzielnic, ale dłonie lekko jej drżały, kiedy

wykręcała kolejne numery podane pod ogłoszeniami. Niczego dla siebie nie znalazła. Albo mieszkania były za drogie, albo kaucja zbyt wysoka, lub też metraż za wielki. Wreszcie zadzwoniła do Anielki. To już powoli stawało się tradycją, że mogła na nią liczyć w trudnych sytuacjach. Przyjaciółka uruchomiła swoje kontakty i jeszcze tego samego wieczoru dość niepewnym głosem przedstawiła jej propozycję. Kawalerka na starym blokowisku, cena nawet wyjątkowo przystępna, tylko lokal do remontu. Kornelia bardzo się ucieszyła i od razu zapisała numer telefonu właściciela, nie zważając na obiekcje Anielki co do stanu wnętrza. Kornelia nie znała się na pracach budowlanych i nie miała żadnych odpowiednich znajomych. Bogiem a prawdą prócz Anielki i Adeliny prawie w ogóle nie miała znajomych, ale postanowiła zaryzykować. Bardzo chciała wyprowadzić się z domu.

Najwyżej na początku będzie mieszkać w nieodremontowanym, a potem się zobaczy... – Doszedłszy do tego wniosku, zadzwoniła do właściciela. Umówiła się na spotkanie. Musiała to być niezła rudera, bo mężczyzna zareagował na jej telefon z jawnym entuzjazmem. Widać na nadmiar chętnych nie narzekał.

Skończyła snuć plany późno w nocy i położyła się do łóżka zmęczona tak bardzo, że nawet nie pomyślała, by coś przekąsić przed snem.

## ROZDZIAŁ 11

---

---

Obudziła się bardzo wcześnie. Tego dnia miała umówioną kolejną wizytę u lekarza.

Tym razem staranniejsz szukała fachowca. Niepewność co do faktycznego stanu zdrowia wciąż tliła się w niej, gotowa w każdej chwili wybuchnąć wielkim ogniem.

Na razie miała jedną pozytywną opinię pielęgniarki. Ale bała się budować pewności co do własnego zdrowia na tej podstawie. Żaden ginekolog jeszcze nie widział wyników badań.

Strach wciąż czał się na dnie jej serca, a wraz ze zbliżającą się wizytą przybierał na sile. Przeczytała o tym lekarzu wszystkie opinie w Internecie i choć nie każda informacja była jednoznacznie pozytywna, to jednak zdecydowana większość pacjentek deklarowała, że jest to specjalista godny zaufania.

Mimo że była umówiona na konkretną godzinę, musiała chwilę poczekać.

Ale uznała to za dobry omen. Liczni pacjenci są najczęściej oznaką popularności. Poprzednio nie było zbyt wielu chętnych na wizytę, co wtedy ją ucieszyło. Teraz tylko pokiwała w duchu głową nad własną naiwnością.

Tutaj czuła się trochę bezpieczniej, choć stres wykorzystywał każdą upływającą minutę, by rosnąć w siłę i opanowywać wszystkie komórki jej ciała.

Kiedy przyszła jej kolej, trzęsły jej się kolana. Otarła wilgotne czoło i weszła do gabinetu na miękkich nogach, po czym opowiedziała lekarzowi swoją historię. Wysłuchał jej uważnie, po czym starannie zbadał, zrobił USG i w końcu przejrzał wyniki badań.

– Lekarz, który tak panią wstrząsnął, miał sporo racji – powiedział po przeanalizowaniu wszystkich faktów. – I z całą pewnością uratował pani zdrowie, a kto wie, może nawet życie. Trzecia grupa daje powody do niepokoju, a objawy zewnętrzne też świadczą o tym, że choroba rozpoczęła atak już jakiś czas temu i, niestety, nadal się rozwija.

Kornelii znów zrobiło się słabo. Ta huśtawka nastrojów była ponad jej siły. Każda kolejna diagnoza różniła się od poprzedniej.

– Proszę się jednak nie denerwować – kontynuował lekarz spokojnym tonem. – Nie ma powodu do paniki, choć lekceważyć sprawy również nie wolno. Wszystko z zachowaniem zdrowego rozsądku. Wypisałem recepty i skierowania na kolejne badania. Proszę zażywać leki, prowadzić zdrowy tryb życia i zgłosić się za dwa tygodnie do kontroli. Być może konieczny będzie zabieg, ale to już czas pokaże.

Podziękowała, słono zapłaciła i wyszła z gabinetu, zabierając wszystkie zapisane przez lekarza karteczki. Po raz pierwszy, odkąd się dowiedziała o chorobie, poczuła spokój. Rzeczowy ton, brak emocjonalnych komentarzy i fachowe, dokładne badanie sprawiło, że zaufała temu lekarzowi. Nie było zupełnie dobrze, ale czuła, że znajdowała się na dobrej drodze do odzyskania pełni zdrowia. Wreszcie wiedziała, na czym stoi.

\* \* \*

Nadszedł czwartek, a wraz z nim chwila powrotu do szkoły. Nie chciała już brać kolejnych zwolnień. Jej nielubiana dotąd praca zyskała nowe znaczenie. Nie

ma to jak mieć porównanie, na przykład z porządkowaniem wiecznie brudnego domu. To było bezcenne doświadczenie.

Kiedy weszła do klasy, cisza była aż gęsta. Jej uczniowie, zwykle hałaśliwi i nadaktywni, siedzieli bez ruchu, a na ich twarzach jednakowo malowało się szczerze zdumienie. Wychowawczynie stanęła przed nimi w ładnej sukience w kolorze ciemnej śliwki. Włosy po raz pierwszy miała rozpuszczone, przycięte modnie do ramion i starannie wyprostowane. Ładnie kontrastowały z niebieskimi tęczęwkami oczu. Ale najbardziej zaskakujący był serdeczny uśmiech malujący się na ustach najbardziej surowej nauczycielki tego liceum. Zaskoczenie odebrało im głos. Wypracowali już procedury radzenia sobie z atakami złego humoru i ponurą miną fizyczki, ale co miała oznaczać ta radość na jej twarzy, nie mieli pojęcia.

Nauczycielka zaś spojrzała na nich odważnie i powiedziała, że zaczyna nowe życie. Na te słowa zamarły nawet największe klasowe cwaniaki, których normalnie nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi. Żadne nakazy, groźby ani pouczenia. Na taką szczerość nie umieli odpowiedzieć ciętym komentarzem.

– Mówię wam o tym – dodała Kornelia drżącym z emocji głosem – z kilku powodów. Po pierwsze uważam, że macie prawo znać prawdę, zwłaszcza w obliczu barwnych plotek.

W tym momencie kilka dziewcząt wyraźnie się uaktywniło, na ich policzki wróciły rumieńce. Temat musiał być im bardzo bliski.

– Chorowałam w ostatnim czasie – kontynuowała Kornelia – i wprowadzie szybko wyszłam z tego w miarę obronną ręką, według niektórych z was pewnie zbyt szybko... – Uśmiechnęła się i poczuła, że atmosfera lekko się poprawiła. Dwóch największych leserów w ostatniej ławce ochoczo skinęło głowami. – Jednak, mimo iż trwało to tylko kilka dni, zdążyłam poczuć, czym jest strach o własne zdrowie i... – dokończyła z trudem –... o życie. To jedyne wytłumaczenie mojej nieobecności i zmiany, jaka we mnie zaszła. Wszystkie pozostałe opowieści to zwykła bujda.

Klasa jak na komendę spojrzała w stronę Daniela, który od początku lekcji siedział jak skamieniały i wpatrywał się w splecione na ławce dłonie. Kornelia, widząc tę reakcję, tylko utwierdziła się w przypuszczeniach, że wszyscy już słyszeli o jej rzekomym romansie. Cieszyła się teraz, że zdobyła się na odwagę, by stanąć przed młodzieżą i poruszyć ten temat.

– Teraz wszystko się zmieni – powiedziała z mocą. – Zacznę od tego, że... zamierzam schudnąć.

Po klasie przebiegł już wyraźnie słyszalny szmer, a jedna z uczennic, Natalia Jamróz, jawnie prychnęła z pogardą, której nie zdołała stłumić, choć zasłoniła usta dłonią. Najwyraźniej nie wierzyła w podobne deklaracje.

– Mówię wam o tym też trochę z egoistycznych powodów. Teraz, kiedy już wiecie, będzie mi wstyd się poddać – zakończyła Kornelia.

– Na pewno się pani uda! – zawołała spontanicznie rudowłosa Julka, a sprężynki jej loków zaiskrzyły się kasztanowym odcieniem.

– Dziękuję ci. – Kornelię ucieszyła ta miła reakcja.

– Nie ma szans – oświadczyła w tym samym momencie Natalia, bezczelnie patrząc Kornelii prosto w oczy. – Nie z taką nadwagą i nie w tym wieku – dodała znacząco, jakby wychowawczyni zbliżała się co najmniej do setki. – Ja w to nie wierzę – uściśliła na wypadek, gdyby ktoś nie pojął jej intencji.

Kornelia uśmiechnęła się znowu.

– Twoja niewiara będzie dla mnie dodatkową motywacją. Padnę z głodu, ale udowodnię ci, że się mylisz.

– Brawo, pani profesor! – zawołał pryszczaty Damian z ostatniej ławki. – Idę o zakład. Jak pani schudnie, to ja poprawię chemię.

– O! – ucieszyła się Kornelia, która powoli traciła już nadzieję, że znajdzie jakiś sposób, by skłonić go do pracy. – Ten układ mi się podoba. Mamy dziewięć miesięcy, bo wrzesień się kończy, a oboje musimy zdążyć przed wakacjami.

– Tak długo chce się pani odchudzać? – Zaciekawiała się Natalia.

– Oczywiście. Szybciej byłoby to niemożliwe i bardzo niezdrowe. To co, Damian, umowa stoi?

– Stoi – odparł z powagą chłopak. Z grupy jego najbardziej zaufanych kolegów poniół się pomruk. Chyba uważali, że za łatwo dał się wkręcić. Żeby poprawić chemię, musiałby sporo popracować, a tego nie lubił.

– Cieszę się – powiedziała Kornelia. – Zatem wszystkie sprawy mamy omówione. Możemy przejść do lekcji.

– A jaką dietę będzie pani stosować? – zareagował błyskawicznie przewodniczący klasy, który z urzędu zajmował się zagadywaniem nauczycieli w celu uniemożliwienia im prowadzenia zajęć.

– Powiem wam na przerwie. – Wychowawczyni zastosowała sprawdzony chwyt. – A teraz zapiszcie temat.

– Moja siostra korzysta z dobrych blogów o odżywianiu – kusił. – Mogę ją poprosić o linki. A w sieci są też świetne filmiki z ćwiczeniami, ale nie każde dają dobre efekty.

Kornelia nie na darmo cieszyła się opinią skutecznej nauczycielki. Uśmiechnęła się tylko i rozpoczęła lekcję, choć naprawdę korciło ją, by dowiedzieć się czegoś więcej.

Klasa zaszemrała z niezadowoleniem, ale wszyscy posłusznie otworzyli zeszyty i zaczęli pisać dyktowany przez nauczycielkę temat. Spojrzała na nich i nadziei się nie mogła, że choć znali się już trzeci rok, tak naprawdę po raz pierwszy patrzyła na nich bez uprzedzeń. Nie jak na potencjalnych wrogów, ale gromadę złożoną z różnorodnych charakterów. To były miłe w gruncie rzeczy dzieciaki. Oczywiście milczący dziś jak kamień Daniel ułatwiał sprawę. Nie

musiała tolerować jego półgłosem rzucanych złościwości i znosić widoku zanoszącej się ledwo ukrywanym śmiechem klasy. To była znacząca zmiana.

\* \* \*

Po lekcji pewnym krokiem weszła do pokoju nauczycielskiego. To miała być długa przerwa i Kornelia cieszyła się, że będzie mogła w końcu zjeść drugie śniadanie (pełnoziarnistą bułkę z sałatą). Na samą myśl o niej od rana ciekła jej ślinka. Ale ledwo przekroczyła próg pomieszczenia, dopadły ją obie wicedyrektorki.

– Jesteś proszona do szefa – oświadczyła Marcinkowska z miną tak pełną satysfakcji, że Kornelia od razu się domyśliła, że szykuje się jakaś grubsza afera.

– Dobrze – odparła. – Zaraz pójdę, napiję się tylko herbaty.

Weszła za wysoki regał wydzielający wąziutki aneks kuchenny. Trzy czajniki jednocześnie gotowały wodę, a na małym stoliku stała kolejka kubków i szklanek z kawą i herbatą.

Kornelia wyciągnęła z szafki swój, wrzuciła papierową torebkę. Czajnik dość szybko zabulgotał, dając znać, że woda jest już gorąca. Kornelia zalała własną herbatę i napoje przygotowane w pozostałych kubkach. Właśnie kończyła, kiedy usłyszała głos Anieli. Podeszła szybko do niej i pociągnęła ją za ramię w róg pomieszczenia.

– Wiesz coś? – zapytała szeptem. – Po co dyrektor woła mnie na rozmowę? Aniela tylko westchnęła.

– Nic nowego. Jak zwykle nasze piękne panie plotkują jak szalone. Ale ty świetnie dzisiaj wyglądasz! – Zmieniła temat. – Czy to z okazji dobrego wyniku? Odebrałaś? Jeśli tak, to pamiętaj, że taka sprawa wymaga świętowania.

– Nie mam was gdzie zaprosić – westchnęła Kornelia. – Mój pokój jest za ciasny, a na dole będziecie się czuć jak na cenzurowanym. Mama nie pozwoli nam słowa swobodnie powiedzieć.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to ja cię chętnie zaproszę – odpowiedziała serdecznie Aniela. – Dla mnie to nawet lepiej, nie będę musiała kombinować, co zrobić z dziećmi. Jeśli kogoś jeszcze masz na myśli, to mów śmiało. Im więcej gości, tym weselej.



– Może Adelinę Sokołowską... – zdecydowała Kornelia po namyśle. – Uwierz mi, to kobieta jest warta, by ją bliżej poznać, choć, nie ukrywam, bywa trochę niebezpieczna. Dziękuję ci serdecznie za zaproszenie. Teraz, wybacz, muszę już iść, choć wcale nie mam ochoty, bo się zaraz przerwa skończy. Trzymaj za mnie kciuki. To będzie potrzebne, bo domyślam się, co te mały nagadały dyrektorowi.

– Trzymam – uśmiechnęła się Aniela. – On cię lubi, więc o nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

I tym razem te dobrze znane słowa wcale nie zabrzmiały pusto.

\* \* \*

Kornelia weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Dyrektor najwyraźniej na nią czekał. Wyglądał na spiętego, co nie zdarzało się często.

– Proszę usiąść – powiedział. – Ładnie pani wygląda – dodał, ale był to chyba nieplanowany wstęp, bo zaraz zmieszał się lekko i szybko zmienił temat. – Jak się pani czuje?

– Już teraz lepiej, jestem pod opieką dobrego lekarza – odpowiedziała Kornelia. – Ale w pewnym momencie powiało grozą – dodała szczerze.

Mężczyzna odetchnął z ulgą. Z jej miny i słów wyczytał już dalszy ciąg rozmowy i kamień spadł mu z serca.

– Cieszę się. Brakowało pani tutaj. A jak tam sytuacja u rodziny Daniela Kordasa? – spytał wprost. – Słyszałem, że ich pani odwiedziła.

– Tak – uśmiechnęła się Kornelia. Lubiała dyrektora za to, że nie owijał w bawełnę. – Rzeczywiście, była tam trudna sytuacja – odpowiedziała, z całej siły starając się nie myśleć o Leonardzie. Nie zniosłaby kompromitacji w postaci krwistego rumieńca w obecności przełożonego. Na szczęście nic takiego się nie stało. Nawet głos nie drżał jej zbyt mocno. – Państwo Kordasowie mieli mały kryzys małżeński – dodała. – Ale na szczęście wszystko jest już na dobrej drodze.

– A u pani? Też w porządku – zapytał, tym razem wiedziony już zupełnie prywatną ciekawością.

– Tak. Być może czeka mnie w najbliższym czasie przeprowadzka – pochwaliła się. – Zamierzam wynająć pewną rudere i zacząć życie na swoim.

Najwyższy czas.

– Ale dlaczego w jakiejś ruderze? – zdziwił się. – Nie ma w naszym mieście ładnych mieszkań?

– Są na pewno, ale to okazało się najtańsze. Jest chyba naprawdę koszarne – dodała, a rysy jej twarzy złagodniały. – Ale proszę się nie martwić, poradzę sobie – uśmiechnęła się znowu.

Miała piękny uśmiech, szkoda, że tak rzadko można było go zobaczyć.

Dzwonek zadźwięczał przeraźliwie na korytarzu i Kornelia wstała. Musiała się spieszyć na lekcję.

– Gdyby pani potrzebowała pomocy, proszę tylko powiedzieć. – Dyrektor, odprowadził ją do drzwi. – Jedną z zalet mojego stanowiska jest fakt, że znam mnóstwo osób w mieście. Chętnie polecę pani jakiegoś fachowca, żeby doprowadził mieszkanie do ładu.

– Dziękuję, będę pamiętać, ale obawiam się, że nie stać mnie na specjalistę. Przepraszam, muszę już iść do uczniów. – Na pożegnanie posłała mu jeszcze jeden promienny uśmiech.

Kiedy już raz się przełamała, okazało się, że uśmiechanie się jest czymś, co naprawdę lubi. I wcale nie jest takie trudne.

Dyrektor wyszedł za nią. Patrzył na szerokie korytarze starego budynku, które szybko pustoszały. Uczniowie znikali w klasach, ostatnie nauczycielki stuknęły obcasami po posadzce. Po chwili wszystko ucichło.

Piotr Nowicki stał i uśmiechał się do siebie. Kornelia ładnie dziś wyglądała i choć wciąż nie umiał przełamać swoich uprzedzeń wobec jej rozmiarów, podobała mu się. Przeszkadzał mu tylko fakt, że czuł się przy niej malutki, a strasznie tego nie lubił. Była wprawdzie od niego niższa, ale sprawiała wrażenie większej. To nie było miłe uczucie.

Przez lata bycia dyrektorem przyzwyczyił się do dominującej roli.

\* \* \*

Późnym wieczorem Kornelia spotkała się z właścicielem mieszkania. Stara kawalerka w świetle nieosłoniętej żarówki prezentowała się faktycznie dość żałośnie. Całe szczęście, że nastawiła się psychicznie na taki widok, bo

w przeciwnym razie przeżyłaby wielkie rozczarowanie.

– To bardzo przyjemne miejsce... – Usłyszała zaraz po wejściu od właściciela. – Poprzedni lokatorzy, chamy niemyte, strasznie je zapuścili. Ale pani to zupełnie co innego. Powiesi sobie firaneczki, postawi jakieś kwiatki i od razu będzie jak w domku. – Mężczyzna entuzjastycznie reklamował swój lokal, nie bacząc na realia.

Kornelia pomyślała o idealnie czystych ścianach, lśniących drewnianych podłogach i wypolerowanych meblach w domu swojej mamy, które sprawiały wrażenie, jakby nigdy nie były używane. Wcale za nimi nie tęskniła. Chciała się wyprowadzić specjalnie po to, żeby już nie mieć jak w domu. Ale o tym jej rozmówca nie mógł wiedzieć.

– Troszkę tu bałaganu... – Przesunął nogą pudło, odsłaniając brzydką plamę na wykładzinie. Stał na niej natychmiast i próbował udawać, że nic się nie stało.

– Proszę się nie przejmować – uśmiechnęła się do zestresowanego mężczyzny. Odkryła właśnie, że w ten sposób sporo można w życiu załatwić. Promienny uśmiech łagodził emocje i ułatwiał porozumienie.

Właściciel odetchnął z wyraźną ulgą.

– To naprawdę było kiedyś piękne mieszkanie – powiedział. – Dostaliśmy je od teściów w prezencie ślubnym. Wyobraża pani to sobie? Czterdzieści lat temu, kiedy ludzie gnieździłi się latami czasem z dwójką dzieci w malutkim pokoju przy rodzinie, my dostaliśmy taki podarunek. Własna kawalerka! Jeszcze mi oczy wilgotnieją, jak to sobie przypomnę. Tym bardziej że do końca o niczym nie wiedzieliśmy. Nad ranem po weselu rodzice nas tutaj przywieźli, dali klucze do ręki i zostawili. Niech pani sobie wyobrazi, co się tu działo... – uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Byliśmy bardzo szczęśliwi. Dziś mamy duży dom, ale to już nie to samo – westchnął.

Kornelia słuchała w milczeniu, starając się w zniszczonej podłodze, odrapanych ścianach i obskurnej łazience zobaczyć magiczne miejsce, o którym opowiadał właściciel.

– Pani też będzie tu szczęśliwa, jestem pewien – dodał. – Możemy oczywiście zrobić remont, zanim się pani wprowadzi, ale to rzecz jasna podniesie cenę.

– Nie – zaprotestowała. – Wolę, żeby zostało tak, jak jest. To wszystko, na co mnie na razie stać.

– No dobrze. – Właściciel wyciągnął z teczki przygotowaną wcześniej umowę. – W takim razie możemy wpisać dane i przejść od razu do rzeczy.

Spojrzał na nią czujnie. Niezle znał się na sprzedaży i był przygotowany na każdą okoliczność. W tym przypadku uznał, że trzeba kuć żelazo póki gorące. Miał rację. Kornelia płynęła na fali entuzjazmu.

Wypełnili brakujące pola i już po chwili klucze trafiły do jej dłoni.

– To te same klucze, które dostaliśmy od rodziców – dodał mężczyzna, lekko zniżając głos. – Tamtym lokatorom daliśmy inne, dorobione, ale pani to coś zupełnie innego. Na szczęście! – rzucił na koniec, po czym wyszedł, a ona została w mieszkaniu sama.

Poszło tak szybko, że Kornelia z trudem przyswajała sobie nowe fakty. Ale czuła ogromną radość. Miała wreszcie własny kąpiel. Cóż, że śmierdziało jak sto diabłów, ciągnęło od nieszczelnych okien, a po podłodze łazienki biegały jakieś robaczki.

Najważniejsze, że wreszcie była na swoim. To przecież magiczne miejsce, a takiemu nie zagląda się w zęby. Nie miała pewności, czy opowiedziana przez właściciela historyjka jest prawdziwa, ale bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, że nawet w tak niesprzyjających warunkach człowiek może być bardzo szczęśliwy. W jej przypadku wystarczyłoby tylko jedno: żeby Leonard Kordas stanął w drzwiach. Bezsensowne zauroczenie miało się całkiem dobrze.

Usiadła na jedynym krześle w pokoju ze szczerym zamiarem ucieczki w świat marzeń. Nie mogła jednak, mimo najszczerzych chęci, wyobrazić sobie niczego więcej niż pierwsza scena otwarcia drzwi, ani jednego kroku dalej, cały czas słyszała bowiem głos Adeliny o cudzych ogródkach, własnym życiu i tym podobne.

– Jasny gwint. – Zdenerwowała się. – Żeby człowiek nawet w myślach nie miał spokoju od tej kobiety, to już jest naprawdę skandal.

Rozejrzała się po mieszkaniu całkiem już przytomnym wzrokiem i, skoro na słodkie mrzonki i tak nie było szans, zaczęła planować konieczne porządki. Chciała się przenieść jak najszybciej, musiała jednak trochę zaoszczędzić. Choćby tylko na jeden materac, bo o meblach postanowiła pomyśleć potem. I tak nie miała zbyt wielu rzeczy. Kilka ubrań i szkolnych szpargałów zmieści się bez trudu w paru kartonach i przez jakiś czas może tam pozostać.

Tylko łazienkę trzeba by odnowić. Zajrzała do małego pomieszczenia i zapaliła światło. Jasna żarówka bezlitośnie obnażyła wszystkie mankamenty. Łuszczącą się farbą na suficie, pożółkłe kafelki na ścianach i nieokreślonego koloru wannę pokrytą tajemniczymi zaciekami. Kornelia aż zadrżała z obrzydzenia. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby się tutaj wykąpać.

Chodziła jednak po mieszkaniu jak po małym królestwie i podejmowała kolejne decyzje. Czuła się jak nowo narodzona.

## ROZDZIAŁ 12

---

---

Leo obudził się bladym świtem. Wszyscy jeszcze spali. Błoga cisza spowijała cały dom, póki jeszcze miała na to szansę. Za jakąś godzinę zostanie przerwana pierwszymi dzwonkami budzików, a potem pospieszną krzątaniną, nerwowymi okrzykami i odgłosem spadających chaotycznie rzeczy.

Chociaż... Może dzisiaj będzie inaczej? Leonard bardzo ostrożnie podniósł głowę i oparł na dłoni. Lena spała mocno, powieki nawet jej nie drgnęły. Ciemne włosy rozsypały się po poduszce, a zaróżowione policzki były dowodem na to, że jest jej ciepło. Na samą myśl o tym jemu z kolei robiło się gorąco.

Chciałby zatrzymać tę poranną błogość na dłużej, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić. Co się stanie, kiedy Lena się obudzi, tego nie umiał przewidzieć. Możliwa była każda opcja. Od siarczastej awantury po sielankowe rodzinne śniadanie. Nie rozumiał, od czego to zależy. Każde słowo mogło stać się punktem zapalnym. Naprawdę mu zależało, ale trudno jest wygrać w grze, której reguł kompletnie się

nie rozumie.

Najlepiej, żeby zostało tak jak jest. Miły poranek i ciepła od snu Lena wtulająca się ufnie w jego ramiona. Niestety, na to nie było najmniejszej nawet szansy. Przymknął oczy i z rezygnacją czekał na pierwszy budzik. Nawet nie zauważył, kiedy zmorzył go mocny sen.

Zerwał się, gwałtownie obudzony głosami dochodzącymi z dołu. Dotknął dłonią drugiej połowy łóżka, ale oczywiście była pusta. Po Lenie ani śladu. Wstał, trochę zły na siebie. Znowu będzie gadanie, że się nie przykłada do domowych obowiązków.

Zszedł na dół ostrożnie, niepewny, czego się może spodziewać. W kuchni panował już porządek, reszty domu jeszcze nie tknęli, ale jego żona miała już w tej sprawie sporo planów. Westchnął. Pierwsze dni ponownego wspólnego życia przypominały grę w piekło i niebo. Błyskawiczne zmiany. Szczęście i kłótnie. Uśmiechnięte dzieci i cudowne noce, a za chwilę stare, zapiekłe żale i nowe pretensje.

Wszedł do kuchni.

Na stole stało śniadanie, herbata i mleko parowały w kubkach. Chłopcy połykali wielkimi kęsami kolorowe kanapki. Byli już ubrani i prawie gotowi do wyjścia. Kiedy Lena była w domu, w jakiś tajemniczy sposób nic się nie gubiło. Nawet bezczelny kluczyk nie śmiał wpaść pod łóżko, tylko leżał posłusznie na szafce w przedpokoju, zawsze w tym samym miejscu.

– Spóźniłeś się – skarcił go Daniel.

Odkąd Lena wróciła, najstarszy syn zachowywał się jak strażnik. Pilnował ich na każdym kroku. Pomagał sprzątać i starał się eliminować potencjalne punkty zapalne, z których mogłaby się narodzić kolejna kłótnia między rodzicami. Ku rozdrażnieniu Leonarda zdawał się zawsze widzieć przyczynę problemu w ojcu.

– Wspaniałe śniadanie – powiedział Leonard ostrożnie. Komplementy to też nie był bezpieczny teren, nigdy nie było wiadomo, czy żona nie dopatry się w nich ironii, ale coś przecież musiał powiedzieć.

– Cieszę się – odparła Lena, więc odetchnął z ulgą. – Jutro ty robisz – dodała. – Jeżeli mam zostać, obowiązki domowe muszą zostać sprawiedliwie rozdzielone między całą naszą czwórkę.

To była pewna nowość. Ten jej stanowczy ton i spokój. Zwykle szybko się irytowała, że sami nie łapią w lot, co trzeba zrobić w domu.

Chłopcy zmarli w pół gestu. Leonard też lekko zdrętwiał. Co oznaczało słowo „jeżeli”? Był przekonany, że żona wróciła na dobre i sprawy znów będą się toczyć ustalonym biegiem. Zdażył już zaplanować kolejne prace przy wymarzonej projekcie. Na samą myśl o tym, że znów zostanie sam, zrobiło mu się zimno.

Michałek patrzył na nich mocno wystraszony i w Leonardzie się zagotowało.

– Jak możesz tak się bawić naszymi uczuciami? – krzyknął trochę głośniejsz niż planował. – Przychodzisz, odchodzisz, kiedy cię tylko najdzie ochota, i nie troszczysz się o nikogo.

– Tato, uspokój się – próbował łagodzić Daniel, tym bardziej że Michałkowi wyraźnie drżała broda. Nie powinien teraz płakać, tuż przed wyjściem do szkoły. Znowu będzie niepotrzebna sensacja. – To nie jest dobry moment na kłótnie.

– To prawda – opanowała się Lena i przytuliła młodszego synka. – Chciałam tylko powiedzieć, że nie zrezygnowałam jeszcze z pracy w Warszawie. Wzięłam tylko urlop. To jedna kwestia. Druga jest taka, że już nigdy więcej dzieci nie zostawię. Jeżeli wrócę do stolicy, to tylko razem z nimi.

– Świetny pomysł – zdenerwował się jeszcze mocniej Leonard. – Nic tylko pogratulować. Zabierzesz ich w trakcie roku szkolnego. Daniela tuż przed maturą... Ale co się będziesz takimi drobiazgami przejmować!

– No pięknie. – Daniel pochylił się nad bratem, który zaczął płakać. – Nie mogliście sobie znaleźć lepszej pory na takie zasadnicze rozmowy?

– Przepraszam, synku – mówiła szybko Lena. – Nie chciałam teraz, to tata mnie sprowokował.

– No jasne! – krzyknął Leonard. – Jak ty masz w życiu dobrze, że zawsze jest pod ręką ktoś, na kogo możesz zrzucić za wszystko winę.

– Jest za dwadzieścia ósma... – Daniel popatrzył na zegarek. – Jeżeli zaraz nie wyjdziemy do szkoły, spóźnimy się. Powiem szczerze, chrzańię takie rodzinne śniadanko. Wolałem chodzić głodny! – krzyknął na koniec, po czym złapał swój plecak i mocno trzasnął drzwiami. Za chwilę rozległ się równie energiczny łomot zamykanej bramki i przez kuchenne okno można było zobaczyć, jak pędzi na rowerze.

– Ja nie idę do szkoły – zawołał Michałek z płaczem.

– Dlaczego? – zapytała Lena. – Jeszcze zdążymy. Wypijesz herbatkę i odwiozę cię.

– A będziesz tu jeszcze, jak wrócę? Nie wyjedziesz? – Wpatrywał się w nią w napięciu.

Lena poczuła straszne wyrzuty sumienia. Leonard ją wkurzał, ale dzieci bardzo kochała i postanowiła sobie, że już nigdy nie będą uczestniczyły w ich małżeńskim konflikcie. Tylko że dokonanie tego w praktyce było w zasadzie niemożliwe.

– Będę. – Pochyliła się nad chłopcem i mocno go objęła. – Obiecuję. Poza tym tak, jak powiedziałam, już nigdy więcej was nie zostawię.

– Ale ja bez taty nie chcę jechać do Warszawy – rozplakał się na nowo ledwo co uspokojony synek.

– Dobrze. – Lena się przestraszyła. – Zawieziemy cię razem i odbierzemy razem – obiecała trochę na wyrost, bo nie była do końca pewna, czy wytrzyma

z Leonardem do popołudnia. – Zgoda? Niczego bez waszej wiedzy już nie zrobię. Przepraszam.

– Dobrze. – Michał otarł oczy dłonią. – A tata się zgadza?

– Oczywiście – przytaknął spokojnym już głosem Leonard i nawet się uśmiechnął, choć wszystko w nim buzowało jak w piekle na pierwszej zmianie, kiedy diabły mają jeszcze mnóstwo sił. Był naprawdę wściekły.

Zdołali opanować się na tyle, by zachowując pozory zgody, dokończyć pospiesznie śniadanie i zabrać synka do szkoły. Leonard prowadził, Lena siedziała z tyłu i obejmowała Michała. Trochę się uspokoił, ale wciąż był smutny i zdenerwowany.

Lena też siedziała zasepiona. Nie chciała się kłócić, a już na pewno nie w ten sposób. Planowała spokojną rozmowę wieczorem, po wspólnej kolacji, kiedy wszyscy będą zrelaksowani i w dobrych humorach.

Wszystko poszło nie tak. Dlaczego Leonardowi tak łatwo przychodziło wyprowadzenie jej z równowagi? Chciała z nim mieszkać, tęskniła za dziećmi i miała świadomość, że nie wytrzyma już ani jednego dnia dłużej bez nich. Ale mąż wyjątkowo miał rację. Zabieranie ich teraz, tuż po rozpoczęciu roku szkolnego, do małego, wynajętego mieszkania w Warszawie nie było zbyt rozsądnym pomysłem.

Kochała też Leonarda. Szlag ją trafił, kiedy któryś z życzliwych krewnych zadzwonił z donosem, że do jej domu wprowadziła się obca kobieta. Nie namyślając się ani chwili, wzięła urlop w pracy i natychmiast przyjechała. Nie miała zamiaru oddać męża bez walki. Ta na szczęście nie była konieczna, bo prawdziwego zagrożenia, jak się okazało, nie było. Powrót do domu poszedł jak po maśle, wszyscy przyjęli ją z otwartymi ramionami, pierwsza noc ze stęsknionym mężem cudowna, ale dalej kłębiło się już mnóstwo komplikacji. Każdy kolejny dzień przypominał stąpanie po polu minowym. Jak to wszystko rozwikłać? Poczowała się zupełnie bezradna. Nic tylko bić głową w ścianę i płakać.

Zawieźli syna i wrócili bez problemów pod dom, tylko dlatego, że Lena całą drogę milczała. Bała się odezwać, bo Leonard, kiedy był zdenerwowany, prowadził jak szaleniec. Już dawno nauczyła się unikać trudnych tematów w samochodzie. Ale do domu już wejść nie zdążyli.

– O co tu chodzi? Na czym polega nasz problem? – zapytał Leonard, gmerając niewprawnie kluczem w zamku. – Usiadłem przy stole w pokojowych zamiarach, pochwaliłem śniadanie, bo było przepyszne, zatem jak to się stało, że skończyło się awanturą? – Zdenerwował się znowu, bo klucz jak na złość za nic nie chciał wejść. Leo popatrzył na niego, stwierdził ze złością, że to nie ten, wybrał właściwy i w końcu mogli wejść do środka.

– Mogę ci wytłumaczyć, pod warunkiem że wysłuchasz mnie do końca – odpowiedziała Lena w miarę spokojnie, ale nerwy już w niej grały. Przypomniały jej się wszystkie wykręty, którymi ją zawsze zasypywał, każda chwila, kiedy



musiała sobie sama radzić z problemami, bo on akurat miał wenę i musiał koniecznie zamknąć się w pracowni. Na samą myśl o tym mocno się w niej zagotowało.

– To zależy, jakie głupoty będziesz opowiadać. – Usłyszała głos męża i wtedy, nie namyślając się ani chwili, po prostu wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Tłumaczenie czegokolwiek temu głupkowi było zajęciem pozbawionym sensu i marnowaniem energii. Ten związek naprawdę nie miał przyszłości.

\* \* \*

Kornelia zaczynała dziś pracę dopiero o dziesiątej, bo drugie klasy wyjechały na wycieczkę, postanowiła więc odwiedzić Adelinę. Chciała pochwalić się wynajętym mieszkaniem i pierwszymi krokami, jakimi pięknie wchodziła w nowe życie.

Ludzie pokroju Sokołowskiej są denerwujący, potrafią dać nieźle w kość, ale nie ma co ukrywać, są też bardzo potrzebni. A przyjaźń z kimś takim, o czym się Kornelia przekonała w ciągu ostatnich dni, jest niezwykle cenna. Bo choć czasem mocno wałają między oczy, to jednak człowiek cały czas czuje, że ich intencje są szczerze i w głębi serca naprawdę dobrze ci życzą. Kornelia nie miała zbyt wielu bliskich osób, którym mogłaby opowiedzieć o nowych decyzjach i poczuć, że naprawdę jej kibicują. Dlatego wcześniej rano, odczekawszy tyle, ile nakazują reguły dobrego wychowania, ruszyła w odwiedziny.

Siedziały już dłuższą chwilę nad filiżankami z pachnącą kawą, a Kornelia z zacięciem forsowała pogląd, że jej mieszkanie jest po prostu obłędne i zrobiła świetny interes, próbując tym potokiem słów przekonać do tego przede wszystkim samą siebie, kiedy gwałtownie trzasnęły drzwi i do domu Adeliny wpadła Lena Kordas.

Tak bez zapowiedzi – pomyślała z niesmakiem Kornelia, zazdrosna już nie tylko o Leonarda, ale także o Adelinę, do której Lena najwyraźniej rościła sobie jakieś prawa.

Gospodyni wstała, bez słowa protestu postawiła na stole trzecią filiżankę i naląka kawy.

– Ja już tego po prostu dłużej nie wytrzymam – zawołała Lena od progu, po

czym obrzuciła niechętnym wzrokiem Kornelię. Najwyraźniej również liczyła na osobistą rozmowę z sąsiadką. Szybko jednak się przełamała. Nie miała zbyt wiele czasu, a pilnie potrzebowała dobrej rady. Musiała coś postanowić, zanim Michałek skończy lekcje, a dzisiaj jak na złość miał zajęcia tylko do dwunastej trzydzieści. – To małżeństwo nie ma przed sobą żadnych perspektyw – dodała ze smutkiem w głosie.

Kornelia upiła spory łyk kawy i z prawdziwą satysfakcją czekała na werdykt Adeliny. Była całkowicie przekonana, że Lena usłyszy zaraz, dlaczego to wszystko jest w znacznym stopniu jej winą. Na to można było liczyć ze stuprocentową pewnością jak na komary nad jeziorem. Gdyby tu teraz przyszedł Leonard, usłyszałby to samo, że to z kolei on właśnie jest odpowiedzialny za to, co się dzieje w jego domu.

Miło choć przez chwilę popatrzeć, jak ktoś inny jest obiektem rozważań surowej sędziny. Kornelia uśmiechnęła się i czekała.

– Masz dwa wyjścia – poradziła Adelina. – Albo wyjaśnić sobie z mężem sprawy z przeszłości, ustalić przewinienia i wybaczyć sobie nawzajem, co od razu powiem, w waszym przypadku jest właściwie niemożliwe, bo pokłócicie się na zabój, zanim dojdziecie do trzeciego zdania...

– Oczywiście – przerwała jej Lena. – Bo on jest do tego stopnia skoncentrowanym na czubku własnego nosa egoistą, że nie potrafi mnie wysłuchać. Wścieka się jak głupi, choć mu się mówi tylko prawdę.

– Tak, tak – westchnęła Sokołowska. – Dobrze, że chociaż ty jesteś uosobieniem spokoju.

– Może i nie jestem – przyznała Lena. – Ale przy takim głupku święty by stracił cierpliwość.

– Tak. – Adelina przytaknęła, ale słychać było z tonu głosu, że to tylko pozorna akceptacja.

– A jakie jest drugie wyjście? – Kornelia nie wytrzymała.

– Odciać się grubą kreską od przeszłości, przyznać, że wina leży po obu stronach, i zacząć wszystko od nowa. Przestać dyskutować o tym, co było i kto bardziej zaważył. Spróbować po prostu żyć z dnia na dzień.

– No rzeczywiście – prychnęła Lena. – A co z moją krzywdą? Mam tak po prostu o wszystkim zapomnieć?

– Nie ma na to lepszego sposobu – powiedziała łagodnie Adelina. – Dajcie sobie nową szansę.

– Żeby to było takie proste. – Lena nie kryła rozczarowania. Spodziewała się chyba innej rady i czegoś na kształt kobiecej solidarności.

– Problem polega na tym – tłumaczyła Adelina – że kiedy Leonard do ciebie mówi, nie słyszysz rzeczywistych słów, które wypowiada, ale całą przeszłość, wszystkie swoje żale, każde głupie słowo, które kiedyś padło, i denerwujesz się

natychmiast. Nie widzisz tego, co jest, tylko to, co było. Dlatego drażni cię każdy jego gest i nawet najbardziej niewinna wymiana zdań może doprowadzić do kłótni.

– Nie każdy gest – zaprotestowała słabo Lena, ale nie zamierzała się teraz zwierzać z nocnych przeżyć. Tam wszystko wychodziło perfekcyjnie. – Ale, niestety, z pewnością masz sporo racji – przyznała. – Tylko dlaczego to ja mam pierwsza zapomnieć, wybaczyć i dać mu drugą szansę? Czemu nie on?

– Bo ktoś musi. W przeciwnym razie zamęczycie siebie nawzajem i dzieci, a może się zdarzyć, że w nerwach powiecie sobie takie rzeczy, że zacząć od nowa będzie jeszcze trudniej. Szkoda waszego życia. Jesteście młodzi. Kochajcie się, póki siły dopisują, a nie kłóćcie.

– To nie będzie takie łatwe – westchnęła Lena i poczęstowała się największym ciastkiem, pewnie dla podratowania sił potrzebnych do czekających ją zmagania.

– A życie w wiecznej kłótni jest łatwe? – zapytała Adelina i chyba uznała, że przeciwnik leży już na obu łopatkach i na dzisiaj wystarczy, bo zniemacka zmieniła temat: – Kornelia wynajęła mieszkanie. Jeśli chcesz, możesz pomóc w przeprowadzce, żeby się trochę oderwać od problemów.

Kornelia milczała zaskoczona. Nie lubiła Leny. Wkręcanie jej do miłego kółka pierwszych przyjaciółek było jej zupełnie nie na rękę. Na dłuższą metę słuchanie o małżeńskich problemach, a zwłaszcza pierwszych sukcesach, mogło się okazać zbyt bolesne. Ale żona Leonarda tak ochoczo zgodziła się pomóc, że protest nie przeszedł Kornelii przez gardło.

\* \* \*

Po zjedzeniu smacznego ciastka, podniesiona na duchu rozmową i dobrą radą, Lena Kordas w lepszym nastroju wróciła do domu.

Leonard był w pracowni.

Postarała się. Zamiast pozwolić, by zalały ją wspomnienia wszystkich chwil, kiedy go potrzebowała, a on tkwił za zamkniętymi drzwiami zatopiony w świecie artystycznych doznań albo siedział w pracy, co zasadniczo na jedno wychodziło, uśmiechnęła się i stwierdziła oczywisty fakt, że kończy zlecenie. Spieszy się, ponieważ ma zaległości, a nie dlatego, że chce jej zrobić na złość.

To już był spory krok do przodu.

Cicho otworzyła drzwi. Leonard stał nad stołem i dopieszczał jakiś element swojej najnowszej pracy. Nie usłyszał jej, jak zwykle pogrążony w pracy bez reszty.

Podeszła cichutko i przytuliła się do jego pleców. Lubiała to robić. Objęła go, a Leonard odłożył dłuto i zakrył jej dłonie swoimi. Było cicho i przyjemnie. Bała się poruszyć, żeby nie zepsuć przyjemnego momentu. Chyba nie tylko ona, bo Leonard również trwał w bezruchu i milczał. Kiedy nic nie mówili, byli ze sobą bardzo szczęśliwi, ale żyć się w ten sposób niestety nie dało.

– Co robisz tym razem? – zapytała ostrożnie.

– Nawet nie chcę o tym myśleć – odparł Leonard lekko podrażnionym głosem. – Najgorsza chałtura, jaką można sobie wyobrazić. Dla polityków.

– Coś ty? Zamówił sobie któryś ławkę?

– Nie, ale nasz burmistrz zapragnął portretu. W proporcjach jeden do jednego. Ma chyba manię wielkości.

Jak większość mężczyzn – pomyślała Lena, ale nie powiedziała tego na głos.

– To chyba dobrze – uśmiechnęła się. – Rządowe zamówienie, najlepsze. Kasa państwowa, wiadomo, że zapłacą, i jeszcze zyskasz rozgłos.

– Powiedzmy, że nie o to mi w życiu chodziło. Ale trudno. Nie jestem pierwszym artystą, który musi iść na kompromis. Dzieci potrzebują jedzenia.

Zirytowała się trochę, bo nie lubiła słuchać tych narzekania. Miał pracę, nieźle mu szło, niektórzy mogą o tym tylko pomarzyć. Opanowała się jednak.

– Rozumiem. – Kiwnęła głową i nic już więcej nie dodała. Są w życiu rzeczy ważne i ważniejsze, wiadomo, że tak jest. Cokolwiek Leonard mówił, decyzję podjął słuszną, nie ulegało wątpliwości.

– Jest jakaś szansa, żebyśmy się przestali ciągle kłócić? – zapytał Leonard. Widać i on cały poranek myślał o tym samym.

– Myślę, że jest – odparła. – Choć pewnie powoli będziemy się tego uczyć. Musisz mi więcej pomagać w domu i wygospodarować dla nas codziennie choć trochę czasu, a ja obiecuję, że nie będę się czepiać każdego słowa. Zgadzasz się?

Leonard westchnął. Warunki wbrew pozorom były twarde. Ale jeśli to miałyby być szansa, należało spróbować.

– Zgadza się – powiedział. – Umowa stoi. Ile mamy jeszcze czasu do odbioru Michałka?

– Godzinę – odparła Lena.

– A nie zimno ci? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Powiedzmy, że tak. – Zgodziła się z uśmiechem.

– No to chodź... – Wziął ją na ręce i zaniósł na swoją wysłużoną kanapę. – Godzina to szmat czasu.

## ROZDZIAŁ 13

---

---

Mieszkanie zostało wysprzątane w tempie błyskawicznym, a praca okazała się prawdziwą przyjemnością.

Adelina siedziała na kanapie jako najstarsza i przejęła rolę głównodowodzącej. Lena, Aniela i Kornelia szybko się uwinęły z małą łazienką, kuchnią i jedynym pokojem. Potem siedziały długo i plotkowały o głupotach. Na koniec chciały zaproponować pomoc w przewiezieniu rzeczy, ale Kornelia stanowczo odmówiła.

W domu czekała ją zapewne soczysta scena, gdyż rodzina jeszcze nie była powiadomiona o wynajęciu mieszkania. Kornelia zamierzała im powiedzieć o przeprowadzce w ostatniej chwili. Bała się, że w przeciwnym przypadku każdego wieczoru będzie musiała wysłuchiwać morałów, ostrzeżeń i namów, by zrezygnowała. Wybrała więc zamiast tego jedną siarczystą awanturę. Wolą ją niż gładzenie, które znała na pamięć. Dyskretnie spakowała już rzeczy do kartonów,

teraz przygotowała mieszkanie i na dzisiejsze popołudnie zaplanowała przeprowadzkę. Ale najlepiej bez świadków. Dlatego podziękowała wszystkim, obiecała parapetówkę, jak tylko się urządzi, i odwiozła Anielę do domu. Lena i Adelina pojechały razem.

Siedziała jeszcze dwie godziny w swoim samochodzie, zanim zebrała dostatecznie dużo sił, by wejść do domu. Rzeczy nie miała dużo. Wystarczyło znieść do bagażnika dwie walizki i parę niedużych kartonów. Mebli nie zabierała, należały do rodziców. Zamówiła już w pobliskim sklepie nowe łóżko, szafki kuchenne, lodówkę i stół. Wreszcie mogła wybrać te, które jej się najbardziej podobały. Wszystko miało zostać przysłane w ciągu czternastu dni, a na razie Kornelia zamierzała spać na dmuchanym materacu. Kuchenka gazowa na szczęście była sprawna, więc mogła sobie ugotować coś prostego na początek, zanim się urządzi. Wszystko zapowiadało się pięknie.

Ale każda radość była teraz podszyta troską. Poważna choroba podeszła do niej tak blisko, że poczuła jej chłodny oddech, zatrzymała się i dotknęła palcem. Nie wiadomo było, czy czeka ją zabieg. Według internetowych statystyk miała dużą szansę na dobry wynik. Ale chłód w duszy pozostał. Choroba, wyrok... – to przestały być puste pojęcia z życia innych ludzi. Czowała smutek.

Już wiedziała, że źle pokierowała swoim dotychczasowym życiem. Podejmowała błędne decyzje i marnowała czas. Ale nie tylko ona była temu winna. Skreślono ją już na starcie, umieszczając właśnie w tej rodzinie, z takim, a nie innym zestawem cech czy poziomem wrażliwości.

Niczego złego nie zrobiła przecież specjalnie. Zawsze starała się, jak umiała najlepiej. O tym, jak niski jest poziom tych umiejętności, przekonała się dopiero teraz.

Ale postawiła wszystko na jedną kartę. Chciała to zmienić.

Musiała tylko przebrnąć przez tą ostatnią nieprzyjemną rozmowę z mamą. O tacie nawet nie pomyślała. On i tak będzie tylko milczał. Ten człowiek chyba nigdy w życiu nie wypowiedział jednego samodzielnego zdania, przynajmniej w obecności mamy. Bo w rzadkich chwilach, kiedy nie było jej obok, stawał się całkiem rozmowny.

Zwlekanie do ostatniej chwili z pewnością było tchórzostwem, teraz będzie jeszcze trudniej powiedzieć bliskim o przeprowadzce, ale nie mogła się zdobyć wcześniej na rozmowę. W tej kwestii nawet przypominanie sobie o niedawnym zagrożeniu życia, o podarowanych chwilach nie pomagało. W domu czuła się jak smarkacz, który nie ma żadnych praw, ze wszystkiego musi się tłumaczyć i zawsze jest winny.

W końcu podjęła desperacką decyzję. Przekręciła kluczyk i ruszyła, ciesząc się każdym czerwonym światłem, które choć na chwilę odwlekało przykry moment konfrontacji. Kiedy weszła do domu, już od progu zorientowała się, że jej obawy są

słuszne, a kto wie, może nawet zbyt małe w stosunku do tego, co ją czeka.

Mama zgromadziła całą rodzinę. Wszyscy siedzieli sztywno na kanapie w salonie, z którego doskonale widać było cały hol i wejście do domu. Nie było szans, by ktoś się przemknął niezauważony. Brakowało tylko dzieci Marcina, zapewne wywieziono je do drugich dziadków, żeby nie były świadkami awantury. Mama była mocno zdenerwowana, nerwowo poprawiała serwetki. Musieli czekać już długo. Na stole widać było talerzyki z sałatkami i w połowie pusty półmisek z ciastami. Wszyscy mieli dość niewyraźne miny.

Na widok Kornelii mama zerwała się z miejsca i natychmiast, zanim jeszcze córka na dobre zamknęła drzwi, rozpoczęła akcję.

– Gdzieś ty się podziewała tyle czasu?! – zawołała. – Zresztą nic nie mów i tak wszystko wiem. Masz natychmiast wypowiedzieć tę niepoważną umowę wynajmu. – Zaatakowała od razu z grubej rury, co jak na pedagoga z doświadczeniem było wyjątkowo nieprofesjonalnym posunięciem. Musiała być mocno wyprowadzona z równowagi.

Kornelia usiadła, ręce lekko jej drżały, ale to ogniste przywitanie paradoksalnie dodało jej odwagi. Utwierdziło tylko w przekonaniu, że najwyższy czas stąd odejść. Nie miała ochoty jak brat i siostra siedzieć w milczeniu na kanapie i patrzeć bez słowa sprzeciwu na poczynania matki. Nie zgadzali się z nią, to można było wyczuć bez trudu, ale nikt nie miał siły czy ochoty na wyrażenie sprzeciwu. To było dość niespodziewane, że najmłodsza Kornelia, zawsze najślabsza i najbardziej potulna, jako pierwsza się zbuntowała i to jawnie. Nie tchórzliwie, jak Marcin odliczający dni do ucieczki we własne cztery kąty, ale otwarcie i wprost.

– Mamo – powiedziała, patrząc na wszystkich, co spowodowało, że rodzeństwo natychmiast opuściło wzrok. – Szkoda przyjemnego popołudnia. Decyzja została podjęta, podpisałam umowę, zamówiłam meble i jestem już spakowana. Nie możesz mnie zatrzymać siłą.

Mamę przez chwilę zatchnęło i wyglądała, jakby nie mogła znaleźć odpowiednich słów, co właściwie nie zdarzało jej się nigdy.

– Myślisz, że ja nie wiem, co to za mieszkanie? – Odblokowała się wreszcie, a Kornelia tylko westchnęła. Wszystko wskazywało na to, że bez awantury jednak się nie obejdzie.

– Nie wątpię – powiedziała z rezygnacją – że twój wywiad ustalił już wszystko, łącznie z kolorem zasłon, które mam zamiar powiesić.

– Nie rozumiem, skąd ten sarkazm – oburzyła się mama. – Robisz, co chcesz. Same głupoty, należy dodać, i jeszcze się dziwisz, że zgłaszamy co do tego obiekcje.

– Ty zgłaszasz – rzuciła Kornelia. – Bo reszta rodziny sprawia wrażenie, jakby czekali na egzekucję.

– To nieprawda. Ojciec zaraz ci powie, co o tym sądzi.

Kornelia spojrzała na tatę. Siedział sztywno, mocno zaplatał dłonie i zaciskał szczęki. Widać było, że kotłuje się w nim wiele niewypowiedzianych słów.

– Sądząc z jego miny, nie chciałabyś usłyszeć, co naprawdę o tym sądzi – powiedziała tylko Kornelia i wstała. – Nie mam ochoty na dalsze kłótnie. Idę po swoje rzeczy.

– To mieszkanie jest w okropnym stanie – krzyknęła za nią mama. – Mieszkał tam Wojtasik z synami. Czynszu nie płacili, nie sprząтали. To zapuszczona rudera, pół roku nikt nie chciał jej wynająć.

– Wiem, mamó. Przecież tam byłam. – Kornelia, nie oglądając się już, ruszyła schodami na górę.

– A wy dokąd? – Usłyszała przeszywający głos mamy i odwróciła się.

Tata i brat szli w jej kierunku.

– Pomożemy Kornelii znieść rzeczy. Przecież nie będziemy tu sterczeć jak kołki – powiedział Marcin, a Agnieszka, korzystając z zamieszania, uciekła do swojego pokoju.

Kilka sekund później do mężczyzn dołączyła siostra Kornelii, Ania.

– Może ja też się na coś przydam – powiedziała. Szybko weszli po schodach i z ulgą zamknęli za sobą drzwi pokoju.

– Brawo, siostra. – Pogratulował Kornelii Marcin. – I przepraszam cię, że tak wszyscy milczeli, ale każdy ma swój ukryty powód. Ja chciałbym dotrzeć do przeprowadzki bez awantury, Ania się zareczyła, o czym mama nie wie, i też ma w planach spore zmiany, a biedny tata niedługo zostanie sam w tym kieracie. Ale to też trochę nasza wina. Nie powinniśmy jej pozwalać, żeby tak nami dyrygowała.

– Lata przyzwyczajęń robią swoje. – Kornelia zamknęła temat. Była im tak wdzięczna, że przyszli do niej na górę, że aż ścisnęła jej w gardle. – Dzięki, że chcecie mi pomóc – powiedziała serdecznie, drżącym ze wzruszenia głosem. Czowała, że zaczyna nowe życie. To było naprawdę fascynujące. – Meble zostawiam – wskazała swoje regały – więc nie ma dużo do noszenia. Myślałam, że Ania urządzi się na górze, kiedy wy się już wyprowadzicie, ale widzę, że mama zostanie w swoim pięknym, dużym domu sama.

– Nie sama, ze mną – odezwał się w końcu tata, a brzmiało to jak wyznanie skazanego na dożywocie.

Kiedy znosili rzeczy, mamy nie było w salonie. Kornelia powiodła wzrokiem po gustownie urządzonej otwartej przestrzeni. To było naprawdę piękne miejsce. Urządzone ze smakiem i drogo. Ale nikt tutaj nie był szczęśliwy i to sprawiało, że trudno było dostrzec jego zalety.

Odwróciła się bez żalu. Choć był to jej dom rodzinny, wiedziała, że nie będzie bardzo za nim tęsknić.



\* \* \*

Późnym wieczorem Kornelia szła piechotą do Adeliny. Wykonała już swoją porcję ćwiczeń, korzystając z zamieszczonych w sieci filmików najlepszej polskiej instruktorki.

Z półgodzinnego programu była w stanie wytrwać tylko pięć minut, klnąc przy tym na czym świat stoi i wyzywając od najgorszych zarówno autorkę zestawu, bez śladu zadyszki wykonującą te straszne układy, jak i wszystkich innych dietetyków i trenerów tego świata. Oni nie musieli po pięciu minutach ćwiczeń leżeć bez sił i tchu na twardej macie i długo dochodzić do siebie. Nie wspominając już o tym, że waga wobec tak mizernych działań nawet nie drgnęła. Ale Kornelia potrafiła też być uparta. Nie wiedziała, czy wygra, ale postanowiła, że nie da się łatwo pokonać. Teraz zostawiła swój samochód pod blokiem i szła na miękkich z wysiłku nogach, bo obiecała sobie korzystać z okazji do dodatkowego ruchu, kiedy tylko taka się nadarzy.

Ćwiczyła już tydzień i choć pasek wciąż zapinała na tę samą dziurkę, czuła się zdecydowanie lepiej. Miała więcej energii, łatwiej jej było szczerze uśmiechać się do ludzi i trochę lepiej spała. Zakładała kolorowe, twarzowe ubrania, robiła makijaż i wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy stanie się szczuplejsza. Teraz, kiedy już zaczęła i okazało się, że nie jest zupełnie bezradna, pragnęła tego bardzo. Nagle poczuła, jak nienawidzi wszystkiego, co zawsze uważała za normę. Wiecznej zadyszki, spoconego ciała, braku sił i energii, swoich zwalistych kształtów.

Droga do lepszego życia była trudna, ale kiedy już raz na niej stanęła, nie miała ochoty zawracać. Sporym źródłem siły była dla niej Adelina. Cieszyła się każdym osiągnięciem Kornelii, podkreślała najmniejszy sukces. Te pochwały miały swoją moc. Kornelia uzależniła się od dobrych słów przyjaciółki jak kiedyś od słodyczy.

Tego wieczoru też szła po kolejną porcję balsamu, który miał dać jej siłę na następny tydzień. Obok domu Kordasa zwolniła. Spojrzała na okna zakryte firankami. Serce jej się ścisnęło. Leonard wciąż był dla niej ważnym człowiekiem. Zasypiała z obrazem jego twarzy pod powiekami i wciąż obracała w myślach te kilka chwil, które spędziła w jego domu, ze szczególnym uwzględnieniem krótkiej

rozmowy na ganku. Wbrew wszystkiemu, wciąż miała nadzieję, że stanie się cud.

Stała chwilę przy ogrodzeniu. Wydawało jej się, że słyszy kłótnię. Znowu. Lena krzyczała. Ta okropna kobieta zupełnie nie nadawała się na żonę dla Leonarda. Ktoś wreszcie powinien coś z tym zrobić. Nagle przestraszyła się, bo z zarośli wyłonił się Daniel. Kornelia poczuła, jak nieszczęsny rumieniec znów wypływa na jej policzki, zdradzając, jak jej się wydawało, wszystkie ukryte uczucia.

– Dzień dobry, pani – przywitał się Daniel. O czasie, kiedy pracowała w jego domu, traktował ją z szacunkiem, co jej bardzo ułatwiało prowadzenie lekcji i budowanie autorytetu w klasie.

– Witaj, Danielu. Co słychać?

– Dziękuję, wszystko teraz w porządku. Mama wróciła.

Zamilkł i zaczął czubkiem buta kopać murek ogrodzenia.

– To też dzięki pani – powiedział po dłuższej chwili i z wyraźnym wysiłkiem. – Chciałem od razu pani podziękować, ale jakoś nie było okazji.

– Dlaczego? – zapytała Kornelia. – Ja przecież nic nie zrobiłam. – Uświadomiła sobie, jak okropnie to zabrzmiało. Jakby się tłumaczyła ze swoich skrytych myśli.

– Mama wróciła, bo usłyszała, że jakaś kobieta wprowadziła się do nas – odpowiedział chłopak, nie owijając w bawełnę. – Gdyby nie pani, kto wie, ile by to wszystko jeszcze trwało.

W ogrodzie znów można było usłyszeć podniesiony głos, tym razem Leonarda.

– Trochę się kłóca – przyznał Daniel. – Ale dużo mniej niż kiedyś. Dzisiaj to na przykład dopiero pierwszy raz, a jest już dwudziesta. To bardzo dobry wynik – podsumował.

Ja bym się z takim mężczyzną nie kłóciła wcale – pomyślała Kornelia.

– Cieszę się, że dobrze się wam układa – powiedziała na głos, ale towarzyszyły jej mieszane uczucia. Naprawdę lubiła tych chłopców i życzyła im szczerze wszystkiego, co najlepsze, ale co do małżeństwa Leonarda, to była zdania, że mała zmiana wyszłaby może wszystkim na dobre. Nikt jednak nie podzielał jej opinii.

Głosy w domu ucichły, a po chwili Leonard z żoną stanęli na ganku jakby nigdy nic i zaczęli wołać Daniela. Wyglądali na doskonale pogodzonych.

Kornelia pożegnała się i przygnębiona tym widokiem ruszyła dalej. Nie chciała, żeby ją zauważyli. Wymiana uprzejmości była w tym momencie ponad jej siły. Przyspieszyła kroku i dopadła drzwi domu Adeliny jak bezpiecznej przystani.

Tym razem nic nie pachniało, a gospodyni otworzyła drzwi ubrana w szeroki fartuch, cały pokryty małutkimi kawałkami nitek.

– Co robisz? – zapytała Kornelia.

– Kolejną narzutę w stokrotki. Dostałam aż trzy zamówienia, co mnie cieszy, ale niełatwo powtórzyć ten sam wzór jeszcze raz.

– Nie będę ci przeszkadzać? – zapytała Kornelia.

– Ależ skąd. Wejdz. Możemy rozmawiać, będzie mi się lepiej szyło – zapewniła Adelina i zaprosiła gościa do drugiego pokoju, którego Kornelia do tej pory jeszcze nie widziała. Była to jasna, obszerna sypialnia. Łóżko okrywała biała narzuta w lawendowy wzór, współgrająca z podobnymi zasłonami w oknach. Białe komody i szafa też miały dyskretny wzór z fioletowych kwiatów. Na środku stał wygodny fotel i stoliczek z przyborami do szycia. Podłoga zasłana była poukładanymi według kolorów i wzorów skrawkami materiałów.

Adelina przyniosła drugie krzesło z kuchni, usiadła na swoim fotelu i podjęła przerwany proces tworzenia wzoru.

– Szyjesz to wszystko ręcznie? – zdziwiła się Kornelia.

– Nie, tylko projekt. Kiedy już ustalę, jak ma wyglądać ostateczna wersja, wtedy biorę go na maszynę. Ale najpierw muszę zobaczyć. Na tym polega tajemnica. Każdy jest inny, każdy dopieszczam, jakby był jedyny w swoim rodzaju.

– Jak ty to robisz, że wokół ciebie wszystko jest takie piękne? – zagadnęła Kornelia, rozglądając się z uznaniem po sypialni. Każdy szczegół był tutaj zaplanowany, żadnego nadmiaru, ale też śladu surowości.

– Wygląd tego domu dopieśczałam w myślach przez wiele lat. Nie jest duży, ma zaledwie dwa pokoje, więc wiele też do urządzania nie było. Lawenda nie jest już modna, ale wymarzyłam ją sobie dawno temu, kiedy nikt jeszcze o takich projektach nie słyszał. [SEP]Kornelia usiadła naprzeciw.

– Całe życie mieszkałam w bloku – zdradziła Adelina. – Trzy małe pokoje w wielkiej płycie i ciągnące się jak okiem sięgnąć szare, jeden do drugiego podobne bloki. Moja codzienność też była szara. Pracowałam w biurze domu towarowego, wiecznie wypełniałam te same rozliczenia sprzedaży. Miałam małe biurko w pokoju, którego jedyne okno wychodziło na odrapaną ścianę magazynu. Patrzyłam na nią godzinami. W domu prałam, sprzątałam, gotowałam, wychowywałam dzieci. Na nic nie było pieniędzy, bo chcieliśmy dać dzieciakom dobre wykształcenie i zaczęliśmy oszczędzać na ten cel, jak tylko poszły do podstawówki. To się akurat opłaciło, bo teraz mają dobre zawody i są samodzielne. Mieszkają za granicą i robią kariery z prawdziwego zdarzenia. Ale mnie kosztowało to całe lata szarego życia. Żadnych ładnych ubrań, fryzjera, wyjazdów, mebli, a jedzenie zawsze najtańsze.

Westchnęła i spojrzała w okno. Kornelia nie odezwała się ani słowem. Wszystkiego się spodziewała, tylko nie takiej historii.

– Moje małżeństwo też było szare – odezwała się znów Adelina. – Mąż nigdy mi żadnej krzywdy nie zrobił, oddawał wypłatę, nie pił i dochowywał wierności, ale nie było też między nami żadnego głębszego uczucia. Miłość

wypaliła się gdzieś po drodze, kiedy dzieci były jeszcze małe, nawet nie zauważyliśmy, w którym momencie. Łączyły nas obowiązki rodzicielskie i... brak konkretnego powodu, by złożyć pozew rozwodowy. Dziś bardzo żałuję tamtych zmarnowanych lat. Żadne z nas nie zaważyło o zmianę. Może miałam szansę naprawić moje małżeństwo, może nie, tego się już nigdy nie dowiem... – Znów zamilkła. – Kiedy mój mąż zmarł, dzieci miały już poukładane życie. Nauczyliśmy je samodzielności i zaradności. Może nawet aż za bardzo. Zostałam sama. Sprzedałam bez żalu nasze mieszkanie, dzieci chętnie dołożyły coś od siebie i kupiłam ten dom. Wyremontowałam i urządziłam według planu, który nosiłam w sercu przez całe życie. Mąż nigdy nawet nie chciał słyszeć o przeprowadzce na wieś, jemu było dobrze w szarym bloku, ale dla mnie to było nie do zniesienia. Dlatego postanowiłam, że te wszystkie dni, które mi zostały, spędzę kolorowo i aktywnie. Żadnej bierności, żadnego poddawania się. Pewnie wydaje się wam czasem, że jestem mądrym człowiekiem... – Spojrzała na Kornelię. – Ale to nieprawda. Zmarnowałam lwią część mojego życia i jedyne, co mi się udało, to dobrze wychować dzieci.

Kornelia podeszła do Adeliny i uściśniła ją z całych sił, nie zważając na długą igłę, którą Sokołowska trzymała w dłoni.

– Jesteś skarbem – powiedziała po prostu. – Możesz mi nagadać, co tylko zechcesz, że wszystko to moja wina, że włączę do cudzych ogrodów, bylebyś tylko nadal była moją przyjaciółką. Mimo że właśnie zdeptałam twoje stokrotki.

Spojrzały obie na podłogę. Misternie poukładane fragmenty kwiatków, posegregowane starannie według wielkości, teraz stanowiły skłębioną masę.

– Ty szkodniku! – zawołała Adelina, wstając z fotela. Oczy miała lekko zaczerwienione. – Teraz będziesz to segregować jak Kopciuszek aż do rana.

Kornelia uśmiechnęła się. Wzruszenie ściskające ją za gardło trochę puściło i znów zapanowała w miarę swobodna atmosfera. Zbierały kawałki materiałów i rozmawiały o meblach do wynajętego mieszkania, a Kornelia doczekała się swojej porcji pochwał za to, że tak dzielnie ćwiczy, nie poddaje się i zjadła dzisiaj tylko jednego batona. Każdy mały wysiłek został doceniony.

Adelina była bowiem zdania, że małe czyny są cenniejsze niż wielkie, bo zdarzają się częściej w naszym życiu i wbrew pozorom mocno decydują o naszej przyszłości.

## ROZDZIAŁ 14

---

Następnego dnia Kornelia znów zdołała wykonać swoje ćwiczenia i nawet dodać do nich dwie minuty, choć jeszcze kiedy leżała w łóżku, była gotowa przysiąc, że jest to zadanie ponad jej siły. Tym razem gimnastyka mocno ją jednak osłabiła i szła do szkoły wolniej niż zwykle.

Tam jednak szybko dostała spory zastrzyk adrenaliny. Z samego rana gruchnęła wieść o mającej wkrótce nastąpić kontroli. Zapanowała z tego powodu panika większa niż jeszcze niedawno temu po ogłoszeniu, że dwunastego grudnia nastąpi koniec świata. Wicedyrektorki biegały jak rasowe pieski na wyścigach, wydawały wszystkim mnóstwo poleceń, często zaprzeczając sobie nawzajem, i od pierwszej minuty przesiadywały w gabinecie dyrektora pod pretekstem omawiania strategii przygotowania dokumentacji. Lekcje odbywały się zgodnie z rozkładem, ale wszyscy byli podenerwowani, a od zaaferowanych zastępczyń dyrektora niczego konkretnego nie można się było dowiedzieć.

– Możesz mi powiedzieć, czego dokładnie ma dotyczyć ta kontrola? – zdenerwowała się Anielka, kiedy Marcinkowska trzecią przerwę podniesionym głosem monologowała na temat wagi tego wydarzenia i jego wpływu na wizerunek szkoły, a co za tym idzie zatrudnienia wszystkich obecnych.

Na pytanie jednak nie odpowiedziała. Widać, nie miała zamiaru psuć konsekwentnie budowanego nastroju grozy rzeczowymi informacjami.

Kornelia spojrzała na umęczoną Anielę. Dzieci jej ostatnio mocno chorowały i nie spała po nocach, a mimo to stawiała się w pracy przygotowana jak zawsze i z uśmiechem na twarzy wywiązywała się ze swoich zadań. Nie zasługiwała, by być tak dręczona. Widok jej bladej twarzy i podkrążonych oczu sprawiał, że Kornelii siekiera otwierała się w kieszeni zamiast tradycyjnego scyzoryka. Przyjaźń stała się wartością, dla której była w stanie poświęcić wiele. Do tej pory starała się raczej nie odzywać ani na konferencjach, ani podczas dyskusji w pokoju nauczycielskim. Koncentrowała się głównie na tym, by nie zwracać na siebie uwagi. Ale dla Anielki była gotowa na poświęcenie.

– Ja już tego dłużej nie wytrzymam – oświadczyła głośno i wstała, natychmiast ogniskując na sobie uwagę wszystkich obecnych. Zaczerwieniła się mocno, bo zdawało jej się, że fałdy na brzuchu przysłaniają jej widnokrąg, ale wzięła głęboki oddech i odważnie spojrzała na Marcinkowską.

– Idę do pana dyrektora. Tak dalek być nie może, należą nam się przecież wyjaśnienia.

Pomruk aprobaty przemknął przez małe pomieszczenie. Ciasno zbici nauczyciele zdawali się popierać ją całym sercem.

– Nie ma mowy – krzyknęła wicedyrektor i stanęła w drzwiach. – To ja jestem od przekazywania zarządzeń nauczycielom oraz dawania informacji zwrotnej zwierzchnikowi. Nie może być tak, że każdy zawraca szefowi głowę swoimi pytaniami. Wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie ma na to czasu.

Kornelia spojrzała na nią z politowaniem, a strach opuścił ją zupełnie. Jeśli ta mała, chuda kobietka myśli, że jest w stanie ją powstrzymać, to się grubo myli. Poprawiła elegancką granatową tunikę, rzuciła kontrolne spojrzenie w lustro i bez najmniejszego trudu przesunęła zaskoczoną Marcinkowską spod drzwi.

– Zaraz wracam – rzuciła w kierunku zebranego grona, a wielu pomachało do niej, wystawiając kciuki do góry.

Szybko przeszła przez korytarz i dotarła do gabinetu dyrektora. Przyjął ją bardzo chętnie, co pozostawało w jawnej sprzeczności z deklaracjami zastępczyni.

– Cieszę się, że panią widzę – powiedział szczerze.

Zauważył już na porannym dyżurze, że Kornelii bardzo ładnie w nowej bluzce. Ostatnio uśmiech nie schodził jej z twarzy, gustownie się ubierała, włosy, wreszcie rozpuszczone, układały jej się łagodnie wokół twarzy, a niebieskie oczy błyszczały przyjaźnie. Zupełnie nie przypominała groźnej pani Rudnickiej, którą

wszyscy tu znali.

– W czym mogę pomóc? – Zaprosił ją, żeby usiadła. Cieszył się miłą odmianą. Był już mocno zmęczony swoimi zaaferowanymi zastępczyniami, które miały zwyczaj blokować mu wszystkie przerwy i długo rozprawiać o niczym z takim zaangażowaniem, że odnosiło się wrażenie, jakby właśnie dokonały epokowego odkrycia.

– Przychodzę w imieniu wielu nauczycieli – powiedziała Kornelia. – Nie możemy uzyskać konkretnej informacji od osób do tego wyznaczonych i w pracy panuje chaos i stres. Proszę mi powiedzieć, kiedy się odbędzie ta planowana kontrola i jakie konkretnie obszary obejmie. Bo jesteśmy zdezorientowani.

Dyrektor był wyraźnie zaskoczony.

– Ale dlaczego nauczyciele się denerwują, skoro to ich nie dotyczy.

– Jak to nie dotyczy? – zdumiała się Kornelia.

– Myślałem, że dziewczyny przekazały informację i wszyscy wiecie. Dlatego nie wydałem żadnego komunikatu. Kontrola ma objąć obszar finansów szkoły, czyli w praktyce mnie i księgową. Może w niewielkim stopniu dotyczyć będzie także moich zastępczyń. Ale głównie jednak księgowej. To ona ma teraz najwięcej pracy i stresu, choć, jak ją znam, każdy papierek leży posłusznie w wyznaczonym miejscu i ani śmie drgnąć.

– No to pięknie – westchnęła Kornelia. – A nasze panie już od rana lansują się na powszechnej nieświadomości. Musi pan jak najszybciej przyjść do pokoju. Zostały jeszcze trzy minuty do dzwonka. Zdążymy.

– Dobrze. – Nowicki wstał i rażnym krokiem ruszył w stronę pokoju nauczycielskiego. Był wściekły. To, co początkowo wydawało się u wicedyrektorek niewinną nadgorliwością, zaczynało przeradzać się w element dezorganizujący pracę w szkole. A na to nie mógł sobie pozwolić. Zbyt długo i ciężko wszyscy pracowali na dobre imię tej placówki. Już nie można było udawać, że się nie widzi, iż wicedyrektorki mają poważny problem ze swoimi emocjami. Coś trzeba będzie w tej sprawie postanowić. Odwlekał jak mógł ten moment, licząc, że same się opamiętają, ponieważ dostrzegał ich zaangażowanie i to, ile dodatkowych godzin spędzają po pracy w szkole. Ale powoli stawało się dla niego jasne, że bez radykalnych rozwiązań się nie obejdzie.

– A może pani chciałaby objąć od półroczka stanowisko mojego zastępcy? – rzucił niby lekko, badając grunt. – Przepraszam, że tak pytam na korytarzu – zreflektował się szybko.

– O nie... – Kornelia się roześmiała. – Mam jeszcze sporo rzeczy do zrobienia w życiu. Nie chciałabym skończyć gdzieś w ciemnym zaułku zatłuczona przez dwie tajemnicze smukłe postacie.

Dyrektor parsknął śmiechem i otworzył przed nią drzwi pokoju nauczycielskiego. Weszli razem i cała sprawa szybko została wyjaśniona. Dzwonek

nie pozwolił na dłuższe rozmowy. Nauczyciele zaczęli wychodzić do swoich sal, ale jeszcze w drzwiach gratulowali Kornelii skutecznego działania: uśmiechem, gestem lub miłym słowem.

– Zazdroszczę pani popularności – powiedział dyrektor, kiedy już wszyscy wyszli.

– Nic takiego nie zrobiłam – odpowiedziała. – To było naprawdę bardzo proste.

– Ale skutecznie rozwiązało problem – uśmiechnął się mężczyzna. – Może jest coś, w czym ja mógłbym pani pomóc?

Takiego pytania w ustach przełożonego nie należy nigdy lekceważyć. Kornelia zastanawiała się zaledwie ułamek sekundy.

– Coś by się znalazło. Taka typowo kobieca prośba – odparła z uśmiechem, choć czuła, jak ogarnia ją trema. – Chodzi o... pieniądze, oczywiście.

– Masz ci los – zdumiał się dyrektor.

– Mamy dzisiaj spotkanie uczestników olimpiady. Ostatnie dni pięknej pogody. Wzięłabym ich do parku, może nad rzekę. Ale potrzebujemy jakiegoś prowiantu, bo to odbędzie się już późnym popołudniem, a młodzież w tym wieku jest wiecznie głodna. Zamówiłabym dla nich pizzę. Źle się myśli, kiedy człowiekowi burczy w brzuchu. No i jeszcze do tego trochę owoców i napojów. Nie znalazłby pan jakichś funduszy na ten cel?

– No dobrze – zgodził się dyrektor. – Obawiałem się przez chwilę, że chodzi o coś poważniejszego. Mamy specjalny fundusz na takie cele. Proszę się zgłosić do sekretariatu na przerwie. I nie chwalić się zbyt – dodał, wychodząc. – Bo mi się tutaj wszystkie kółka przedmiotowe zlecą, a tyle pieniędzy niestety nie mam.

– Dobrze – zgodziła się Kornelia i w doskonałym nastroju poszła na lekcję.

\* \* \*

Słońce pomału chyliło się już ku zachodowi, a Kornelia wciąż siedziała nad rzeką z sześcioma niezmiernie zadowolonymi miłośnikami fizyki i rudowłosą Julką, która z tego przedmiotu radziła sobie nie najlepiej, ale z poświęceniem od początku roku uczęszczała na spotkania olimpijczyków, ponieważ kochała się zapamiętane w jednym z chłopców.



Pizza szybko zniknęła z kartonów, a Kornelia zaimponowała nawet samej sobie, nie skosztowała bowiem ani kawałka, zadowolając się swoją razową bułką z sałatą. Należy dodać uczciwie, że właściwie nie miała wyjścia. Uczniowie od pamiętnej deklaracji nauczycielki w napięciu patrzyli jej w zęby, rejestrując każdy posiłek, ciekawi niepomiernie, czy ich fizyczce rzeczywiście uda się schudnąć. Zawarto z tej okazji kilka zakładów, a parę osób nawet skoczyło sobie do oczu w obronie własnego stanowiska.

Kornelia nie przełknęłaby pizzy w ich obecności, nawet gdyby znajoma bestia znów szarpała jej wnętrzności. Ale i ona trochę ostatnio złagodniała. Pojawiała się jeszcze, zwłaszcza w nocy, bywało, że Rudnicka po nagłym przebudzeniu długo nie mogła zasnąć, ale nie była już tak agresywna. Kornelia nauczyła się, jak sobie z nią radzić. Jadła śliwkę albo ssała piętke chleba i powoli żołądek się uspakajał.

Pizza na świeżym powietrzu pachniała wprawdzie zawrotnie i nie było łatwo oprzeć się pokusie, siedząc w towarzystwie opychających się ze smakiem członków koła, ale już wiedziała, że jedzenie nie dałoby jej nawet połowy tej satysfakcji, jaką stanowił jawny podziw malujący się w oczach uczniów.

Najbardziej kibicowała jej Julka, która od początku obstawiała zwycięstwo wychowawczyni. Kornelia postanowiła z nią porozmawiać po skończonych zajęciach, korzystając z miłej atmosfery, i wyperswadować uczestnictwo w zajęciach, z których z każdym dniem dziewczyna będzie coraz mniej rozumieć. Mogła lepiej zainwestować czas, rozwijając się zgodnie z własnymi uzdolnieniami.

Zatrzymała ją na chwilę, kiedy wszyscy zaczęli się rozchodzić, na co Julka zgodziła się niechętnie, rzucając tęskne spojrzenie za Wojtkiem Janowskim, który wsiadł na rower i, nie oglądając się za siebie, popedałował energicznie przez słoneczny park. Pozostali w dwóch grupkach poszli w różne strony, śmiejąc się i głośno rozmawiając. Julka westchnęła i usiadła na ławce.

– Właściwie to już wszystko jedno – westchnęła. – Mogę z panią porozmawiać.

Wyjaśnienie całej sprawy wydawało się aż nadto oczywiste, dlatego Kornelia milczała przez chwilę. Nie wiedziała, jak zadać pytanie, żeby nie wejść z butami w osobiste problemy nastolatki.

– Zastanawia się pani, dlaczego chodzę na te zajęcia, chociaż nic nie kumam? – Julia ją uprzedziła.

– Teraz już chyba wiem – przyznała się Kornelia.

– No właśnie. Jeśli chodzi o fizykę, to rzeczywiście nic mi to nie daje. Nie mój poziom. Ale może zna pani jakiś skuteczny sposób na chłopaków? – zapytała niespodziewanie i spojrzała na nią ze szczerą prośbą w oczach.

Kornelia tylko westchnęła. Jej samej przydałaby się taka sprawdzona recepta.

– Moje doświadczenie opiera się głównie na literaturze – opowiedziała szczerze. – W życiu raz tylko próbowałam i... przegrałam, zanim się wszystko na dobre zaczęło. Mogę ci powiedzieć wszystko, co wiem, ale nie jestem pewna, czy to pomoże.

– Niech pani daje. Zobaczymy, co z tego będzie – zdecydowała Julka, odrzucając włosy na plecy. – I tak nie mamy nic do stracenia.

– Literatura zna trzy główne drogi – zaczęła Kornelia. – Pierwsza mówi, iż nie wypada, żeby pułapka gonila za myszą, należy więc udawać obojętność.

– Odpada – stanowczo powiedziała Julia. – On i tak kompletnie na mnie nie zwraca uwagi, więc moja obojętność nie zda się na nic.

– No dobrze – zgodziła się Kornelia. – W takim razie jest drugi sposób, zalecany głównie przez dziewiętnastowieczne romanse, czyli korzystanie z kobiecych sztuczek. Sukienki, zalotne spojrzenia i pochwały wypowiedane żarliwym głosem. To nadal skuteczna metoda, tyle że bardzo niebezpieczna. Łatwo przekroczyć cienką granicę i popaść w śmieszność. No i musiałybyś kłamać, udawać, a to na dłuższą metę męczy.

– A trzeci sposób? – zagadnęła Julka, najwyraźniej zupełnie nieprzekonana do dziewiętnastowiecznych metod.

– Uznać równouprawnienie i walczyć o niego ze wszystkich sił.

– Tyle to wiem – rozczarowała się Julka. – Pytanie brzmi, jak to zrobić.

– Sama chciałabym wiedzieć – odparła Kornelia. – Ale czekaj! – Olśniło ją.

– Mam bardzo dobry pomysł. Znam fachowca, który z pewnością będzie wiedział, co ci doradzić. To moja przyjaciółka. Zna się na wszystkim.

– Naprawdę? – Julka była sceptyczna, ale Kornelia już zdążyła wyciągnąć z torebki telefon i dzwoniła właśnie do Adeliny. Streściła jej problem, trzy razy zapewniła, że naprawdę chodzi o uczennicę, a ona sama niczego podejrzanego nie kombinuje, po czym wysłuchała w skupieniu dłuższej tyrady.

– Mam – powiedziała z zadowoleniem, odkładając słuchawkę. – Moja przyjaciółka doradza ci zdecydowanie walczyć, ale w mądry i przemyślany sposób.

Julka wyprostowała się i słaba nadzieja zaświeciła jej w oczach.

– Posłuchaj dokładnie, bo pani Adelina to wyjątkowo mądra kobieta. Radzi ci tak: po pierwsze powinnaś zająć się sobą, żeby stać się na tyle atrakcyjna, by mieć siłę do ewentualnej konfrontacji i być godną tej miłości. Trzeba to robić na dwóch polach: osobowość i wygląd – dokończyła wywód prawie na jednym wydechu, żeby niczego nie zapomnieć. – Tak więc – dodała od siebie – od dzisiaj nie wleciesz się już smętnie przez szkolne korytarze jak ostatnia ofiara, tylko energicznie pracujesz nad sobą. Dzięki temu nie zostanie ci czasu na rozpaczanie. Masz jakieś zainteresowania?

– Lubię śpiewać – odpowiedziała Julka z ociąganiem, kręcąc końcówką rudego warkocza niczym dziewiętnastowieczna panna na wydaniu. Nie wyglądała

na zadowoloną. Ta metoda też jej się nie bardzo podobała. – I chciałabym nauczyć się jazdy konnej – dodała po chwili namysłu.

– Zapisz się na jakieś zajęcia. W szkole chór jest bezpłatny, z końmi gorzej, wiem, że to droga pasja.

– Nie tak bardzo – odparła Julka. – Czasem można odpracować zajęcia, poza tym moi rodzice dadzą mi na lekcje. Może nawet się ucieszę, bo ostatnio ciągle siedzę w pokoju i nic mi się nie chce. Myślę o nim bez przerwy.

– No właśnie! – Kornelia się ożywiła. Czują, że zaczyna mocno kibicować tej dziewczynie. – Aplikujemy na twoją dolegliwość lekarstwo w postaci konnej jazdy dwa razy w tygodniu. Wiem też, że w naszym domu kultury są niezłe zajęcia z emisji głosu. Zapisz się na nie. Oprócz tego musisz zadbać o swój wygląd. Uprawiasz jakiś sport?

– Bieg palcami po klawiaturze – odpowiedziała Julia bez chwili namysłu.

– Tak właśnie myślałam. Trzeba to zmienić. Co lubisz?

– Kiedyś chodziłam z ojcem pograć w tenisa, ale ostatnio przestało mnie to cieszyć. Jak zresztą wszystko inne.

– Dwa razy w tygodniu tenis z ojcem – stanowczo zdecydowała Kornelia, nieświadomie naśladowując ton głosu Adeliny. – Moja przyjaciółka twierdzi, że wystarczy kilka dni, żeby zobaczyć pierwsze efekty.

– Naprawdę? – ucieszyła się Julka.

– Możesz jej uwierzyć. Nie wiem, jak to robi, ale zawsze ma rację.

– To ja lecę. Co mi szkodzi spróbować. Gorzej i tak nie będzie. Do widzenia!

– Rozpędziła się i nagle zatrzymała. – Bardzo pani dziękuję.

– Żaden problem – odparła Kornelia. – My, nieszczęśliwie zakochane kobiety, powinniśmy trzymać się razem.

Julka roześmiała się i ruszyła parkową alejką, roztrącając szeleszczące pod butami liście.

Kornelia pomachała jej dłonią i została na ławce sama. Rzeka leniwie sunęła, przetaczając z wielką cierpliwością ciężką, błyszczącą wodę. Słońce przypiekało od rana, park był pełen biegających dzieci i dorosłych korzystających z rzadkich dni prawdziwej polskiej złotej jesieni. Kornelia przymknęła oczy i pomyślała, że dzisiaj miała naprawdę dobry dzień. Doceniono ją w pracy, sprawiła przyjemność swojej przyjaciółce, odbyła sympatyczną rozmowę z szefem, nie złamała swoich postanowień dietetycznych, a ukoronowaniem wszystkiego były świetne zajęcia z uczniami i spotkanie z Julką.

Potrafiła wymienić kilka osób, które ją lubiły i szanowały, a jeszcze parę tygodni temu byłoby to niewykonalne. Jedno tylko ją dręczyło. Nie schudła jeszcze nawet grama. Waga trwała w uporze na dziewięćdziesięciu dwóch kilogramach i nie chciała nawet drgnąć. Lekceważyła wszystkie wysiłki. Kornelia nie miała w swoim nowym mieszkaniu ani jednego batonika, którego mogłaby zjeść w nocy,

za to, wyzywając uśmiechniętą trenerkę od najgorszych, potrafiła już ćwiczyć siedem minut, nim padała na swój materac z myślą, że już nigdy się nie podniesie.

Jej waga się nie zmieniła, za to życie stało się zupełnie inne. I był to powód do radości, ale też bardzo smutnej refleksji, że przez trzydzieści lat obwiniała za swoje niepowodzenia wygląd zewnętrzny, a tymczasem to nie on był głównym sprawcą jej nieszczęść. Tak naprawdę sama zapracowała na marne stosunki z otoczeniem swoim negatywnym nastawieniem i powszechnie okazywaną wrogością. Nadwaga była tylko jednym z elementów, wcale nie najważniejszym. Kornelia myliła się w całej rozciągłości, myśląc, że nic nie może na to poradzić. Czas pokazał, że mogła. Na razie nie widziała jeszcze spektakularnych efektów, ale i tak czuła się zupełnie inaczej. Jak zwycięzca. Odzyskała szacunek do samej siebie i poczucie kontroli nad własnym życiem. A to już bardzo dużo. Miała siłę, by pokonywać kolejne dni. Takie odwrócone błędne koło. Zamiast kręcić się bez sensu w beznadziei, każdym działaniem pogarszając sytuację, robiła dobre i słuszne rzeczy, które przysparzały jej energii do dalszej walki. Całe życie zaczynało się toczyć w prawidłowym kierunku.

Z kosza na śmieci wystawały dwa kartonowe pudła po pizzy i Kornelia, wspominając niedawne zajęcia, pomyślała z sympatią o swoich uczniach. W tym roku sukces na olimpiadzie będzie naprawdę spektakularny. Uzyskiwała wysokie lokaty nawet w czasach, kiedy nienawidziła takich spotkań i prowadziła je wyłącznie z poczucia obowiązku, a teraz, gdy spadł jej z pleców ciężar tego stresu, miała dwa razy więcej energii.

Uśmiechnęła się i wstała. Czas było wracać. Do własnego mieszkania. Meble jeszcze nie przyszły, a w sklepie codziennie podawano jej nowy, coraz bardziej odległy termin dostawy. Nie mogła też znaleźć żadnego fachowca, który wyremontowałby jej łazienkę w rozsądnej cenie i w terminie mieszczącym się jeszcze w tym stuleciu. Spała więc na materacu, wszystkie rzeczy trzymała w pudłach, prała ręcznie i jadła posiłki z talerzem na kolanach, bo nie posiadała jeszcze stołu w kuchni. Ale ani przez ułamek sekundy nie żałowała swojej decyzji. Uczucie wolności było takich niewielkich komplikacji.

## ROZDZIAŁ 15

---

Na sobotę Martyna Rudnicka zwołała naradę rodzinną. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo robiła tak, odkąd zaczęła rządy, czyli od dnia ślubu. Tym razem jednak po raz pierwszy była lekko zaniepokojona. Syn odmówił stanowczo, tłumacząc się koniecznością pilnego pakowania rzeczy przed przeprowadzką.

Nie rozumiała tego. Przecież Marcin z Agnieszką nie musieli się jeszcze wyprowadzać, mogli tu mieszkać, jak długo tylko chcieli. Drażnił ją fakt, że synowa o niczym jej nie mówi. Ani o tym, co kupuje do nowego domu, czego im jeszcze brak, ani w jaki sposób zamierzają rozwiązać różne praktyczne problemy, które przy budowie i pracach wykończeniowych pojawiają się przecież na każdym kroku.

Wychowaj, człowieku, syna – myślała rozgoryczona. – A potem przyjdzie taka, pierwsza lepsza z brzegu, zamyka się z nim w pokoju na całe dnie i noce, a na dodatek jeszcze zabiera go ze sobą do innego domu, jakby do niej należał.

Okropność.

Pani Martyna była przekonana, że wyraźny dystans, jaki pojawił się ostatnio w jej relacjach z najstarszym dzieckiem, był winą synowej. Najwyraźniej to Agnieszka musiała go buntować, bo jakie mogłoby być inne wytłumaczenie?

Przeciw własnej matce – pomyślała z bólem, siedząc samotnie na kremowej kanapie w swoim idealnie posprzątanym salonie.

W domu panowała dziwna cisza. Nie było słychać nawet hałasujących zwykle wnucząt.

Rudnicka podeszła do drzwi pokoju służącego młodemu małżeństwu za sypialnię i wprawnym gestem przyłożyła ucho w odpowiednim miejscu. Nie pierwszy raz to robiła, ale zawsze w szlachetnej intencji sprawowania opieki nad rodziną. Odpowiedziała jej cisza. Zapukała i od razu nacisnęła klamkę. Nigdy nie czekała na odpowiedź. Cokolwiek działo się po drugiej stronie, ludzka rzecz, nie widziała powodu, by dzieci miały się przed nią ukrywać. Marcin jednak najwyraźniej widział, bo już w tydzień po ślubie założył mocny zamek, niszcząc, ku oburzeniu matki, drogie dębowe framugi. Tym razem drzwi jednak ustąpiły.

W pokoju nikogo nie było. Piękne łóżko z ciemnego drewna, pozbawione pościeli i poduszek, wyglądało smętnie. Otworzyła ciężką szafę od kompletu, ale zobaczyła tylko błyszczące półki. Żadnych ubrań.

– Kiedy oni się zdążyli pozbierać? – szepnęła zaskoczona. – I dlaczego, na litość boską, nie zabrali mebli, które sama dla nich wybrałam?

Były tak solidne, że można było z nich korzystać do końca życia. Zamówiła je specjalnie dla młodej pary u najlepszego miejscowego stolarza za spore pieniądze. Nie żałowała. Chciała, by dzieci miały to, co najlepsze. A syn z synową po prostu je zostawili...

Wyszła szybko na korytarz i otworzyła sąsiedni pokój należący do dwójki przedszkolaków. Przygotowana była na zwykły w tym pomieszczeniu chaos, z którym walczyła nakładem sporych sił i starań, tłumacząc cierpliwie całej rodzinie, jak ważny jest ład w najbliższym otoczeniu i jaki ma wpływ na psychikę dziecka.

Teraz stała zaskoczona. Po raz pierwszy zobaczyła swój wymarzony idealny porządek, ale, o dziwo, wcale jej to nie ucieszyło. Puste łóżka świeciły odartymi z prześcieradeł materacami, a półki pozbawione zabawek i otwarte szafy z żałośnie wiszącymi wieszakami robiły przygnębiające wrażenie. Nigdzie nie było wiecznie walających się pluszaków, klocków ani samochodzików, co do których Martyna zawsze żywiła podejrzenie, że dzieci specjalnie stawiają je w takich miejscach, żeby ona mogła sobie na nich wybić zęby. Teraz już nie była narażona na żaden stres, ale wcale jej to nie zadowoliło. Wręcz przeciwnie. W mgnieniu oka zrozumiała przyczynę świdrującej w uszach ciszy.

Nie było tak, jak myślała. Rodzina nie przygotowywała się w swoich

pokojach do wyznaczonego spotkania. Wszyscy pojechali na budowę, a może, czas wreszcie to powiedzieć: do nowego domu, który wykańczali w błyskawicznym tempie, zadłużając się i pracując ponad siły, jakby nie mogli spokojnie mieszkać tutaj i równocześnie się urządzać.

Westchnęła ciężko. Jak bardzo wcześnie musieli wstać, jak cichutko przenosić rzeczy i wyprowadzać dzieci, że ona, taka zwykle czujna, nie obudziła się. Nie zjedli nawet śniadania, bo w kuchni nie znalazła śladu żadnych działań. Zorientowałaby się, nawet gdyby synowa dokładnie posprzątała.

Usiadła z powrotem na kanapie i zaczęła płakać.

Jak oni wszyscy mogli ją tak zostawić? Po tym, co dla nich całe życie robiła. Nawet mąż nic jej nie powiedział, a pojechał zapewne razem z nimi, bo gdzie by się podziewał w sobotni poranek. Ania także. Martyna nie była głupia, domyśliła się, że specjalnie zaplanowali całą akcję w ten sposób, żeby wykluczyć biedną starą matkę z jakichkolwiek działań. A czy ona im kiedy co złego zrobiła?

Rozpłakała się na dobre w poczuciu wielkiej, niezasłużonej krzywdy.

\* \* \*

Kornelia myślała się z zamkniętymi oczami. Czarne od pleśni fugi między płytkami, niemożliwe do wyczyszczenia, śniły jej się po nocach, wywołując nieopanowany odruch obrzydzenia. Była przyzwyczajona do innych standardów, ale gdzieś musiała przecież brać prysznic. Tym razem jednak miarka się przebrała. Kiedy zakręciła wodę, postanowiła nieodwołalnie znaleźć fachowca, który zgodzi się zrobić remont w trybie natychmiastowym, nawet jeżeli miałoby to oznaczać konieczność wzięcia kredytu.

Wytarła się, zawinęła w ręcznik, po czym weszła do pokoju. Usiadła na materacu. Zażyła przepisane przez ginekologa tabletki, popijając je szklanką wody, i włączyła laptop.

W Internecie jest wszystko. Z całą pewnością znajdzie się też odpowiedni fachowiec. Ci, których polecały jej koleżanki z pracy, mieli terminy zajęte na co najmniej dwa miesiące do przodu. Nie mogła tyle czekać, a do dyrektora nie chciała iść w tej sprawie po pomoc. Jej brat Marcin miał wprowadzić rewelacyjną ekipę na swojej budowie, ale na nich trzeba by czekać całymi miesiącami.

Wstukała odpowiednie hasło do wyszukiwarki i po chwili miała kilka numerów telefonów. Zadzwoiła. Dziesięć minut później była już umówiona z jednym z fachowców. Miał się stawić na oględziny mieszkania za dwie godziny.

Proszę, jakie to proste – pomyślała z zadowoleniem.

Zabrała się za porządkowanie ubożego gospodarstwa, codzienną porcję ćwiczeń, a potem pracochłonne przygotowywanie zdrowego posiłku. Czas minął bardzo szybko i ani się obejrzała, jak rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi.

Na klatce schodowej stał mężczyzna już na pierwszy rzut oka wzbudzający zaufanie. Szczupły, w średnim wieku, wyglądał jak uosobienie dobrego taty. Zanim Kornelia zdołała wypowiedzieć choćby słowo, uśmiechnął się ciepło i wyciągnął rękę.

– Cezary Gołąb – przedstawił się, po czym szarmancko pocałował Kornelię w dłoń i wszedł do środka.

Obejrzał łazienkę, pokiwał znacząco głową, kilka razy westchnął, podrapał się po bujnych ciemnych włosach przetykanych siwizną, w której temu typowi mężczyzn jest tak do twarzy, pomasaował dłonią dwudniowy zarost i wreszcie wydał opinię:

– Musi być pani bardzo ciężko w takich warunkach. – Spojrzał na nią z takim zrozumieniem i współczuciem, jakby na całym świecie nie było dla niego nic ważniejszego niż problemy nowej klientki.

– A no właśnie – przyznała natychmiast Kornelia. – Szczerze powiedziawszy, jestem u kresu wytrzymałości. Nawet pralki nie ma jak zamontować, bo odpływ zatkany, a fugi takie brudne, że strach dotknąć. Sedes chwieje się na wszystkie strony zakamieniony prawie całkowicie, a na podłodze, sam pan widzi, brakuje połowy płytek.

Cezary Gołąb kiwał głową z profesjonalizmem certyfikowanego terapeuty.

– Rozumiem, że czas odgrywa dla pani istotną rolę.

Kornelia odetchnęła z ulgą. Wreszcie spotkała jakiegoś rozumnego przedstawiciela gatunku, który nie zaczynał negocjacji terminu od grudnia przyszłego roku.

– Ale wykonanie również musi być na dobrym poziomie – kontynuował mężczyzna, a Kornelia zaczynała rozumieć, co to znaczy spotkać bratnią duszę.

– To będzie oczywiście kosztowało – dodał, na co z rezygnacją skinęła głową, bo po pierwsze była już bardzo zmęczoną tą sytuacją, a po drugie nie wierzyła, że jeszcze kiedykolwiek uda jej się znaleźć tak wspaniałego fachowca, była więc gotowa zatrzymać go za wszelką cenę.

– Proszę się jednak nie martwić – uspokoił ją pan Cezary i znów podrapał się znacząco po czuprynie. – Nie mam zwyczaju zawyżać cen – dodał. – Będzie jednak konieczna zaliczka, bo z tego, co widzę, żeby w ogóle zacząć, muszę kupić sporo materiałów. Rury, armatura, gips, szpachle, gładzie, farby, kleje, uszczelki... –



Wymieniał bez końca.

– Dobrze – zgodziła się Kornelia, przerywając jego słowotok. – Rozumiem. Proszę po prostu powiedzieć, kiedy może pan zacząć, dobrze?

– Jeżeli dzisiaj dostanę zaliczkę... – Spojrzał na zegarek i zastanowił się głęboko, jakby z cyferblatu był w stanie wyczytać swój kalendarz na najbliższe miesiące – najlepiej od razu, to jeszcze dzisiaj zdążę wszystko kupić i w poniedziałek rano będę mógł zjawić się tutaj z moim pomocnikiem. Myślę, że cały remont zajmie nam... góra tydzień. Pani sobie tylko płytki wybierze i będzie naprawdę pięknie.

Najwspanialszy chorał gregoriański nie miał takiego cudownego brzmienia jak te słowa.

– Ale powtarzam, trzeba się pospieszyć – dodał pan Gołąb z naciskiem. – Dziś sobota, do zamknięcia marketu wbrew pozorom nie zostało dużo czasu, a ja w byle sklepie nie kupię wszystkiego.

– To ile będzie pan dzisiaj potrzebował? – zapytała Kornelia, licząc w myślach całą posiadaną w domu gotówkę. Wyszło jej sześćset złotych i uznała, że to powinno wystarczyć.

Cezary Gołąb zajął raz jeszcze w głąb łazienki, wykonał ponownie całą procedurę myślową polegającą na drapaniu się po głowie, wzdychaniu i pocieraniu zarostu, po czym najwyraźniej dokonał koniecznych obliczeń, bo rzekł krótko:

– Pięć tysięcy.

– Och! – Kornelię dosłownie zatkało. – To bardzo dużo. Ja nie mam tyle pieniędzy w domu.

– Nic nie szkodzi. Przecież to normalne. Żaden myślący człowiek nie trzyma w szufladzie takiej gotówki. Ale ja tu do pani przyjechałem samochodem. Możemy szybko skoczyć do banku i załatwić sprawę. Odwiozę panią potem pod blok. Jeśli się sprężymy, wszystko się uda sprawnie załatwić. Bo jeśli nie – dodał groźnie – to od poniedziałku zaczynam gdzie indziej i kto wie, jak długo potem trzeba będzie czekać.

– Proszę się nie denerwować – zawołała Kornelia w popłochu. Na samą myśl o tym, że jeszcze długie tygodnie miałyby się myć w starej pleśni, cierpła jej skóra.

– Zabiorę tylko torebkę i pędzimy.

Cezary grzecznie pomógł jej założyć płaszcz, przepuścił w drzwiach i Kornelia zatęskniła nagle za dawnym światem, w którym takich dżentelmenów było podobno pełno na każdym kroku. Szybko zbiegli po schodach, on zręcznie, ona ciężko, i razem dotarli do samochodu.

Cezary ruszył jak do wyścigu, Kornelia podała mu adres i w ciągu następnych dziesięciu minut pieniądze zostały pobrane. Pan Cezary podziękował, po czym niezwłocznie odwiózł ją pod blok.

Spisali umowę, pan Cezary uroczyście złożył autograf na pokwitowaniu

odbioru zaliczki, przybił z hukiem firmową pieczętę, po czym pożegnał się pospiesznie jak przystało na wiecznie zajętego profesjonalistę.

Kilka chwil później Kornelia została w pustym mieszkaniu, mocno oszołomiona wirem wydarzeń, z kiełkującą w głębi mózgu świadomością, że dała sporo pieniędzy obcemu w gruncie rzeczy człowiekowi, a nawet nie zapytała, o której godzinie w poniedziałek można się go spodziewać. Wybrała z banku właściwie wszystkie oszczędności, które pozostały po zamówieniu mebli. Spojrzała jeszcze raz na zapuszczoną łazienkę i starannie schowała pokwitowanie, jedyny namacalny dowód, że pan Gołąb naprawdę tutaj był, po czym tłumiąc w sobie narastający niepokój, postanowiła być dobrej myśli.

\* \* \*

W poniedziałek była gotowa już o szóstej rano. Wiadomo, robotnicy budowlani wcześniej rozpoczynają pracę. Nie chciała, żeby ją zastali w piżamie. Półtorej godziny później kilkanaście razy próbowała się dodzwonić do Cezarego Gołębia, ale zapisany na dokumentach oraz w jej komórce numer nie odpowiadał.

Za dziesięć ósma zdenerwowana krążyła po przedpokoju, gotowa błyskawicznie wpuścić ekipę do mieszkania, a sama pędzić do pracy. Chwilę później zadzwoniła do sekretariatu z prośbą, żeby ktoś ją zastąpił na pierwszej lekcji, bo ma poważne problemy z dotarciem do pracy. O wpół do jedenastej już wiedziała, że padła ofiarą oszustwa.

Cały czas dzwoniła, wybierając ten sam numer bez końca, ale nikt nie zareagował. Nie mogła się łudzić, że to przypadek. Starła się zachować jednak spokój. Otworzyła laptop i zaczęła szukać strony firmy, z której skorzystała za pierwszym razem. Wyszukiwarka jednak niczego nie pokazywała. Kiedy zaś weszła w historię przeglądanych plików, pokazał się komunikat, że strona już nie istnieje.

Dopiero wtedy w pełni dotarło do niej, że stała się ofiarą sprytnego naciągacza. Zrobiło jej się strasznie głupio. Gdyby Cezary Głąb pojawił się w domu jej matki, ta z pewnością by go rozszyfrowała. Dzięki wrodzonej nieufności i braku oporów w zadawaniu najtrudniejszych nawet pytań uchroniłaby się przez podstępem.

Kornelia, płynąc na fali euforii wynikającej z pierwszych samodzielnych decyzji, nie wykazała się dostateczną przezornością. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że ten miły człowiek, starszy, na dodatek śmiało przybijający firmowe pieczętki może tak naprawdę być kłamcą.

Pięć tysięcy złotych poszło w niebyt... – Słabo jej się zrobiło od tej świadomości. Miała przed sobą jeszcze wiele wydatków, a pensja przychodziła niestety tylko raz w miesiącu. Został jej jeszcze tylko fundusz powierniczy, który założyła kiedyś na dziesięć lat, łudząc się, że zebrana suma pomoże we właściwym czasie kupić własne mieszkanie. Ale warunki, na które wtedy bez zastanowienia wyraziła zgodę, mówiły jasno, że w razie zerwania traci bardzo wiele.

Krótko mówiąc, została z niczym, i to zaraz na początku samodzielnej drogi. Na dodatek musiała jeszcze pójść na policję i tam przyznać się do własnej głupoty i naiwności.

Pogrążona w niewesołych myślach dotarła do szkoły. Ostatnie lekcje minęły jak we śnie. Uczniowie byli dość spokojni, a ona dzięki wieloletniej wyteżonej pracy mogła stanąć przed nimi i z marszu poprowadzić wartościową i ciekawą lekcję, mimo własnych problemów.

Zwierzyła się tylko Anieli, a ta wysłuchała jej ze współczuciem, litościwie powstrzymując się od komentarza. Do Adeliny nie miała odwagi zadzwonić.

Wieczorem położyła się na materacu i oddała się smętnym rozmyśleniom. Nie miała ochoty na nic. W żołądku ścisnęło ją z głodu i zaczęła wątpić w sens jakichkolwiek zmian. Nachodziła ją szaleńcza pokusa, by pójść do całodobowego sklepu, nakupić ciastek i słodkich bułek, zjeść, ile się tylko da, a potem zasnąć i choć na chwilę zapomnieć. Waga i tak przecież nie drgnęła, choć mordowała się ćwiczeniami i zasypiała, zaciskając zęby na poduszce. O ileż łatwiej byłoby ze słodkim batonem...

Myśl o uczniach, przed którymi będzie musiała stanąć, powstrzymała ją tylko przez chwilę. Oni i tak niczego nie zauważą. Jeden wieczór. Ani się od tego nie przytyje, ani nie schudnie. Właściwie była już zdecydowana. Wystarczyło założyć płaszcz i buty. Leżała jednak dalej. Miała mocne przeczucie, że jeśli teraz się podda, już się nie podniesie. Wzięła do ust piętękę chleba i zaczęła ssać powoli. Zgasiła światło, przykryła się kołdrą, a potem pomyślała o Leonardzie. Gdzie teraz był? Czy jego okropna żona znów robiła mu awanturę o nic? Ta kobieta zupełnie go nie rozumiała...

Oddała się ukochanej rozrywce. Przewijała w myślach scenę na ganku i wszystkie krótkie chwile spędzone w domu artysty. Kilka chwil później wydarzenia nabrały tempa i rumieńców. Kornelia spała, ale podświadomość fundowała jej projekcję najskrytszych marzeń.

## ROZDZIAŁ 16

---

---

Leonard zdążył na czas skończyć najnowsze zamówienie. Otarł się w całym przedsięwzięciu o cud i zarwał trzy noce, co Lena zniosła z trudem, ale cierpliwie, ale dzięki temu zleceniu kolejny miesiąc życia był zabezpieczony, a, kto wie, może i następne, bo zadowolony wpływowy klient mógł go polecić swoim znajomym.

Wieczorem całą rodziną świętowali oddanie projektu. Leonard nakupił słodczy i owoców. Po kolacji siedzieli w wysprzątanym już saloniku i, objadając się ciastkami, opowiadali sobie, jak komu minął dzień. Było pięknie i Leonard, mimo skrajnego zmęczenia i zamykających się powiek, obiecał jutro wstać wcześniej rano i zrobić dla wszystkich śniadanie.

– Po południu muszę jechać do Warszawy – odezwała się Lena. Ledwo to powiedziała, dobry nastrój natychmiast rozplynął się jak kropla soku w słabej herbacie.

Daniel odłożył ciastko, a Michałek zamarł w trakcie przeżuwania i z buzią

pełną czekoladowej miazgi przerażonym wzrokiem wpatrywał się w mamę. Leonard wcale mu się nie dziwił. Ta huśtawka emocjonalna i niepewność wszystkich doprowadzały na skraj wyczerpania. Ilekroć przez chwilę zaczynało być normalnie, zaraz coś musiało się stać. Tak jak teraz. Miał już dość tej wiecznej niepewności co dalszych planów żony. Trzymał nerwy na wodzy z największym trudem. Czuł po prostu strach, a to nie zdarzało mu się często. Na samą myśl o tym, że Lena za chwilę wstanie i znowu wyjdzie, a on będzie musiał spojrzeć swoim synom w oczy i jakoś (tylko jak?!) im to wszystko wytłumaczyć, drżały mu kolana. Tym bardziej że nic nie zapowiadało katastrofy. Ostatnie dni były ciężkie, bo głównie pracował, ale upłynęły bez kłótni.

Miał powody, by sądzić, że wszystko się ułożyło.

Cisza zawisła nad stołem jak ciężki głaz, gotów w każdej chwili spaść i zniszczyć kruchą stabilizację, którą z trudem budowali przez ostatnie dni.

– Nie patrzcie tak na mnie – odezwała się szybko Lena. Wydawało się, że cisza trwa w nieskończoność, ale tak naprawdę było to tylko kilka ciężkich sekund.  
– Muszę pojechać po swoje rzeczy i, jeśli mam tu zostać, pozamykać sprawy związane z pracą.

Chłopcy patrzyli na nią w napięciu tak wielkim, że wyglądali, jakby przestali zupełnie oddychać.

– No co się tak dziwicie? Przyjechałam tu pod wpływem impulsu. Nie zwolniłam się z pracy. Wzięłam tylko urlop.

– Jak to urlop? – zapytał Leonard. – A co z twoją kwiaciarnią?! – Wiedział bowiem od znajomych, że w Warszawie Lena zajęła się właśnie florystyką.

– A skąd! – prychnęła Lena. – Rusz głową. Skąd bym wzięła tyle pieniędzy, żeby otworzyć w Warszawie własną działalność?

– Nie wiem. Myślałem, że dostałaś jakieś dofinansowanie albo wzięłaś kredyt. – Nie zastanawiał się nad szczegółami. Tak mu było przykro z powodu jej odejścia, że nie był w stanie racjonalnie myśleć.

– Więc już nie wrócisz do Warszawy? – zapytał Michałek i natychmiast usiadł jej na kolanach.

– Nie – przyznała wreszcie, a zbiorowe westchnienie ulgi mało co nie wzbilo w powietrze papierków po cukierkach.

Lena czuła, że tym samym trochę się poddaje. Nie będzie już mogła szantażować argumentem, że jeśli mąż nie stanie na wysokości zadania, ona odejdzie. Rzykowała, że Leonard, gdy odzyska poczucie bezpieczeństwa, przestanie się starać. Ale nie było innego wyjścia. Mieli dzieci, a to zmieniało wszystko. Nie sposób było wymyślić żadnej metody wywierania ostrego wpływu na męża, która nie odbiłaby się na chłopcach.

Kochali tatę. W tym tkwiła jego siła. Musiała działać mądrzej, delikatniej. Jej bowiem też zależało, a w takiej sytuacji zawsze trzeba się liczyć z ryzykiem

zranienia, przegranej. Mimo wszystko gra była warta tej stawki.

– Ale musicie mi pomagać – zastrzegła od razu. – Pewne rzeczy nie mogą dalej tak funkcjonować. Tak, jak kiedyś mówiłam, podzielimy obowiązki domowe i będziemy się z tego skrupulatnie rozliczać. Nie mogę wiecznie siedzieć w domu i sprzątać po wszystkich. Chcę też rozwijać się zawodowo... – Tu spojrzała wymownie na męża.

– Ja będę sprzątał cały czas – obiecał żarliwie Michałek i wtulił się w mamę z całych sił.

Lenie stały łzy w oczach. Kłócić się z mężem to rzecz prosta, zawsze znajdzie się pretekst. Zaczynać co chwilę nowe życie i wciąż szukać swojej drogi – również łatwa sprawa. Ale być odpowiedzialnym za swoje wybory i za ludzi, których się krzywdzi, bez końca szukając łatwiejszego pomysłu na życie, to już jest o wiele trudniejsze.

Już wiedziała, że z byle powodu nie narazi swoich dzieci na cierpienie. Słabe światelko tliło się w tunelu, wszystkim zależało na zgodzie, a to pozwalało mieć nadzieję. Fachowe rady Adeliny przynosiły pierwsze widoczne rezultaty i postanowiła wkrótce udać się po kolejne, a w razie potrzeby wysłać też na konsultacje Leonarda.

– Dostałam propozycję – przyznała się. – Właścicielka kwaciarni, która zatrudniła mnie w Warszawie, ma kilka innych punktów w mniejszych miastach i kasy jak lodu. Kiedy wyjaśniłam jej moją sytuację, zaproponowała otwarcie filii jej kwaciarni u nas. Znalazła już nawet dobrą lokalizację i rozmawiała z burmistrzem. Mogę poprowadzić ten nowy punkt. Będzie nam wszystkim łatwiej finansowo, ale musicie mnie wesprzeć.

Kiwnęli głowami na zgodę. Popatrzyła na nich z czułością. Bardzo kochała wszystkich trzech. Każdego inną miłością, ale z jednakowo wielką siłą.

– W takim razie jutro jadę. Wrócę wieczorem, obiecuję, że będę się spieszyć – dodała, bo Michałek wciąż wyglądał na mocno zasmuconego. – Zorganizujcie jakąś kolację. Zgoda?

– Oczywiście – odparł Daniel. – Ja wszystkim pokieruję.

Rodzice spojrzeli na niego i jak na komendę równocześnie się uśmiechnęli.

– Niech tak będzie – zgodził się Leonard. – Od rana przejmujesz na jeden dzień dowodzenie. A teraz idziemy spać – zarządził i spojrzał tęsknie na Lenę. Trzy ostatnie noce spędził w pracowni i to poświęcenie sporo go kosztowało.

Chłopcy już ruszyli w stronę pokojów, w drodze kłócąc się o kolejkę do łazienki, gdy w ostatniej chwili coś ich tknęło. Obejrzel się. Mama stała nad stołem pełnym talerzyków, kubków, papierków po słodyczach ze znaczącą miną. Wrócili bez słowa i zaczęli sprzątać.

Lena uśmiechnęła się. Najwyraźniej coś się zmieniało na lepsze.

– Taka drużyna to rozumiem – powiedziała serdecznie.

Synowie, zadowoleni z pochwały, dźwigali do kuchni brudne naczynia z miną myśliwych niosących najwspanialsze trofea.

\* \* \*

Kornelia kolejny wieczór spędzała samotnie, wyłącznie w towarzystwie niewesołych myśli i szarpiącego żołądek głodu. Wizyta na komendzie była bardzo stresująca i znacznie podkopała jej mniemanie o samej sobie, które leciutko się ostatnio wzmocniło. Niewiele z tego zostało. Policjant był wprawdzie dość uprzejmy i nawet grzecznie powiedział jej, że w sytuacji, kiedy ktoś posługiwał się fałszywymi danymi i pieczętką, można się było nabrać, ale jej to wcale nie pocieszyło. Podobnie jak informacja, że ponoć teraz taką pieczętkę może sobie zamówić każdy. W przypadku wielu działalności nikt nie sprawdza uprawnień.

Nie poprawiło jej to humoru ani trochę. Wysokość zaliczki powinna była dać jej do myślenia. Nie musiała też od razu przez telefon przyznawać się, że tak bardzo zależy jej na czasie. Pokazywać swojej desperacji i tłumaczyć, jak bardzo potrzebuje fachowca. Okazała się łatwym łupem.

Samodzielne mieszkanie po pierwszych chwilach euforii też pokazało drugie oblicze. Było w nim pusto. Okropnie samotnie.

Nie mogła się nawet przenieść w świat marzeń i podleczyć bolącej duszy myślami o Leonardzie. Gdzieś jej się zagubił klucz do tego świata. Nawet jej samej te mrzonki jawiły się dzisiaj jako kompletna dziecinada.

Smutek zalał jej oczy i mózg. Przełączyła się na inny system funkcjonowania. Działając jakby na autopilocie, świadomie nie analizowała tego, co robi. Po prostu wstała i zaczęła szukać słodyczy. Nie wzięła ich do nowego mieszkania, ale teraz, w potrzebie, przypomniała sobie, że jedna niewielka czekoladka jest w białej torebce, którą zakładała rzadko, zwykle do letniej sukienki.

Trzęsącymi dłońmi odsunęła zamek i rozerwała opakowanie lekko spłaszczonego batonika. Jego kształt nie miał wpływu na smak. Rozkoszna czekoladowa słodycz rozlała jej się po podniebieniu.

Chwilowa przyjemność. Bóg, który ma wielu wyznawców, świątynie w supermarketach i święte księgi w postaci kuszących reklam, zdjęć i kolorowych

opakowań zachęcających do poddania się pokusie. Nie wszyscy mają świadomość, że należą do grona oddanych mu wiernych. Ale dla chwilowej przyjemności są w stanie poświęcić wiele. Dane słowo, godność osobistą, zdrowie, małżeństwo, własne plany.

Dla chwilowej przyjemności zdradzają mężów lub żony, jedzą byle co i spędzają byle jak czas. A to bardzo wciąga. Kornelia jeszcze nie skończyła batonika, a już gotowa do wyjścia stała w progu. Wszystko to w dziwnym stanie braku świadomości tego, co zamierza. Bez zatrzymania, bez refleksji. Gdyby chociaż policzyła do dziesięciu i spojrzała w lustro. Ale nie zrobiła tego.

Wpadła do sklepu i zgarnęła z półek kilka paczek ciastek, batoników i cukierków. Była się nie zatrzymywać. Po powrocie do domu zaczęła jeść. Zdolność myślenia wróciła dopiero, gdy na podłodze piętrzył się stos papierów, a ona... poczuła mdłości. Wraz z nimi przyszło otrzeźwienie w towarzystwie jeszcze większego niż na początku smutku. Nie była wcale tak silna, jak jej się wydawało. Wystarczyła jedna niewielka życiowa przeszkoda i już leżała pokonana na macie.

Właśnie się przekonała, że mama miała sporo racji, trzymając ją pod kloszem. Widać przecież wyraźnie, że Kornelia do samodzielnego życia się nie nadaje.

Była już na granicy porządnego załamania psychicznego, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Numer należał do taty.

To dopiero zaskoczenie – pomyślała i odebrała połączenie.

Bała się trochę, że to podstęp i po drugiej stronie usłyszy głos mamy. Ostatnią rzeczą, na jaką miała dzisiaj ochotę, było tłumaczenie się z sytuacji, w którą się wpakowała. Przeszył ją dreszcz obawy, że mama ma swoje kontakty nawet na policji i już o wszystkim wie. Na szczęście jej podejrzenia okazały się bezpodstawne.

– Cześć, córeczko – odezwał się tata dość niepewnym głosem. – Dzwonię do ciebie w konspiracji, nie chcę, żeby mama słyszała. Podobno byłaś dzisiaj na komisariacie... Masz jakieś kłopoty? Mógłbym ci pomóc?

Magia małych miasteczek. Nic się nie ukryje. Z jednej strony była zła, ale z drugiej trochę wdzięczna. Miała ochotę poprosić kogoś o pomoc, a naprawdę nie wiedziała, do kogo się zwrócić. Tata był dobrym kandydatem. Nigdy się prawie nie odzywał, co gwarantowało dyskrecję. Mało się w gruncie rzeczy znali, choć mieszkali trzydzieści lat pod jednym dachem. Teraz jego telefon był miłą niespodzianką.

– Tak. Potrzebuję pomocy – odpowiedziała szczerze. – Wystarczy nawet, że po prostu mnie wysłuchasz. Przyjedź do mnie. Zaraz ci wyślę adres.

– Dobrze – odparł. – Będę za chwilę.

– Mama cię puści? – zaciekała się Kornelia.



– O niczym nie wie. Jest jeszcze w szkole. Mieli długą konferencję, a teraz obradują w jakimś zespole przedmiotowym. Zresztą ona teraz późno przychodzi do domu. Trochę się na nas obraziła, ale to wszystko ci opowiem, jak się spotkamy.

– To do zobaczenia. Adres wysyłam ci esemesem i czekam. Tylko nie spodziewaj się cudów. Jestem na dorobku.

– Nie pleć głupot – powiedział tata. – Poza tym wiem, gdzie to jest, adres mi niepotrzebny. Zaraz będę. Pa! – Tata się rozłączył.

– Pa – powiedziała do milczącego już telefonu. Była w szoku. Proszę, ile tata potrafi wypowiedzieć słów, kiedy nie przewierca go na wskroś krytyczny wzrok żony.

\* \* \*

– Dziecko drogie – powiedział tata, wysłuchawszy jej łzawej opowieści. – Nie martw się tak bardzo. Lekcję życia otrzymałaś, frycowe zapłaciłaś. Teraz będzie już tylko lepiej. Wiadomo, jak człowiek jest sam ze wszystkim, to popełnia błędy. Ale nie dręcz się. To jeszcze nic takiego. Ja popełniłem gorsze i też muszę teraz jakoś je naprawić. Ta łazienka, tak Bogiem a prawdą, z nieba mi spada.

– Dlaczego? – spytała zaskoczona Kornelia. Przed przybyciem taty posprzątała ślady swojej dietetycznej kłęski, zaparzyła miętowej herbaty i teraz pili ją oboje powoli, ucząc się na nowo ze sobą rozmawiać. Nawet nieźle im szło.

– Będę mógł ci pomoc, jeśli tylko się zgodzisz. – Tata pociągnął solidny łyk herbaty, jakby potrzebował dodać sobie odwagi. – Mam straszne wyrzuty sumienia – przyznał się, patrząc jej w oczy. – Nigdy cię nie obroniłem przed mamą. Myślałem, że to ona jest w naszym domu fachowcem, który zna się na wychowaniu dzieci, ale się myliłem.

– Szewc bez butów chodzi – odparła Kornelia. – Mama naprawdę potrafi pomóc innym, tylko we własnym domu sobie nie radzi. Nie było zresztą tak źle – dodała bez przekonania.

Tata tylko pokiwał głową.

– Nie ma co do tego wracać. Oboje wiemy, jak było. Ale teraz to się zmieni, tylko mi pozwól. Mam pomysł. Ja ci zrobię tę łazienkę. W domu przecież wszystkie płytki sam kładłem. Zgromadziłem też trochę oszczędności. Kupimy wszystko, co trzeba. Nic nie mów – dodał, widząc, że córka zamierza protestować.

– Daj mi szansę. Marcinowi też przecież pomogłem i Anię też będę wspierał, jak tylko będzie trzeba...

Kornelia poczuła, jak drży jej broda. Bardzo potrzebowała tych słów. Kogoś bliskiego na początek, kto pomoże postawić pierwsze samodzielne kroki. Tata świetnie się nadawał. Nie czuła wobec niego tej wszechogarniającej tremy, jaka zawsze jej towarzyszyła w kontaktach z mamą.

Zamiast odpowiadać podeszła do niego i przytuliła się. Nie pamiętała, kiedy robiła to po raz ostatni. Chyba w zamierzonym dzieciństwie.

– Dzięki – powiedziała. – To się naprawdę przyda. Ale jak to wytłumaczysz mamie?

– Jeszcze nie wiem. Miałem pomysł, żeby ją jak zwykle okłamać i oświadczyć, że idę na ryby albo do pracy na dodatkową zmianę, ale mam trochę dość tego tchórzostwa. Jedyne, co mnie powstrzymuje, to myśl o awanturze, kłótniach, cichych dniach. Okropnie nie lubię konfliktów. Wolę ustąpić, ale widzisz, do czego mnie to ustępowanie doprowadziło.

– Nie łam się, tato, dasz radę. Jeśli ja mogłam wyrzucić wszystkie batony i ćwiczyć codziennie już po piętnaście minut, to i tobie się uda... – Odwróciła wzrok.

Rozpędziła się w tych pochwałach, a tymczasem właśnie poniosła dotkliwą porażkę. Nie zdążyła jednak uzupełnić swojej relacji.

– Właśnie miałem mówić, że coś zmarniałas od przeprowadzki – przerwał jej tata.

– Dzięki – roześmiała się Kornelia. – Traktuję to jako najpiękniejszy komplement.

– Tylko nie przesadź z tym odchudzaniem – zmartwił się. – Pamiętaj, że zdrowie najważniejsze.

– Pamiętam, możesz mi wierzyć – odparła Kornelia zgodnie z prawdą, bo rzeczywiście była teraz pod stałą opieką lekarską. Wiedziała też, że jej waga nie reaguje na żadne wysiłki i tata nie mówi prawdy. Po prostu chce być miły.

– Cieszę się, że o siebie dbasz. – Tata spojrzął na zegarek. – Mamy dużo czasu. Może od razu pojedziemy do marketu i kupimy, co trzeba. Od jutra akurat biorę tydzień urlopu, powinienem zdążyć.

Kornelia westchnęła na wspomnienie ostatniej podobnej wyprawy. Wtedy towarzyszył jej pan Gołąb, który tak naprawdę powinien nazywać się Głąb, oszust jeden. Postanowiła jednak posłuchać ojca i przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. Zgłosiła drania na policję, opisała jego wygląd najlepiej, jak umiała. Nic więcej nie mogła już zrobić.

Zamknęła drzwi mieszkania i wyszła razem z tatą. Nieoczekiwanie poczuła się lekko i radośnie. Słodczyce to jednak nie jedyna rzecz, która może nadawać życiu słodki smak.



## ROZDZIAŁ 17

---

Kolejne dwa tygodnie minęły bardzo szybko. Popołudniami Kornelia biegała do Anieli. Czasem zabierała jej dzieci na plac zabaw, żeby koleżanka mogła odetchnąć, albo siedziały razem w przytulnym salonie i grały w planszówki. Rozmawiały. Najpierw o sprawach obojętnych, potem sporo o pracy, ale powoli obie zaczęły się otwierać. Aniela opowiadała, jak ciężko znosi rozłąkę z mężem, a Kornelia przyznała się do swojej rozpaczki z powodu samotności. Te rozmowy dawały obu wiele siły.

Waga wreszcie drgnęła, a kiedy już to się stało, kilogramy zaczęły uciekać w przyspieszonym tempie. W sumie od początku akcji Kornelia schudła pięć kilo. To był bardzo dobry wynik. Nadal miała sporą nadwagę, ale wyraźnie czuła różnicę, choć inni mogli jej jeszcze nie zauważyć.

Było jej lżej. Schylić się, chodzić, wspiąć się po schodach.

Za ostatnią wypłatę kupiła sobie o numer mniejsze spodnie i dwie wełniane

tuniki z myślą o zbliżającej się zimie. Radość, jaka jej towarzyszyła podczas zakupów, była bezcenna.

Bóg chwilowej przyjemności stracił jednego wyznawcę. Kornelia przeniosła się do grupy, którą można by nazwać „Warto się postarać dla większego celu”. Było jej tam dobrze i coraz pewniej czuła się w nowej roli. Wpadki i gorsze dni wciąż ją prześladowały, ale coraz częściej umiała się przed nimi obronić.

W poniedziałek na godzinie wychowawczej stanęła przed uczniami w nowych ciuchach i pochwaliła się swoim małym zwycięstwem, zapowiadając, że to dopiero początek.

Nie minęła minuta, jak w ostatniej ławce wstał Damian i poszedł z miną, która miała wyrażać zupełny luz i obojętność, choć pełen napięcia wzrok sugerował coś zupełnie innego, po czym położył na jej biurku mocno wymiętą, brudną na rogach i lekko poszarpaną z jednej strony kartkę.

– Marnie wygląda, bo cała klasa oglądała, a oni niczego nie umieją uszanować – oświadczył ze sztuczną powagą.

Kornelia wzięła kartkę do ręki i po chwili rozpromieniła się w uśmiechu.

– Gratulację. Jestem z ciebie naprawdę dumna. – Na dole strony widniała ocena wypisana zamaszystym stylem nauczycielki chemii. Minus dopuszczający.

– Szacun, chłopie – zawołał z tyłu Daniel, a towarzyszyły mu pomruki aprobaty dochodzące z różnych części klasy.

– Kowalowa się zlitowała nad nim – zareagowała natychmiast Natalia. – A minus dopuszczający to nadal jest bardzo słaba ocena. Ani trochę nie zmienia sytuacji Damiana. Zejdźcie wszyscy na ziemię. Pani też jeszcze nawet na dobre nie zaczęła. Efekt jo-jo, wie pani, co to jest? Na początku jest łatwo, a potem każdy się poddaje.

Kornelia uśmiechnęła się znowu.

– Natalia tak pięknie w nas nie wierzy, że mnie to aż dodaje skrzydeł. A tobie, Damianie?

Chłopak najwyraźniej nie zrozumiał zawilej myśli, bo tylko mruknął coś nieprzyjemnego w stronę koleżanki i wrócił na swoje miejsce.

– Damy radę. – Kornelia mówiła głosem wyrażającym pewność siebie. – Ja uważam, że pierwszy krok jest najtrudniejszy, a potem już z górki. Jestem dumna z Damiana i z siebie, bo wiem, że obojgu nam nie jest łatwo. Trzymajcie za nas kciuki, a jeśli ktoś jeszcze ma ochotę podjąć wyzwanie, to zapraszam. W grupie zawsze łatwiej, a takie publiczne oświadczenie: mam zamiar osiągnąć to i owo, daje wielką siłę. Wiedziecie, ja mam często ochotę na słodczyce, ale zawsze kiedy nadchodzi mnie pokusa, przypominam sobie Natalię i na samą myśl o tym, że stanę tutaj, a ona z satysfakcją skomentuje mój upadek, od razu sięgam po marchewkę. Choć czasem przyznaję, że batony zwyciężają. Łatwo nie jest.

Klasa się roześmiała, a Natalia po raz pierwszy w życiu się zaczerwieniła.

Chyba nie była całkiem pozbawiona ludzkich odruchów. Kornelia odczekała chwilę, ale nikt się nie kwapił do podejmowania dodatkowej pracy, zwłaszcza takiej, z której trzeba się potem publicznie rozliczyć.

– Możemy z tego zrobić klasowy projekt wychowawczy – umiejętnie kusila Kornelia. – Damy mu tytuł: „Moje największe wyzwanie”.

– Kornecki się odepnie od komputera – zarechotał ktoś z tyłu klasy. – Ale to się nie uda. On już ma twardy dysk wbudowany w mózg. Wyprzedza epokę.

– A ty będziesz mówić tylko jedną bzdurę na dzień – zdenerwował się Albert Kornecki, chudy chłopak w okularach. – I też nie dasz rady. Pleciesz głupoty za każdym razem, kiedy otwierasz paszczę.

– Proszę o spokój – zawołała Kornelia. – Oczywiście najłatwiej się rozwiązuje cudze problemy, ale ja nie o to prosiłam. Można zgłaszać tylko wyzwania, które sami zamierzacie podjąć, nie propozycje dla kolegów czy koleżanek.

Zapadła cisza.

Nagle odezwała się Natalia.

– To ja się zgłaszam. – Zaskoczyła wszystkich. – Wezmę udział w olimpiadzie z biologii, bo chcę się dostać na medycynę. To będzie bardzo trudne, bo przygotowania trwają już od miesiąca i będę musiała nadrobić zaległości. Ale chcę spróbować.

– Brawo! – zawołała z entuzjazmem Kornelia.

Natalia dobrze się uczyła, lecz nigdy nie wspominała o takich planach. W gruncie rzeczy nie było też jeszcze ku temu okazji. Dopiero teraz Kornelia tak naprawdę poznawała swoich uczniów.

– Kto jeszcze? – zapytała i wtedy ruszyła lawina. Natalia najwyraźniej odblokowała klasę.

Kornelia złapała pisak i zaczęła notować wyzwania na tablicy, prosząc jednocześnie przewodniczącego, żeby szybko przepisywał to na jakąś kartkę.

– Założymy specjalną księgę i co miesiąc na godzinie wychowawczej będziemy się rozliczać. – Odwróciła się w stronę klasy i widać było, że niektórzy nagle pozałowali spontanicznej reakcji. Było już jednak za późno. Wyzwania zapisano. Zgłosili się prawie wszyscy. Tylko Julka nie podniosła ręki...

Zadzwonął dzwonek i uczniowie, dyskutując gorąco, zaczęli się pakować z wielkim rumorem i wychodzić. Kornelia podeszła do siedzącej samotnie Julii.

– Możesz zostać chwilkę? – zapytała.

– Tak. – Dziewczyna się uśmiechnęła, a Kornelii kamień spadł z serca, bo bała się, że dzieje się coś bardzo złego.

– Dlaczego się nie zgłosiłaś?

Julka, nie przestając się uśmiechać, odgarnęła niesforne loki na plecy.

– Ja już mam swoje wyzwania – odparła. – I pani o nich wie. Jest tego tyle,

że nic więcej i tak już się nie zmieści, a dodatkowej motywacji nie potrzebuję. Może się zgłoszę, ale tylko dlatego, żeby nie psuć atmosfery.

– Jak sobie radzisz?

– Bardzo dobrze, choć jestem strasznie niewyspana. Ale to był naprawdę genialny pomysł. Śpiewam, kiedy tylko mam wolną chwilę, jeżdżę do stadniny, a ojciec jest tak szczęśliwy z powodu naszych wspólnych wypadów na korty, że dawno go nie widziałam w tak dobrej formie.

– A co z Wojtkiem? Pomogło? – zapytała Kornelia.

Julia uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Można powiedzieć, że z siłą wodospadu rozwiązało wszystkie problemy. Po pierwsze, nie mam czasu o nim myśleć, po drugie, nie mam nawet ochoty. Na kortach poznałam świetnego chłopaka. Wojtek mu do pięć nie dorasta. Tamten ma swoje pasje, czyta mnóstwo książek i można z nim porozmawiać na każdy temat. A Wojtek, co? Tyle że z fizyki jest dobry, a poza tym całymi godzinami gra na komputerze. Nie pojmuję, co ja w nim widziałam.

Kornelia pomyślała, że Adelina jest naprawdę genialna. Patrząc teraz na Julkę, nikt by w niej nie rozpoznał tamtej smutnej, pogrążonej w apatii, nieszczęśliwie zakochanej dziewczyny nastolatki. Terminarz miała wypełniony po brzegi, ale promieniała radością. Nie spędzała już czasu na gapieniu się w okno lub przeszukiwaniu portali społecznościowych z nadzieją, że może on wrzuci jakieś zdjęcie.

Uczennica pożegnała się i wyszła na przerwę. Kornelia została sama w pustej klasie. Była bardzo zadowolona z przeprowadzonej właśnie lekcji. Choć nie odbyła się ona według zaplanowanego scenariusza, najwyraźniej podobała się uczniom. Wychowawczynie spojrzała na puste ławki i uśmiechnęła się na myśl o młodych ludziach, którzy siedzieli w nich jeszcze niedawno. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś tak bardzo nie znosiła swojej klasy. Zmarnowała dwa lata wspólnego czasu.

Wyszła na korytarz i pospiesznie skierowała się w stronę pokoju nauczycielskiego. Czeką ją jeszcze dzisiaj kilka lekcji fizyki i mnóstwo niepoprawionych kartków na jutro. Musiała do końca tygodnia gładko pozamykać wszystkie szkolne sprawy. W weekend zamierzała zorganizować w swoim mieszkaniu pierwsze oficjalne przyjęcie dla przyjaciół. Tata pięknie wyremontował łazienkę. Okazał się też kopalnią kontaktów. Znał hydraulików, stolarzy i murarzy. Wiele lat budował idealny dom dla swojej żony i okazało się, że zdobył przy tym spore doświadczenie. Potem pomagał synowi, cały czas był na bieżąco. Kornelia poczuła się zawstydzona, że tak mało wiedziała o swoim ojcu. Właściwie wszystko, co robił i mówił, było dla niej zaskoczeniem.

Poznawali się podczas prac remontowych jak obcy ludzie, którzy przypadkiem spotkali się w pociągu, a nie ojciec i córka. Po raz pierwszy pili

razem herbatę, rozmawiali o wszystkim i o niczym...

Kornelia opowiedziała tacie o swoich problemach ze zdrowiem i niedawnej diagnozie, pracy u Kordasa i wszystkich zmianach, jakie na skutek tych wydarzeń wprowadziła w swoim życiu. Po kilku dniach okazało się, że nie tylko odzyskała ojca, ale też znalazła kolejnego przyjaciela. To było niezwykle uczucie.

\* \* \*

Lena kończyła dopieszczenie okna wystawowego. Właściwie wszystko było już gotowe. Towar zamówiony, starannie poukładany w malutkim wnętrzu kwiaciarni. Wszystkie dodatki niezbędne do przygotowywania bukietów oraz pakowania prezentów karnym rzędkiem leżały na regale i pod ladą. Leonard zrobił żonie jeden ozdobny kwietnik na rośliny doniczkowe, który teraz bardzo ładnie prezentował się w najbardziej widocznym miejscu.

Kordasowa po raz setny już dzisiaj rozejrzała się dokładnie, sprawdzając, czy na pewno czegoś nie da się zrobić lepiej. Szefowa była bardzo wymagająca. Największa warszawska kwiaciarnia, duma właścicielki, była naprawdę imponująca. Wysublimowany wystrój, bogaty asortyment i profesjonalna obsługa. Pracodawczyni nie tolerowała niedociągnięć na żadnym polu.

Lena poznała ją jeszcze na studiach. Obie skończyły ekonomię z dobrym wynikiem i pełne ambitnych myśli rozpoczęły dorosłe życie. Niestety, szybko też obie zasiły szeregi bezrobotnych, a ich życiowe plany uległy korekcie. Lena wyszła za męża i rok później urodziła Daniela, a Monika wkroczyła na twardą i wyboistą drogę własnego biznesu. I chociaż potem kontakt właściwie się urwał, odnalazły się po latach w Internecie i zaczęły regularnie korespondować.

Kiedy Lena była na skraju załamania i postanowiła odejść z domu, Monika zaproponowała jej pracę. To nie było dokładnie to, o czym Lena marzyła. A miała w głowie piękne wizje roztaczane przez natchnioną mentorkę, prowadzącą szkolenie dla kobiet poszukujących własnego miejsca w życiu.

Na szkolenie, które tak radykalnie przeorganizowało jej życie, pojechała w przypływie desperacji, zachęcona nota bene przez męża. Była zmęczona, znużona szarą jak papier codziennością i samotna. Miała już dość swojego życia, a ulotka w entuzjastyczny sposób obiecywała rozwiązanie wszelkich problemów.



Już sam przyjazd do hotelu okazał się czystą przyjemnością. Wyspała się i zjadła śniadanie, które ktoś dla niej przygotował, co już samo w sobie nastawiło ją przyjaźnie do zajęć. A potem przez trzy dni słuchała, jaką jest wspaniałą kobietą, jak wiele ma praw, i że powinna czerpać z życia pełnymi garściami.

Dziś wstydziała się swojej reakcji, ale wtedy czuła się bardzo nieszczęśliwa, a kryzys, jaki przechodziło jej małżeństwo, zadawał się być trwalszy niż pomnik ze spiżu, więc posłuchała tej miłej kobiety, jak jej się wydawało jedynej istoty na świecie, która potrafiła ją zrozumieć.

Spakowała walizki, kiedy chłopcy byli w szkole, i przez pierwsze dwa dni uważała, że podjęła słuszną decyzję. Wciąż miała głowę nabitą frazesami ze szkolenia, a Warszawa jawiła jej się jako miasto pełne możliwości. Szybko przyszła jednak tęsknota, najpierw za dziećmi, a później także za... Leonardem. W ślad za nią pojawiły się wyrzuty sumienia, z każdym dniem coraz mocniejsze. A potem okropny kac moralny.

Prowadząca kurs spełnionego życia specjalistka stawiała rodzinę na samym szarym końcu listy życiowych priorytetów i potrafiła tak ładnie ubrać w słowa swoje argumenty, że brzmiały naprawdę przekonująco.

Dopiero potem, kiedy emocje opadły, Lena przejrzała Internet i znalazła niezbyt pochlebne opinie na jej temat. Była samotną kobietą i dorabiała do tego teorie, mówiące, że to najlepsza droga dla każdej kobiety.

A przecież kobiety są różne. Mają swoje własne pragnienia, a większość w sposób naturalny pragnie rodzinnego szczęścia. I choć wydaje się, że łatwiej jest rzucić wszystkim i żyć tylko dla siebie, niż wiecznie iść na jakieś kompromisy z mężem czy dziećmi, to w rzeczywistości samotność ma równie wiele ukrytych wad. Lena przekonała się o tym bardzo szybko.

Tęsknota za dziećmi zabijała radość z ciekawej pracy, bo choć szybko polubiła prowadzenie kwaciarni, nie dawało jej to takiej przyjemności, jak się spodziewała. Myślała, że samotność to dla niej chleb powszedni i nie będzie jej w stanie zaskoczyć, bo przecież cały czas towarzyszyła jej w życiu małżeńskim. Tymczasem okazało się, że zupełnie czymś innym jest wieczór z dziećmi niż pusta cisza w wynajętym mieszkaniu. Szybko też przypomniała sobie, że Leonard nie składał się wyłącznie z wad. Przeżyli też wiele dobrych chwil, które wracały w jej pamięci w najmniej odpowiednich momentach. I chociaż wciąż była na niego wściekła, tęskniła.

Wesele, na którym się spotkali, było momentem zwrotnym. Już wiedziała, że nigdy więcej nie zostawi dzieci. Głowiła się całymi godzinami nad znalezieniem rozwiązania, które pozwoliłoby pogodzić dobro synów z realiami jej skromnego w gruncie rzeczy życia w Warszawie. Nie zarabiała wystarczająco dużo, by wynająć większe mieszkanie. Nie wiedziała, jakie liceum byłoby odpowiednie dla Daniela ani jak zorganizować opiekę nad Michałkiem, nie mając w stolicy nikogo.

Wiadomość o tym, że do Leonarda wprowadziła się jakaś kobieta i zajmuje się dziećmi, przypominała porażenie prądem. Poczula zazdrość tak wielką, że nawet nie próbowała myśleć racjonalnie. To był jej mąż, jej dom, a przede wszystkim jej dzieci. Wy tłumaczyła wszystko swojej szefowej, wsiadła w pociąg i tego samego popołudnia była na miejscu. W gruncie rzeczy bardzo chciała już wrócić i... ta kobieta spadła jej z nieba. Lena uświadomiła sobie również, że jej niechęć do męża jest równie silna jak miłość i zawsze już będzie się miotać pomiędzy tymi dwoma uczuciami.

Naprawianie małżeństwa nie jest rzeczą łatwą, ale ten wysiłek przynosił niewspółmiernie lepsze rezultaty niż ten włożony w budowanie samotnego życia. Dzieci były szczęśliwe, pojawiało się coraz więcej dobrych dni, choć wszystko to było okupione wielkim wysiłkiem i wciąż przychodziło z trudem. Leonardowi na każdym kroku trzeba było przypominać o domowych obowiązkach, dzieci też wymagały nadzoru, ale wszyscy się starali i to napawało nadzieją.

Może nie była jeszcze szczęśliwa bez zastrzeżeń, ale w jej życiu pojawiało się coraz więcej radosnych chwil. A bywały i momenty wspaniałe. Nie żałowała swojej decyzji.

Spojrzała przez szerokie okno wystawowe na zalany deszczem rynek. Monika nie nadchodziła. Może błędziła gdzieś po parkingach? Lena zerknęła na komórkę, ale nie miała żadnych nieodebranych połączeń. Jeszcze raz kontrolnie sprawdziła wszystkie półki i ustawiony na nich towar. Szefowa była jej koleżanką, życzliwą kobietą, która postanowiła otworzyć filię w akurat tym małym miasteczku, żeby dać Lenie szansę na odbudowanie rodziny, jednak w sprawach zawodowych nie uznawała znajomości. Wszystko musiało być zrobione perfekcyjnie.

Zadzwęczał dzwoneczek i Lena drgnęła przestraszona. W drzwiach stanęła Monika. Zamknęła ociekający wodą parasol.

– Witaj, kochana. – Pocałowała Lenę serdecznie w policzek i rozejrzała się wokół. – Pięknie to urządziłaś – powiedziała z zadowoleniem. – Wiedziałam, że tak będzie. A to co? – zapytała, podchodząc do kwietnika zrobionego przez Leonarda.

– To wyrzeźbił mój mąż – odparła Lena z mimowolną dumą. – Na takim kwietniku ładnie się prezentują rośliny doniczkowe.

– Jest piękny! – Monika obchodziła dzieło Leonarda ze wszystkich stron. – Czy mogłabyś poprosić męża, żeby zrobił dla mnie jeszcze ze dwa takie egzemplarze? Jeden wezmę sobie do domu, a drugi postawię na próbę w kwiaciarni. Kto wie, może to się będzie sprzedawać?

– Chętnie – ucieszyła się Lena. – Żyjemy głównie z jego zleceń. Każde jest na wagę złota.

– To świetnie – ucięła dyskusję szefowa. – Uważam, że lokal jest gotowy na

jutrzejšie otwarcie. Przejrzemy jeszcze papiery na zapleczu i kończymy na dziś z pracą. Pójdziemy sobie na dobrą kawę i pogadamy jak za starych dobrych czasów.

– Dobrze. – Lena weszła na zaplecze, gdzie stały równiutko poukładane segregatory z dokumentacją. Tego też nauczyła się od Moniki. W papierach musiał panować idealny porządek.

## ROZDZIAŁ 18

---

---

Adelina zaprosiła przyjaciół na ognisko w swoim ogrodzie. Miało to być uroczyste pożegnanie jesieni. Październik dobiegał końca, a chłodne podmuchy wiatru wyraźnie dawały do zrozumienia, że nadchodzi nieuchronna zmiana w pogodzie.

Kornelia pojechała samochodem. Zamierzała zabrać po drodze Anielę z dziećmi, więc tym razem zrezygnowała ze spaceru. Nie wiedziała, kto jeszcze został zaproszony, ale nie zdziwiła się ani trochę, widząc Michałka biegającego po trawniku i pozostałych członków rodziny Kordasów siedzących już przy ogrodowym drewnianym stole. Serce Kornelii mimo woli szarpnęło się boleśnie.

Leonard wygodnie rozparł się na krześle, a z jego twarzy znikł zwykły wyraz napięcia. Mężczyzna był zrelaksowany, wyglądał na wypoczętego. Kornelia pierwszy raz widziała go w tak dobrej formie. No i oczywiście serce, zamiast wziąć przykład z reklamy i skonsultować się z rozumem, zareagowało według własnych

reguł. Ścisnęło się, a na widok podchodzącej do męża Leny zareagowało wielkim bólem, jakby ktoś właśnie dopuścił się zdrady. A przecież prawa Kornelii do Leonarda były żadne, a samo uczucie należało do kategorii skończenie naiwnych. Jeszcze u nastolatki mogłoby się spotkać ze zrozumieniem, ale w przypadku trzydziestoletniej nauczycielki naprawdę nie miało sensu. Nie potrzebowała Adeliny, żeby sobie to uświadomić. Tylko co z tego?

Nie było jej po tym stwierdzeniu ani trochę lżej.

– Jak pani pięknie wygląda! – rozjaśnił się Leonard na jej widok, co wcześniej nie zdarzyło się nigdy. Kornelia aż usiadła, tak ją zaskoczył.

Rzeczywiście, prezentowała się wyjątkowo dobrze. Waga, jak już raz ruszyła, cały czas systematycznie opadała. Stres związany z tą historią z remontem, dodatkowe obowiązki i pierwsze radości wspomagały proces. A słodczyce nie były już jedynym jasnym punktem w jej życiu.

Rano waga pokazała osiemdziesiąt sześć kilogramów. Kornelia oddała ulubioną jesienną sukienkę do krawcowej i z prawdziwą satysfakcją poprosiła o zwężenie. Na ognisko u Adeliny wbiła się w nowe dżinsy, zestawiając je z ładnym ciemnobordowym sweterkiem z dobrej wełny. W porównaniu ze smukłą Leną i tak wyglądała jak wielki kłoc, ale kiedy się pomyślało o jej poprzednim wizerunku, zmiana była rzeczywiście spektakularna.

Przyjęcie Adeliny było zorganizowane w stylu: nie próbujcie robić tego sami w domu. Wydawało się rzeczą absolutnie niemożliwą, żeby jedna osoba, na dodatek emerytka, samodzielnie wykonała dziesiątki małych ciasteczek, zapiekankę z cukinii, kilka rodzajów sałatek, domowe lemoniady w paru smakach, ciasto dyniowe oraz drożdżowe ze śliwkami i kruszonką, chleb pieczony na zakwasie, a także kilka rodzajów doskonale zamarynowanego mięsa, które smażyło się na ustawionym dyskretnie z boku grillu, żeby nie robić konkurencji ognisku.

Kornelia poddała się od razu i nawet nie pytała, jak można coś takiego zorganizować i jeszcze potem przyjmować gości z uśmiechem na twarzy i energią, sprawiając wrażenie, jakby się spało całe przedpołudnie. Na jej oko roboty było wystarczająco dużo dla średniej wielkości firmy cateringowej.

Adelina zupełnie nie dała po sobie poznać, że przygotowanie przyjęcia było dla niej jakimkolwiek obciążeniem. Bawiła się razem z gośćmi i wyglądała na szczerze zadowoloną z ich obecności. Kornelia, podświadomie przygotowana na procedurę, którą znała z domu, to znaczy długie i zawile opowiadanie, jak to gospodyni bardzo się zmęczyła, napracowała, poświęciła, żeby wszyscy mogli zasiąść do stołu, przeżyła miłą niespodziankę i szybko zaczęła czuć się swobodnie.

Nastawiła się psychicznie na wielki bój. Wiedziała, że Adelina świetnie gotuje i spodziewała się, że trzeba będzie wbić zęby w stół, żeby zachować dietę, ale gospodyni najwyraźniej pomyślała o wszystkim. Na stole były sałatki ze świeżych warzyw, polane tylko odrobiną oliwy i octu balsamicznego, a na grillu

prócz tłustej karkówki smażyły się chudziutkie piersi z kurczaka oraz kilka pstrągów. Kornelia uznała więc, że może sobie pozwolić na jedno małe szaleństwo i zjadła kromkę pysznego chleba z wyjątkowo dobrym masłem czosnkowym. Woląла nawet nie pytać, skąd to masło, żeby się nie okazało, że Adelina ukręciła je sama.

Leonard i Lena trzymali się trochę z boku. Musieli przeżywać jakąś dobrą fazę w związku, bo wyraźnie ciągnęło ich do siebie, ciągle wymieniali pełne ukrytych aluzji uśmiechy albo dyskretnie się dotykali. Wreszcie poszli na spacer w głąb sadu, tłumacząc się ochotą na śliwki.

Kornelia zgrzytnęła tylko zębami, ale powstrzymała się do kąśliwej uwagi, że tuż obok płotu rośnie dorodna śliwa pełna jeszcze owoców i nie ma potrzeby iść tak daleko. Przemilczała to z najwyższym trudem. Ale emocje były chyba wyraźnie widoczne na jej twarzy, bo Adelina w tym samym momencie usiadła obok ze szklanką parującej herbaty w dłoni.

– Jak tam, nadal cudze ogródki? – zapytała, osładzając serdecznym uśmiechem cierpką treść swojego pytania.

– Zakładasz własny ogród? – Anielka, która siedziała po drugiej stronie i odpoczywała, czerpiąc z chwili relaksu, ile tylko się dało, zdziwiła się niepomiernie. Kątem oka obserwowała dzieci, które znalazły sobie nowego idola w osobie Michałka i chodziły za nim krok w krok.

– Chyba jeszcze nie – odpowiedziała za Kornelię Adelina. – Ale myślę, że wszystko jest na dobrej drodze, prawda, Kornelio?

Aniela spojrzała na kobiety, dając do zrozumienia, że mówią od rzeczy, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę fakt, iż malutka kawalerka Rudnickiej nie miała nawet balkonu.

– To długa historia... – Kornelia machnęła ręką i wstała od stołu. – Kiedyś ci opowiem.

Postanowiła porozmawiać chwilę z Danielem. Wyraźnie czuł się odosobniony w towarzystwie składającym się wyłącznie z dorosłych i małych dzieci. Szła po miękkiej trawie, drewno w ognisku trzaskało, po ogrodzie niósł się śmiech dzieci i szczekanie psa, którego Kornelia znów wykradła sąsiadowi, a ona zbliżała się do swojego ucznia, żeby z nim pogadać o wszystkim i o niczym. Tak po prostu. To był chyba najlepszy znak pokazujący, do jakiego stopnia się zmieniła. Jeszcze nie tak dawno nie zrobiłaby tego za żadne skarby świata. Ale po dawnym życiu nie zostało już zbyt wiele. Teraz każdy dzień był podarunkiem.

Bardzo udany wieczór u Adeliny zainspirował Kornelię do zorganizowania tzw. parapetówki. Nie było to wcale łatwe zadanie. Długo głowiła się nad zestawem gości. Zaprosić jednocześnie rodziny i przyjaciół nie mogła, bo po prostu nie zmieściliby się wszyscy w ciasnym mieszkaniu. Na spotkanie wyłącznie w rodzinnym gronie nie miała sił. Dopiero co odbyło się podobne u Marcina w jego nowym domu. Mama się nie popisała.

Chciała chyba wyrazić swoje oburzenie wobec sposobu, w jaki młode małżeństwo opuściło jej dom, i nic, nawet uroczyste podziękowanie, które dla niej zorganizowali, ani żadne względy okazywane jej na każdym kroku, nie było jej w stanie udobruchać. Chodziła po pięknym, nowym domu i krytykowała wszystko, co znalazło się w zasięgu jej wzroku.

Kiedy tata wreszcie nie wytrzymał i po raz pierwszy publicznie zwrócił jej uwagę, mama zareagowała z taką agresją, że o dobrym nastroju nie mogło być już mowy. Ania nie wytrzymała i wyszła jeszcze w trakcie przemowy mamy na temat jej złamanego życia i wszystkich niedociągnięć, jakich ojciec dopuścił się od roku siedemdziesiątego czwartego aż do dzisiaj. Marcin z Agą nie mogli skorzystać z tej samej opcji, choć pewnie mieli na to wielką ochotę, byli bowiem gospodarzami. Kornelia została więc do końca, nie chcąc ich zostawiać samotnie na placu boju.

Nie wiadomo było, jak się zachować. Każdy kontrargument wywoływał jeszcze gorszy słowotok mamy, pełen wyrażenń coraz bardziej agresywnych i prostackich, zupełnie nielicujących z uładowym wizerunkiem pani pedagog. W końcu wszyscy zamilkli, uznawszy, że jedynym sposobem jest poczekanie, aż potok żalów sam się wyczerpie.

Kornelia spojrzała na tatę i w jednej chwili zrozumiała, dlaczego wybrał ten właśnie sposób na życie. Nie dawał on nikomu szczęścia, ale przynajmniej w domu panował spokój. Ciężko było stwierdzić, czy z tym stanem rzeczy można było walczyć, w każdym razie pierwsza próba nie napawała optymizmem.

Do mieszkania wróciła późno, z ciężką migreną, i tego dnia nie zrobiła ani jednego ćwiczenia, a przed snem musiała wypić słodkie kakao, zjeść bułkę z serkiem topionym, banana i dwa batony, chociaż była przecież po kolacji. Nie miała nawet siły walczyć. Jej wola i energia sflaczały całkowicie podczas tego okropnego wieczoru.

Rano obudziła się w lepszym nastroju i wróciła do dobrych nawyków, ale absolutnie nie miała ochoty na powtórkę.

Z drugiej strony zamykanie się w domu tylko z obawy przed mamą nie miało

sensu. Mama już dawno była osobą dorosłą, w pełni poczytalną i powinna się liczyć z tym, że jej zachowanie przyniesie określone rezultaty. Kornelia postanowiła podzielić spotkanie na dwie części. W jedną sobotę zaprosić Anielkę, Adelinę, Kordasów, z którymi ostatecznie zacieśniła znajomość na ognisku u Adeliny, i tatę, bo ten ostatnio dołączył do grupy przyjaciół, a w kolejną rodzeństwo. Z nimi przecież tak naprawdę rzadko rozmawiała. O wiele swobodniej czuła się w towarzystwie Anieli, choć znała ją przecież o wiele krócej niż brata i siostrę, z którymi mieszkała całe życie. Może czas to zmienić? Kto wie, co się wydarzy, kiedy usiądą wszyscy przy stole bez tyranizującej mamy, wtrącającej do każdej wypowiedzi swoje trzy grosze, tak że po chwili nikomu już się nie chciało otwierać ust.

Tym samym nie organizowała jakiegoś stricte rodzinnego spotkania, dzieląc jej członków na dwie grupy. Był to jakiś kompromis, choć i tak nie miała złudzeń, że mama z pewnością dowie się o wszystkim i poczuje głęboko dotknięta.

Chyba że się nie dowie – pomyślała Kornelia z nagłym optymizmem. Istniała szansa, że nie znajdzie się ani jeden chętny skłonny do zwierzeń. Nikt nie miał ochoty dobrowolnie narażać się na kłopoty. A jeżeli nawet tak się stanie, to trudno. Niczego więcej w tej sprawie Kornelia już nie mogła zrobić. Tak naprawdę to mama powinna teraz wykonać jakiś krok.

\* \* \*

Stały z Anielą na szkolnym korytarzu, pełniąc dyżur. Rozglądały się czujnie dookoła, a równocześnie omawiały sobotnie plany.

– Tylko nie spodziewaj się takich cudów, jak na ognisku – asekurowała się Kornelia. – Nawet nie chcę myśleć o tych wszystkich pysznościach. Ja bym musiała wziąć dwa tygodnie urlopu, żeby coś takiego przygotować, a i to bez gwarancji sukcesu.

– Najlepsze były kruche babeczki. – Anieli się rozmarzyła. – Ale zupełnie się tym nie przejmuj – zreflektowała się szybko. – U mnie też tak się nie gotuje. Ostatnio tyle pysznego jedzenia było chyba na chrzcinach Adasia. Teściowa robiła – dodała uspokajająco. – Wiesz, cieszę się na to spotkanie. Zostawię dzieci u babci i posiedzimy sobie swobodnie.



– Bardzo dobry pomysł – uśmiechnęła się Kornelia.

– Można zapytać, co to za impreza się szykuje? – odezwał się niespodziewanie ktoś za ich plecami.

Aniela aż podskoczyła. W tłumie kłębiącej się młodzieży nie zauważyły dyrektora, który podszedł do nich i najwyraźniej usłyszał ostatnie słowa.

– Kornelia urządza parapetówkę – wyjawiała Aniela spontanicznie, nie widząc powodu, by całą rzecz trzymać w tajemnicy.

– Ach, tak... – powiedział dyrektor dziwnym tonem i spojrzał szybko na Kornelię. Wyglądała pięknie w zwężonej śliwkowej tunice. Przez chwilę próbował wysilić mózg, żeby zdefiniować zasadniczą zmianę, którą zauważył w jej wyglądzie, ale jakoś nie mógł wpaść na właściwy trop. Zbyt wiele elementów naraz przyciągało jego wzrok. Jedno było jednak oczywiste. Podobała mu się już bez żadnych zastrzeżeń, a jego dawne obiekcje powoli się rozwiewały.

Tym bardziej że ostatnio nie szczędziła otoczeniu tego, co było jej największym atutem. Uśmiechu.

Dyrektor zasadniczo był człowiekiem walki. Nie bał się wyzwań i nie chował się przed problemami. Teraz poczuł wprawdzie treść, ale stanął mocno na lekko rozstawionych nogach i dla dodania sobie pewności poprawił okulary.

– A czy ja... nie mógłbym się wprosić na to spotkanie? – zapytał. – Chyba że przyjęcie jest przewidziane tylko dla rodzinnego grona?

– Nie – odparła powoli Kornelia, zaskoczona jego propozycją. – Tylko przyjaciele i mój tata.

Dyrektor spojrzał na nią, komicznie skrzywił głowę i złożył dłonie w geście prośby. Zmierzał do celu, nie oglądając się na nic.

– To jak? Zmieściłbym się?

Kornelia roześmiała się.

– Oczywiście – powiedziała. – Zapraszam w sobotę o czwartej.

Nawet chętnie się zgodziła. Nie miała zastrzeżeń do tego mężczyzny, wzbudzał w niej raczej sympatię. A w większym gronie zawsze będzie weselej.

– Przepraszam bardzo... – Rozległ się nagle tuż obok ostry głos Marcinkowskiej. Widać, czujna pani dyrektor zdołała wypatrzeć nawet na długim zatłoczonym korytarzu, że obiekt jej westchnień podejrzanie długo rozmawia z kimś innym, na dodatek śmiejąc się, co mogłoby sugerować zupełnie niesłużbowe treści.

– Mam do pana bardzo pilną sprawę – rzekła z naciskiem. – I sugerowałabym, żeby pani Rudnicka udała się w dalsze rejony korytarza, stąd bowiem nie widzi wszystkiego.

Kornelia skrzywiła się, oszczędzając wszystkim ciętego komentarza, że nie ma miejsca, z którego byłaby tak dobra widoczność, żeby zobaczyć wszystko. Pożegnała się, wymieniając z dyrektorem porozumiewawczy uśmiech, który

jeszcze bardziej rozwścieczył Marcinkowską.

– Mam też liczne zastrzeżenia co do pani klasy. – Wicedyrektor zastosowała chwyt zdecydowanie poniżej pasa. – Umówimy się w tej sprawie na specjalne spotkanie – zagroziła.

Zapewne padłyby jeszcze inne nieprzyjemne słowa, ale jak spod ziemi wyrosła druga wicedyrektorka i, przysuwając się jak zwykle bardzo blisko, zaczęła pokazywać zwierzchnikowi jakieś zawile tabelki.

One się bardzo skutecznie blokują nawzajem – pomyślała Kornelia, posłusznie odchodząc w dalsze rejony korytarza. Motywy obu kobiet były dla niej oczywiste. Jedna drugiej pilnuje i nie pozwoli nawet na chwilę samotności z obiektem westchnień. Sytuacja dość przegrana, bo jedyny efekt, jaki osiągają, to poczucie ich męczącej obecności, którego powoli wszyscy mieli dość.

W pokoju nauczycielskim stawiano zakłady, której z kobiet uda się w końcu usidlić samotnego dyrektora. Mężczyzna nie wiadomo jakim cudem uchwycił się niezaobrączkowany w środowisku pełnym singielek marzących o założeniu rodziny. Był dość przystojny, choć w sposób nienachalny, inteligentny, dobrze się ubierał i cieszył się w pracy dużym autorytetem. Dwa lata temu skończył remontować dom zakupiony na obrzeżach miasta i wtedy jego akcje wśród kobiet wzrosły o dodatkowe punkty. Nikomu jednak nie było wiadomo, by się z kimś spotykał. Opcja, że zdołałby taki fakt ukryć przed opinią publiczną, była raczej nierealna. Krążyły nawet w związku z tym na jego temat różne plotki, ale i one ucichły wobec ewidentnego braku dowodów czy nawet choćby poszlak.

Kornelia nie dawała najmniejszej szansy żadnej z wicedyrektorek. Stawiała raczej na kogoś zupełnie spoza środowiska, ale też nie zaprzętała sobie tym problemem głowy. Ta sprawa zupełnie jej nie dotyczyła. Podobnie jak wszyscy kibicowała mocno tej obcej...

## ROZDZIAŁ 19

---

---

W sobotę lekko podenerwowana Kornelia układała w miseczkach ciastka, pierwsze, jakie upiekła we własnym mieszkaniu. Nie musiała z tego powodu wietrzyć ani w żaden sposób się ograniczać. Pozwoliła więc, by pasja ją poniosła. Wszystkie pozostałe potrawy zamówiła w pobliskiej restauracji. Ale ciasteczka piekła całą noc. Upojna słodka woń migdałów, cynamonu i czekolady wypełniła niewielkie mieszkanko, sprawiając, że stało się namiastką prawdziwego domu, w którym można być sobą.

Nad ranem padła na swój nowy tapczan bez sił, ale z przyjemnością spojrziała na stół kuchenny zapełniony pysznościami. Czuła się szczęśliwa. Jej życie stawało się słodkie nie z powodu batonów, ale pełni doznań, o jakich wcześniej tylko marzyła. Co ciekawe, nie zjadła ani jednego ciastka. Postanowiła poczekać na przybycie gości i dotrzymała danego sobie słowa. To też było niezwykle uczucie. Bardzo podbudowało jej poczucie własnej wartości.

Miała ochotę zasnąć, ale zerwała się szybko, żeby jeszcze posprzątać i zastanowić się nad wyborem sukienki.

Gdyby nie wizyta dyrektora, byłoby to niezobowiązujące spotkanie z przyjaciółmi i nie stanowiłoby żadnego powodu do stresu. Wszyscy znali jej kulinarne talenty i z pewnością nie przychodzili tu, żeby się zachwycić wyrafinowanym smakiem potraw. Ale w stosunku do dyrektora czuła lekkie skrępowanie. Trochę żałowała spontanicznie wyrażonej zgody. Tym bardziej że w roli gospodyni czuła się co najmniej niepewnie, zwłaszcza wobec mocno zawyżonych standardów prezentowanych przez Adelinę.

Nie wiedziała, jakie poglądy ma w tej kwestii jej szef. Zupełnie go od tej strony nie знаła. Jeżeli liczy na eleganckie przyjęcie, to srodze się rozczaruje.

I bardzo dobrze – pomyślała bojowo. – Może to go oduczy wpraszenia się na cudze imprezy.

Dla odreagowania wypucowała jeszcze raz swoją nową piękną łazienkę, do której miała bardzo osobisty stosunek, po czym wykąpała się i jednak wskoczyła do łóżka. Musiała chwilę odpocząć.

Była gotowa sporo przed czasem. Układała właśnie ostatnie ciastka na paterach, kiedy dzwonek do drzwi sprawił, że aż podskoczyła. Była dopiero piętnasta! Pierwsi goście mieli przyjść najwcześniej za godzinę.

Nie ma nic gorszego niż ludzie, którzy przybywają przed czasem – pomyślała rozzłoszczona.

Otrzeptała dłonie z okruszków i zerknęła przez wizjer. Tata. Poczwała wielką ulgę.

– Cześć – zawołała, otwierając drzwi. – Przyszedłeś mi pomóc?

– Dokładnie tak – przyznał tata i pocałował córkę w oba policzki. – Boże święty, ty przecież nikniesz w oczach! – Spojrzał na nią niby z naganą, ale w jego oczach zobaczyła przede wszystkim podziw. – Dwa tygodnie cię tylko nie widziałem, a różnica jest ogromna – powiedział. – Na pewno wszystko u ciebie w porządku?

– Tak, tato. Po prostu nie chcę już być gruba.

– Wyglądasz bardzo dobrze. – Tata postawił ciężkie siatki na kuchennym blacie.

– Wow! – zawołał na widok jej cukierniczych dokonań. – Jakie to piękne!

– Dziękuję – szepnęła Kornelia. – Staralam się.

– Mogłabyś własną kawiarenkę założyć.

– Nie – powiedziała stanowczo. – To by zabiło całą przyjemność. Poza tym musiałabym od rana do nocy walczyć z pokusą. Wiesz, ja nawet lubię swój zawód.

– I to mnie cieszy – uśmiechnął się tata.

– A co to jest? – zapytała Kornelia, wpatrując się w liczne pakunki, które próbował rozłożyć w niewielkim pomieszczeniu.

– Wsparcie kryzysowe – odparł tata. – Dobrze wiem, że o gotowaniu nie masz bladego pojęcia. Mama nikogo do kuchni nie wpuszcza, nie miałaś się gdzie nauczyć.

– A ty masz pojęcie?

– Zdziwisz się, ale tak. Kiedyś bardzo lubiłem eksperymenty w kuchni. Odkąd się ożeniłem, oczywiście gotuję sporadycznie. Tylko kiedy mama wyjeżdża, co nie zdarza się, jak wiadomo, zbyt często. Ale z największą przyjemnością upichcę coś dla ciebie.

– Co takiego? – zapytała łakomie Kornelia, odnalazwszy w zakamarkach pamięci wspomnienia, kiedy tata piekł dla nich pyszną pizzę albo własnoręcznie kręcił lody.

– Trzy pyszne zapiekanki. Każda z innymi dodatkami. Przyprawimy ziołami, mięso mam już zamarynowane, dodamy warzyw i będzie pięknie pachniało w całym mieszkaniu. W godzinę akurat zdążymy. A to jest – wyciągnął z dna siatki najmniejszą paczuszkę – prezent dla ciebie. Może niespecjalnie odpowiedni na taką okazję, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Tato, dałeś mi już przecież tak dużo – oburzyła się Kornelia zupełnie szczerze. – Cały remont łazienki sfinansowałeś.

– Odpakuj – uciął tata dalszą dyskusję i zajął się przygotowywaniem zapiekanek. Przyniósł ze sobą nawet specjalne żaroodporne naczynia, słusznie przypuszczając, że u Kornelii niczego takiego nie znajdzie.

Ostrożnie rozerwała kolorowy papier i zobaczyła pudełko z bardzo dobrymi perfumami.

– Jakie wspaniałe! – zawołała. – Ależ to musiało sporo kosztować. Zbyt dużo – domyśliła się, patrząc na markowy flakonik.

– Tym się nie martw – odparł tata beztrąsko – tylko od razu użyj. Piękny zapach jest ukoronowaniem eleganckiego wyglądu.

Kornelia pomyślała o Adelinie i przyznała ojcu rację. Pobiegnęła do łazienki, poprawiła makijaż i skropiła się perfumami. Pachniały oszałamiająco. Wróciła do kuchni i, kierując się wskazówkami taty, przygotowywała razem z nim zapiekanki. Ale nie zdążyła jeszcze nawet pokroić cukinii, kiedy znów zadźwięczał dzwonek u drzwi. Lekko się spięła i poszła zobaczyć, kto jeszcze nie ufa jej zdolnościom kulinarnym.

Spojrzała przez wizjer. Wcale nie była zaskoczona tym, co zobaczyła po drugiej stronie. Otworzyła z uśmiechem.

– Bałaś się, że nie będzie nic do jedzenia? – zapytała.

– Ależ skąd – skłamała gładko Adelina.

Weszła do mieszkania, trzymając w wysoko uniesionych dłoniach skrzynkę pełną jakichś produktów. Z ramienia zwisała jej pękata torba wypełniona również tajemniczą zawartością.

– To jest mój tata. – Kornelia przedstawiła ojca i miała okazję, by dostrzec, jak rumieni się lekko na widok atrakcyjnej kobiety, a potem, najwyraźniej będąc pod mocnym wrażeniem, całuje Adelinę w dłoń. Przyjaciółka wyglądała naprawdę pięknie, jak zwykle zresztą, i Kornelii serce ścisnęło się nagłym strachem o mamę. Nie miałyby z Adeliną szans, bo chociaż dbała o siebie i ubierała się gustownie, ogólna sztywność ruchów, nerwowe spięcie zawsze widoczne dla otoczenia i całkowity brak uśmiechu dyskwalifikowały ją w przedbiegach.

– Przyniosłam trochę ciastek. – Adelina odsłoniła bibułę i pokazała małe, kolorowe, ręcznie robione cudeńka.

Tata pochylił się nad nimi w zachwycie i chwalił skrupulatnie każdy kształt i rodzaj, żadnego nie pomijając. Pytał też o sposób wykonania. Adelina opowiedziała ze szczegółami, a następnie zainteresowała się jego zapiekankami. Wymiana uprzejmości trwała bez końca. Ci dwoje znaleźli najwyraźniej wspólny język i wchodzili sobie nawzajem w słowo jak starzy znajomi, a nie ludzie, którzy dopiero co się poznali. We wprawnych rękach Adeliny tata miękł jak wosk. Chłonał jej umiejętnie wypowiedane pochwały, grzał się w ciepłe uśmiechu i... wyglądał na uszczęśliwionego.

Kornelia przeszła do pokoju. Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Nie żałowała tacie chwili przyjemnej rozmowy, ale trochę się bała.

Mama miała wprawdzie swoje wady, jednak Kornelia nie życzyła jej, by za swoje błędy zapłaciła aż tak wysoką cenę, jaką jest całkowity rozpad rodziny.

Dzwonek znów zabrzączał i Kornelia tylko westchnęła.

Jeśli to kolejna osoba z własną walówką, to się obrażę – postanowiła.

Otworzyła szybko, bez zaglądania w wizjer, i tym razem stanęła lekko zaskoczona. Na klatce schodowej stał dyrektor. Nie wyglądał tak pewnie i władczo jak w pracy, ale trzymał fason.

– Przyszedłem troszkę wcześniej – tłumaczył się – choć wiem, że to nieładnie. Ale pani jest zawsze tak świetnie zorganizowana. Byłem przekonany, że wszystko już gotowe.

– Przynajmniej jeden gość we mnie wierzy – uśmiechnęła się Kornelia. – Bo wszyscy pozostali jak na razie przyszli z własnym prowiantem. Myślę, że dziś pozna mnie pan od innej strony. W roli gospodyni domowej średnio się sprawdzam.

– Ja przyniosłem tylko wino. – Podał jej torebkę. – I mały prezent do nowego mieszkania.

Kornelia zaprosiła go do pokoju, zatroskanym wzrokiem obrzucając wnętrze kuchni, gdzie w najlepsze trwała praca i toczyła się wesoła rozmowa. Nastąpiła krótka przerwa na prezentację przybyłego gościa i dwie głowy znów pochyliły się nad kuchennym blatem, by wrócić do przerwanej pracy.

Kornelia, wzdychając ciężko, zaprosiła dyrektora do pokoju i rozpakowała

prezent. Bardzo udany. Przez umysł przemknęła jej błyskawiczna, niska myśl, że warto było zaprosić zwierzchnika. Podarował jej dwie filiżanki z prawdziwej, białej, delikatnej porcelany. Klasycznie proste z umiarem charakterystycznym dla najlepszego stylu miały idealną wielkość i kształt. Zakochała się w nich od pierwszego wejrzenia i pomyślała, że zaraz po mercedesie będzie to drugie w jej życiu odwzajemnione uczucie.

Może jeszcze nową relację z tatą mogłaby wziąć pod uwagę, żeby już nie być taką pesymistką.

Położyła filiżanki na swoim nowym regale. Ładnie się prezentowały.

– Bardzo dziękuję – powiedziała szczerze. – Są naprawdę piękne. Zaproszę pana kiedyś na herbatę. Nie gotuję zbyt dobrze, ale zaparzenie herbaty mieści się w granicach moich możliwości. Daję radę. Poza tym piekę dobre ciastka i na tym lista moich domowych umiejętności się kończy.

– Nie wierzę – roześmiał się dyrektor. – A na herbatkę przyjdę bardzo chętnie – odparł. – Mam jednak małą prośbę. Wino wprawdzie jeszcze zamknięte, jednak chciałbym zaproponować, żebyśmy przeszli na „ty”.

– Dobrze – zgodziła się Kornelia, trochę zmieszana, a dyrektor, nie czekając na zachętę, pocałował ją w oba policzki, po czym z prawdziwą przyjemnością obserwował piękny rumieniec pokrywający gładką cerę dziewczyny.

\* \* \*

Wieczór rozkręcił się na dobre. Panowała luźna atmosfera, a w gronie zaproszonych gości szybko utworzyły się mniejsze grupki, dobrze się czujące we własnym towarzystwie. Tata z Adeliną praktycznie nie odchodził od kuchennego blatu. Największą ich przyjemnością było wyczarowywanie z ograniczonej ilości produktów kolejnej potrawy i karmienie pozostałych imprezowiczów. Fakt, że wszyscy goście byli już absolutnie syci, w niczym im nie przeszkadzał.

Anielka wdała się w rozmowę z Leną na temat wychowywania dzieci. Opowiadały sobie nawzajem różne historie, a Leonard przysłuchiwał im się i od czasu do czasu wtrącał własne spostrzeżenia, niezmiernie dumny ze swojego doświadczenia. Ale głównie krążył jak satelita wokół żony i gdziekolwiek ona usiadła, z kimkolwiek zaczynała rozmawiać, on natychmiast zjawiał się obok.

Zjadał też niezliczoną ilość ciastek oraz kawałków zapiekanek, czym po raz kolejny zaskarbił sobie uznanie Adeliny, a po raz pierwszy – taty Kornelii.

Natomiast dyrektor, obecnie Piotr, nie odstępował nawet na krok gospodyni. Siedzieli właśnie razem na tapczanie, gdzie przenieśli się od stołu, żeby uniknąć namów do jedzenia. Kornelia właściwie nie miała nic do roboty. Gości nie trzeba było obsługiwać, bo tata z Adeliną nie zostawiali w tej materii najmniejszego pola do manewru.

Sączyła więc wino i poznawała Piotra Nowickiego, dawniej dyrektora, z zupełnie innej strony. Już po godzinie przestała rzucać zazdrosne spojrzenia na szczęśliwych Kordasów i mocniej skoncentrowała się na rozmówcy.

Jego pasją były sporty zimowe, o czym nikt w szkole nie wiedział. Piotr nie należał do tych, którzy o każdym swoim kroku szczegółowo informują otoczenie, a na portalach społecznościowych chwalą się zdjęciami oraz dokonaniem. Ale potrafił ciekawie opowiadać o najlepszych górskich kurortach i cichych, mało znanych zakątkach, gdzie garstka zapaleńców zjeżdża w mroźne poranki po dziewiczym, nietkniętym ludzką stopą śniegu. Latem sporo chodził po górach, ale nawet tym wędrownikom towarzyszył zimowy podtekst. Szukał najlepszych tras do szusowania i oswajał się z miejscami, które miał zamiar zdobyć, kiedy już spadnie śnieg.

Więc to go zajmowało w weekendy i wszystkie wolne dni – pomyślała Kornelia, śmiejąc się w duchu na myśl o karkołomnych teoriach, które na ten temat powstawały w sekretariacie i pokoju nauczycielskim. Okazało się, że samotny, przystojny mężczyzna niekoniecznie musi skrywać romansowe sekrety, kiedy się nie zwierza ze swoich spraw. Czasem po prostu zwyczajnie chroni swoją prywatność.

Koło dziesiątej zrobił się naprawdę wesoło. Na stole pojawiło się przyniesione przez Kordasów piwo, co wzbudziło widoczny niesmak na twarzy Adeliny. Ale tata wziął chętnie jedną puszkę, otworzył, podał jej i sięgnął po drugą dla siebie. Adelina usiadła zrezygnowana i spróbowała. Piwo było całkiem smaczne. Przy stole toczyła się ożywiona rozmowa, w której Piotr i Leonard próbowali sobie nawzajem odebrać status duszy towarzystwa i samca alfa. Kobiety miały przy tym mnóstwo dobrej zabawy.

Ostatni goście wyszli po drugiej w nocy. Kornelia zamknęła drzwi i weszła do mikroskopijnej kuchni. Zobaczyła idealnie pościerane blaty, szklanki ociekające na suszarce, a w szafkach pochowane czyste naczynia. Nawet podłoga była zamieciona i przetarta, a kosz na śmieci opróżniony. Duet kuchenny do końca działał na najwyższym poziomie profesjonalizmu. Kornelia westchnęła na myśl o zgodnej współpracy taty i Adeliny. Miała nadzieję, że z tej historii nie wyniknie nic więcej jak tylko jeden przyjemny wieczór.

Podparła zmęczoną głowę dłonią i zapatrzyła się w ciemne okno. Wcale nie



chciało jej się spać. Myślała o wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło, i o tym, jak bardzo zmieniło się jej życie. A przecież wciąż borykała się z problemami zdrowotnymi i miała znaczną nadwagę. Osiemdziesiąt pięć kilogramów to i tak, obiektywnie rzecz biorąc, bardzo dużo. Pomimo tego spędziła wspaniały wieczór w towarzystwie życzliwych ludzi, miała w końcu prawdziwych przyjaciół i była jedyną osobą, której dyrektor, obecnie Piotr Nowicki, okazywał wyraźne względy. Magia.

Był to jej pierwszy życiowy bilans, w którym zanotowała więcej jasnych niż ciemnych punktów. Ten obraz psuł jedynie żal za zmarnowanymi latami. Dawno temu powinna była wyrwać się z matni. Kto wie, gdzie byłaby teraz i... z kim. Wolała o tym nie myśleć. Skupić się na teraźniejszości i przyszłości, co wymagało od niej koncentracji i siły.

Wrzuciła do nowiutkiej pralki sukienkę, założyła spodnie od dresu i podkoszulek. Włączyła laptop i zaczęła ćwiczyć. Wszystkim zjedzonym ciastkom i każdej wypitej lampce wina na pohybel.

## ROZDZIAŁ 20

---

---

Zima przyszła cicho jak złodziej. Nocą, kiedy wszyscy spali, zasypała równiutko samochody niespodziewających się niczego właścicieli. Ukryła chodniki i drogi. Daleko, w górach, z pewnością zrobiło się pięknie, a ośnieżone stoki cieszyły oko i obiecywały zimowe rozrywki, ale w mieście nikt nie zamierzał podziwiać zasypanego po dach auta czy zakopanej bramy wyjazdowej. Pierwszy szok jest zawsze najsilniejszy, dlatego tego poranka w mroźnym powietrzu fruwało wiele niecenzuralnych słów. Prawdziwą radość miały tylko dzieci.

W szkole panował nastrój totalnego zmęczenia, przetykany nitkami słabej nadziei, że już niedługo święta i będzie można wreszcie złapać trochę oddechu. Tuż przed bożonarodzeniową przerwą we wszystkich klasach zaplanowano spotkania wigilijne. Kornelia postanowiła wcześniej zorganizować zajęcia podsumowujące miniony rok i zakończyć pierwszą fazę projektu. Każdy uczeń miał przygotować krótkie sprawozdanie ze swoich działań.

Ośmiu licealistów poddało się walkowerem i, opowiadając na prawo i lewo, że cały pomysł od początku im się nie podobał, zrezygnowało. Kornelia przyjęła ich odmowę bez komentarza, cała inicjatywa opierała się w końcu na dobrowolności. Natomiast z zaskoczeniem zauważyła, że w grupie protestujących nie ma Natalii.

W wyznaczonym dniu wszyscy odsunęli ławki pod ścianę i ułożyli krzesła w okrąg. Na środku stanął stolik z księgą projektu. Każdy uczestnik podchodził kolejno i opowiadał o tym, co udało się zrealizować, a co jeszcze przed nim. Niektórym uczniom głos drżał ze stresu, kiedy tak stali przed całą klasą, a kolana im się trzęsły, ale dominowały radość i duma. Okazało się, że choć nie wszystkie założenia zostały zrealizowane, zrobiono bardzo dużo. O wiele więcej niż kiedykolwiek. Niektórzy się śmiali i próbowali bagatelizować swoje dokonania, ale byli dumni tak bardzo, że nie potrafili tego ukryć.

Płynęły opowieści o pobitych życiowych osiągnięciach w sporcie, zaliczonych kursach angielskiego, straconych kilogramach, poprawionych ocenach... Pojawiały się szczere wypowiedzi o posprzątanym wreszcie pokoju i lepszych relacjach z młodszym rodzeństwem, na które ktoś przestał ciągle wrzeszczeć, oraz jedna wyjątkowa opowieść, która dostała najwięcej braw. Klasowy fajtłapa relacjonował pierwszą w życiu randkę w miejskim parku. Niektórzy płakali ze śmiechu, ale fakt pozostawał faktem – Wojtuś, który na każdej przerwie podpierał ściany, miał w końcu dziewczynę. Podobno bardzo sympatyczną, jak już zdążył ustalić klasowy wywiad.

Każdy, kto skończył swoją opowieść, wklejał kartkę z podsumowaniem do książki i mówił o planach na drugie półrocze.

Ostatnia wystąpiła Natalia. Niektórzy byli już lekko rozproszeni, a ich uwaga koncentrowała się powoli na innych sprawach, tym bardziej że napięcie opadło, bo swoje wypowiedzi mieli już za sobą. Poza tym wszyscy w klasie wiedzieli, że Natalia przeszła do rejonowego etapu olimpiady i nie byli specjalnie ciekawi jej relacji.

– Od początku nie wierzyłam w całą tę inicjatywę – zaczęła Natalia w swoim zwykłym stylu, na co siedząca obok koleżanka skrzywiła się z niesmakiem. – Nie dawałam pani Rudnickiej najmniejszych szans – mówiła dziewczyna, nie zważając na coraz bardziej widoczny brak aprobaty u widowni. – Nie wyglądała mi na taką, która mogłaby coś w życiu osiągnąć – dodała wprost. Kornelia tylko się uśmiechnęła. Wcale nie była oburzona, dobrze rozumiała, że swoim zachowaniem mogła prowokować takie wnioski.

– Zgłosiłam się – mówiła licealistka – pod wpływem impulsu. Nie wiem, chyba tylko dlatego, żeby się zabezpieczyć. Żeby w razie tego małego ułamka prawdopodobieństwa, które zawsze trzeba brać pod uwagę, nie musieć patrzeć na pełną triumfu twarz pani Rudnickiej. Tak było – potwierdziła.

Po klasie przebiegł szmer, w którym wyraźnie czuło się niechęć. Akcje Kornelii znacznie zyskały w ostatnim czasie i ataki na nią nie cieszyły się już taką popularnością jak kiedyś. Dzisiaj też panował w klasie dość przyjemny nastrój i nikt nie miał ochoty wysłuchiwać złośliwości Natalii. O ile każdy miał tu swoje grono zwolenników, nawet Wojtuś, to Natalia była zupełnie osamotniona. Z nikim się specjalnie nie przyjaźniła, siadało się z nią w ławce wyłącznie wtedy, gdy już naprawdę nie było miejsca, bo akurat w danym dniu nikt nie zachorował.

– Dajcie mi skończyć. – Natalia wreszcie zareagowała na zmianę nastroju, bo niektórzy chłopcy zaczęli przykładac palce do ust, sugerując, że za chwilę zaczną gwizdać. – Co w tym złego, że mówię prawdę?

Widać było, że kilka osób jest gotowych w trybie natychmiastowym wyjaśnić jej tę kwestię, ale nie dopuściła ich do głosu.

– Ta olimpiada to było wyzwanie oficjalne i, nie powiem, bardzo pomogło. Ale w tajemnicy podjęłam drugie, do którego nie miałam zamiaru się przyznawać.

Znów zapanowała cisza. Wszyscy byli ciekawi.

– Zmieniłam zdanie z dwóch powodów. Po pierwsze, jedynym bodźcem do tego, że się w końcu odważyłam, była pani Rudnicka, która chudła w oczach, codziennie pokazując, że można, że jest szansa, choćby nie wiem jak bardzo fakty temu przeczyły. Uważam, że należy jej się podziękowanie. Postanowiłam więc powiedzieć wam prawdę.

Szmer znów przebiegł przez publiczność. Takiego zwrotu akcji nikt się nie spodziewał. Natalia milczała chwilę, wyraźnie zbierając się na odwagę.

– Pięć lat temu tata nas zostawił. Mnie i mamę – dodała. – To był szok. Tym bardziej że szybko się dowiedziałam, że na jego powrót nie ma szans. – Zamilkła chwilę, zakaszła i dopiero po chwili dała radę mówić dalej: – Urodziło mu się dziecko. Córeczka – sprecyzowała i nikt nie miał trudności z wyobrażeniem sobie, jak musi jej być przykro. – Nowa, lepsza dziewczynka. Malutka i słodka. Nie to co ja. Im bardziej milutka ona była, tym mocniej we mnie rosła agresja. Wiedziałam, że nie tędy droga, ale nie mogłam się powstrzymać. Potem mama znalazła narzeczonego, rok później drugiego, dziś mieszka z nami czwarty. Romanse, układanie życia na nowo pochłonęło ją bez reszty. Tak naprawdę zostałam zupełnie sama. Nikt mnie nie chciał. Mamie przeszkadzałam w randkach, a tacie w beztróskim cieszeniu się nowym życiem. To mnie nie usprawiedliwia, ale dlatego nienawidziłam całego świata.

Przerwała na chwilę, oddychała głęboko i nie patrzyła nikomu w oczy. Dobrze wiedzieli, że ostatnie zdanie odnosiło się także do wszystkich obecnych. Ale nikt już nie chciał gwizdać ani nie wykrzywił się z dezaprobatą. Rozumieli ją bardzo dobrze. Tylko nieliczni wracali po lekcjach do bezpiecznych, szczęśliwych domów. Większość zmagala się z różnymi problemami fundowanymi im przez dorosłych, czasem bardzo poważnymi.

– Kiedy usłyszałam to głupie, jak mi się wtedy wydawało, wyzwanie – Natalia zebrała się w sobie – podjęłam własne. Na jakiś czas postanowiłam schować swoje kolce. Przestałam wszystkich krytykować, rzucać kaśliwe uwagi i, jak pani Kornelia, zaczęłam się uśmiechać. Chcecie wiedzieć, jaki jest wynik tego wyzwania?

Klasa patrzyła w nią w napięciu, nikt już się nie wiercił. Byli tak bardzo przejęci, że prawie nie oddychali.

– Cóż – westchnęła Natalia. – Cud się nie zdarzył. Prawdziwego happy endu nie będzie nigdy, bo mojej rozwalonej rodziny skleić się nie da, za daleko to zaszło, ale jest lepiej. Tata częściej mnie zaprasza, a jego obecna żona cieszy się, chyba szczerze, kiedy przychodzę. Moja mała siostra mnie uwielbia, ja też ją bardzo polubiłam. Mam już osiemnaście lat, mogę sama decydować, z kim chcę mieszkać, i właśnie wczoraj – głos Natalii zrobił się chropowaty ze wzruszenia – tata zaproponował, żebym na czas przygotowań do matury i ewentualnych studiów na medycynie zamieszkała u nich. W ciągu trzech miesięcy wiele się zmieniło i teraz wreszcie chce mi się żyć, uczyć i zdawać na studia. To tyle. – Natalia usiadła.

Przez moment w klasie zapanowała głucha cisza, a potem nagle klasowy fajtlapa Wojtuś zaczął klaskać. Zaraz po tym rozległy się brawa, słyszalne nawet na końcu korytarza. I były szczerze.

Kornelia wstała, zaskoczona wynikami eksperymentu. Jedno małe hasło, rzucone zupełnie spontanicznie, a takie niezwykle rezultaty. Przez ostatnie tygodnie była mocno zapracowana, biegała do Adeliny i Anielki, a nawet spotykała się czasem na kawie z Piotrem, co utrzymywali w ścisłej tajemnicy. Wszystko to tak mocno ją absorbowało, że nie miała czasu, by z każdym uczniem porozmawiać na temat jego osiągnięć. A tymczasem raz pchnięta lawina toczyła się już własną siłą do przodu, powiększając się z każdym dniem.

Stała przed klasą i nie wiedziała, jak podsumować to niezwykle spotkanie.

– Jeszcze dzisiaj rano byłam dumna z faktu, że ważę teraz osiemdziesiąt kilogramów i poukładałam swoje życie, ale wobec tego, co tu zostało powiedziane, myślę, że nie ma się czym chwalić – wyznała. – Jeżeli nawet pierwszy impuls wyszedł ode mnie, to prawdziwa siła pochodzi od was. Ja też z niej czerpię. Gratuluję wam wszystkim i zachęcam tych, którzy jeszcze nie zaczęli, by podjęli próbę. Jest jeszcze czas. Szczególnie dziękuję Damianowi. Plus dostateczny z chemii to w naszym liceum naprawdę świetny wynik, poza tym to dzięki tobie zaczęliśmy ten projekt.

Damian tym razem nie dał rady udawać, jak bardzo obojętne są mu słowa wychowawczyni i na jego twarzy pojawił się prawdziwy uśmiech zadowolenia.

– Moja mama uważa, że to cud – powiedział – oraz że jest pani najlepszą nauczycielką i odwołuje wszystko, co wcześniej na pani temat mówiła.

Kornelia przełknęła tę słodko-gorzka pochwałę i uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję także Natalii – kontynuowała. – Za odwagę cywilną i szczerść. To było naprawdę coś niezwykłego móc cię słuchać.

Klasa zaczęła znowu bić brawa, których nie zdołał zagłuszyć nawet przeraźliwie dźwięczący dzwonek.

Kłębili się jeszcze dłuższą chwilę w klasie i po raz pierwszy miała wrażenie, że się nie spieszą z wychodzeniem. Zazwyczaj znikali, jakby ich wywiał wiatr, w kilka sekund po zakończeniu lekcji. Teraz oglądali księgę, rozmawiali, komentowali najlepsze osiągnięcia i chwalili się, co zrobią do końca roku.

Kornelia postanowiła zorganizować uroczyste zakończenie tego projektu. Trzeba będzie naciągnąć dyrektora na jakieś dodatkowe fundusze.

Na samą myśl o Piotrze zrobiło jej dziwnie ciepło wokół serca. Coś się zaczynało między nimi. Nie wiedziała, jak to interpretować. Wciąż przecież była w tej szkole najgrubsza i, we własnej ocenie, najmniej atrakcyjna. Osiemdziesiąt kilogramów było jej osobistym sukcesem. Odczuwała ogromną różnicę, nie tylko estetyczną, choć zmieniła się tak bardzo, że niektórzy nie poznawali jej na ulicy.

Przede wszystkim lepiej się czuła, miała też więcej siły i energii. Ale obiektywnie wciąż nie była atrakcyjną długonogą blondynką, w stylu, który najczęściej ponoć podoba się mężczyznom, zwłaszcza przystojnym. Daleko jej było do wyglądu Leny, Adeliny czy nawet Anielki, która, choć urodziła dwójkę dzieci, wciąż wyglądała bardzo atrakcyjnie. Kornelia prezentowała się też o wiele gorzej niż wicedyrektorki, dopracowane w każdym calu. Obie były samotne i chyba całą swoją wypłatę inwestowały w garderobę oraz dbanie o urodę.

Nie czuła się na siłach, by z kimkolwiek konkurować w tym zakresie. Zawsze miała złe doświadczenia z wyglądem.

Mężczyźni w najlepszym przypadku ją ignorowali, a czasem, jak Leonard, dawali wyraźnie odczuć, że jej towarzystwo nie jest mile widziane. Od tej pory wiele się zmieniło, ale nie w tej dziedzinie. Już wiedziała, że potrafi pokierować swoim życiem, wytrwać w żelaznej dyscyplinie i być lepszą nauczycielką dla swoich uczniów. Ale nic poza tym. Pocięszała się, że to i tak dużo.

Zainteresowanie Piotra Nowickiego klasyfikowała jako czysto przyjacielską relację. Dobrze im się rozmawiało i w lot rozumieli swoje intencje. Nie zamierzała pakować się w żadne kłopoty ani na własne życzenie fundować sobie cierpienia. Dlatego choć Piotr był sympatyczny i kiedy się z nim częściej przebywało, zwłaszcza sam na sam, naprawdę łatwo się było zakochać, zwłaszcza jeśli ktoś tęsknił za miłością tak bardzo, jak ona, nie miała zamiaru do tego dopuścić.

Postanowiła być rozsądna. Nie zapraszała go do domu i odrzucała propozycję spotkań u niego. Nigdy się nie zgadzała na wyjście na kolację, co najwyżej na obiad. Biały dzień i jakieś mało romantyczne, publiczne miejsce, które nie sprzyjało tworzeniu intymnej atmosfery. Czasem chodzili po pracy na spacer do parku. Czasem ktoś ich nawet widział, ale plotki jakoś z tego nie wynikały.

Spotykali się więc bez przeszkód, a informacja do tego stopnia nie była tematem rozmów, że nawet nie dotarła do szkoły. To jeszcze bardziej utwierdzało Kornelię w słuszności jej stanowiska.

Nikt nie wierzył, że wciąż młody, przystojny mężczyzna, zajmujący w małej miejscowości eksponowane stanowisko dyrektora liceum zakocha się w Kornelii Rudnickiej. Ona też w to nie wierzyła.

## ROZDZIAŁ 21

---

---

Szkolna wigilia nauczycieli, Rady Rodziców i władz zawsze jest okazją do nawiązania stosunków towarzyskich, załatwienia trudnych spraw w miłszej atmosferze, wyściskania przyjaciół i pocałowania osoby, w której człowiek skrycie się kocha.

Składanie życzeń trwało więc bardzo długo. Kornelia nie miała zamiaru podchodzić do dyrektora. Teoretycznie doskonale panowała nad sytuacją i jeżeli nawet czasem śniło jej się coś niestosownego, to zawsze tylko w najgłębszej fazie uśpienia, kiedy naprawdę już na nic nie miała wpływu. Rano wyrzucała skrzętnie ze świadomości wszelkie niestosowne skojarzenia. Nie była jednak pewna, czy w sytuacji, kiedy z płyty płynęły nastrojowe kolędy, wszyscy byli serdeczni i wzruszeni, zapanuje nad wyrazem twarzy, a przede wszystkim najgorszą zmorą, jaką był zdradziecki rumieniec, niepoddający się żadnym nakazom woli.

Chodziła więc w tłumie starannie opracowanymi ścieżkami, omijając Piotra



Nowickiego, co nie było trudne, ponieważ zaraz po burmistrzu był najbardziej obleganą osobą.

Pierwsza dopchała się do szefa pani Marcinkowska, depcząc wszystkim po stopach i obrzucając Woźniakową triumfalnym spojrzeniem, po czym egzaltowanym głosem tak długo składała swoje zawiłe życzenia, że dyrektor musiał delikatnie ją przeprosić i odsunąć na bok, by móc porozmawiać też z pozostałymi.

Kiedy tłum się przerzedził, a kolejne osoby, zapraszane przez organizatorów, zaczęły zajmować miejsce przy stole i gwar trochę ucichł, wszyscy mieli okazję zobaczyć Piotra Nowickiego, jak przez całą salę zmierza w kierunku Kornelii, a następnie pod samiotką choinką, pięknie ozdobioną przez uczestników koła artystycznego, coś jej długo i cicho szepcze. Wtedy właśnie w głowach niektórych zakiełkowało podejrzenie, że wbrew wszelkiej logice coś jest na rzeczy. Tym bardziej kiedy zobaczyli piękny różano-czerwony rumieniec, jaki po krótkiej chwili zakwitł na obu policzkach Kornelii.

\* \* \*

Myślała o tym przez cały czas. Także podczas wigilii w rodzinnym domu, w którym mama z pomocą wszelkich argumentów, próśb, gróźb i przekupstwa zgromadziła wszystkie swoje dzieci. Marcin z żoną chcieli przeżyć pierwszą wigilię w nowym domu, Ania zamierzała wyjechać na narty ze swoim chłopakiem (który był już jej narzeczonym, choć mama o niczym nie wiedziała), a Kornelia marzyła tylko o tym, by położyć się na łóżku i rozmyślać. Ale Martyna Rudnicka postawiła na swoim. W wigilijny wieczór wszyscy stawili się w komplecie.

Kornelia w rodzinnej, uroczystej kolacji uczestniczyła zaledwie niewielkim skrawkiem świadomości. Przyjęła serdeczne życzenia, pochwaliła piękny stół i dekoracje, zawiesiła na jeden wieczór dietę i zjadła po trochu każdego z tradycyjnie przygotowanych dań. Była bardzo głodna, bo niewiele ostatnio mogło jej przejść przez gardło. Atmosfera była nawet dość przyjemna. Mama, po pierwsze zmęczona długimi przygotowaniami, a po drugie ostatnio trochę ostrożniejsza w kontaktach z własną rodziną, starła się panować nad językiem. I choć nie obyło się zupełnie bez zgryźliwych komentarzy i długich monologów, wieczór przebiegał

dość spokojnie.

Kornelia myślała. Tak intensywnie, jak nigdy w życiu. Edison nie zastanawiał się tyle nad żadnym ze swoich licznych wynalazków, Newtonowi, jak wiadomo, rozwiązanie spadło z nieba, a ona męczyła się niezmiernie i nie posuwała nawet o krok w kierunku znalezienia rozwiązania.

W czasie szkolnej wigilii, pod piękną choinką i czujnym okiem całego grona pedagogicznego oraz gości, Piotr Nowicki zaprosił ją na wyjazd na narty w przerwie pomiędzy świętami a Nowym Rokiem. Do Szwajcarii!

Była w takim szoku, że nie zdołała udzielić odpowiedzi ani wtedy, ani teraz. Piotr czekał. Bilety były wykupione, dwa osobne pokoje zarezerwowane taktownie i bez nacisku, wszystko opłacone czekało tylko na jej zgodę. Zalewała ją z tego powodu na zmianę fala radości i panicznego strachu. W ciągu kilku dni schudła trzy kilo z samych nerwów.

Naprawdę nie miała pojęcia, co zrobić. Ale nie chciała też, by ktoś podjął decyzję za nią. Dlatego nie pobiegła do Adeliny ani nikomu o tej propozycji nie wspomniała.

Oczywiście, że miała ogromną ochotę pojechać na długą przerwę świąteczną w góry z sympatycznym mężczyzną u boku, ale bała się ceny, którą przyjdzie jej za to zapłacić. Wiedziała, że z całą pewnością się zakocha i... skompromituje. Sama nie wiedziała, co gorsze. Nie potrafiła, rzecz jasna, jeździć na nartach. W kombinezonie, nawet najlepszym, wyglądała jak elegancki baleron i wiadomo było, że na tle zamożnego szwajcarskiego towarzystwa będzie się prezentować kompromitująco. Czy Piotr Nowicki tego nie rozumiał?

Ale zaprosił ją i bardzo chciała jechać. Kto wie, może to będzie najpiękniejsza i jedyna taka podróż w jej życiu? Bo co do tego, że nie spotkają się już nigdy więcej, nie miała żadnych wątpliwości. Wystarczy, że Piotr raz zobaczy ją na stoku, a wszelkie okrucieństwa sympatii, jakie być może do niej żywił, rozpląną się niczym płatki śniegu na ciepłej dłoni.

Siedziała przy wigilijnym stole i reagowała nieprzytomnie na próby nawiązania rozmowy podejmowane przez rodzeństwo, naląła siostrzeńcowi barszczu do szklanki zamiast kompotu i nie była w stanie śledzić biegu toczącej się dyskusji, mimo iż dotyczyła spraw prostych i błahych. Obecni wymienili znaczące spojrzenia. Zarumieniona, nieprzytomna Kornelia wyglądała jak zakochana nastolatka.

Znamienne było to, że mama ani słowem nie skomentowała jej stanu. Jakby po raz pierwszy poczuła, że musi się liczyć z emocjami córki.

Po kolacji Kornelia pożegnała się szybko i pojechała do swojego mieszkania. Była już dwudziesta pierwsza, miała więc bardzo mało czasu na podjęcie decyzji.

Jutro powinna zdecydowanie dać odpowiedź. Wyjazd miał nastąpić wieczorem drugiego dnia świąt. Piotr Nowicki spędzał Boże Narodzenie najpierw

tradycyjnie z rodzicami, a potem każdy kolejny wolny dzień na nartach.

Kornelia weszła do mieszkania, zdjęła płaszcz i zapaliła światło. Na samym środku stołu leżały wczorajsze zakupy. Poszła na nie cała wypłata, świąteczna premia i na dodatek debet z konta. Na razie nie myślała, z czego będzie żyć w styczniu ani co zrobi z tym wszystkim wobec faktu, że przecież nie zamierza wcale jechać.

Dotknęła granatowo-niebieskiego kombinezonu w rozmiarze dla balerona, pięknej firmowej czapki oraz całej masy odpowiednich podkoszulków i cieniutkich bluz termicznych z polaru. Cały sprzęt zakupiła w jednym sklepie, kierując się wskazówkami sprzedawcy. Pewnie trochę dała się naciągnąć, ale pojęcia nie miała, co się teraz nosi na stokach. Kupiła też narty i buty, a także piękny wełniany sweter na romantyczne wieczory przy kominku i grzonym winie, choć była zdecydowana nie stwarzać sobie okazji do tego, by Nowicki mógł złamać jej serce. A zestaw: przystojny mężczyzna, śnieżycy za oknem, grzane wino i trzaskający iskrami kominek zawiera złamane serce w pakiecie podstawowym. Tak to po prostu działa.

Dzwon – nakazała sobie w myślach i chodziła po pokoju, ściskając telefon. – Przecież jeśli mu odmówisz odpowiednio wcześniej, będzie mógł zaprosić kogoś innego i przynajmniej pieniądze się nie zmarnują.

Na samą jednak myśl, że zamiast niej pojedzie Marcinkowska, by potem tygodniami pokazywać wszystkim zdjęcia i zadrećcać szczegółami swojego sukcesu, żołądek ścisnął jej się boleśnie.

Ten dylemat był nie do rozwiązania. Zgodzić się było ostatnią głupotą, odmówić – zadaniem ponad siły. Nagle telefon zapiszczał, co ją tak wystraszyło, że aż podskoczyła, a aparat upadł na podłogę i oczywiście się rozleciał. Zdążyła jeszcze tylko dostrzec, że wiadomość była od Piotra. Ze zdenerwowania zrobiło jej się ciemno przed oczami. Co napisał? Że już nie będzie dłużej czekał, wyjeżdża z Woźniakową i pozdrawia? Pewnie tak. Potraktowała go przecież okropnie. Jak można kogoś tak długo trzymać bez odpowiedzi. Żadna z wicedyrektorek nigdy by tego nie zrobiła.

– Ty idiotko – powiedziała na głos. – Jak mogłaś zmarnować taką szansę? Co ci szkodziło skompromitować się w tak pięknych okolicznościach przyrody? Spotykało cię to wielokrotnie i żyjesz. Niczym nie ryzykowałaś. Jeśli on teraz pojedzie w towarzystwie innej, to i tak już nigdy więcej się z tobą nie spotka.

– I słusznie – dodała po chwili, w mozole składając wszystkie części telefonu. – Bo jesteś idiotką, a idiotek nie zabiera się do szwajcarskich kurortów, tylko porzuca tańszym kosztem jeszcze na terenie kraju.

Telefon okazał się na szczęście skłonny do współpracy. Ekran zaświecił, zasięg się odnalazł i Kornelia drżącym z wysiłku palcem trafiła na ikonkę wiadomości: „Przyjadę po Ciebie o osiemnastej. Samolot odlatuje o dwudziestej pierwszej, ale lepiej wziąć zapas. Życzę wesołych świąt i pozdrawiam. Piotr”.

Oślupiała. Jak zwykle wolał działać niż biernie czekać. Typowy samiec alfa. I bardzo dobrze. Położyła się na łóżku, wyczerpana jak po zdobyciu górskiego szczytu. Uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

Jadę – pomyślała. – I nie ma mowy o żadnej innej opcji.

Nie wiedziała, co odpisać, wstawiła więc tylko ikonkę uśmiechniętej buźki. Niech sobie Piotr zinterpretuje to, jak chce.

Ledwo wysłała wiadomość, poczuła wielką ulgę. Pal licha kompromitację. Zanim to nastąpi, czeka ją lot i co najmniej godzina w hotelu, nim piękne Szwajcarki skupią na sobie całą uwagę Piotra. Lepsze to niż nic.

Wyciągnęła walizkę i zaczęła się pakować.

\* \* \*

Lena w Wigilię pracowała. Taką miała umowę. Był to niestety jeden z lepszych dni dla handlu. Ludzie do ostatniej chwili kupowali kwiaty na stół, bukiety dla najbliższych i ostatnie upominki. Tuż przed kolacją szukali jeszcze prezentów, które wybierali na chybił trafił, byle cokolwiek zapakować w kolorowy papier.

O siedemnastej zamknęła wreszcie kwiaciarnię i pobiegła na parking. Wczoraj z pomocą chłopaków przygotowała uszka i barszcz, a także ulepiła i zamroziła pierogi z różnymi farszami. Adelina przyniosła jej swój popisowy makowiec i sernik. Sąsiadka piekła zawzięcie od kilku dni, przygotowując się do odwiedzin dzieci oraz wnuków, ale nie zapomniała o znajomych. Każdy coś od niej dostał.

To jednak nie rozwiązywało problemu, dom wciąż nie był całkiem posprzątanym, ryba w lodówce surowa, a sałatka niepokrojona. Miała nadzieję, że chłopcy chociaż ubrali choinkę. Nie chciała kłócić się w Wigilię, ale była bardzo zmęczona. Trwający od dwóch tygodni wzmożony ruch w kwiaciarni, wszechobecna atmosfera napięcia i pośpiechu, nerwowi klienci, którzy sprawiali wrażenie, jakby już przed świętami mieli dość wszystkiego, i skomercjalizowane kolędy na usługach reklamodawców. To wszystko czyniło z jej zazwyczaj miłej pracy ciężką harówkę.

Z pięknego polskiego święta, gdzie wszystkie dania były tanie, bo składały

się w znacznej części z kapusty i buraków, a tradycje miały swój głębszy sens, specjaliści od marketingu uczynili festyn handlowy. Nagle okazało się, że zorganizowanie wieczoru wigilijnego to znaczny wydatek. Prezenty, drogie ozdoby, wykwintne dania, piękne stroje i... kac moralny z powodu debetu na koncie, a czasem kłótnie lub puste rozmowy przy tych wspaniałych dekoracjach. Trzeba było sporego wysiłku, by się przed tym obronić.

Zaplanowali z Leonardem, że u nich będzie inaczej. Ale nawet jeśli zdołali utrzymać wydatki pod kontrolą, przygotować tylko tyle potraw, ile potrafią zjeść, to trudno będzie się nie pokłócić, kiedy człowiek wraca zmęczony po ciężkim tygodniu pracy, a w domu zostanie chaos i masę pracy, i to w wigilijne popołudnie, kiedy większość rodaków siada już do stołu i zaczyna święta. Chłopcy mieli wczoraj wolny dzień, Leonard też mógł sobie wziąć chwilę wolnego. Na samą myśl, że siedzą przed komputerami, podczas gdy ona urabia sobie ręce po łokcie i wraca zziębnięta oraz głodna w ten niezwykły wieczór, ślizgając się na wilgotnej nawierzchni i chroniąc twarz przed zimnym, mokrym podmuchem wiatru, buzowało w niej wielkie wzburzenie.

Z trudem dotarła do samochodu. Cały był oczywiście zasypany i na dodatek pokryty zamrożoną śnieżną mazią. Pogoda nie mogła się dzisiaj zdecydować. To sypało śniegiem, to padał marznący deszcz, to znów wszystko topniało. Samochód zniósł to bardzo źle. Lena postawiła kołnierz i, chroniąc się przed mroźnymi podmuchami, zaczęła czyścić auto. Kiedy wsiadła do jego lodowatego wnętrza, chciało jej się płakać. Nad świętami, którymi nie ma jak się cieszyć, bo większość ludzi albo pracuje do ostatniej chwili, albo na nic nie ma pieniędzy, nad straszliwą ilością wszystkich zadań, których wymaga polska tradycja, przerastających możliwości przeciętnej współczesnej kobiety pozbawionej wsparcia babć, ciotek, sióstr i szwagierek, które kiedyś były oczywistą częścią wielopokoleniowych rodzin.

Nie miała ochoty na żadną wigilię. Chciała tylko dojechać do domu, nie spowodować wypadku na śliskiej drodze, a następnie zwinąć się w koc i zasnąć w ciepłe. Tylko tyle.

Jechała ostrożnie i powoli, choć ulice świeciły pustkami. Mieszkańcy miasteczka nalewali już barszcz na talerze i zaczęli śpiewać pierwsze kolędy. W oknach błyszczały kolorowe światełka, ale migały również niebieskie ekrany telewizorów, szczególnie tam, gdzie ktoś nie miał pomysłu na dzisiejszy wieczór lub spędzał go sam.

Auto nagrzewało się powoli i kiedy zrobiło się odrobinę cieplej, Lena akurat zaparkowała przed domem, więc znów musiała wyjść na zimne wietrzyisko. Dom świecił wszystkimi oknami.

Pewnie – pomyślała ze złością. – Każdy nieprzytomny przed swoim laptopem, a światła nikt nie zgasi. Ciekawe, kto zarobi na wszystkie rachunki.

Policzki piekły ją od mrozu, nie płakała już z rozżalenia tylko dlatego, że bała się, iż zmarznie jeszcze bardziej. Czuła się jak człowiek złapany w sieć. Opuścić dzieci – źle, zaprząć się znowu do domowego kieratu i pchać go samotnie w połączeniu z pracą – beznadzieja.

Otworzyła drzwi i owionęło ją przyjemne ciepło. W przedpokoju chociaż raz nie wałały się porozrzucane wszędzie buty. Podłoga była umyta, a kurtki pochowane do szafy.

Całkiem duży ten przedpokój – pomyślała przelotnie, ściągając płaszcz. Poczowała jakiś przyjemny zapach. W domu panowała cisza, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że wszyscy zajęci są własnymi sprawami i nikt na nią nie czeka.

Weszła do kuchni.

Leonard i chłopcy siedzieli przy stole. Kuchnia była dość porządnie wysprzątana, a z ganków unosił się zapach barszczu. Była tak zmęczona i zmarznięta, że jej umysł zupełnie nie potrafił skojarzyć logiki tych faktów. Bez słowa podeszła i zajrzała pod pokrywki. Ugotowane uszka z grzybami i pierogi, podgrzany barszcz, upieczona ryba, surówka w szklanej misce i nawet kompot z suszu, na który zapomniała wczoraj kupić składników.

Zakręciło jej się w głowie, oparła się o blat i spojrzała w kierunku męża i dzieci. Zanim jednak cokolwiek powiedziała, weszła do salonu. Wysprzątany był na błysk, choinka świeciła wszystkimi lampkami, a na stole rozłożono biały obrus, wprowadzie niewyprasowany, ale to przecież drobiazg. Przeszła dalej korytarzem i zajrzała do pokojów synów. I tu panował względny porządek.

– Myślisz, że wejdzie też na górę? – Dobięło ją konspiracyjne pytanie Michałka. Domyśliła się więc, że tam już nie zdążyli, i ominęła schody, nawet na nie spoglądając w ich stronę.

Wróciła do kuchni. Siedzieli bez ruchu i czekali. Wyglądali jak małe, zadowolone stadko lwów po udanym polowaniu. Leonard jako przewodnik grupy szeroko rozparty na krześle sprawiał wrażenie, jakby tylko czekał, aż ktoś go pochwali i pogłaszcz po grzywie. Daniel, młody lewek, buńczuczny i udający, że jemu to nie zależy, ale z głową gotową do podetknięcia, gdyby ktoś tylko miał ochotę go docenić. I najmniejsze lwiątko wielkimi oczami wpatrujące się w mamę z absolutnie szczerą obawą i nadzieją, że tym razem rodzice się nie pokłócą.

Lena usiadła obok nich.

– Świetnie się spisaliście – powiedziała z bladym uśmiechem. Było jej słabo z głodu i zmęczenia. – Będziemy mieli piękne święta.

Twarze chłopaków pojaśniały, jakby im ktoś w środku zapalił bożonarodzeniowe lampki. Oczy błyszczwały, a usta same układały się do uśmiechu.

– Jestem tak zmęczona, że nie mam nawet siły się przebrać, mogę co najwyżej umyć ręce.

– Nic nie szkodzi. – Zerwali się wszyscy trzej. – My sami damy radę –

zawołał Michałek. – Jestem już okropnie głodny.

Zaczęli nakrywać do stołu, trzaskać pokrywkami i dyskutować, kto ma zanieść sztućce, a kto talerze.

Lena wyszła do łazienki. Obmyła twarz ciepłą wodą i długą chwilę grzała dłonie pod mocnym strumieniem. Wytarła się, nałożyła troszkę pudru i poprawiła włosy. Pod oczami miała sine podkówki. Ale myśl o odpoczynku, ciepłej kolacji i najbliższych, którzy jej nie zawiedli, wręcz przeciwnie, stanęli na wysokości zadania, dodała jej siły. Leonard chyba w ciągu całego życia nie ugotował tyle, co dzisiejszego wieczoru.

Spojrzała w lustro i zobaczyła zmęczoną, ale szczęśliwą kobietę. Łatwo nie było i jeszcze chyba długo nie będzie, ale coś pięknego zaczynało się powoli budować w tym domu.

## ROZDZIAŁ 22

---

Hotel wyglądał raczej jak górskie schronisko. Zbudowany z drewnianych bali, ze stromym dachem i szerokimi tarasami, przykleił się do zbocza góry tuż obok trzech czynnych wyciągów narciarskich. Po dokonaniu formalności meldunkowych zeszli na kolację i pierwsze, co się Kornelii rzuciło w oczy, to absolutny brak wykwintnego i snobistycznego towarzystwa, którego tak bardzo się obawiała. Goście siedzieli przy stolikach w swobodnych pozach, w zwykłych swetrach. Rozmawiali i śmiali się. Ogień trzaskał na kominku, było bardzo przytulnie.

Drugą niezwykłą sprawą były kobiety – Szwajcarki, Niemki, Austriaczki i inne osoby o trudnej do określenia narodowości. Wiele z nich miało znaczną nadwagę, której wcale nie ukrywały. W obcisłych swetrach obnosiły publicznie wałki na brzuchu i bez najmniejszego skrępowania podchodziły do szwedzkiego stołu, by nałożyć sobie kolejną porcję pieczonych kiełbasek i sałatki z majonezem.



Kornelia spojrzała na swoją figurę, dobrze dobrane spodnie i bluzkę ukrywającą pozostałe jeszcze krągłości i po raz pierwszy w życiu poczuła się szczupłą.

Kocham Szwajcarię – uśmiechnęła się odruchowo, a Piotr siedzący naprzeciwko uznał, że to z jego powodu tak się rozpromieniła, co wprawiło go w stan pełnego zadowolenia.

Siedzieli długo w jadalni, sącząc dobre czerwone wino i słuchając muzyki, a potem poszli jeszcze na krótki spacer wokół budynku. Ośnieżone góry bieliły się wokół mimo ciemności, w oddali błyszczały światła innych hoteli i ośrodków, mróz różowił policzki. Było pięknie.

Kornelia cały czas miała na końcu języka pytanie o powód, dla którego znaleźli się tutaj razem. Bardzo chciała wiedzieć, czym Piotr się kierował, zapraszając ją, ale powstrzymała się. To pytanie było w gruncie rzeczy dość żalosne i wyciągało na światło dzienne wszystkie jej kompleksy i uprzedzenia. Nie chciała mieć nimi przyjemnej atmosfery. Jakikolwiek był powód, dzięki niemu mogła się tutaj znaleźć. Postanowiła nie zmarnować ani jednej chwili.

Każdy dzień życia to dar – przypomniawszy sobie swoje aktualne motto. – Nie należy o tym zapominać tylko dlatego, że się w miarę wyzdrowiało i zagrożenie życia na razie zniknęło z pola widzenia.

Wrócili do hotelu i każde poszło do swojego pokoju. Piotr pożegnał się pod drzwiami, nie przeciągając tej chwili. Nie czynił żadnych aluzji i jednym nawet gestem nie dał po sobie znać, że chciałby do niej wejść. To ją tylko utwierdziło w przypuszczeniach, że łącząca ich relacja ma charakter czysto przyjacielski.

Zamknęła za sobą drzwi i, nie zapalając światła, podeszła do okna. Zaciśnęła mocno dłonie i postanowiła dołożyć wszelkich starań, by najbliższe dni były piękne, ale przede wszystkim obiecała sobie solennie, że cokolwiek się zdarzy, nie zakocha się w Piotrze Nowickim.

\* \* \*

– Masz świadomość, że ja pierwszy raz w życiu będę mieć buty narciarskie na nogach? – zapytała następnego dnia, kiedy po lekkim śniadaniu, fachowo ubrani, skierowali się w stronę stoku.

– Tak myślałem – odparł Piotr. – A widok twoich nowiutkich butów i idealnie błyszczących nart tylko potwierdził moje przypuszczenia.

Kornelia zaczerwieniła się, co wprawiło Piotra w doskonały nastrój. Lubił jej rumieniec.

– Pamiętaj, że jestem nauczycielem – powiedział. – Wprawdzie egzamin z pedagogiki zdałem cieniutko, ale to było dawno temu i była tam sama teoria, prawie zupełnie nieprzydatna. W praktyce radzę sobie nieźle. Powiniennem dać radę.

– Zmarnujesz sobie tylko urlop – zaprotestowała Kornelia. – Zamiast szusować po stokach, będziesz ze mną zjeżdżał z małych gór? Nie ma mowy. Zaprowadź mnie po prostu na jakąś ośłą łączkę, a ja już sobie poradzę.

– Nie po to po raz pierwszy przyjechałem w góry w towarzystwie wspaniałej kobiety, żeby samotnie pokonywać stoki.

Pod Kornelią z wrażenia lekko ugięły się nogi, ale kiedy Piotr objął ją, prowadząc w stronę miejsca wyznaczonego dla początkujących narciarzy, uznała, że po prostu boi się, żeby nie wybiła sobie zębów na ośnieżonej nawierzchni.

Uczyli się aż do obiadu.

Nowicki był bardzo cierpliwy i, wbrew wcześniejszym przewidywaniom, Kornelia nie skompromitowała się swoimi pierwszymi krokami na stoku, tylko świetnie się bawiła. Przewracali się razem i wstawali od nowa. Jazda na nartach nie była prostą sztuką, ale w okolicach południa, kiedy Kornelia czuła już wszystkie mięśnie i z trudem trzymała się na nogach, udało jej się po raz pierwszy zjechać samodzielnie. Nie zahamowała na własnym tyłku, tylko fachowo zakreśliła nartami. Piotr stał na górze i bił jej brawo.

Zjechał chwilę potem i stanął obok niej.

– Jestem pełen uznania dla twojego sportowego ducha – powiedział. – Mało która kobieta wytrzymałaby trzygodzinny intensywny trening bez jednego słowa skargi.

Kornelia przyjęła komplement, pogratulowała sobie w duchu wytrwałości w domowych ćwiczeniach, bo to im zawdzięczała dobrą kondycję i po raz pierwszy ciepło pomyślała o trenerce, która wrzuciła swój filmik do Internetu.

Wrócili na obiad, znów posiedzieli dość długo w pięknej jadalni, po czym Piotr pokazał Kornelii wyjście na taras widokowy i zaproponował, żeby odpoczęła chwilę na wystawionych tam leżakach.

– Nie czuję się zmęczona – skłamała, bo wygodne meble pociągały ją z wielką siłą.

– Proszę cię, zrób to. Mamy jeszcze przed sobą sporo planów, a jeśli się na początku przeforsujesz, nic z tego nie wyjdzie.

– Dobrze – zgodziła się i z ulgą położyła. Piotr podał jej koc. Dokładnie na wysokości jej oczu rozpościerała się wspaniała panorama gór. – A co ty będziesz robił? – zapytała.

– Zjadę sobie, jeśli pozwolisz, ze dwa razy czarnym szlakiem, a potem wrócę

do ciebie. Po południu natomiast zapraszam cię na wycieczkę do pobliskiej wioski. Warta jest obejrzenia. Odpoczywaj – pomachał jej dłonią i poszedł.

Wypuściła wstrzymywane powietrze z płuc i z ulgą przymknęła oczy.

Udawanie swobody w obecności Piotra kosztowało ją coraz więcej wysiłku. Kontrolowanie uczuć, by nie zbaczały z bezpiecznych szlaków, również. Zbyt mocno tęskniła za miłością, zbyt długo to trwało, by teraz mogła pozostać obojętna na urok mężczyzny, który troszczył się o nią jak jeszcze nikt do tej pory.

Otworzyła oczy i spojrzała na góry. Podjęła decyzję. Była ona wprawdzie sprzeczna z wszelkimi wytycznymi, jakie sobie założyła przed wyjazdem, ale wtedy jeszcze nie mogła nawet przypuszczać, że to będzie taki cudowny czas.

Postanowiła poddać się biegowi wydarzeń i niczego nie tłumić, nawet jeśli zapłaci za to cierpieniem po powrocie, kiedy będzie musiała mijać Piotra na korytarzu, udając, że – jak dawniej – jest dla niej tylko zwierzchnikiem. Potrafiła sobie wyobrazić, jak to będzie bolało, ale była gotowa zapłacić tę cenę. Lepiej kochać i cierpieć niż wegetować w nicości.

Tym stanowczym wnioskiem zakończyła rozważania i zasnęła w promieniach słońca. Górskie powietrze, poranny wysiłek fizyczny oraz zawirowania sercowe wyczerpały ją do cna.

\* \* \*

To był już ostatni dzień pobytu w Szwajcarii. Kolejny poranek mieli spędzić na pakowaniu, a przed południem odlecieć do Polski. Bajka powoli się kończyła, jak to zwykle bywa.

Kornelia była zakochana po same uszy. Chłoneła każdą wspólną chwilę, leniwe posiłki, zjazdy ze stoków i coraz luźniejszy kombinezon, bo chudła z tej zgryzoty w błyskawicznym tempie. Ale choć starała się nie uronić ani jednego momentu, godziny uciekały zdecydowanie zbyt szybko. Wieczory goniły poranki i nie dało się tego pędu nijak powstrzymać.

Piotr zaplanował na dzisiaj ostatnią wycieczkę i nocleg w jakiejś wynajętej chacie. Zgodziła się z pewną rezygnacją. Wobec zbliżającego się końca przygody nie mogła już wykrzesać z siebie krzty entuzjazmu. Czuła ból rozstania, mimo że jeszcze nie nastąpiło. Był równie mocny jak niezwykle szczęście, którego tutaj

zaznała. Tłumaczyła sobie, że to konieczna cena, że przecież wiedziała, że tak będzie, ale niewiele to pomagało.

Po południu ubrała się ciepło, spakowała zgodnie z zaleceniami Piotra i spojrzała tęsknie na swój pokój. Jeszcze jedna noc i ostatni raz zamknie za sobą drzwi. Westchnęła i zeszła na dół z taką ponurą rezygnacją, jakby czekał tam na nią gotowy szafot, a nie miły, uśmiechnięty mężczyzna, który chwalił się przez całe śniadanie, że ma dla niej niespodziankę.

Ubrany był równie ciepło jak ona, a w rękach trzymał wielki wiklinowy kosz.

– Będziemy robić piknik na śniegu? – uśmiechnęła się. Na jego widok, mimo wszystko, zawsze poprawiał jej się humor.

– Nie, ale spędzimy noc poza hotelem, zatem musimy mieć prowiant – odpowiedział.

Wyszli z budynku i po krótkim marszu dotarli do stacji kolejki górskiej. Kornelia odetchnęła z ulgą. Nie czuła się dzisiaj na siłach, aby wędrować po zasypanych śniegiem wzgórzach. Jechali dość długo. Wysiedli dopiero tuż pod szczytem. Pół kilometra dalej na słonecznym stoku przycupnęła grupka drewnianych domków. Do jednego z nich pewnym krokiem skierował się Piotr.

Brnęli wąską ścieżką, śnieg mrugał do nich, połyskując w słońcu, a drewniane chatki okazały się ładnymi góralskimi domkami, wymarzonymi na romantyczną randkę. Piotr otworzył jeden z nich i zaprosił ją szerokim gestem.

Kornelia weszła do środka i zamarła, a krew odpłynęła jej z twarzy, aż zawirowały przed oczami ciemne płatki. Wnętrze było dokładnie takie, jak w jej przewidywanym zestawie do łamania serc. Małe pomieszczenie, romantyczny kominek, w którymś ktoś już rozpałił ogień, i leżąca przed nim wielka skóra jakiegoś biednego zwierzaka. Słowem, bardzo przytulnie. Na stole zobaczyła podgrzewacz z parującym na nim wielkim dzbanem korzennego wina, obok leżała deska z przykrytymi bielutką serwetką serami, orzechami i winogronami.

Wszystko zostało idealnie przygotowane. Rozejrzała się, szukając drzwi do dwóch sypialni, ale chatka najwyraźniej składała się tylko z jednego pomieszczenia i łazienki. Wyglądało na to, że jedynym miejscem do spania jest szeroka, rozkładana kanapa.

Kornelii zakręciło się w głowie. Na dodatek ledwo zdjęła ciepłą kurtkę i rozsypała szalik, za oknem zaczęły padać duże płatki śniegu, wirując w lekkim wietrze. Usiadła zrezygnowana. Była głodna, bo rano nie była w stanie przełknąć śniadania, a zimowy spacer dodatkowo zaostrzył jej apetyt. Nalała sobie sporo wina do brązowego ceramicznego kubka i wypła duszkiem prawie wszystko. Od razu zrobiło jej się cieplej i trochę raźniej. Piotr gwizdał w łazience, przyjemnie szumiała woda. Co planował na dzisiejszy wieczór, nie miała pojęcia.

Wypiła jeszcze jeden kubek wina, bo ze zdenerwowania drżały jej dłonie.

Miała świadomość, że najlepszym wyjściem w tej sytuacji byłaby ucieczka. Wyjść stąd natychmiast i wrócić do hotelu. Odnaleźć w sobie resztki honoru i nie udawać idiotki, która „ach, och, nie miała pojęcia, co się zaraz stanie”.

Problem nie polegał jednak na tym, że nie miała na to siły. Ona przede wszystkim nie chciała... Wypiła duszkiem jeszcze jeden kubek wina, zdjęła kolejny sweter, poprawiła makijaż i wyprostowała się, gotowa na wszystko. Wiadomo, wolałaby, żeby sprawy potoczyły się w bardziej logicznej kolejności. Najpierw jakieś wyznanie, konkretna deklaracja, albo chociaż mała aluzja wyjaśniająca istotę łączących ich relacji. Cokolwiek.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Najwyraźniej Piotr potrafił ukrywać swoje uczucia równie dobrze jak życie prywatne. Był bardzo miły, prawil jej komplementy, dobrze się razem bawili, ale nic ponadto. Jego zachowanie można było interpretować na tysiące sposobów i dla każdego znaleźć co najmniej kilka argumentów.

Szczęknął zamek w drzwiach od łazienki i Kornelia poczuła, jak miliony małych mrówek rozbiegają się po całym jej ciele. Każdy centymetr skóry napiął się w oczekiwaniu na to, co miało się za chwilę stać. Zamknęła oczy i trwała bez ruchu.

Mówi się, że miłości lepiej unikać, że jeśli ktoś chce pocierpieć, prościej jest sobie przytrzasnąć palce drzwiami. Ale w przeciwieństwie do zmiażdżonych kończyn miłość ma też swoje piękne strony. Kornelia postanowiła je poznać, choćby miała za to zapłacić wielkim cierpieniem.

Dlatego nie odsunęła się, kiedy Piotr podszedł do niej i pocałował w szyję. Przymknęła tylko oczy, zdecydowana spędzić ten wieczór i noc najpiękniej, jak to tylko możliwe.

\* \* \*

Obudziła się pierwsza.

Świt bardzo taktownie wypuszczał słoneczne promienie po jednym, żeby nie zmać błogiej chwili. Otworzyła oczy. Ogień na kominku już wygasł, ale na grubej skórze, otuleni w kilka koców, utworzyli gniazdko, w którym było ciepłutko i bardzo przyjemnie. Piotr obrócił się we śnie i szczelnie przykrył. Nie miała

odwagi przytulić się do niego.

Stopniowo w pomieszczeniu robiło się coraz jaśniej i to spowodowało, że Kornelia otrzeźwiała zupełnie. Bała się światła dnia. W nocy, w delikatnych błyskach ognia z kominka, można było zamknąć oczy i udawać. W dzień na nic się to nie zda. Świadomość jej własnego wyglądu wróciła z całą mocą. Nie było szans, by mogło się tutaj narodzić prawdziwe uczucie, dlatego teraz należało okazać wdzięczność za piękną chwilę i... oszczędzić sobie nawzajem upokarzającego poranka.

Zamknęła oczy jeszcze na sekundę i postanowiła zapamiętać ten moment. Pełne szczęście i błogość. Wstała bardzo ostrożnie. Na chybił trafił pozakładała pojedyncze części garderoby, które udało jej się odnaleźć. Wzięła plecak i buty do ręki. Wyszła na palcach, błyskawicznie zamykając drzwi, żeby podmuch zimnego wiatru nie obudził Piotra.

Już na zewnątrz zasznurowała buty, po czym zaśnieżonym stokiem poszła w stronę kolejki, modląc się, by była już czynna.

Mocno zdziwiony pan w okienku kasy sprzedał jej bilet i wsiadła do pustego wagonika. Ostatni raz spojrzała na zagajnik, za którym kryły się domki, westchnęła i odwróciła głowę. Pierwsze łzy zapiekły ją w kącikach oczu. Powoli zaczynała czuć, że być może trochę się przeliczyła, kalkulując, iż chwile szczęścia dadzą jej dość siły, by znieść cierpienie, które przyjdzie później.

Kiedy dotarła do hotelu, poczuła się jeszcze gorzej. Na samą myśl o tym, że za chwilę będzie musiała stanąć z Piotrem twarzą w twarz, zrobiło jej się słabo. Zmieniła w swoim życiu sporo, ale okazało się, że zakompleksiony tchórz mieszkający tyle lat w jej wnętrzu nie zniknął zupełnie, tylko się przyczaił. Pojęła, że może schudnąć, że jest dobrą nauczycielką i że potrafi mieszkać samodzielnie. Ale w to, że jest godna miłości, pięknej i prawdziwej, nie była w stanie uwierzyć. Zbyt wiele lat na twardym dysku jej serca zapisywała się odwrotna informacja, by dało się ją tak szybko wykasować.

Spakowała się bardzo szybko i zeszła do recepcji. Na szczęście mówili tam też po angielsku, bo niemiecki był jej zupełnie obcy. Poprosiła o rezerwację biletu lotniczego na najbliższy możliwy lot bez względu na cenę. Recepcjonistka potraktowała polecenie dosłownie i już po chwili karta kredytowa Kornelii została obciążona bajątkową kwotą za jedno miejsce w klasie biznes na lot za półtorej godziny. Nie namyślając się ani chwili, zamówiła taksówkę. Dla Piotra zostawiła małą karteczkę z wiadomością: „Dziękuję i przepraszam”.

Co jeszcze mogła zrobić? Co powiedzieć? Chyba tylko dodać, że jest skończoną idiotką, ale o tym zapewne sam wiedział. Dziesięć minut później idealnie odśnieżoną drogą pędziła na lotnisko. Za nią pozostały majestatyczne góry, drewniany domek, zawinięty w koce Piotr i najpiękniejsza noc w życiu. Przed nią rozciągała się wyłącznie pusta asfaltowa droga i złamane na własne życzenie

serce.

Na wszelki wypadek wyłączyła jeszcze komórkę i zamknęła oczy. Powstrzymywanie łez na różne sposoby będzie teraz zapewne jej głównym zajęciem. Czas zacząć ćwiczyć.

## ROZDZIAŁ 23

---

Pozornie wszystko wróciło do normy.

W styczniu rozpoczęły się zajęcia w szkole, a walizki wraz z wyposażeniem zostały zamknięte na klucz w obskurnej piwnicy, byle tylko nie rzucały się w oczy.

Kornelia przemykała ukradkiem korytarzem, unikając okolic gabinetu dyrektora. Starła się przebywać wśród, w miarę możliwości, jak największego grona osób, żeby on przypadkiem nie podszedł i nie zażądał wyjaśnień. A próbował wielokrotnie.

W ciągu pierwszych dni pracy kilka razy nie wykonała służbowego polecenia i nie stawiała się na wezwanie Piotra w jego gabinecie. Była przekonana, że chodzi o sprawy prywatne i najwyraźniej się nie myliła, bo z jej niesubordynacji nie wynikły żadne konsekwencje, a zaproszenia na rozmowę w końcu ustały.

Bardzo bolało.

Spodziewała się tego, ale w końcu nie była to dla niej aż taka nowość. Ciosy



od życia dostawała od zawsze. I choć tym razem siła cierpienia mocno ją zaskoczyła, zaciskała zęby i udawała konsekwentnie, że wszystko jest w porządku.

Stało się. Przeżyła coś absolutnie niezwykłego. I choć mężczyzna, z którym spędziła noc, wcale jej nie kochał, przyjęła to w miarę możliwości ze spokojem i taktownie usunęła mu się z drogi. Zawdzięczała mu najpiękniejszą noc w swoim życiu i poczucie, że jest w pełni kobietą. Cokolwiek życie przyniesie, zawsze będzie mogła powiedzieć, że choć jeden raz w życiu naprawdę się zakochała.

Odchudzała się nadal i pracowała z wielkim zaangażowaniem ze swoimi uczniami. Grono olimpijczyków kurczyło się z każdym kolejnym etapem i w rywalizacjach wojewódzkich mieli już powalczyć tylko Daniel Kordas oraz Wojtek Janowski. Mieli ogromne szanse i sukces zbliżał się wielkimi krokami. Ale teraz Kornelia musiała się zmuszać, by wykrzesać z siebie choć odrobinę radości. Z każdym kolejnym dniem czuła się coraz bardziej zmęczona, a cena za krótki wypad w góry wydawała jej się coraz wyższa.

Po jakichś dwóch tygodniach Piotr najwyraźniej zrezygnował. Przestał dzwonić, wysyłać esemesy i nie mogła już nawet szukać chwili pociechy, wpatrując się w ekran komórki i licząc nieodebrane połączenia. Teraz ostentacyjnie nie zauważał jej na korytarzu, traktując jak powietrze. Nie mówił jej nawet zdawkowego „dzień dobry”.

Posunął się nawet do tak niskich chwytów jak komplementowanie obu wicedyrektorek w obecności Kornelii. Nie rozumiała tego świadomego okrucieństwa. Tak bardzo nie pasowało ono do Piotra, jakiego poznała w górach. Przecież musiał rozumieć, że chciała dobrze dla nich obojga.

Zmiana w zachowaniu dyrektora była widoczna nie tylko dla niej. Anielka spoglądała na koleżankę zatroskanym wzrokiem i próbowała dowiedzieć się czegoś więcej. Ale mur został wybudowany na nowo. Kornelia umiała się bronić przed cierpieniem tylko w jeden sposób: zamykając się w sobie, ogradzając od innych i przeczekując najgorsze. Pogratulowała sobie w duchu, że nikomu się nie zwierzyła ze swoich wyjazdowych planów i teraz konsekwentnie unikała wyjaśnień. I bez tego sytuacja była dostatecznie ciężka.

Marcinkowska z Woźniakową puszyły się nie do wytrzymania, ale większość nauczycieli współczuła Kornelii. Nie wiedzieli, co dokładnie się stało, ale nie trzeba było być certyfikowanym wróżbitą, żeby się domyślić, iż z jakiegoś tajemniczego powodu dyrektor postanowił złamać jej serce. Nigdy wcześniej tego nie robił, więc stanowiło to spore zaskoczenie, ale sympatia dla skrzywdzonej koleżanki była tym większa.

Nikommu nie przyszło nawet na myśl, że to ona go odrzuciła.

Kornelia przekonała się, jak wiele ma wokół siebie życzliwych osób i ile się tak naprawdę przez ostatnie miesiące zamieniło. Ale nawet tym nie umiała się teraz cieszyć.

Po skończonych zajęciach uciekała ze szkoły równo z dzwonkiem, unikając Anielki. Czasem nawet nie zabierała płaszcza z pokoju nauczycielskiego, żeby nie musieć zaczynać żadnej rozmowy. Torebkę miała zawsze przy sobie, a w niej klucze do samochodu i mieszkania. Wychodziła jak stała, choć Julka też często prosiła o chwilę rozmowy. Wstyd się przyznać, ale nawet nie była ciekawa, co u niej słyhać. Miała tylko tyle siły, by dojechać pod blok, otworzyć drzwi mieszkania, położyć się na łóżku i płakać.

Zupełnie czymś innym jest udawać obojętność wobec mężczyzny, którego się kocha, kiedy on ze wszystkich sił stara się zrozumieć, o co chodzi, i na każdym kroku podejmuje próby kontaktu. To można jeszcze jakoś znieść. Ale kiedy ktoś pokazuje ci dobitnie, że to, co dla ciebie było najpiękniejszą chwilą w życiu, dla niego nie jest warte splunięcia, serce pęka. Naczytała się dostatecznie dużo o takich połamanych organach wewnętrznych, nigdy się jednak nie spodziewała, że ból może być tak realny, wręcz fizyczny i praktycznie niemożliwy do opanowania.

\* \* \*

Piątkowe wolne popołudnie spędzała, leżąc i wpatrując się bezmyślnie w sufit.

Zadzwonił telefon. Sygnały powtarzały się z nużącą monotonią, wywołując nieznośne pulsowanie w skroniach. Podniosła aparat. To była Adelina. Uparta kobieta dzwoniła od wielu dni. Kornelia odrzuciła połączenie. Nie chciała z nią rozmawiać. Okazało się, że łatwiej prosić o radę w sprawie nawet bardzo poważnej choroby niż w przypadku tak paskudnie złamanego serca.

Mocno żałowała swojej decyzji o wspólnym wyjeździe. Pięć dni spędziła jak w bajce, ale okazało się, że to bardzo mało w stosunku do całego życia, które teraz stało się jeszcze bardziej trudne. Czas zacierał piękne wspomnienia, a codzienność każdego dnia brutalnie dawała się we znaki.

Nagle zatęskniła za swoim pokojem na poddaszu domu rodziców. W nim mogła leżeć bez końca, nie troszcząc się o nic. Nie była szczęśliwa, to prawda, ale brak szczęścia nie boli ani w części tak bardzo, jak prawdziwe nieszczęście.

Ten tydzień ku jej uldze dobiegł końca, mogła więc cały weekend przewegetować na tapczanie. O poniedziałkowym powrocie do pracy nawet nie

chciała myśleć. Postanowiła wziąć kilka chorobowego i w ten sposób dotrzeć jakoś do ferii zimowych. Tym samym życie zaczęło wracać na dawne tory. Znowu toczyło się od jednej przerwy do drugiej, choć teraz było o wiele trudniejsze.

Inaczej to sobie wyobrażała. Myślała, że będzie podobnie jak w przypadku głupiego zauroczenia w Leonardzie. Że będzie sobie żyć zupełnie zwyczajnie, tylko od czasu do czasu położy się na tapczanie i pograży w słodkich marzeniach. Okazało się to absolutnie niemożliwe. Wspomnienia długiej nocy w górskim domku, kiedy Piotr pokazał jej, czym może być prawdziwa miłość z czułością i delikatnością, jakiej dotąd nie знаła, bolały jak odłamki szkła wetknięte w żywe, bijące serce. Najlepiej byłoby zupełnie o wszystkim zapomnieć, ale tego mimo najszczerzych chęci zrobić nie umiała.

Przeleżała całą noc, przewracając się z boku na bok.

W sobotni poranek wstała z potwornym bólem głowy, weszła pod prysznic, umyła się i wytarła bez przekonania, potem wypila szklankę wody i... wróciła do łóżka. O jakichkolwiek ćwiczeniach nie było nawet mowy. Włączyła telefon, wiedziona nadzieją, że może coś napisać... Musiałaby to wprowadzić zignorować, ale zawsze byłaby to jakaś miła informacja na początek dnia. Świadczyłaby o tym, że nie była dla Piotra tylko zabawką. Rozczarowanie było bolesne. Kilkanaście nieodebranych połączeń od Adeliny, Anielki i taty. Od Piotra żadnej wiadomości. Opadła bezwładnie na poduszki z mocnym postanowieniem, że resztę życia spędzi właśnie w ten sposób. Pominawszy wszystko inne, czuła się zmęczona jak po ciężkich robotach.

Chudła w oczach, ale wcale jej to nie cieszyło. Tego też nie przewidziała. Nigdy by jej do głowy nie przyszło, że można być szczupłym i nieszczęśliwym. Tak się przyzwyczaiła obwiniać swoją nadwagę o wszystkie życiowe nieszczęścia, że wydawało jej się, iż utrata wagi automatycznie rozwiąże wszystkie jej problemy. Życie okazało się bardziej skomplikowane.

\* \* \*

Po południu, kiedy udało jej się wreszcie na chwilę przysnąć, rozległ się dzwonek u drzwi. Naciągnęła tylko kołdrę na twarz i postanowiła przeczekać. Dzwonek dźwięczał uporczywie, jakby się ktoś na nim położył całym ciężarem

ciała. Wykonała więc kolejny niezbędny krok i nakryła się poduszką, przyciskając ją mocno do głowy. Jakby w odpowiedzi na ten ruch rozległ się mocny łomot. Ktoś zrezygnował z elektronicznych wynalazków na rzecz tradycyjnej i sprawdzonej siły pięści. Kornelia zdenerwowała się na dobre. Kto był na tyle bezczelny, żeby nie uszanować jasnego komunikatu, jaki wysyłała otoczeniu, że życzy sobie, by ją zostawić w spokoju?

Łomot był niemożliwy do zignorowania. Za chwilę sąsiedzi zaczną dzwonić na policję. Wstała z łóżka i lekceważąco wzruszyła ramionami na widok bladej, rozczochranej postaci w byle jak zawiązanym szlafroku, jaka ukazała jej się w lustrze w przedpokoju.

Jeżeli jeszcze raz Adelina wspomni o ludziach, którzy wchodzą do cudzych ogródków, to jej przypomnę, jak tłukła w moje drzwi z siłą nielicującą z jej wizerunkiem eleganckiej damy – postanowiła Kornelia i ze złością podeszła do drzwi.

Oparła się o framugę z rezygnacją, otworzyła natrętowi i... natychmiast zacisnęła szczelniej szlafrok. Na klatce schodowej stał tata.

– Wreszcie – powiedział i wszedł do środka. – Już miałem się zabierać za wyważanie drzwi.

– Mogłam być w Szwajcarii na nartach – odparła z urazą.

– Nie mogłaś. Koleżanka mamy widziała cię wczoraj, jak wchodziłaś do bloku i byłaś, jak to określiła, dziwnie blada. Telefonów nie odbierasz, wyglądasz jak... – Zawahał się lekko. – Zresztą mniejsza z tym, jak wyglądasz. Mów, co się dzieje.

Kornelia usiadła.

Tata był naprawdę ostatnią osobą, której mogłaby opowiadać o gorących pocałunkach i nowo odkrytych doznaniach, a także związanej z tym nieopisanej tęsknocie.

– Chodzi o zdrowie? Znowu ci się pogorszyło? – Tata od razu przeszedł do wyrokowania, nie czekając na jej odpowiedź.

– Można to tak ująć – przyznała ostrożnie Kornelia.

– Kiedy ostatni raz byłaś u lekarza?

– Miesiąc temu. Wiesz przecież, że od dnia tamtej fatalnej diagnozy jestem pod stałą obserwacją i dopiero niedawno skończyłam przepisana kurację, ale nie w tym problem. To dusza mi choruje, na to żadne tabletki nie pomogą.

– Nie wiem, czy masz rację. – Tata wcale się nie uspokoił. – Nie znam się na medycynie, ale widzę, że twoje ciało jest w nie najlepszym stanie i zanim zaczniemy szukać dziur w twojej duszy, trzeba cię zawieźć do lekarza, żeby cię zbadał.

– Jest sobota – odparła Kornelia. – Nikt mnie teraz nie przyjmie i naprawdę nie widzę takiej potrzeby.

– Ja za to widzę – stwierdził tata stanowczo. – Nawet bez okularów. Wyglądasz jak gatunek na wymarciu. Ubierz się i ogarnij. Pojedziemy do szpitala, niech cię dyżurny lekarz zobaczy.

– Tato, daj spokój. Jestem dorosła, potrafię zadbać o siebie.

– No chyba właśnie nie jesteś. Coś tam masz w papierach wprawdzie zapisane o dacie urodzenia, ale samodzielne życie zaczęłaś zaledwie kilka tygodni temu. Krótko mówiąc, jesteś na początku drogi. Teraz takie czasy, dzieci dojrzałe ponad wiek, za to dorośli zaczynają się usamodzielniać przed czterdziestką. Nie ma co patrzeć na metrykę, kiedy gołym okiem widać, że sobie nie radzisz. Ubieraj się.

– Proszę cię jeszcze raz, daj spokój. Wszystko jest w porządku. Trochę mi smutno, nic więcej.

– Tym bardziej nie zaszkodzi się zbadać. Doprowadź się do porządku albo wezwę lekarza i zbada cię na miejscu w takim stanie, w jakim jesteś. Mnie wszystko jedno. Tak się martwię, że aż mnie serce ściska.

– Tato, żaden lekarz mnie na siłę nie zbada. Uwierz, nie ma takiej potrzeby.

– Nie jestem aż tak wierzący, żeby twoje słowa miały mnie uspokoić. Jeżeli wszystko w porządku, to po prostu zrób przyjemność staremu ojcu i pojedź ze mną do szpitala. Tutaj masz ubrania. – Otworzył szafę i bezceremonialnie zaczął wyciągać swetry i spodnie.

– Dobrze... – Kornelia z rezygnacją podniosła się z kanapy. Chciała, żeby ją jak najszybciej zostawił w spokoju. – Niech ci będzie. Mam tylko nadzieję, że nie będziemy musieli stać w strasznych kolejkach. Naprawdę źle się czuję.

– No właśnie. – Tata pokiwał głową z zadowoleniem, że wreszcie się przyznała. – Skąd możesz wiedzieć, czy to nie ma związku z tamtą diagnozą sprzed pół roku, czy nie nastąpiło jakieś gwałtowne pogorszenie... Zawiozę cię do specjalisty i już.

– Na pewno nie o to chodzi. – Kornelia uśmiechnęła się po raz pierwszy. – Daj już te ciuchy, pójdę się ubrać.

\* \* \*

Dyżurny ginekolog przyjął ją bardzo szybko, zaniepokojony chyba jej wyglądem. Mimo iż ubrała się starannie, uczesała i nawet wykonała makijaż, wciąż

wyglądała jak śmierć na drodze. Złamane serce, nieprzespana noc, tygodnie zamartwiania się i stresu zrobiły swoje.

Badanie nie trwało długo. Lekarz pokiwał głową i uśmiechnął się, co było dla Kornelii zdecydowaną nowością. Ale ze wszystkich wizyt, na których z twarzy specjalistów próbowała odgadnąć diagnozę, niespodziewanie ten uśmiech przeraził ją najbardziej.

– Jeszcze tylko USG. – Lekarz gestem zaprosił ją na wąską kozetkę.

Oglądał szare pasy, raz jaśniejsze, to znów ciemniejsze, które pojawiły się na ekranie, jak najbardziej fascynujący obraz świata. Kiwał głową i mruczał coś pod nosem, jakby kłębowisko szarości dostarczyło mu potwierdzenia diagnozy.

Wreszcie popatrzył spod okularów na Kornelię, ponownie uśmiechnął się ciepło i zapytał:

– Widzi pani tę małą czarną kropczkę? Domyśla się pani zapewne, co to jest?

Kornelii od razu zrobiło się słabo na samą myśl o hipotezach, jakie błyskawicznie przemknęły jej przez umysł. Pobladła i zrobiła się lekko zielona, aż lekarz się wystraszył.

– Kolejny guz?

– Ależ nie. Spokojnie – powiedział szybko. – To dobra nowina. Jest pani w czwartym tygodniu ciąży – wyrzucił z siebie może trochę zbyt szybko, ale przestraszył się jej bladości. Najwyraźniej objawy tylko dla niego były oczywiste.

Kornelia zrobiła się jeszcze bardziej zielona i nagle poczuła, jak gwałtownie zaczyna się zanurzać w jakiejś ciepłej gęstej mazi.

Lekarz zareagował błyskawicznie, jak na specjalistę z wieloletnim stażem przystało. Uniósł jej głowę, potem nogi, a następnie otworzył okno.

– Pani Kornelio, proszę nie mdleć! – zawołał.

Świeże powietrze szybko pomogło. Na policzkach Kornelii pojawił się leciuteńki rumieniec i opadła z powrotem na łóżko.

– Jeszcze raz... Co oznacza ta kropka?

Lekarz uruchomił ponownie aparaturę i raz jeszcze odnalazł czarny punkcik w płataninie szarości.

– To czterotygodniowa ciąża – powiedział powoli, patrząc czujnie to na ekran, to znów na pacjentkę w obawie, żeby mu znowu nie zemdląca.

– Dziecko? – zapytała Kornelia. – Prawdziwe?

– Tak, proszę pani. Najprawdziwsza na świecie, bardzo ładnie umiejscowiona ciąża. Na razie wszystko w porządku.

Kornelia zakryła twarz dłońmi i dłuższą chwilę oswajała się z tą nową myślą. Miała trzydzieści lat i wyższe wykształcenie, a nawet nie pomyślała wtedy, w domku, że może należało się zabezpieczyć. Dlaczego Piotr o to nie zadbał, to była kolejna zagadka.

Po chwili zalała ją fala radości. Miała dziecko, własne, realne, rosnące sobie na razie cichutko pod jej sercem. Wszystko inne przestało się liczyć.

Lekarz wydrukował jej zdjęcie z USG, na jednej karteczce wypisał nazwy witamin, które powinna zacząć zażywać, na innej kilka zalecanych badań i nakazał, by skontaktowała się ze specjalistą, który poprowadzi ciążę. Wyszła z gabinetu na miękkich nogach, cały czas wpatrując się w zdjęcie czarnej kropki.

– Co ci jest? – zapytał tata, na jej widok zrywając się z twardego krzesła. – O rany! – dodał, natychmiast rozpoznając charakterystyczne zdjęcie.

– No właśnie... – uśmiechnęła się. – Dziękuję ci, że mnie tutaj przywiozłeś. Jesteś najlepszym tatą, jakiego mam.

– To akurat nie sztuka, bo konkurencja żadna. No cóż... Skoro ty się cieszysz, to ja też. Chociaż, przyznam szczerze, trochę jestem wstrząśnięty. – Nie miał pojęcia, że córka się z kimś spotyka i doznał sporego szoku.

– Słuchaj, chodźmy już stąd – poprosiła Kornelia. – W domu wszystko ci wyjaśnię.

\* \* \*

Zamknęli starannie drzwi jak dobrze dobrane grono spiskowców. Tata zrobił mocnej herbaty i usiedli przy stole. Na błyszczącym blacie leżało zdjęcie.

– Słusznie się domyślam, kto jest ojcem tego małego cudu? – zapytał tata, a Kornelia tylko skinęła głową na potwierdzenie.

Podobało jej się określenie, jakiego tata użył. Kochała to dziecko miłością nieogarnioną już od pierwszej sekundy, kiedy się dowiedziała o jego istnieniu. I bez znaczenia, czy będzie je wychowywać sama. Pragnęła je urodzić. Nie miała w tym względzie ani jednego momentu zawahania.

– Patrz, jakie ono jest śliczne. – Posunęła tacie zdjęcie, na którym tak naprawdę nic nie było widać. – Od razu można się zorientować, że to cudowne dziecko, grzeczne i słodkie, inteligentne i przy tym ładne.

Tata obejrzał czarną plamkę i dyplomatycznie pokiwał głową. Kornelia była kobietą w ciąży, a takie należy traktować wyrozumiale.

– Piotr się pewnie ucieszy... – Wrócił do tematu, który najbardziej go interesował. – Ma już swoje lata i idealne warunki do założenia rodziny.

– To bez znaczenia, tato. – Kornelia machnęła dłonią, nie odrywając wzroku od zdjęcia. – Nie mam zamiaru wykorzystywać mojej ślicznej kropki do łapania męża. To nie byłoby w porządku. Piotr się mną i tak już nie interesuje, a mnie wystarczy do szczęścia dziecko. Niczego więcej mi nie potrzeba.

Tata milczał chwilę. Opanowywał emocje, chęć natychmiastowego wygarnięcia prawdy na stół walczyła w nim z delikatnością wobec odmiennego stanu Kornelii.

Troska o córkę zwyciężyła.

– Jeżeli nawet trochę się pokłóciliście, to przecież rzecz zwyczajna w związku – powiedział. – Wiadomość o dziecku wszystko zmieni.

– Tato, powiem ci, jak jest, ale proszę cię, nie wracajmy już nigdy do tego tematu. Nie ma takiej opcji, żeby Piotr Nowicki zakochał się we mnie naprawdę, a szantażować go ciężą nie mam zamiaru. Rozstaliśmy się, każde z nas sobie układa życie po swojemu i koniec historii. Zresztą ja go wcale już nie potrzebuję – powtórzyła.

– Pewnie! – Tacie w końcu puściły nerwy. – Spełnił swoją rolę dawcy i niech spada, tak? Nigdy nie myślałem, że z ciebie taka egoistka.

– Nie denerwuj mnie – oburzyła się Kornelia. – Po prostu nie mam innego wyjścia. Oczywiście, że wolałabym, żeby to się inaczej potoczyło, ale wyglądam tak a nie inaczej i jestem zbyt nędną płótką, żeby się na mnie skusił taki człowiek jak Piotr.

Tata milczał przez chwilę i opanowywał emocje. Kłótnia do niczego nie prowadziła, a sprawa była zbyt poważna, by pozwolić sobie na błędy.

– Gdzie się podziała moja mądra córka – zapytał łagodnie – która potrafiła zmienić swoje życie, całej rodzinie pokazać prawdziwą siłę i z żelazną konsekwencją dążyć do wyznaczonego celu? Pytam, gdzie ona jest! Bo ta dziewczyna, która siedzi ze mną przy stole przypomina dawną, zahukaną Kornelię, która błędnie oceniała rzeczywistość i biernie płynęła z nurtem życia, poddając się jeszcze przed walką. Nie podoba mi się to wcale. Myślałem, że naprawdę się zmieniłaś...

– Widać, to wcale nie jest takie proste albo w ogóle wręcz niemożliwe. Ale nie martw się tak bardzo. Ja go naprawdę nie potrzebuję – powtórzyła z mocą. W tej chwili absolutnie w to wierzyła.

– A nie przyszło ci do głowy – zapytał tata – że może dziecko będzie potrzebowało ojca? Tęskniło za nim...

– Proszę cię – przerwała mu Kornelia. – Nie męcz mnie już. Nie spałam całą noc, jeszcze nawet do mnie w pełni nie dotarło, że naprawdę jest jakieś dziecko. Potrzebuję odpoczynku. Lekarz kazał mi się oszczędzać. Będzie jeszcze dość czasu, żeby się o to kłócić, choć ja wiem, że to i tak nic nie da. Nie gniewaj się, ale muszę się położyć.



Cóż można było odpowiedzieć na takie słowa wypowiedziane przez kobietę w stanie błogosławionym, którą należy w trybie natychmiastowym otoczyć czułą troską? Tata wstał, westchnął i się pożegnał.

Wyszedł przed blok, stanął przed własnym, krzywo zaparkowanym samochodem i zamyślił się. W przeciwieństwie do Kornelii wszystkie fakty dotarły do niego błyskawicznie i cała sytuacja jawiła się jasno, choć niezbyt optymistycznie. Widywał już w swoim życiu kobiety, które aby zrealizować pragnienie o dziecku, z zimną krwią wykorzystały mężczyzn. A potem taka jedna czy druga nawet nie informowała o fakcie, że facet został ojcem. Dla niej był tylko dawcą. Wierzyć mu się nie chciało, że Kornelia mogłaby się zdobyć na coś takiego.

Zresztą to i tak nie mogło się udać. Miasteczko było zbyt małe. Sprawa szybko wyjdzie na jaw. Piotr Nowicki nie jest głupi, bez trudu skojarzy fakty. Pytanie tylko, czy pokona upór Kornelii i czy w ogóle będzie chciał walczyć...

Wsiadł do samochodu, ale nawet nie włożył kluczyka do stacyjki. Coś mu się w tej całej sprawie cholernie nie zgadzało. Dwudziesty pierwszy wiek i nieplanowana ciąża? Gdyby Piotr chciał tylko wykorzystać Kornelię, przecież by się zabezpieczył, to inteligentny facet. Musiał być jakiś inny powód, dla którego przestał się do niej odzywać...

Kornelia! Przecież to oczywiste! – Rudnicki złapał się za głowę.  
I znalazł rozwiązanie.

\* \* \*

Pierwszą kawę wypił u Anielki. Wiedział, gdzie mieszka, więc przede wszystkim to ją postanowił poprosić o pomoc. Zeszło mu tam dwie godziny. Pili kawę, jedli ciasto i rozmawiali. Mąż Anielki, który przyjechał na weekend, okazał się ciepłym, wesołym facetem i rozmowa toczyła się wartko jak woda w strumieniu. Tata nie zdradził tajemnicy Kornelii, ale bez problemu uzyskał informację, której potrzebował.

Druga kawa została zaparzona u Adeliny. Zatelefonował na otrzymany przed momentem numer i został zaproszony. Trochę błądził po bocznych uliczkach, ale w końcu znalazł odpowiedni budynek. Najpierw, jak wszyscy, stanął urzeczony pięknym domu i ogrodu. Choć w nocy mocno padał śnieg, ścieżka i ganek były

pięknie odmiecione, a zielone iglaki posadzone w malowniczej kompozycji miały starannie otrzebane gałązki, co chroniło je przed połamaniem. Drewniany budynek w tradycyjnym kształcie kontrastował ciemnym drewnem z wszechobecną bielą.

Adelina musiała go zobaczyć przez okno, by wyszła na ganek otulona szczerlnie grubą kurtką i pomachała mu dłonią.

– Witaj, Zbyszku. Cieszę się, że mnie odwiedziłeś. – Przywitała go serdecznie.

Wszedł do domu i, jak każdy, od razu poczuł się dobrze w przytulnym wnętrzu. Podobało mu się, że wszędzie widać gospodarską rękę właścicielki, ład i porządek. W jego domu w sumie było podobnie, ale ład tworzony przez Martynę Rudnicką był innego rodzaju. Sterylny jak wnętrze laboratorium i bardzo zimny, sprawiał, że ciężko się żyło. A tutaj było ciepło, dosłownie i w przenośni. Chciało się siadać, pić pachnącą kawę, patrzeć na zimę za oknem i godzinami rozmawiać.

Po krótkiej wymianie uprzejmości Adelina cierpliwie wysłuchała jego relacji i potwierdziła wszystkie ojcowskie przypuszczenia i wnioski (choć Rudnicki nie powiedział jej najważniejszego, bo nie czuł się uprawniony do przekazywania wiadomości o dziecku), podkreślając, że Kornelia wymaga natychmiastowej pomocy.

Adelina chętnie zgodziła się pomóc w znalezieniu odpowiedniej strategii, bo od wielu dni, podobnie jak ojciec, bardzo martwiła się o Kornelię.

\* \* \*

Efektem tych rozważań była kolejna wizyta.

Zbigniew Rudnicki stał przed furką ładnego, nowego domu z bardzo niewyraźną miną. Nie mógł się umówić na wizytę, bo nie znał numeru telefonu. Właściwy budynek wskazali mu palcem przypadkowi przechodnie.

Był pełen obaw, jak zostanie przyjęty przez dyrektora Nowickiego. Nie miał zamiaru mówić mu o dziecku, dopóki istniał choćby cień szansy, że zrobi to Kornelia. Mimo braku tego kluczowego argumentu miał zamiar skłonić Piotra do energicznych działań. Zadanie nie zapowiadało się łatwo.

Wziął głęboki oddech i nacisnął przycisk dzwonka. Nie było żadnej reakcji. Nikt się nie odezwał przez głośnik domofonu. Uznał więc, że gospodarza nie ma

w domu i przez chwilę nawet poczuł tchórzliwą ulgę, że stresująca misja odwlecze się w czasie, ale wtedy drzwi się otworzyły i stanął w nich Piotr. Wyglądał na mocno zaskoczonego. Szczęknął zamek w bramce i Zbigniew niepewnym krokiem wszedł do ogrodu.

Na pamiętnej parapetówce u Kornelii pili razem piwo i żartowali, ale teraz nastrój był lodowaty i nawet wiatr z większą mocą zawiewał mroźnym powietrzem, jakby dla podkreślenia nieprzyjemnej atmosfery.

– Zapraszam. – Piotr wpuścił ojca Kornelii do środka.

Elegancki salon, urządzony z typowo kawalerską prostotą, pełen był pięknych zdjęć górskich plenerów, co Zbigniewa onieśmieliło jeszcze bardziej. Każda fotografia zdawała się być ukrytą aluzją.

Gospodarz zaprosił gościa na wygodną kanapę i zaproponował kawę. Zbigniew odruchowo zaakceptował propozycję, choć po poprzednich dwóch serce łomotało mu jak szalone. Napój szybko pojawił się na stole.

– Domyślam się, w jakiej sprawie przyszedłeś – zaczął Piotr bez żadnych wstępów. – Przykro mi, że to być może zepsuje nasze relacje, ale wierz mi, to nie ja rozdaję karty w tej partii. Twoja córka podjęła decyzję i nie chcę na ten temat rozmawiać.

Rudnicki, słysząc to, utwierdził się w swoich przypuszczeniach i mocno skoncentrował. Bardzo mu zależało na dobrym przebiegu tego spotkania. Taka szansa mogła się już nie powtórzyć. Wziął głęboki oddech i przystąpił do ataku.

– Na człowieka zawsze trzeba patrzeć całościowo... – wyrecytował kwestię, którą podyktowała mu Adelina. – Żeby zrozumieć postępowanie mojej córki, musisz wiedzieć, jak żyła do tej pory, bo właśnie te doświadczenia zdecydowały o jej dziwnym zachowaniu, a nie to, co wydarzyło się w górach. – Odetchnął z mimowolną ulgą, że udało mu się bezbłędnie powtórzyć tę skomplikowaną myśl.

– Jak wiele ci Kornelia opowiedziała? – zapytał Piotr, zaplatając mocno palce.

– Nic konkretnego... – Mężczyzna się zmieszał. – Wiem, że byliście razem na nartach, a potem relacja się urwała. Tylko że...

– A o tym, że mnie zostawiła w hotelu bez słowa pożegnania prócz jakiegoś głupiego karteluszką, wspomniała? – przerwał mu Piotr.

– Nie – przyznał Rudnicki zgodnie z prawdą.

– Albo o tym, że dzwoniłem mnóstwo razy, wysyłałem esemesy i próbowałem z nią porozmawiać w pracy?

– Też nie, ale sam się domyśliłem, że mogło tak być. – Tacie Kornelii kamień spadł z serca. – Ona po prostu zupełnie w siebie nie wierzy, ale, zaufaj mi, bardzo cierpi.

– Cierpi... – powiedział szyderczo Piotr i wstał. Podeszedł do okna i brutalnie odsunął firankę. Kilka żabek się urwało i delikatna tkanina zwisała smętnie na tle

zimowego ogrodu.

– Naprawdę tak jest – powtórzył łagodnie Zbigniew. – Nie chcę jej bronić, wiem, że ona głupio myśli i wychodzi z błędnych założeń, ale zbyt długo borykała się z kompleksami, żeby miało się to tak łatwo zmienić.

– Jedno jest pewne. – Piotr odwrócił się od okna. – Zazdroszczę jej wspaniałego ojca.

– Z tym akurat dałoby się coś zrobić – uśmiechnął się Zbigniew. – Miałbym na to pewien pomysł.

– Daj spokój. – Piotr znowu spochmurniał, a cienka nić porozumienia zerwała się błyskawicznie.

Gość rozejrzał się bezradnie po pokoju, szukając inspiracji do dalszych argumentów. Nie pomogło. Fotografie gór były jak wyrzut sumienia. Miał świadomość, że Kornelia nie postąpiła uczciwie wobec Piotra, a zamierzała zrobić jeszcze coś o wiele gorszego. Nie mógł do tego dopuścić. Postanowił wykorzystać drugie z podyktowanych mu przez Adelinę zdań.

– Ona nie jest pewna twoich uczuć. Potrzebuje wyraźniej, konkretnej deklaracji.

– Daj spokój. – Piotr tylko machnął dłonią. – Oszczędź sobie i mnie nieprzyjemnej rozmowy. Miała w ciągu tych dni setki dowodów moich uczuć i sto pierwszy też. Na każdym kroku okazywałem jej, co do niej czuję. Przykro mi, lubię cię, ale to w tej sprawie nic nie pomoże. Proponowałbym na tym skończyć tę jałową dyskusję, żeby nie padły jakieś niepotrzebne słowa. Kornelia jest dorosła, podjęła decyzję, a ja zamierzam ją uszanować. Bardzo cię proszę, nie ciągnijmy tego dłużej.

Wymownym wzrokiem spojrzął na drzwi.

Takiego zwrotu akcji Adelina nie przewidziała i Zbigniew poczuł się zupełnie bezradny. Pewnie gdyby nie informacja o dziecku poddałby się w tym momencie, uznając argumenty rozmówcy, ale w tej sytuacji nie mógł.

Postanowił zaryzykować i postawić wszystko na jedną kartę.

– Dobrze – powiedział. – Zaraz wyjdę. Jeszcze tylko jedno krótkie, męskie pytanie. – Głos mu drżał bardzo mocno. Nigdy, przenigdy w życiu tak się nie wpychał w czyjeś osobiste sprawy.

– Zgoda – odparł Piotr.

Zbigniew nabrał mocno powietrza.

– Dlaczego nie zadbałeś o zabezpieczenie? – Skrócił pytanie tak bardzo, jak to tylko było możliwe.

Piotr chyba w pierwszej chwili nie zrozumiał, ale zaraz potem wszystkie kawałki układanki błyskawicznie złożyły się w całość.

– Nie mówisz poważnie? – zapytał przejęty, siadając naprzeciwko z taką gwałtownością, że aż podskoczyły równo ułożone poduszki. – Naprawdę?

– Tak – potwierdził tamten z westchnieniem. – Choć nie ja powinienem ci o tym powiedzieć i wiem, że Kornelia nigdy mi tego nie wybaczy.

Piotr uśmiechnął się. Wstał i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – przypomniał mu Zbigniew. – Dlaczego o tym nie pomyślałeś, przecież, jak sam mówiłeś, jesteście dorośli.

– Nie chciałem się zabezpieczać, bo nie miałem przed czym... Kocham Kornelię – wypowiedział w końcu słowa, na które ona bezskutecznie czekała. – Chciałem się z nią związać na stałe, a dziecka się nie boję. Wręcz przeciwnie. Cieszę się, tylko trudno mi w to wszystko uwierzyć.

– Zrobisz coś? – zapytał tata.

– Oczywiście – odparł Piotr bez wahania. Wszelkie objawy złego humoru zniknęły bez śladu. Znow był energicznym człowiekiem, który śmiało przystępuje do życiowych zadań. – Będę walczył do skutku. Czego ona, twoim zdaniem, potrzebuje? Wyraźnej deklaracji? – Przypomniał sobie.

Zbigniew skinął poważnie głową.

– I bardzo dobrze – zawołał Piotr energicznie. – Będzie mieć taką deklarację, jakiej jeszcze w życiu nie widziała. Nie gniewaj się, ale trochę się spieszę.

– Oczywiście. – Mężczyzna wstał i skierował się ku wyjściu. – Mam jeszcze tylko jedną małą prośbę.

– Tak? – Piotr nie krył zniecierpliwienia.

– Czy ta rozmowa może zostać między nami?

– Jasna sprawa.

Zbigniew odetchnął z ulgą, pożegnał się i wyszedł. Poczul się lekko. Nie był do końca zadowolony, że nie udało mu się ukryć prawdy o dziecku, ale szybko wytłumaczył sobie, że przecież nie było innego wyjścia.

Nawet wiatr na zewnątrz wydał mu się teraz o wiele przyjemniejszy. Ruszył szybkim krokiem wzdłuż chodnika i kilka razy nawet się uśmiechnął.

## ROZDZIAŁ 24

---

Pierwszy dzwonek do drzwi wyciągnął ją z łóżka w rozwleczonym dresie, rozczochraną i spoconą. Na policzku miała odbite brzydkie czerwone plamy, a oczy podkrążone. Spojrzała przez wizjer i zobaczyła nieznanego mężczyznę ze sporym bukietem kwiatów.

– Szlag by to trafił – zaklęła pod nosem. – Nie dość, że mnie obudzili, to jeszcze na dodatek to pomyłka.

Otworzyła drzwi.

– Przesyłka dla pani.

– To pomyłka – mruknęła i chciała zamknąć drzwi.

– Kornelia Rudnicka?

Mężczyzna odczytał dane z formularza i jednocześnie spojrzął jeszcze raz na numer mieszkania. Wszystko się zgadzało.

– Tak – potwierdziła.

– To dla pani. – Posłaniec bezceremonialnie wetknął jej kwiaty w dłoń i szybko się pożegnał. Miał jeszcze sporo przesyłek i nie wyrażał najmniejszej ochoty na rozmowę z dziwną kobietą, która wyglądała jak totalny margines społeczny. Żał mu było głupka, który się dla niej wykosztował.

Kornelia wzięła bukiet i zamknęła za sobą drzwi. Dłuższą chwilę patrzyła bezmyślnie w kolorowe kwiaty, zanim mózg się odblokował i skojarzył tkwiącą między kwieciem karteczkę z możliwością uzyskania informacji. Wydobyła małą kopertę i przeczytała zamieszczoną na bileciku informację:

„Kocham Cię. Będę za trzy godziny. Piotr”.

– Jasne... – Wzruszyła ramionami, położyła bukiet na stole, po czym wróciła do łóżka i zagrzebała się w kołdrze. Naciągnęła poduszkę na głowę. Myśli delikatnie krążyły po jej głowie, a w sercu pojawiły się maleńkie bąbelki radości, które delikatnie ją łaskotały. Ale strach przed rozczarowaniem był silniejszy. Zacisnęła mocno powieki i próbowała znowu zasnąć.

Kiedy oddech trochę się uspokoił, ciepło na powrót rozlało się równomiernie po całym ciele i nawet zdążyła trochę zapomnieć o Piotrze, znów zadzwieczał dzwonek. Wściekła odrzuciła kołdrę i poczłapała do drzwi. Kolejny posłaniec. Otworzyła i tym razem bez słowa protestu przyjęła bukiet.

„Kocham Cię. Będę za dwie i pół godziny. Piotr”.

Westchnęła.

Położyła bukiet obok poprzedniego i próbowała wrócić do łóżka, ale rozbudzona była już na dobre.

Strach podpełznął jej pod gardło.

A jeśli on rzeczywiście przyjdzie? – pomyślała.

Wokół niej panował totalny nieład, mieszkanie nie było sprzątane od czterech tygodni, ale i tak prezentowało się dużo lepiej niż ona sama. Ta myśl snuła się po jej oszołomionym umyśle aż do kolejnego dzwonka:

„Kocham Cię. Będę za dwie godziny. Piotr”.

Wstała.

Wzięła wazon z kuchni i włożyła do niego pierwszy bukiet. Pozostałe musiały się zadowolić słoikami po ogórkach. Pokręciła się chwilę bezładnie po mieszkaniu, aż wreszcie dotarła do niej treść karteczek. To było wyznanie. Prawdziwe, konkretne i wprost. Na dodatek na piśmie. Mogła na nie patrzeć tak długo jak chciała i bardzo powoli nabierać wiary, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Kolejny bukiet z informacją, że Piotr przybędzie za półtorej godziny postawił ją w stan najwyższej gotowości. Zaczęła sprzątać, myć podłogi, ścielić łóżko i składać porzucane wszędzie ciuchy.

Następny bukiet zastał ją zmachaną i spoconą w połowie pucowania kuchni. Całe szczęście, że mieszkanie nie było duże i dało się doprowadzić do ładu w miarę

szybko.

Jak tylko skończyła, pobiegła pod prysznic. Wrzuciła dres do pralki i, owinięta szlafrokiem, przyjęła ostatniego kuriera.

Od tej chwili ręce jej się trzęsły z nerwów i w wielkim pośpiechu zaczęła suszyć włosy, malować się i ubierać. Na koniec skropiła się obficie perfumami od taty i prawie bez tchu padła na krzesło w pokoju. Serce jej łomotało, a przed oczami fruwały ciemne plamki.

Tylko nie zemdlej – nakazała sobie. – Pamiętaj o dziecku.

Wreszcie wybiła godzina zero.

Znów rozległ się dzwonek, ale tym razem nie był to kurier. Na klatce schodowej stał Piotr we własnej osobie i ścisnął w dłoniach ostatni bukiet, największy ze wszystkich.

Nie wiedziała, czego się spodziewać. Lubiła go od zawsze jako szefa, potem beznadziejnie zadurzyła się w nim i spędziła kilka bardzo przyjemnych dni oraz jedną upojną noc. Była z nim od czterech tygodni w ciąży. To bardzo dużo, ale czy wystarczy do zbudowania czegoś naprawdę trwałego?

Piotr wszedł do środka bez słowa i również w milczeniu podał jej kolejny bukiet kwiatów. Wskazała dłonią w kierunku pokoju i poszli razem, nadal nic nie mówiąc. Serce łomotało Kornelii tak bardzo, że zaczęła się obawiać, czy to nie zaszkodzi dziecku. Jego obecność była dla niej jak na razie mocno teoretyczna, ale świadomość rozwijającej się gdzieś pod jej sercem małej kropeczki nie opuszczała jej ani na chwilę.

Usiedli na tapczanie tuż obok siebie. Kornelia nie wiedziała, od czego zacząć. Obecność Piotra w mieszkaniu, ciepło jego ramienia tuż obok uświadomiły jej, że wszystkie postanowienia o gotowości do samotnego macierzyństwa są oparte na bardzo wątych podstawach. Z pewnością istnieją kobiety, które świetnie się czują jako singielki, ale ona do nich nie należała. Stokroć miłsza była jej wizja wspólnego życia, choć i ono jawiło jej się na razie jako bliżej nieokreślona, mglista perspektywa.

– Zacznę od najważniejszego – odezwał się w końcu Piotr. – Miałem zamiar dać ci to wtedy w górach, ale nie zdążyłem. Dlatego tym razem nie będę ryzykował. – Sięgnął ręką do kieszeni i położył jej na kolanie zaciśniętą dłoń. Po chwili rozprostował palce i Kornelia zobaczyła pierścionek.

– Oficjalnie, choć może mało romantycznie, proszę cię, żebyś za mnie wyszła – powiedział i spojrzał jej w oczy.

Cieszyła się, że od tego zaczął. Bez niepotrzebnych wstępów i ogródek. I tak była zbyt zdenerwowana, by to docenić. Kamień spadł jej z serca, a do świadomości powoli zaczęła sobie torować drogę kolejna dobra wiadomość. Ale jeszcze nie mogła się nią cieszyć. Piotr powinien znać prawdę, zanim się zdecyduje naprawdę z nią związać. Milczała, szukając właściwych słów. Zbyt często słyszała



o mężczyznach uciekających gdzie pieprz rośnie na samo wspomnienie o dziecku, zbyt wiele razy ktoś ją odrzucał z bardziej błahych powodów, żeby teraz czuła się pewnie.

– Wiem o wszystkim – przerwał Piotr jej trudne rozmyślenia. – Nie będę cię oszukiwał.

Z zaskoczenia zaparło jej dech. Myśl błyskawicznie odwróciły się o sto osiemdziesiąt stopni. Przestała się bać, że zostanie odrzucona, za to pojawiła się nieprzyjemna myśl, że on chce się z nią związać tylko ze względu na dziecko. Pobladła, a dręczące ją wnioski chyba dość mocno rysowały się na jej twarzy, bo Piotr natychmiast zareagował.

– Spójrz mi w oczy i przestań wreszcie być tchórzem – powiedział stanowczo i wziął ją za rękę. – Załóż pierścionek i zacznij się cieszyć życiem. Było nam wspaniale razem, prawda?

Skinęła głową.

– No to nie komplikujmy już niczego więcej. Dostatecznie długo czekałem na ciebie...

– Długo? – Kornelia się zdumiała.

– A co ty myślisz. Podobałaś mi się już od dawna, ale dopiero ostatnio dałaś mi szansę.

Kornelia spojrzała w ciemne okno. Firanka, niedbale przesunięta, odsłaniała gładki granatowy prostokąt szyby. Odbijał się w nim jasny pokój i dwie postaci. Mężczyzna i kobieta. Było też dziecko, jeszcze niewidoczne, ale coraz większe z każdą sekundą. Zwyczajne, dobre życie, wszystko, o czym Kornelia nadaremno marzyła przez wiele lat. Na samą myśl o tym, że już dawno temu mogła zrealizować swoje pragnienia, tylko nie dała życiu szansy, robiło jej się słabo. Ktoś długo już o niej myślał! Nigdy nie przyszłoby jej to do głowy.

Była też nadwaga, wciąż jeszcze wyraźnie widoczna. Ją także trzeba będzie pokochać, bo zanosilo się na to, że w najbliższym czasie wróca wszystkie w takim trudzie stracone kilogramy. Taki już widać jej los. Ale w jednej chwili przestała się tym martwić.

– Kto ci powiedział? – zapytała, podchodząc do komody, by wyciągnąć zdjęcie.

– Twój tata – odparł Piotr. – Prosił o dyskrecję, ale nie mogłem grać przed tobą zaskoczenia, kiedy dobrze o wszystkim wiem.

– Tak... Tylko tata wiedział. Zobacz, to jest właśnie nasze dziecko. Śliczne, prawda? – Podala mu karteczkę, a Piotr zapatrzył się na czarną kropczkę z zafascynowaniem, które bardzo jej się spodobało.

Pomyślała o tacie. Miała trzydzieści lat, a tata był osobą ważną w jej życiu i wciąż bardzo potrzebną. Kto wie, może nawet bardziej niż w dzieciństwie. Pomógł wejść w prawdziwą dorosłość i wsparł w trudnej chwili. Miał rację.

Dziecko powinno mieć ojca. Jeśli się tego osiągnąć nie da, to trudno, ale zawsze, gdy istnieje choćby cień szansy na pełną rodzinę, trzeba o nią walczyć. Prawdziwy ojciec to dla dziecka bezcenny dar, a Piotr wyglądał na bardzo dobrego kandydata.

## ROZDZIAŁ 25

---

Dwa miesiące później ogród Kordasów rozkwitł i rozrastał się w równie mocnym tempie jak bałagan w domu.

Ostatni tydzień był ciężki dla wszystkich. Lena miała sporo pracy w kwaciarni. Wszyscy teraz kupowali kwiaty na balkony lub rabatki. Po całym dniu doradzania, wybierania najlepszych okazów i uśmiechania się wracała do domu wykończona. Michał popołudniami uczył się na pamięć roli do szkolnego przedstawienia i z uporem pierwszoklasisty kaligrafował literkowe szlaczki, a Daniel przynosił ze szkoły całe sterty odbitek ksero z każdego przedmiotu, które trzeba było wkuć na pamięć lub wypełnić. Klasy maturalne goniły już resztami sił, presją osiągnięcia wysokiego wyniku z naciskiem młota pneumatycznego wywierana na nauczycielach przekładała się na stres i coraz większe wymagania wobec uczniów. Powoli wszyscy zaczęli mieć dość i marzyli już tylko o tym, żeby ten egzamin wreszcie się odbył.

Leonard też miał gorący okres w swoim życiu zawodowym. Dostał w końcu pierwsze wymarzone zlecenie na prawdziwą rzeźbę. Zamówił ją znany kolekcjoner sztuki do swojej wiejskiej posiadłości. Postanowił dać szansę nieznanemu twórcy. Wiele nie ryzykował, ponieważ w umowie było zastrzeżenie, że jeśli praca mu się nie spodoba, po prostu jej nie odbierze.

Telefon od niego był jak spełnione pragnienie. Leonard odłożył słuchawkę i pobiegł do pracowni, przeskakując po kilka stopni schodów naraz. Od miesięcy w głowie kłębiło mu się tysiące pomysłów, które tylko czekały na okazję do realizacji. Ale kiedy zamknął za sobą drzwi, nagle poczuł zupełną pustkę.

Oglądał różne rodzaje drewna, żaden jednak nie wydawał się dość dobry. Myśli w jego głowie rozwiewały się jak mgła z chwilą, kiedy chciał je uchwycić i zrobić szkic na papierze. Nic sensownego nie wypływało spod ołówka. Uruchomił przeglądarkę w Internecie, żeby zdobyć więcej informacji o swoim zleceniodawcy. Miał nadzieję, że to natchnie go jakąś ideą początkową, z której łatwiej będzie potem przejść do szczegółów. Jednak kiedy poczytał o kolekcji rzeźb i obrazów, którą jego zleceniodawca zgromadził w trzech swoich domach zlokalizowanych we Francji, Szwajcarii i w Polsce, stres zablokował go całkowicie. Wydawało mu się, że jest prawdziwym artystą, który potrzebuje tylko szansy i czasu, by się zrealizować. Teraz szansa się pojawiła, a on nie miał pojęcia, jak jej nie stracić.

Kiedy Lena wróciła wieczorem do domu, zastała męża pogrążonego w twórczej depresji wśród walających się po całej pracowni stert porysowanych płacht papieru i odrzuconych na wszystkie strony zmarnowanych kawałków drewna. Westchnęła tylko ciężko i postanowiła wykazać się zrozumieniem. Teoretycznie powinna przecież była liczyć się z takimi sytuacjami, kiedy zdecydowała się wyjść za mąż za artystę malarza z rzeźbiarskim zacięciem, ale w rzeczywistości zakochała się w Leonardzie tak bardzo, że nie myślała wówczas o niczym innym. Nie zastanawiała się, jak w praktyce będzie wyglądało ich wspólne życie. Ale to przecież nie była jego wina. On też, kiedy jej się oświadczał, nie myślał o dyżurach przy myciu naczyń. To normalne.

– Będzie dobrze... – Przytuliła się do jego zgarbionych pleców. – Z całą pewnością coś wymyślisz, chociaż być może będziesz na to potrzebował więcej czasu niż jeden dzień.

Leonard odwrócił się gwałtownie, ale nic nie odpowiedział. Potarł zmęczone oczy, a potem zaczął całować żonę z takim zaangażowaniem, jakby od tego zależało jego dalsze życie. Bardzo mocno i gwałtownie. Kopniakiem zamknął drzwi pracowni, a następnie przekręcił klucz, nie wypuszczając Leny z objęć.

– Tym razem to mnie jest zimno – powiedział. – Czuję, że całe moje wnętrze jest zmrożone na sople.

Lena tylko się uśmiechnęła i przymknęła oczy, biernie poddając się jego działaniom, a zmęczenie całego dnia uchodziło z niej powoli, ale skutecznie.

Godzinę później Leonard spał na swojej kanapie mocnym snem zmordowanego, ale szczęśliwego człowieka. Lena ostrożnie wyplątała się z jego objęć, przykryła go kocem pełnym drzazg i zgasiła światło. Sen, a także pierwsze chwile tuż po przebudzeniu, często przynosiły mu dobre pomysły. Może i tym razem będzie podobnie?

Zeszła na dół. Pokoje chłopców były przymknięte. Każdy zapewne siedział przy swoim laptopie. Postanowiła więc najpierw wziąć prysznic, przebrać się, po czym zaplanować kreację na nadchodzące wesele. Bardzo chciała na nie pójść i zastanawiała się, jak to zrobić, by Leonard pojawił się na nim w dobrym stanie fizycznym i psychicznym.

Ciepła woda przyjemnie masowała ciało, a krew wciąż jeszcze szybko płynęła w żyłach. Lena poczuła, że jest szczęśliwa. Pewnie nigdy nie uda jej się zaprowadzić w tym domu idealnego porządku, a mąż-artysta od czasu do czasu będzie znikał w pracowni, ale taka była cena za wspólne życie. Wszystkie dobre chwile i poczucie, że jest na właściwym miejscu, a jej dzieci mogą rosnąć spokojnie w pełnej rodzinie, były przecież bezcenne.

Nie czuła się wcale szczęśliwa tym niezmaconym rodzajem szczęścia, jakie czasem demonstrują bohaterowie literaccy czy filmowi. Wciąż się kłóciła z Leo, do obowiązków domowych trzeba było chłopców zaganiać, a szara rzeczywistość, konieczność zarabiania pieniędzy, zwykłe zmęczenie i słabości charakteru wdzierały się do domu każdą szczeliną. Ale to jest po prostu życie! Prawdziwe.

Ucieczka do Warszawy w pogoni za wolnością uświadomiła jej jedną ważną rzecz. Doskonałego wyjścia nie ma. Nie da się znaleźć sposobu na życie, który zagwarantuje wieczystą i niczym niezakłóconą szczęśliwość. Można tylko zamienić jedne problemy na inne. Samotność też miała swoje minusy, wielkie miasto prócz szans stawiało również przed człowiekiem nowe trudności, a budowanie własnej satysfakcji na krzywdzie bliskich okazało się dość frustrującym przedsięwzięciem.

Nie spełniła marzeń o wielkiej karierze. Być może jeszcze kiedyś jej się uda... Albo już na zawsze pozostaną zwyczajną, ale szczęśliwą rodziną. Nie przeszkadzało jej to wcale. Każdy ma w życiu swoją drogę i miejsce, w którym czuje się najlepiej, oraz własną miarę sukcesu. Lena czuła się szczęśliwa w tym domu, w towarzystwie dzieci, psa i niezwykłego, choć czasem wkurzającego męża, którego wciąż kochała tak samo mocno jak pierwszego dnia, kiedy się poznali. To wbrew pozorom bardzo dużo.

Nie zrezygnowała jednak ze swoich aspiracji. Miała zamiar zapisać się na szkolenie z florystyki i powoli myślała nad sposobem pozyskania funduszy na własną kwiaciarnię, bo choć praca zdobyta dzięki Monice bardzo jej się spodobała, to Lena nadal próbowała osiągnąć swoje cele w taki sposób, by nie kłóciły się z innymi sferami jej życia.

Zakręciła wodę i wyszła spod prysznic. Obejrzała z zadowoleniem swoją szczupłą, kształtną sylwetkę i zaczęła się ubierać.

\* \* \*

Widomość o zaplanowanym i w wielkim pośpiechu organizowanym weselu nauczycielki fizyki Kornelii Rudnickiej i dyrektora liceum Piotra Nowickiego lotem błyskawicy obiegła miasteczko. Mnóstwo osób otrzymało zaproszenie i teraz, z mniejszym lub większym talentem aktorskim kryjąc zdumienie, potwierdzało swoją obecność.

Piotr podszedł do tematu metodycznie i z właściwą sobie konsekwencją realizował kolejne punkty planu. Na obawy Kornelii, że nie zdążą wszystkiego zorganizować przed porodem, bo samą salę trzeba rezerwować czasem trzy lata wcześniej, stwierdził, że długie czekanie jest dla mięczaków i w kilka tygodni załatwił wszystko.

Szok w pracy był spory. Zarówno wśród uczniów, jak i nauczycieli. Kornelia z trudem odnajdywała się w kolejnej życiowej zmianie. Fizycznie nie czuła się najlepiej, mdłości coraz mocniej dawały o sobie znać i całymi dniami była śpiąca. Ale postanowiła pracować najdłużej, jak tylko się da, żeby nie zostawiać uczniów tuż przed maturą. Relacje z uczniami mimo wszystkich zawirowań były znacznie lepsze niż kiedykolwiek. Daniel Kordas uzyskał wysoką lokatę w olimpiadzie z fizyki, a wspólny projekt przyniósł wiele satysfakcji. Wprawdzie niektóre z postanowień pozostały tylko na papierze, ale i tak sporo udało się zrealizować.

W przygotowania weselne Kornelia angażowała się słabo, za to Piotrowi ogarnięcie wszelkich szczegółów przychodziło bez najmniejszego trudu. Ponieważ nie chciała się do niego przeprowadzić, zanim nie zostanie jego żoną, przyjeżdżał codziennie do jej mieszkania i wieczorem zasypiali na jej wąskim tapczanie, ciasno przytuleni, z dłońmi na brzuchu, w którym rosło ich dziecko. Kornelia póki co chudła nadal, a brak apetytu i mdłości, które czuła na samą myśl o większości produktów spożywczych, jeszcze pogłębiały ten proces. Żywiła się głównie owocami kiwi i suchymi bułkami.

Była tak bardzo szczęśliwa, że celowo tłumiła uśmiech, który wciąż wyływał jej na usta, żeby nie kusić losu i nie denerwować innych. I bez tego

relacje w pracy stały się trudne. Wicedyrektorki zupełnie przestały z nią rozmawiać, natomiast w stosunku do Piotra zachowywały się tak, jakby cały ten planowany ślub wcale nie istniał i gdy tylko było to możliwe, nadal próbowały uwodzić przełożonego. Ale nie tylko one były rozdrażnione nagłym szczęściem Kornelii.

Zazdrość to dość powszechne uczucie, niełatwo nad nim zapanować, a prawdziwych przyjaciół poznaje się nie tylko w biedzie, ale przede wszystkim w chwilach powodzenia. Łatwiej jest okazać współczucie osobie w potrzebie, niż cieszyć się prawdziwie cudzym szczęściem. Przez kilka pierwszych dni po ogłoszeniu zaręczyn Kornelia rozmawiała w miarę swobodnie tylko z Anielą. Potem sytuacja powoli zaczęła się normować, ale pewne poczucie niezręczności wciąż było wyczuwalne. Widać było, że niektórzy ważą słowa wypowiedane w jej obecności.

Ale to wszystko to były tak naprawdę drobiazgi.

Teraz liczyły się wyłącznie wspólne chwile. Pierwsze śniadania w ciasnej kuchni, bladym wiosennym świtem, miłe mimo chronicznego niewyspania, obiady na mieście, które Piotr zjadał ze smakiem, a Kornelia najczęściej tylko wahała podejrzliwie, oraz domowe kolacje. Koszyczki owoców kiwi i świeże bułki przynoszone codziennie przez Piotra. Ale przede wszystkim długie wieczorne rozmowy.

Kornelia zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę i być zupełnie szczerą wobec Piotra. Opowiadała mu o swoim życiu w domu rodziców, o wszystkich kompleksach i słabościach, ale też o skrytych marzeniach i planach. Tylko naiwne uczucie do Kordasa pominęła milczeniem. Natomiast ze szczegółami zrelacjonowała historię o psie, którego tak bardzo polubiła, a Piotr obiecał, że spróbuje porozmawiać z właścicielem na temat ewentualnego odkupienia zwierzaka.

Jego pierwsza wizyta u dawnego sąsiada Kornelii zakończyła się fiaskiem. Właściciel psa nabrał dziwnych podejrzeń, zamknął Piotrowi drzwi przed nosem i natychmiast udał się do miejscowego weterynarza. To dziwne zainteresowanie jego kundelkiem wydało mu się bardzo podejrzane. Zalecił dodatkowe szczegółowe badania pod kątem ewentualnej przynależności do jakiejś niezwykle rzadkiej, a drogiej rasy, która mogłaby wyjaśnić niespotykane powodzenie zwierzaka.

Pani weterynarz, ukrywając pobłażliwy uśmiech, wykonała solidnie zadanie i zapewniła właściciela, że jego pies bez najmniejszych wątpliwości jest przedstawicielem popularnej rasy kundel i w każdej chwili może mu to dać na piśmie.

Sąsiad, nie do końca przekonany, wrócił do domu i jeszcze przez dwa tygodnie zastanawiał się na przyjęciem ponawianej regularnie propozycji. Skłoniła

go do tego dopiero nieprzespana noc, kiedy próbował otworzyć okno sypialni, ale jazgot psa nie pozwalał mu zmrużyć oka. Do narzeczonej nie mógł się ewakuować, bo ostatnio nie układało się między nimi najlepiej i ta zgryzota połączona z uporem dyrektora miejscowego liceum przesądziła o decyzji przekazania zwierzaka. Specjalnie nie był do niego przywiązany, podszedł więc do sprawy bez większych sentymentów.

Jednak kiedy zobaczył radość Kornelii na widok jego psa, podejrzenia znów mocno zakiełkowały mu w duszy. W głowie mu się nie mogło pomieścić, że ktoś może się tak bardzo cieszyć ze zwykłego kundla. Wracał do domu, cały czas zastanawiając się, czy podjął słuszną decyzję i czy nie należało zażądać znacznie większej ceny.

\* \* \*

Zbigniew Rudnicki czynnie zaangażował się w przygotowania do ślubu i wesela Kornelii. W związku z tym był częstym gościem Adeliny i konsultował z nią prawie każdą decyzję. Tego dnia zasiedział się wyjątkowo długo.

Późnym wieczorem Kornelia, która przyjechała na chwilkę, żeby pokazać odebraną wreszcie po wielu przeróbkach suknię, zastała swojego tatę w kuchni pani Sokołowskiej, pochylonego nad filiżanką aromatycznej herbaty.

Nastrojowa lampka nad stołem, ciche tony radia i tata, który najwyraźniej czuł się tu jak u siebie... Zagryzła wargi. Nawet nie odpakowała sukni z chroniącego ją pokrowca. Pod pozorem nagłego złego samopoczucia poprosiła tatę, by towarzyszył jej w drodze do domu, najlepiej natychmiast, i bez skrupułów wyciągnęła go z ciepłej kuchni. Wrócili pod dom rodzinny dwoma samochodami i właśnie gdy parkowali pod bramą, na szerokich drzwiach tarasu pojawił się znajomy cień. Mama jak zwykle trwała na posterunku.

Gdy weszli do środka, mogli zobaczyć, jak niepewnie odwraca się od okna. Na jej policzkach widać było ciemne smugi. Płakała. Tata na ten widok westchnął ze zniecierpliwieniem i skierował się do kuchni. Miał dość. Od kilku miesięcy nie słyszał nic innego, jak tylko same pretensje połączone ze łzami.

Kornelia usiadła na kanapie, która tyle spotkań rodzinnych widziała, i po raz pierwszy poczuła się tutaj zupełnie swobodnie. Dawne życie na dobre przesłoniło



się mgłą i wreszcie zaczęło ustępować miejsca nowemu.

Może dlatego, że nie planowała tego spotkania. Od dnia przeprowadzki była tutaj rzadkim gościem. Dzisiaj też przyjechała tylko dlatego, że nagły impuls skłonił ją, by szybko wyprowadzić tatę z przytulnego domu Adeliny Sokołowskiej. Nie wiedziała, czy słusznie postępuje, po prostu instynktownie broniła rodziny. Ale kiedy zobaczyła mamę, poczuła, że dobrze zrobiła.

Martyna Rudnicka w ciągu ostatnich miesięcy wiele straciła ze swojej władczej pewności siebie. Przycupnęła po drugiej stronie, na samym brzegu fotela, nieśmiało, zupełnie nie w swoim stylu. Spojrzała przelotnie na córkę, potem w stronę męża, który, jak gdyby nigdy nic, z kanapką w dłoniach poszedł do ich sypialni. Po chwili dał się słyszeć dźwięk włączonego telewizora.

W oczach mamy znów pojawiły się łzy, a Kornelia poczuła, że mimo wszystko jej współczuje. Mama cały czas była jej na swój sposób bliska i Kornelia zrozumiała, że ta więź zawsze będzie silna, zwłaszcza teraz, kiedy okoliczności i niezbędna do zachowania prywatności odległość spowodowały, że urazy trochę zbladły.

– Co zrobiłam źle? – zapytała mama bezradnie. – Całe życie rozsypuje mi się w rękach. Wszystko przecieka przez palce i nie umiem zatrzymać lawiny zdarzeń.

Kornelia zastanowiła się poważnie. Czuła, że pytanie mamy trafia w sedno i że to, co teraz powie, może zadecydować o dalszych losach rodziny.

– Tobie udało się zbudować życie na nowo. Pięknie to zrobiłaś – dodała mama i był to bodaj pierwszy szczery komplement, jaki Kornelia usłyszała z jej ust. – Podziel się swoim patentem – poprosiła. – Bo mnie ostatnio wszystko się tylko wali.

– No cóż, nie jestem specjalistką... – Kornelia w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby się powstrzymać przed wysłaniem mamy do Adeliny. Stąpała po zbyt grząskim gruncie, musiała być ostrożna.

Chwilę milczała, po czym dodała:

– Jedno wiem na pewno. Życie to dar i trzeba je doceniać. Najpierw się ucieszyć z tego, co już jest, okazać wdzięczność, docenić, a dopiero potem szukać czegoś więcej. I uśmiechnąć się do świata, a on z pewnością odpowie.

Adelina byłaby ze mnie dumna – pomyślała z zadowoleniem, gdy zobaczyła, jak wąskie usta mamy, najczęściej zaciśnięte w prostą kreskę nadającą jej twarzy wieczny wyraz surowej powagi, rozciągają się powoli w nieśmiałym uśmiechu skierowanym do męża, który z pustym talerzykiem w dłoni wyszedł właśnie z sypialni, po czym stanął, zaskoczony tym widokiem.

Kornelia podniosła się z kanapy, pomachała im dyskretnie dłonią, po czym wyszła z domu. Teraz wszystko w ich rękach. Muszą sami odbudować to, co gdzieś po drodze się popsuło. Założyła płaszcz i zapięła guziki, pełna dobrych myśli.

## EPILOG

---

---

– Pani Rudnicka jednak przytyła... – Wicedyrektorka z wielką satysfakcją wyszeptała te słowa w stronę grupki świeżo upieczonych absolwentów stojących w kościele pod ostatnim filarem.

Wiedziała już, podobnie jak wszyscy w szkole, o projekcie realizowanym w klasie pani Rudnickiej oraz o wyzwaniu, które Kornelia podjęła wraz z tegorocznymi maturzystami. Służbowo bardzo go pochwałała i nawet napisała na ten temat artykuł do miejscowej gazety, ale prywatnie zazdrość uniemożliwiła jej realną ocenę.

Dzień ślubu dyrektora był dla niej bardzo trudny. Nie miała pojęcia, w którym miejscu popełniła błąd. W jaki sposób do tego doszło, że przeoczyła taką zmianę w życiu mężczyzny, którego poddawała czujnej obserwacji całymi dniami.

Nie mogła nawet liczyć na wsparcie koleżanki, bo druga pani wicedyrektor złożyła wypowiedzenie i od września miała zacząć pracę w innej szkole, oddalonej

o ponad sto kilometrów. Widać, nie znalazła innego sposobu na poradzenie sobie z emocjami, jak tylko radykalne odcięcie się. Nie przyszła nawet na ostatnią konferencję. Nikt nie wierzył, że naprawdę jest chora, choć przedstawiła odpowiednie zaświadczenie.

– Jest jeszcze grubsza niż na początku roku i bardzo źle wygląda – dodała ze złośliwym uśmiechem, bo rzeczywiście w kościele było duszno i Kornelia wyraźnie pobladła, co w zestawieniu z białą suknią z podwyższonym stanem nie było specjalnie korzystne.

– Pewnie urodzi córeczkę – odpowiedziała jej spokojnie Julka. – Moja babcia mawiała, że dziewczynki zabierają matkom urodę, a chłopcy jej dodają.

– Głupie przesady – pouczyła ją Natalia, przyszła pani doktor.

Ale wicedyrektor Marcinkowska już ich nie słuchała. Młoda para właśnie zaczęła szykować się do wyjścia. Córeczki Anieli pospiesznie ustawiały się do niesienia trenu, a Leonard Kordas szeptał coś swojej żonie do ucha, ani na chwilę nie puszczając jej dłoni. Wyglądał jakby nie spał od tygodnia. Nieogolony, z podkrążonymi oczami. Ponoć pracował nad jakimś ważnym projektem. Pisano nawet o tym w gazecie. Jednak choć wyraźnie przepracowany, sprawiał wrażenie szczęśliwego.

Marcinkowska wyszła z kościoła, zanim młoda para odwróciła się od ołtarza. Woląла oszczędzić sobie widoku dwóch kolejnych rozpromienionych twarzy. Nie wiedziała dotąd, że Kornelia jest w ciąży, bo ta ukrywała brzuch pod swoimi tunikami, a ona nie przyglądała się aż tak dokładnie. Ale i tak rozmiar życiowego farta tej dziewczyny ją przerastał.

Uciekła od składania życzeń i postanowiła nie jechać na przyjęcie weselne, choć była zaproszona. Za plecami słyszała śmiechy i okrzyki. Goście weselni wysypali się przed kościół, uczniowie przepychali się z kwiatami, robiąc przy tym prawie tyle samo zamieszania, co dzieci, które uwolnione z ławek po długim nabożeństwie, biegały po kościelnym placu jak szalone.

Pogoda była słoneczna, a lekki wiatr szarpał wytwornym kapeluszem Adeliny, kiedy niosła młodym swój podarunek – narzutę w stokrotki. Matka Kornelii na widok Sokołowskiej mocniej przytuliła ramię męża, jednak niepotrzebnie się obawiała. Adelina nie była zwolennikiem wchodzenia do cudzych ogrodów. Spokojnie złożyła życzenia, po czym odeszła na bok, zamierzając uciąć sobie pogawędkę z siostrą Kornelii, stojącą u boku bardzo sympatycznego narzeczonego.

Nikt nie usłyszał, jak na położonym niedaleko parkingu trzasnęły drzwiczki samochodu. Silnik ryknął, a spod kół prysnął drobny żwirek. Wicedyrektor Marcinkowska odjeżdżała ze świadomością dojmującej porażki na każdym polu. Ale i z mocnym postanowieniem zmiany. Każdy koniec opowieści jest bowiem zawsze początkiem innej. A jej prawdziwa opowieść tego dnia właśnie się

zaczynała.

Kornelia wyrzuciła wysoko swój bukiet, a ten, porwany gwałtowniejszym podmuchem wiatru, nie poleciał w kierunku grupki panien, lecz upadł prosto pod stopy pani Martyny Rudnickiej. Rozległy się śmiechy i dowcipne komentarze, ale ona nie oddała go pośpiesznie córce, jak postąpiłaby jeszcze kilka miesięcy temu. Nie poprosiła też, by Kornelia rzuciła jeszcze raz. Wzięła spokojnie bukiet do ręki, po czym pocałowała męża.

– Na dobrą wróżbę – wyszeptała, nie przejmując się wcale, że ludzie zaczęli szeptać między sobą.

Ostatnio sporo się dowiedziała na temat tego, co naprawdę jest ważne w życiu. Podeszła do córki i serdecznie ją uściskała. A w składanych życzeniach nie było ani jednej aluzji czy pomysłu, jak młodym zorganizować przyszłość, choć przecież miała ich pod dostatkiem. Tym razem wszystkie zachowała dla siebie. Nie życzyła też nowożeńcom szczęścia, bo tego mieli na razie pod dostatkiem, lecz mądrości życiowej i wytrwałości.

Kornelia odpowiedziała szczerym uśmiechem. Czuła się wspaniale. Wiedziała już, że nie tylko cukier może nadać życiu słodki smak. Są o wiele lepsze sposoby, a najlepszym jest miłość.

## PODZIĘKOWANIA

---

---

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy wspierali mnie w procesie powstawania tej książki. Przede wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom. Bez Was nie byłoby kolejnej powieści. Niech ta historia da Wam wiele dobrych emocji, sił i wiary w siebie. Pomoże odpocząć, zrelaksować się, a potem wstać z nową energią do spełniania marzeń.

Dziękuję zespołowi Wydawnictwa Filia za życzliwość i profesjonalizm: Marii Stefaniak, Oldze Reszelskiej oraz Mateuszowi Bandurskiemu. To już nasza siódma powieść. Każdy projekt jest przygodą i wyzwaniem. Dziękuję za wiele dobrych momentów i wspólnych sukcesów.

Dziękuję Krysi Sadeckiej, która wykonała solidną pracę redakcyjną, oraz jej współpracownikom.

Dziękuję mojej przyjaciółce, Kasi Wojtas, za trwające już od wielu lat wsparcie podczas powstawania kolejnych książek. Rozmowy, czytanie,

spotkania... – Twoja przyjaźń, Kasiu, to coś niezwykle cennego w moim życiu.

Dziękuję mojej rodzinie. Mężowi, córkom i synkowi za miłość, pomoc i wesołą atmosferę, wśród których powstają kolejne powieści.

Dziękuję Magdalenie Kordel, pisarce i przyjaciółce, za nasze długie rozmowy i wzajemne dopingowanie się do pracy.

Dziękuję Sylwii Winnik, Agnieszce Balcerskiej oraz zaprzyjaźnionej Ani Piotrowskiej, administratorce fanklubu na Facebooku, za wielką życzliwość i zaangażowanie w promowanie powieści.

Dziękuję wyjątkowej pisarce, Magdalenie Witkiewicz, której strona jest miejscem przyjaznym dla wielu autorów.

Dziękuję społeczności blogerskiej za recenzje, ciepłe, dobre słowa, listy i wiadomości.

Dziękuję bibliotekarzom za licznie napływające zaproszenia i wspaniałą atmosferę na spotkaniach.

Dziękuję społeczności facebookowej strony „Krystyna Mirek – strona autorska” za serdeczną atmosferę, życzliwość, wiele rozmów o książkach i życiu. To miejsce, które gromadzi wyjątkowe osoby.

